



„Piękna i okrutna baśń.  
Tak piękna i okrutna jak przyroda Alaski,  
jak najpiękniejsze baśnie i legendy Północy.  
Przejmująca opowieść o miłości, przyjaźni,  
tęsknocie i wielkiej nadziei. To gotowy  
materiał na niezwykle poetycki film”.

**Wiktor Zborowski**

Eowyn Ivey  
**DZIECKO  
ŚNIEGU**

# DZIECKO ŚNIEGU

EOWYN IVEY

Tłumaczenie: Marcin Wróbel

## Pascal

Copyright © 2012 by Eowyn Ivey

Copyright for the Polish edition © Wydawnictwo Pascal. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, przechowywanie lub wprowadzanie do systemu wyszukiwania, dystrybucja w jakiegokolwiek formie lub za pomocą jakichkolwiek środków (elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych) bez wcześniejszej pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Postaci i wydarzenia opisane w książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo z rzeczywistymi osobami, żyjącymi lub zmarłymi, jest przypadkowe.

Tytuł oryginalny: *Snow Child*

Tłumaczenie: *Marcin Wróbel*

Redakcja: *Ewa Kosiba*

Korekta: *Katarzyna Ziola-Zemczak*

Okładka: *Agencja Interaktywna STUDIO KREACJI – [www.studio-kreacji.pl](http://www.studio-kreacji.pl)*

Zdjęcie na okładce: *Trevillion Images: Elisabeth Ansley*

Redaktor prowadząca: *Zuzanna Klim*

Redaktor naczelna: *Agnieszka Hetnał*

Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.

ul. Zapora 25

43-382 Bielsko-Biała

[www.pascal.pl](http://www.pascal.pl)

Bielsko-Biała 2014

ISBN 978-83-7642-452-1

eBook maîtrisé par [Atelier Du Châteaux](#)

*Dla moich córek*  
*Grace i Aurory*

## CZEŚĆ PIERWSZA

– Wyjdźmy, żono, na podwórze i ulepmy ze śniegu małą dziewczynkę, a być może ożyje pewnego dnia i stanie się naszą córeczką.

– Mężu mój, nigdy nie wiesz, co może się przydarzyć – odrzekła staruszka. – Wyjdźmy na podwórze i ulepmy śniegową dziewczynkę.

*Śniegowa córeczka,*

*Arthur Ransome*

## ROZDZIAŁ I

*Nad brzegiem Wolverine, Alaska, rok 1920*

Mabel spodziewała się ciszy. Tego właśnie szukała. Żadnego niemowlęcego łkania i zawodzenia. Żadnych rozbawionych dziecięcych wrzasków unoszących się nad ulicą. Żadnego tupotu małych stóp na drewnianych schodach zdeptanych przez całe pokolenia mieszkańców domu ani szurania zabawkami po kuchennej podłodze. Zostawiła za sobą wszystkie dźwięki przypominające jej o porażce i rozżaleniu i zastąpiła je ciszą.

Wyobrażała sobie, że w alaskiej głuszy cisza będzie idealna niczym śnieg padający w środku nocy i wypełniający powietrze bezdźwięczną obietnicą, ale znalazła tam coś zupełnie innego. Zamiatając drewnianą podłogę, słyszała zgrzytanie miotły o deski, kojarzące się jej z dźwiękami, jakie mogłaby wydawać ryjówka podgryzająca ostrymi zębami jej serce. Kiedy myła naczynia, miski i talerze brzęczały i postukiwały tak głośno, jakby miały się zaraz rozpaść. Jedynym dźwiękiem z zewnętrznego świata było nagłe ponure krakanie. Mabel wykręciła ścierkę do naczyń i wyjrzała przez kuchenne okno akurat wtedy, gdy samotny kruk przelatywał z jednego bezlistnego drzewa na drugie. Wśród jesiennych liści nie biegały żadne dzieci, żadne samotne dziecko nie bawiło się też na huśtawce.

\*

A przecież miała dziecko. Nieme maleństwo zmarłe przy narodzinach. Choć minęło już dziesięć lat, wciąż wracała myślą do tamtej chwili, jakby chciała jeszcze raz dotknąć ramienia Jacka, dotrzeć do niego i go powstrzymać. Powinna była to zrobić. Powinna była wziąć główkę dziecka w złożone dłonie i odciąć kilka mizernych włosków, żeby umieścić je w medalionie zawieszonym na szyi. Powinna była spojrzeć w jego twarzyczkę i zobaczyć, czy to chłopiec, czy dziewczynka, i dopiero potem pozwolić Jackowi na pochowanie go w zamarznętej ziemi. Powinna była jakoś oznaczyć jego grób w Pensylwanii, no

i pozwolić sobie na żalobę. W końcu to było przecież dziecko, nawet jeśli przypominało miniaturowego elfa. Pomarszczona twarzączka, malutki podbródek i spiczaste uszy – tylko tyle udało jej się zobaczyć. Płakała, wiedząc, że wciąż mogłaby je pokochać.

\*

Mabel stała przy oknie tak długo, że kruk zdążył już odlecieć ponad drzewami. Słońce skryło się za górami, a światło spłaszczyło kontury krajobrazu. Nagie gałęzie i pożółkła trawa. Nawet jednego płatka śniegu. Wyglądało to tak, jakby wszystko co lśniące i piękne zostało wymiecione z tego świata, potraktowane niczym kurz.

Nadszedł listopad, którego tak się bała, wiedząc, co ze sobą przyniesie – zimno spadające na dolinę jak oddech śmierci, lodowaty wiatr szalejący w chacie, wpadający przez szpary w deskach. Najgorsze były jednak ciemności – mrok, który pochłaniał nawet światło dnia.

Z poprzednią zimą musiała się zmierzyć zupełnie na ślepo, nie miała pojęcia, czego się spodziewać po tej surowej okolicy. Teraz już wiedziała. W grudniu słońce zacznie się pojawiać tuż przed południem i przez kilka godzin będzie oświetlać górskie szczyty, nim ponownie zniknie zastąpione przez zmierzch. Mabel będzie drzemać na krześle przy piecu. Nie sięgnie po książkę, bo literatura była dla niej martwa, nie zacznie rysować w szkicowniku, gdyż nie wiedziałaby, co naszkicować – ponure niebo, mroczne zakamarki chaty? Każdego ranka z coraz większym trudem zwlecze się z ciepłego łóżka, poczłapie do kuchni, gdzie przygotowuje jakiś posiłek i rozwiesi pranie. Jacka czekają ciągle starania o zwierzęta, dzięki którym przetrwają zimę, a kolejne dni zleją się w końcu w jedną całość – czas spędzony w zimowej twierdzy.

Przez całe życie wierzyła, że istnieje coś więcej, jakaś tajemnica, którą wyczuwała końcówkami zmysłów. Intuicyjnie stwierdzała jej obecność w trzepocie skrzydeł ćmy odbijającej się od okna i obietnicy pojawienia się nimf rzecznych w migocącym nurcie strumienia. Tkwiła w woni dębów unoszącej się w powietrzu tego letniego wieczoru, gdy się zakochała, oraz w słońcu zachodzącym nad stawkiem, które rozświetlało powierzchnię wody. Mabel nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni się na nią natknęła.

Pozbierała ubrania Jacka i zabrała się do szycia, powstrzymując się przed kolejnymi spojrzeciami za okno. Gdyby tylko padał śnieg... Może udałoby mu się jakoś złagodzić te ponure kontury. Może odbita od niego jasność przywróciłaby blask w jej oczach.

Niestety przez całe popołudnie szalał wiatr zrywający resztki liści z drzew i przeganiający chmury wysoko po niebie, a światło dnia dogasało niczym płomień świecy. Mabel zaczęła myśleć o okropnym zimnie, które uwięzi ją w chacie, a jej oddech stał się momentalnie gwałtowny i płytki. Wstała z krzesła i zaczęła chodzić po domu, wciąż szepcząc: „Nie mogę tego zrobić. Nie mogę”.

Znów myślała o broni, jaką tu ze sobą przywieźli. Strzelba myśliwska wisząca obok regału, dwururka w korytarzu i rewolwer przechowywany przez Jacka w szufladzie biurka w jego gabinecie. Nigdy w życiu z żadnej z nich nie strzelała, ale nie to ją powstrzymywało. Chodziło raczej o przemoc i rozlew krwi towarzyszące pociągnięciu za spust, a także o oskarżenia, które na pewno by się pojawiły, gdyby się na to zdecydowała. Ludzie zaczęliby gadać, że straciła rozum lub serce, albo że Jack był dla niej złym mężem. A poza tym, co z Jackiem? Jego też przecież nękają wściekłość i wstyd.

Rzeka natomiast była czymś zupełnie innym. Nikogo nie można było winić. Ludzie powiadaliby, że gdyby wiedziała, że lód nie utrzyma jej ciężaru, to na pewno by na niego nie weszła.

\*

Południe przeszło w zmierzch. Mabel odeszła od okna i zapaliła lampkę naftową na stole, tak jakby zamierzała rozpocząć przygotowania do kolacji i czekanie na Jacka, tak jakby ten dzień miał wyglądać jak każdy inny, choć jej umysł wciąż krążył w okolicach ścieżki prowadzącej przez las do rzeki Wolverine. W blasku lampki zawiązała skórzane buty, narzuciła zimowy płaszcz na domową sukienkę i wyszła na zewnątrz, wystawiając odsłoniętą głowę i dłonie na działanie wiatru.

Sunąc między огоłoconymi z liści drzewami, była jednocześnie radosna i otępiała, porażona jasnością swojego planu. Nie myślała o tym, co za sobą zostawiła, skupiała się tylko na chwili obecnej – widziała ją ze specyficzną, czarno-białą precyzją. Lodowaty wiatr we włosach. Stukot butów o zamarzniętą ziemię. Para oddechu. Czowała, jak ją ogarniają olbrzymia siła i pewność.



Wynurzyła się z lasu i przystanęła nad brzegiem skutej lodem rzeki. Nie licząc okazjonalnych podmuchów wiatru, który przyklejał jej spódnicę do wełnianych pończoch i wirował nad zmrożonym nurtem, okolica była zupełnie spokojna. Wyżej, w głębi polodowcowej doliny, rzeka rozlewała się na szerokość kilometra, niosąc kawały drewna, tworząc żwirowe mierzeje i sieć splątanych płytkich kanalików. Tutaj jednak była wąska i głęboka. Mabel mogła z tego miejsca dostrzec klif na drugim brzegu i utrzymującą się u jego stóp warstwę czarnego lodu. Na tym odcinku woda całkowicie by ją zakryła.

To właśnie tam zamierzała dotrzeć, choć podejrzewała, że utonie, zanim przedostanie się na drugi brzeg. Warstwa lodu mogła mieć od trzech do pięciu centymetrów grubości i nawet podczas najostrzejszych zim nikt nie odważył się zbliżyć do tego zdradzieckiego miejsca.

Jej buty zaczęły się ślizgać na zamrożonych przybrzeżnych kamieniach stromego brzegu, zdołała jednak dotrzeć nad samą wodę i przekroczyć niewielką strużkę pokrytą cienkim i kruchym lodem. Poczowała mokry piasek pod butami. Ruszyła przed siebie po żwirze, unosząc spódnicę, aby przeskoczyć nad powalonym pniakiem noszącym ślady działania żywiołów.

Lód pokrywający główne koryto rzeki, którym wciąż płynęła woda docierająca w głąb doliny, nie był biały i łamliwy, tylko czarny i giętki, tak jakby dopiero poprzednia noc pozwoliła mu stężeć. Ostrożnie stanęła na ciemnej tafli, rozbawiona swoją przezornością – choć modliła się o to, by lodowa pokrywa pod nią trzasnęła, nadal nie chciała się na niej pośliznąć.

Oddaliła się kilka metrów od bezpiecznego brzegu i dopiero wtedy odważyła się spojrzeć w dół. Wyglądało to tak, jakby chodziła po szkle: pod głęboką turkusową wodą, która wciąż płynęła, widać było pokrywające dno granitowe głazy. Minał ją pożółkły liść i przez chwilę podążała za nim wzrokiem, wyobrażając sobie, że sama płynie pod idealnie przejrzystym lodem. Zastanawiała się, czy zdąży spojrzeć na niebo, nim woda całkowicie wypełni jej płuca.

Tu i ówdzie pod powierzchnią tkwiły uwięzione w lodzie bańki powietrza, tworząc białe okręgi, a w niektórych miejscach zamrożoną tafelę pokrywały spore pęknięcia. Nie wiedziała, czy powinna je omijać, czy też ich wypatrywać, szukając jak najcieńszej lodowej warstwy. W końcu wyprostowała ramiona, wbiła wzrok przed siebie i ruszyła dalej, nie patrząc pod nogi.

Kiedy doszła do połowy rzeki, miała wrażenie, że klif jest dosłownie na wyciągnięcie ręki, a lód zaczął się pod nią uginać. Wbrew swojej woli ponownie popatrzyła w dół. Przeraziło ją to, co tam zobaczyła. Żadnych baniek powietrza.

Żadnych szczelin. Tylko bezdenna czerń. Jakby miała pod butami nocne niebo. Balansując ciałem, przygotowała się do zrobienia następnego kroku, kiedy usłyszała głośny huk, brzącający jakby ktoś odkorkował w pobliżu butelkę szampana. Lód zaczął pękać. Mabel rozstawiła szeroko nogi, czując, jak drżą jej kolana. Czekala, aż lodowa tafla całkowicie się podda i pozwoli rzece pochłonąć jej ciało. Kolejne huknięcie było jeszcze głośniejsze. Miała wrażenie, że lód zaczyna się pod nią zapadać, ale robi to milimetr po milimetrze, niezauważalnie, jeśli nie liczyć tego okropnego dźwięku.

Wciąż czekała, ciężko oddychając, ale woda jej nie chciała. Lodowa warstwa wytrzymywała jej ciężar. Zaczęła więc ostrożnie przesuwać stopami – najpierw jedną, potem drugą – i ruszyła powoli w stronę miejsca, gdzie klif spotykał się z rzeką. Wcześniej nawet sobie nie wyobrażała, że dojdzie na drugą stronę. Dotknęła dłońmi chłodnego łupku, a potem oparła się całym ciałem o urwisty brzeg. Docisnęła czoło do kamieni i poczuła ich starożytną, wilgotną woń.

Zimno zaczęło przenikać wszystkie komórki jej ciała, więc opuściła rękę wzdłuż boków i odwróciła się, by ruszyć z powrotem na brzeg, z którego przyszła. Serce podchodziło jej do gardła, nogi z trudem utrzymywały ciężar ciała. Kierując się w stronę domu, wciąż myślała o tym, czy teraz dopadnie ją śmierć.

Chciała pobiec, widząc coraz bliższy twardy grunt, ale lód okazał się zbyt gładki, więc przejechała kawałek długim ślizgiem i wpadła na brzeg. Jęknęła, zakaszła i zachichotała, jakby to był jakiś kawał, wariackie wyzwanie. Pochyliła się, oparła dłonie o uda i próbowała uspokoić oddech.

Wyprostowała się powoli, patrząc na otaczającą ją ziemię. Słońce zachodzące na drugim krańcu rzeki rzucało różowe refleksy na pokryte białymi czapami góry otaczające dolinę z obu stron. W górze rzeki splecione wierzby, żwirowe mierzaje, świerkowe lasy i niskie topole przybrały odcień metalicznego granatu. Żadnych pól ani płotów, domów czy dróg; żadnej żywej duszy w zasięgu jej wzroku. Tylko dzicz.

Mabel zdawała sobie sprawę z piękna tego widoku, ale to właśnie piękno sprawia, że jeśli kiedykolwiek żyłeś naprawdę, to możesz się poczuć, jakby ktoś rozdarł cię od środka i wyszorował do czysta, a potem porzucił bezbronny i odsłonięty przed całym światem. Odwróciła się plecami do rzeki i poszła do domu.

W kuchennym oknie wciąż migotało światło pozostawionej przez nią lampki, a kiedy weszła do środka, powitały ją ciepło i roztańczony płomyk. W jego złotym świetle wszystko wyglądało inaczej. Nie spodziewała się, że jeszcze kiedyś tu powróci.

Miała wrażenie, że wyszła z domu przed wieloma godzinami, ale tak naprawdę dochodziła dopiero osiemnasta, a Jack jeszcze nie wrócił. Zdjęła płaszcz i podeszła do pieca, pozwalając, aby jego ciepło wywołało ból w zmarzniętych stopach i dłoniach. Kiedy wreszcie udało jej się rozprostować i zgiąć palce, zabrała się do wyciągania garnków i patelni, wciąż zaskoczona tym, że zajmuje się tak prozaicznymi czynnościami. Dorzuciła dREW do pieca, ugotowała kolację, a potem usiadła z wyprostowanymi plecami przy zgrubsza oheblowanym kuchennym stole i złożyła ręce na podolku. Kilka minut później Jack stanął w drzwiach, otrzepał buty i zdjął źdźbło słomy ze swojego wełnianego płaszcza.

Czekała, nie spuszczać go z oczu, pewna, że jakoś się domyśli, co jej się przydarzyło. Oplukał dłonie nad zlewem, usiadł naprzeciw niej przy stole i opuścił głowę.

– Pobłogosław to jedzenie, Panie – wymamrotał. – Amen.

Nalozyla na każdy talerz po jednym ziemniaku, dodała ugotowaną marchewkę i czerwoną fasolę. Żadne z nich się nie odzywało, słycać było tylko skrobanie sztućców. Mabel nie potrafiła się zmusić do jedzenia. Słowa, które cisnęły się jej na usta, były ciężkie niczym granitowe gazy, a kiedy się wreszcie odezwała, okazały się na tyle przytłaczające, że nie udało jej się powiedzieć niczego więcej.

– Poszłam dziś nad rzekę.

Wciąż wpatrywał się w talerz. Czekala, czy zapyta, po co to zrobiła. Moze wtedy mogłaby mu o wszystkim powiedzieć.

Jack nabił na widelec kawałek marchewki i nabrał kromką chleba odrobinę fasoli. Zachowywał się tak, jakby niczego nie usłyszał.

– Zamarzła aż do klifu – dodała głosem niewiele mocniejszym od szeptu. Spuściła oczy i oczekiwała odpowiedzi, ale usłyszała jedynie odgłosy przeżuwania i chrobotanie widelca o talerz.

Spojrzała na jego osmagane przez wiatr dłonie i postrzępione mankiety, a potem na zmarszczki w kąciakach wpatrzonych w talerz oczu. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni dotknęła jego skóry, i poczuła w piersi nagle ukłucie samotności. Dostrzegła kilka siwych włosów w jego rudawej brodzie. Kiedy się tam pojawiły? Ona zresztą też już zaczynała siwieć. Oboje powoli znikali, choć nie zauważali tego u siebie nawzajem.

Mechanicznie przesuwiała jedzenie widelcem po talerzu, spoglądając na promienie światła padającego z lampy wiszącej pod sufitem. Płakała. Przez chwilę pozwoliła łzom płynąć po policzkach, aż wreszcie poczuła je w kącikach ust. Jack wciąż koncentrował się na jedzeniu. Wstała i odstawiła talerz na niewielką kuchenną ladę. Odwrócona plecami do męża, otarła twarz rąbkiem fartucha.

– Lód jeszcze jest niepewny – stwierdził Jack. – Lepiej trzymaj się od niego z daleka.

Mabel przełknęła ślinę i odkaszlnęła.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała.

Znalazła sobie jakieś zajęcie przy ladzie i czekała, aż obeschną jej oczy, a potem wróciła do stołu i dołożyła Jackowi marchewek.

– Co z polem? – zapytała.

– Już je widać. – Zjadł kawałek ziemniaka i otarł usta wierzchem dłoni. – W ciągu paru dni wytnę i wywozę resztę drzew. A potem wezmę się do wypalania pniaków.

– Chcesz, żebym ci pomogła? Mogę pilnować ognia.

– Nie. Dam sobie radę.

\*

Tej nocy wyczuwała jego obecność wszystkimi zmysłami: zapach słomy oraz świerku w brodzie i włosach, ciężar jego ciała na skrzypiącym łóżku, odgłos zmęczonego, powolnego oddechu. Leżał na boku, odwrócony do niej tyłem. Sięgnęła przed siebie, chcąc pogłodzić go po ramieniu, dała sobie jednak spokój i opuściła rękę, po czym wbiła wzrok w jego plecy.

– Myślisz, że przetrwamy tę zimę? – zapytała.

Nie odpowiedział. Pewnie zasnął. Odwróciła się na drugi bok i popatrzyła na drewnianą ścianę.

– Chyba nie mamy większego wyboru, prawda?

Nie wiedziała, czy chryпка w jego głosie była spowodowana zmęczeniem, czy nadmiarem emocji.

## ROZDZIAŁ 2

Poranek okazał się tak zimny, że po wyjściu przed dom i założeniu uprzęży na konia skórzane buty Jacka całkowicie zeszywniały, a on sam miał problem z ruszaniem palcami. Od strony rzeki wciąż zawiewał północny wiatr. Jack najchętniej zostałby w domu, ale zdążył już zapakować owinięte ręcznikami ciasta Mabel, żeby zawieźć je do miasteczka. Próbował się rozgrzać, poklepując się po ramionach i przestępując z nogi na nogę. W taki mróz nawet kalessony założone pod dzinsy wydawały się równie przydatne jak cienka bawełniana szmatka. Oddalenie się od pieca i zmierzenie się z tym nie było łatwe. Po drugiej stronie rzeki nieśmiało wstawało słońce, ale jego słabe srebrzyste światło nie przynosiło żadnej pociechy. Siedząc samotnie przy stole, zaczął się zastanawiać, czy izolacja, na jaką się zdecydowali, nie była jednak błędem. Mabel nie miała tu żadnej kobiety, do której mogłaby się odezwać, więc żona George'a mogła się okazać prawdziwym darem niebios, zwłaszcza jeśli zdecydowałby się na wyjazd do kopalni i pozostawienie Mabel. Ona pewnie twierdziłaby inaczej. Czy nie przyjechali tutaj po to, żeby rozpocząć nowe życie tylko we dwójkę? Nieraz mu powtarzała, że potrzebuje ciszy i spokoju. Od czasu utraty tamtego dziecka zamknęła się w sobie i jakby skurczyła. Mówiła, że nie jest w stanie wysiedzieć na rodzinnych spotkaniach, słuchać tych wszystkich plotek i głupawych rozmów. Ale Jack wiedział, że kiedyś wyglądało to inaczej. Pamiętał uśmiechnięte ciężarne kobiety gładzące się po brzuchach i kwilące niemowlęta przekazywane z rąk do rąk przez krewnych. Przypomniawszy sobie dziewczynkę, która wczepiła się w suknię Mabel i myląc ją z inną kobietą, powiedziała do niej „mamo”, a także wyraz twarzy swojej żony, wyglądającej tak, jakby została uderzona. Pamiętał, że ją wtedy zawiódł – wrócił do rozmowy z innymi mężczyznami, udając, że niczego nie zauważył. Najstarszy syn Bensonów miał się niedługo żenić, więc po ich domu wkrótce zacznie raczkować niemowlę. Jack pomyślał o delikatnym, smutnym uśmiechu Mabel i przymrużonych oczach wyglądających jakby miała się rozplakać, choć nigdy tego nie robiła. Skinął głową, zegnając się z Betty, zabrał opróżnioną skrzynię i wrócił do swojego wozu. Jack wspiał się na wóz i szarpnął za lejce. Nie obejrzał się za siebie, ale wyczuwał, jak dom powoli znika za świerkami.

Kiedy mijali pole, koń potknął się o własne nogi i zarzucił głowę. Jack zatrzymał wóz i spojrzął na otoczone drzewami wykarczowane miejsce, niczego jednak nie zauważył.

Cholerny koń. Chciał jakieś łagodne i silne zwierzę pociągowe, ale konie były tutaj rzadsze niż kurze zęby, więc nie miał większego wyboru – mógł się zdecydować na starą klacz z wklęsłym grzbietem, która zdawała się trzymać ostatkiem sił, lub na tego ledwie ułożonego młodzika, który o wiele lepiej czułby się na arenie niż przy ciężkiej pracy. Jack obawiał się, że zwierzak nie wytrzyma tej roboty.

Kilka dni wcześniej, gdy ściągał powalone pnie z pola, koń wystraszył się gałęzi i przewrócił Jacka na ziemię. Rozpędzone zwierzę powlokło za sobą pień, który omal nie zmiażdżył Jackowi głowy. Do teraz piekła go skóra na poobdzieranych rękach i goleniach, a każdego ranka skarżył się na ból pleców.

W tym właśnie leżało sedno problemu. Nie w narowistym koniu, tylko w zmęczonym starym człowieku. Prawda skręcała mu żołądek niczym wyrzut sumienia. Wziął na siebie zbyt wiele pracy. Nie robił żadnych postępów, choć każdego dnia wyczerpywał wszystkie siły. Mimo długiego lata i bezśnieżnej jesieni, nie udało mu się wykarczować odpowiedniej ilości ziemi, by mogli się z niej wyżywić. Za żalną ilość ziemniaków zebranych z jednego z mniejszych pól udało im się kupić niewiele więcej poza zapasem mąki na zimę. Domyślał się, że sprzedanie udziałów w farmie na wschodzie pozwoli im przetrwać tutaj kolejny rok, ale tylko wtedy, jeśli Mabel nadal będzie sprzedawała ciasta.

To również nie było właściwe. Mabel spędzająca całe dni na szorowaniu podłóg i pieczeniu ciast na sprzedaż. Jej życie mogło wyglądać zupełnie inaczej. Uprzywilejowana córka profesora literatury mogła spędzać czas w świecie książek i sztuki, a popołudniami bawić się w towarzystwie przyjaciółek, popijając herbatę z porcelanowych filiżanek podawanych przez służących i podjadając herbatniczki, upieczone przez kogoś innego.

Kiedy zbliżyli się do drugiego krańca na wpół wykarczowanego pola, koń ponownie wierzgnął, zarzucił głowę i parsknął. Jack pociągnął za lejce i spojrzął spod przymrużonych powiek na powalone pnie oraz strzeliste brzozy, świerki i topole. W lesie było zupełnie cicho, nawet ptaki przestały świergotać. Koń pogrzebał kopytem w stwardniałej ziemi i stanął nieruchomo. Jack wstrzymał oddech i zaczął nasłuchiwać.

Coś go obserwowało.

Ta myśl nie miała większego sensu. Kto mógłby się tutaj kręcić? Po raz kolejny musiał się zastanowić, czy wzrok dzikich zwierząt może wywoływać takie uczucie? Głupawe stworzenia pokroju krów czy kur mogłyby się gapić na niego całymi dniami, a na pewno nie poczułyby tego dziwnego łaskotania po karku. Może leśne zwierzęta są inne. Próbował sobie wyobrazić niedźwiedzia, który krąży po lesie, nie odrywając wzroku od niego i od jego konia. Ze względu na nadciągającą zimę nie było to zbyt prawdopodobne. Niedźwiedzie powinny już szukać legowisk.

Jego oczy wciąż przesuwają się od ściętych pni do cieni pomiędzy drzewami. Powtarzał sobie, że musi przestać, jeśli nie chce oszaleć od wypatrywania nieistniejących zagrożeń.

Sięgnął po lejce, ale kiedy jeszcze raz spojrzął przez ramię, dostrzegł gwałtowny ruch, rozpędzoną rdzawą smugę. Powoli odwrócił się w tamtą stronę.

Pomiędzy powalonymi drzewami pędził rudy lis. Zniknął mu z oczu na jakąś minutę, by pojawić się bliżej lasu, z puchatym ogonem wlokącym się blisko ziemi. Zwierzę przystanęło i popatrzyło na Jacka. Spojrzeli sobie prosto w oczy. W zwężonych złotych źrenicach lisa odbijała się cała bezwzględność tego miejsca, tak jakby sama dzicz przyglądała się Jackowi.

Odwrócił się z powrotem na koźle i potrząsnął lejcami, pozwalając koniowi kłusować, obaj chcieli się bowiem jak najszybciej oddalić od lisa. Przez kolejną godzinę jechał zgarbiony, przemierzając w chłodzie kolejne kilometry nierównej drogi prowadzącej przez nietknięty las. Gdy zbliżyli się do miasteczka, koń przyspieszył kroku, a Jack złapał za lejce, by go nieco przyhamować, żeby nie rozsypać ładunku.

\*

Tam, skąd pochodzili, nikt nie nazwałby Alpine miasteczkiem. Osadę tworzyło zaledwie kilka zakurzonych budynków z byle jakimi fasadami, przycupniętych pomiędzy torami kolejowymi a rzeką. Pobliski teren został wykarczowany, ale mieszkańcy porzucili tę robotę – niektórzy zaczęli szukać złota, inni znaleźli zatrudnienie na kolei, większość zaś podwinęła pod siebie ogony i uciekła, nie mając zamiaru wracać na Alaskę.

Jack zabrał skrzynię z ciastami do hotelowej restauracji, gdzie w otwartych drzwiach czekała już na niego żona właściciela. Betty, będąca dobrze po

sześćdziesiątce, nosiła ścięte po męsku, krótkie włosy i prowadziła cały interes. Roy, jej mąż, pracował dla lokalnych władz i rzadko bywał w domu.

– Dzień dobry, Betty – przywitał się Jack.

– Z tego co widzę, to raczej paskudny – odparła i zamknęła za nim drzwi. – Piekielny ziąb i żadnego śniegu. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałam. Przywiozłeś ciasta?

– Tak jest. – Postawił skrzynię na ladzie i zaczął odwijać wypieki z ręczników.

– Ta kobieta naprawdę ma do tego rękę – pochwaliła Betty. – Wszyscy pytają o jej ciasta.

– Miło mi to słyszeć.

Restauratorka odliczyła kilka banknotów ze zwitka i położyła je obok skrzyni.

– Obawiam się, Jack, że od dzisiaj nie będziemy potrzebowali waszych dostaw – poinformowała. – Wiem, że stracę z tego powodu kilku klientów, ale zamieszkała z nami moja siostra i Roy stwierdził, że może zarobić na swoje utrzymanie, piekąc ciasta.

Zgarnął pieniądze i wsunął je do kieszeni, tak jakby nie usłyszał, co mówiła. W końcu jednak do niego dotarło.

– Jesteś pewna? Nie chcecie więcej ciast?

– Przykro mi, Jack. Wiem, że to fatalna informacja, zwłaszcza przed zimą... – Zamilkła, nie próbując ukrywać zakłopotania.

– Możemy obniżyć cenę – zaproponował. – Naprawdę przyda nam się każdy grosz.

– Przykro mi – powtórzyła. – Poczęstujesz się może kawą albo jakimś śniadaniem?

– Chętnie napiję się kawy. – Zajął miejsce przy stoliku pod oknem, z którego rozciągał się widok na rzekę.

– Na koszt firmy. – Postawiła przed nim parujący kubek.

Chociaż zawsze wracał do domu zaraz po zakończeniu sprzedaży, tym razem zwlekał z powrotem. Jak miał o tym powiedzieć Mabel? Czy będą się musieli spakować i wrócić z podkulonymi ogonami do domu? Porzucić to miejsce, tak jak wielu przed nimi? Dosypał cukru do kawy, zamieszał i spojrział przez okno. Brzegiem rzeki maszerował jakiś mężczyzna w podniszczonych skórzanych butach, wyglądający jakby dopiero co wrócił z górskiego obozowiska. Do plecaka miał przytroczony zwinięty materac, w ręku niósł myśliwską strzelbę i towarzyszył mu zmierzwiony husky prowadzony na kawałku sznurka. Widoczne



w oddali szczyty gór niknęły w mlecznobiałej mgle. W górach zaczął padać śnieg, więc już wkrótce mogli się go spodziewać również w dolinie.

– A wiesz, że szukają ludzi do pomocy w kopalni? – zapytała Betty, stawiając przed nim talerz z jajkami na bekonie. – Pewnie nie chciałbyś tego robić do końca życia, ale może pomogłoby ci przetrwać trudne czasy.

– Ta kopalnia na północy?

– Taa. Nie najgorzej płacą i będą działać tak długo, dopóki tory są przejezdne. Dają jedzenie i dach nad głową, a po powrocie do domu będziesz miał trochę oszczędności. Zastanów się nad tym.

– Dzięki. I za to też. – Wskazał na talerz.

– Nie ma sprawy.

Górnictwo. Przekłeta robota. Rolnicy rodzili się po to, by pracować na powietrzu, w świetle, a nie kopać podziemne tunele. Widywał w swoich stronach mężczyzn wracających z kopalń – kaszlących krwią, z twarzami umorusanymi węglowym pyłem. Nawet jeśli miałby tyle siły i woli, musiałby na całe tygodnie rozstać się z Mabel i domem.

Tak naprawdę potrzebowali gotówki. Tyle, żeby wystarczyło na miesiąc lub dwa i pozwoliło przetrwać do następnych zbiorów. Wiedział, że jest w stanie wytrzymać nawet te dwa miesiące. Zjadł ostatni kawałek bekonu i zebrał się do wyjścia, gdy w drzwiach restauracji pojawił się George Benson.

– Betty, Betty, Betty! – zawołał od progu. – Co masz dziś dla mnie dobrego? Przyszły może już te ciasta?

– I to prosto z pieca, George – odpowiedziała Betty. – Usiądź, ukroję ci kawałek.

Mężczyzna podszedł w stronę stołów i zauważył Jacka.

– Witam sąsiada! Muszę ci powiedzieć, że twoja żona piecze wyborne ciasta. – Przewiesił płaszcz przez oparcie krzesła i poklepał się dłonią po zaokrąglonym brzuchu. – Mogę się dosiąść?

– Proszę bardzo.

George mieszkał jakieś piętnaście kilometrów stąd, po drugiej stronie miasteczka, wraz z żoną i trójką synów. Jack spotkał go kilka razy w sklepie i tutaj, w restauracji. Wydawał się sympatyczny i zawsze przyjacielsko z nim rozmawiał. Obaj byli w zbliżonym wieku.

– I jak ci się tam powodzi? – zagaił George, siadając za stołem.

– Jakoś idzie.

– Masz tam kogo do pomocy?

– Nie. Sam wszystko robię. Wykarczowałem dwa pola, ale dobrze wiesz, że ta robota nigdy się nie kończy.

– Moglibyśmy wpaść z chłopakami od czasu do czasu i ci pomóc. Weźmiemy nasze konie, a ty nam się kiedyś jakoś odwdzięczysz.

– To bardzo szczodra oferta.

– My pomożemy ci skończyć robotę – ciągnął George – a twoja żona mogłaby wpaść do Esther na pogaduchy o pieczeniu ciast, czy o czym one tam ze sobą gadają. Esther ma już dosyć przebywania wśród samych facetów, na pewno się ucieszy, mogąc was gościć.

Jack nie odpowiedział na tę propozycję.

– A wasze dzieciaki podorastały i powyjeżdżały? – zmienił temat George.

Tego się nie spodziewał. Przecież ani on, ani Mabel nie byli chyba jeszcze tacy starzy, żeby mieć dzieci, które już dorobiły się własnych rodzin. Zastanawiał się, czy było po nim widać, że czuje się tak, jakby ktoś nadepnął mu na odcisk.

– Nie – odpowiedział. – Nigdy nie mieliśmy dzieci.

– Jak to? Naprawdę nigdy?

– Nie. – Spojrzał uważnie na George'a. Mówienie, że nie ma się dzieci, brzmiało, jakby to był świadomy, niezrozumiały dla wielu wybór. Gdyby powiedział, że nie mogą mieć dzieci, sytuacja stałaby się niezręczna, a rozmówca zacząłby rozmyślać nad jego męskością lub zdrowiem jego żony. Czekał w milczeniu na odpowiedź, przelękając ślinę.

– Jest to jakiś sposób, w sumie. – George zaśmiał się i potrząsnął głową. – Założę się, że dzięki temu jest na pewno o wiele ciszej. Przez takich chłopaków jak ci moi mógłbym czasem popaść w pijaństwo. Wciąż jakieś awantury, całe ranki gniją w łózkach, jakby chorowali na ospę, a zapędzenie najmłodszego do jakiejś uczciwej roboty jest równie łatwe jak zapasy ze świnią.

Jack rozluźnił się i roześmiał, po czym upił kolejny łyk kawy.

– Miałem takiego brata – przyznał. – Już lepiej było pozwolić mu dalej spać.

– Taa. Tak to już z niektórymi bywa, przynajmniej do czasu, kiedy nie pójda na swoje i nie zobaczą, jak to jest.

Betty postawiła przed George'em kubek i talerzyk z kawałkiem ciasta.

– Właśnie mówiłam Jackowi, że szukasz kogoś do roboty w kopalni – powiedziała, nalewając gorącą kawę. – To by im pomogło przetrwać zimę.

George zmarszczył czoło i uniósł brew, ale nie odezwał się ani słowem, dopóki kobieta nie wróciła do kuchni.

– Nie jesteś tym zainteresowany, prawda? – zapytał.

– Zastanawiam się.

– Jezu... Postradałeś rozum? Żaden z nas nie jest już młodzieniaszkiem, to robota dla młodych, silnych chłopaków, o ile w ogóle dla kogoś.

Jack skinął głową, czuł się coraz bardziej niezręcznie.

– Wiem, że to nie moja sprawa, ale wyglądasz na porządnego faceta – ciągnął George. – A wiesz, dlaczego oni szukają ludzi?

– Nie.

– Parę lat temu wybuchło u nich kilka pożarów i od tego czasu mają problemy z załogą.

Czternaście ofiar. Niektóre ciała spalone tak mocno, że nie dało się ich rozpoznać. Sześciu do dziś nie znaleźli. Zrozum, Jack, ta robota naprawdę nie jest tego warta.

– Rozumiem, ale jestem przyparty do muru. Nie wiem, jak z tego wybrnąć.

– Musisz przetrwać do następnych zbiorów? Masz pieniądze, żeby zrobić obsiew na wiosnę?

– O ile do tego czasu zrezygnujemy z jedzenia. – Uśmiechnął się krzywo Jack.

– Ale masz zapasy marchwi i ziemniaków, prawda?

– Pewnie.

– Upolowałeś już łosia?

Jack pokręcił głową.

– Słaby ze mnie myśliwy.

– A widzisz, to powinno wystarczyć. Rozwiesz mięso w stodole do wysuszenia i będziecie z żoną ustawieni aż do wiosny. Może nie są to ciastka i kawior, ale nie zginiecie z głodu.

Jack zapatrzył się w głąb pustego kubka.

– Wielu z nas tak robi – pocieszył go George. – Pierwsze lata zawsze są raczej chude.

Mięso łosia i ziemniaki zaczną ci wychodzić bokiem, ale dzięki nim przetrwasz.

– Racja.

To przypieczętowało ich rozmowę. George w kilku szybkich kęsach dokończył resztę ciasta, otarł usta chusteczką i wstał od stołu, wyciągając rękę na pożegnanie.

– Będę się zbierał, zanim Esther oskarży mnie o przebimbanie całego dnia. – Uścisk jego dłoni był mocny i przyjazny. – Pamiętaj, co ci powiedziałem. I

naprawdę chętnie ci pomogę w wykarczowaniu tych pól. Robota w towarzystwie zawsze idzie szybciej.

– Bardzo to doceniam. – Jack skinął głową na pożegnanie.

\*

Siedząc samotnie przy stole, zaczął się zastanawiać, czy izolacja, na jaką się zdecydowali, nie była jednak błędem. Mabel nie miała tu żadnej kobiety, do której mogłaby się odezwać, więc żona George'a mogła się okazać prawdziwym darem niebios, zwłaszcza jeśli zdecydowałby się na wyjazd do kopalni i pozostawienie Mabel.

Ona pewnie twierdziłaby inaczej. Czy nie przyjechali tutaj po to, żeby rozpocząć nowe życie tylko we dwójkę? Nieraz mu powtarzała, że potrzebuje ciszy i spokoju. Od czasu utraty tamtego dziecka zamknęła się w sobie i jakby skurczyła. Mówiła, że nie jest w stanie wysiedzieć na rodzinnych spotkaniach, słuchać tych wszystkich plotek i głupawych rozmów. Ale Jack wiedział, że kiedyś wyglądało to inaczej. Pamiętał uśmiechnięte ciężarne kobiety gładzące się po brzuchach i kwilące niemowlęta przekazywane z rąk do rąk przez krewnych. Przypomniawszy sobie dziewczynkę, która wczepiła się w suknię Mabel i myśląc ją z inną kobietą, powiedziała do niej „mamo”, a także wyraz twarzy swojej żony, wyglądającej tak, jakby została uderzona. Pamiętał, że ją wtedy zawiódł – wrócił do rozmowy z innymi mężczyznami, udając, że niczego nie zauważył.

Najstarszy syn Bensonów miał się niedługo żenić, więc po ich domu wkrótce zacznie raczkować niemowlę. Jack pomyślał o delikatnym, smutnym uśmiechu Mabel i przymrużonych oczach wyglądających jakby miała się rozpłakać, choć nigdy tego nie robiła.

Skinął głową, zegnając się z Betty, zabrał opróżnioną skrzynię i wrócił do swojego wozu.

### ROZDZIAŁ 3

Ołowiane niebo zdawało się wstrzymywać oddech. Choć grudzień był coraz bliżej, śnieg wciąż omijał dolinę. W ciągu kilku dni temperatura spadła poniżej minus trzydziestu stopni. Kiedy Mabel wyszła nakarmić kurczęta, na zewnątrz panował siarczysty mróz. Przenikał przez skórę, wywołując ból w biodrach i kostkach palców. Spojrzała na kilka śniegowych płatków wirujących w powietrzu, ale nadal nie zanosilo się na śnieżyce, a wiatr ciągnący od rzeki natychmiast je porywał i zwiewał w niewielkie przybrudzone zaspy. Trudno było stwierdzić, gdzie leży śnieg, a gdzie zaczyna się lodowa powłoka pokrywająca każdy centymetr smaganego wiatrem brzegu rzeki.

Jack mówił, że ludzie w miasteczku cieszyli się z bezśnieżnej zimy – tory wciąż były przejezdne i kopalnia pracowała pełną parą. Byli też jednak tacy, którzy obawiali się, że tak tęgie mrozy oznaczają późną wiosnę i opóźnione zasiewy.

Dni robiły się coraz krótsze. Przytłumione, słabe światło słońca docierało tutaj przez jakieś sześć godzin. Mabel podzieliła czas na rutynowe odcinki – mycie, sprzątanie, gotowanie, mycie, sprzątanie, gotowanie – i próbowała nie myśleć o żółtym liściu dryfującym pod lodem.

Dzień pieczenia ciast był dla niej niewielką nagrodą, czymś, czego wyczekiwała. Wstała wcześniej i zabrała się do przygotowywania mąki oraz smalca, kiedy poczuła na ramieniu dłoń Jacka.

– Nie musisz – powiedział.

– Dlaczego?

– Betty powiedziała, że nie potrzebuje ciasta.

– W tym tygodniu?

– W ogóle. Jej siostra zajęła się wypiekami.

– Och. – Mabel odłożyła mąkę na półkę, zaskoczona ogromem własnego rozczarowania.

Pieniądze z wypieków były jej jedynym wkładem do domowego budżetu i czerpała z tego odrobinę dumy.

– Wystarczy nam bez tego pieniędzy? – zapytała.

– Coś wymyślę. Nie musisz się o to martwić.

Przypomniała sobie, że kiedy nocą obudziła się w pustym łóżku, Jack siedział przy kuchennym stole i przeglądał jakieś papiery w świetle słabej lampki. Wróciła do łóżka, nie zastanawiając się nad tym, ale tego ranka wydawał się stary i zmęczony. Garbił się, a wstając z łóżka, trzymał się z jękiem za krzyż. Kiedy zapytała, czy wszystko w porządku, wymamrotał coś o koniu i powiedział, że nic mu nie jest. Już miała go ofuknąć, ale zbył ją gestem dłoni. „Daj spokój” – powiedział. „Daj temu spokój”.

Przyniosła mu na śniadanie resztę herbatników i jajko na twardo.

– George Benson wpadnie później z chłopakami, pomogą mi wywieźć pnie – poinformował Mabel, obierając jajko ze skorupki i ignorując jej spojrzenie.

– George Benson? – zapytała. – Kimże jest George Benson?

– Hm? Co?

– Nigdy go nie poznałam.

– Kiedyś ci już o nim wspominałem. – Ugryzł kawałek jajka i mówił dalej z pełnymi ustami:

– Mieszkają z Esther niedaleko od miasteczka, przy rzece.

– Nie. Nic o nich nie wiem.

– Przyjadą za parę godzin. Nie musisz się martwić obiadem – będziemy wtedy pracować.

Ale na kolację przydadzą się trzy dodatkowe nakrycia.

– Myślałam, że... Przecież umawialiśmy się... Po co oni tu przyjeżdżają?

Jack milczał przez chwilę, potem wstał od stołu i podniósł swoje skórzane buty stojące przy drzwiach. Wrócił na krzesło i zaczął szybkimi ruchami zawiązywać sznurówki.

– Co mam ci na to odpowiedzieć, Mabel? Potrzebuję pomocy. – Wciąż nie podnosił głowy, zajęty ubieraniem butów. – Nic więcej.

Sięgnął po płaszcz wiszący na haczyku i wyszedł, zapinając po drodze guziki, tak jakby nie mógł się doczekać chwili, gdy będzie na zewnątrz.

\*

Jakąś godzinę później pojawił się George Benson w towarzystwie dwóch synów. Starszy wyglądał na jakieś osiemnaście, dwadzieścia lat, młodszy miał nie więcej niż trzynaście, czternaście.

Mabel przyglądała się przez okno, jak Jack wychodzi im na spotkanie w pobliżu stodoły.

Witał ich z szerokim uśmiechem i kiwając głową, każdemu uściśnął dłoń. Mężczyźni zabrali narzędzia i ruszyli w stronę pola, prowadząc za sobą konie pociągowe należące do Bensonów. Nawet nie zajrzeli do chaty. Na próżno czekała, aż Jack odwróci się w stronę okna, żeby jej pomachać, jak to czasem robił o poranku.

Z nadejściem wieczoru zabrała się do przyrządzania kolacji. Postanowiła, że okaże im wdzięczność, ale jednocześnie powstrzyma się od nadmiernego spoufalania. Nie chciała ich zachęcać.

Jack faktycznie tym razem mógł potrzebować pomocy, ale sąsiedzi i przyjaciele nie byli im do niczego potrzebni. W końcu z tego powodu tu przyjechali. Równie dobrze mogliby zostać w domu, gdzie towarzystwa wystarczyło dla wszystkich. Czy Jack nie rozumiał, że przybyli tutaj, aby znaleźć ukojenie w samotności?

Po powrocie z pracy mężczyźni kompletnie nie zwracali na nią uwagi. Nie byli nieuprzejmi – George i jego synowie podziękowali za jedzenie i mówili do niej „proszę pani”, prosząc o podanie ziemniaków – ale tak naprawdę wcale jej nie zauważali. Rozmawiali tubalnymi głosami o koniach, pogodzie i zbiorach. Żartowali na temat psujących się narzędzi i pomysłu „osiedlenia się” w tym zapomnianym przez Boga miejscu. George klepał się z uciechy po kolanach i przeproszał za swój niewyparzony język, Jack zaśmiewał się radośnie, a obaj synowie Bena nie przestawali jeść. Mabel wciąż tkwiła przy kuchennej ladzie, usunąwszy się poza krąg światła rzucanego przez lampę naftową.

Ona i Jack mieli przecież być partnerami. Mieli rozpocząć nowe wspólne życie. A teraz on śmieje się w towarzystwie kogoś obcego, choć do niej nie uśmiechnął się od lat.

\*

Po kolacji George zmusił swoich zmęczonych synów do ruszenia się od stołu, twierdząc, że czas wracać do domu.

– Wasza matka będzie się zastanawiać, gdzie, do diabła, nas wzięło – stwierdził, a potem skinął głową w stronę Mabel. – Serdecznie dziękuję za wyśmienity posiłek. Mówiłem już Jackowi, że powinniście nas kiedyś odwiedzić. Esther na pewno by się ucieszyła, mogąc panią poznać.

Większość tutejszych osadników to ponurzy starzy kawalerowie. Przydałoby jej się jakieś kobiece towarzystwo.

Powinna im podziękować za pomoc i obiecać, że wkrótce odwiedzi jego żonę, ale nie odezwała się ani słowem. Wiedziała, że w ich oczach musi wyglądać na drażliwą paniusią ze wschodu, i wcale jej się to nie podobało.

Kiedy opuścili ich dom, podgrzała wodę i zabrała się do zmywania po posiłku, czerpiąc odrobinę złośliwej satysfakcji z robienia hałasu, jednak jej gniew szybko minął, gdy zobaczyła, że wyczerpany Jack zasnął na krześle obok pieca. Została sama ze swoją bezsensowną krzątaniem i pobrzękującymi naczyniami.

Ośloniła dłonie rąbkiem fartucha i złapała ciężką misę z mydlinami, po czym odsunęła łokciem rygiel w drzwiach i wyszła na zewnątrz. Pokonała zagracone podwórze, kierując się do niewielkiego strumienia, gdzie wylała zawartość miski. Wokół niej uniosły się kłęby pary, która rozwiała się błyskawicznie. Nad jej głową metalicznie błyszcząły odległe gwiazdy – miała wrażenie, że nocne niebo emanuje okrucieństwem. Zimne powietrze wypełniało jej nozdrza i mroziło skórę. W okolicach chaty panowała cisza, słyszała jednak wiatr szalejący nad rzeką.

\*

Minęło kilka dni, zanim Jack ponownie wspomniął o Bensonach – zrobił to znów w taki sposób, jakby rozmawiali o tym od dawna.

– George powiedział, że powinniśmy ich odwiedzić około południa w Święto Dziękczynienia.

Obiecałem, że upieczesz jedno ze swoich ciast. Bardzo się za nimi stęsknił.

Mabel nie protestowała i powstrzymała się od pytań. Zastanawiała się, czy Jack wie, że w ogóle go usłyszała.

Szperając w pudełku z przepisami w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego, wróciła myślą do świąt w dolinie rzeki Allegheny, gdzie na uroczystości zbierali się wszyscy wujowie, kuzynowie, dziadkowie, wnukowie, przyjaciele i sąsiedzi Jacka. Takie dni były dla niej najgorsze. Od dziecka źle się czuła wśród ludzi, ale z wiekiem coraz gorzej znosiła pogaduszki i wścibstwo.

Podczas gdy mężczyźni udawali się na rozmowy do sadu, ona tkwiła wśród kobiet rozprawiających jedynie o narodzinach lub śmierci. Nie potrafiła swobodnie rozmawiać o tych rzeczach, wyczuwała również, że pod tą całą paplaniną kryje się niewypowiedziane oskarżenie o to, że zawiodła; słyszała je w



ściszonych głosach, gdy wchodziła do pokoju. Być może, twierdziły szeptem, Jack powinien był sobie znaleźć bardziej krzepką kobietę, taką, która nie bała się ciężkiej roboty i miała biodra zdolne rodzić dzieci. Te wszystkie damulki mogą konwersować o polityce i sztuce, ale czy któraś z nich jest zdolna powić niemowlę? Nie widzieliście, jak zadziera nosa? Wyprostowana niczym patyk i taka, och, wydelikaccona. Zbyt dumna, żeby zaopiekować się sierotą.

Mabel zwykle znajdowała jakąś wymówkę, żeby wyjść i zaczerpnąć świeżego powietrza, ale zazwyczaj sprowadzało to natychmiast jakąś wścibską ciotkę lub pomocną bratową, które zaczynały jej doradzać, żeby była bardziej przyjazna i otwarta, jeśli chce, by rodzina Jacka ją polubiła.

Z Bensonami może być tak samo. Mogą ją uznać za jałową, nieprzystępną, ciężar w życiu Jacka albo dojdą do wniosku, że jest zbyt słaba, żeby przetrwać na Alasce. W jej sercu budziło się rozżalenie. Chciała mu powiedzieć, że źle się czuje i nigdzie nie pojedzie. Mimo to wstała wcześniej, dużo wcześniej niż on, dorzuciła drew do ognia i zaczęła wałkować ciasto. Zdecydowała się na placek orzechowy według matczynego przepisu i szarlotkę, nie wiedziała tylko, czy dwa ciasta wystarczą. Widziała przecież, ile byli w stanie zjeść ci chłopcy połykający jedzenie wielkimi kęsami i wylizujący talerze do czysta. Może powinna upiec trzy? A co, jeśli ciasto się przypiecze albo któreś z nich nie przepada za orzechami lub jabłkami? Nie interesowało jej, co lubią Bensonowie, ale wypieki były jej wizytówką. Mogła być wyniosła i niewdzięczna, nikt jednak nie odmówi jej talentu do pieczenia.

Po wstawieniu ciast do piekarnika wyjęła grubą bawełnianą suknię – miała nadzieję, że będzie odpowiednia na taką okazję. Podgrzała żelazko na palenisku pieca. Zależało jej na schludnym wyglądzie, ale nie chciała wyglądać jak jakaś modnisią z innego świata. Kiedy wszystko było gotowe, pozbierała wełniane koce i szale i przygotowała się na długą jazdę na otwartym wozie.

Jack nakarmił i напоił zwierzęta, a potem zaprzął konia do wozu. Mabel usiadła obok niego na koźle, na kolanach trzymała wciąż ciepłe ciasta owinięte w ręczniki. Poczula nagły i niespodziewany przypływ ekscytacji. Niezależnie od tego, jak będzie wyglądało spotkanie z Bensonami, dobrze było opuścić tę chatę. Od wielu tygodni nie ruszała się stąd ani na krok.

Jack również zdawał się tryskać energią. Zacmokał na konia, a kiedy przejeżdżali przez należącą do nich ziemię, pokazał jej świeżo wykarczowane miejsce i opowiedział o swoich pomysłach na wiosnę. Mówił też o przestraszonym koniu i rudym lisie.

Mabel wzięła go pod ramię.

– Udało ci się wykonać mnóstwo roboty – pochwaliła.

– Nie dałbym rady bez pomocy Bensaona i jego koni. Ten zwierzak nie może się z nimi równać. – Potrząsnął delikatnie lejcami.

– Spotkałeś już kiedyś panią Benson?

– Nie. Tylko George'a i jego synów. Benson pracował w młodości w kopalni złota, ale potem poznał Esther i zdecydował się na założenie rodziny. – Jack odchrząknął i zawiesił na chwilę głos. – W każdym razie wydaje się miłym człowiekiem. Na pewno bardzo nam pomógł.

– Tak.

Kiedy podjechali pod dom Bensonów, ze stodoły wynurzyła się jakaś postać niosąca bezgłowego trzepocącego indyka. Z początku Mabel uznała, że to George, ale postać była zbyt niska, a spod jej wełnianego czepca spływał gruby posiwiały warkocz.

– To pewnie Esther – zauważył Jack.

– Tak myślisz?

Kobieta skinęła im głową na powitanie i wróciła do zmagania z potężnym zabitym ptaszyskiem.

Krew zachlapała ziemię u jej stóp.

– Zapraszam do domu! – zawołała w ich stronę. – Chłopcy zaraz zajmą się koniem.

Kiedy weszli do środka, Mabel usiadła za zagraconym kuchennym stołem, a Jack wyszedł na zewnątrz w towarzystwie George'a i jego młodszego syna. Siedząc prosto z dłońmi złożonymi na podolku, zastanawiała się, czym zostaną ugoszczeni. Błat stołu zaścielały katalogi wysyłkowe, rzędy wymytych słoików i rolki tkanin. Wnętrze pachniało kapustą i kwaśnymi dzikimi jagodami.

Nie licząc poddasza, gdzie – jak się domyślała – musiały się znajdować sypialnie, dom Bensonów nie był większy od ich chaty. Przekrzywiona, opadająca w jedną stronę podłoga i ściany, które w żadnym miejscu nie zbiegały się pod kątem prostym, mogły wywoływać zawroty głowy.

Na parapetach leżały kamienie, zasuszone kwiaty i czaszki dzikich zwierząt. Choć nie ruszała się z krzesła, wciąż miała wrażenie, że takie błędzenie wzrokiem z miejsca na miejsce to również forma wścibstwa.

Podskoczyła, słysząc otwierające się z hukiem drzwi.

– Przekłęte ptaszysko. Myślałby kto, że będzie miało na tyle rozumu, żeby się poddać.

Ale oczywiście nie, nawet bez głowy musiało rozpętać piekło.

– Ojej. Boże... Mogę ci jakoś pomóc?

Kobieta podeszła do stołu, nie zdejmując ubłoconych butów, i rzuciła martwego indyka na zagracony blat. Przy okazji zrzuciła puszkę ze smalcem, która z hukiem spadła na podłogę.

Esther szurnęła ją nogą w jakiś kąt i odwróciła się do Mabel, która wstała z krzesła i patrzyła na nią z zaskoczeniem i lekkim przestraszaniem. Gospodyni uśmiechnęła się do niej i wyciągnęła zakrwawioną rękę.

– Mabel, prawda? Tak masz na imię?

Mabel skinęła głową i odwzajemniła energiczny uścisk dłoni.

– Ja jestem Esther, ale tego się już pewnie domyśliłaś. Cieszę się, że wreszcie do nas wpadliście.

Kobieta zdjęła wełniany płaszcz, odsłaniając kwiecistą sukienkę i męską dżinsową bluzę.

Twarz miała pokrytą kropelkami krwi, a kiedy pozbyła się wełnianej czapki, jej włosy sterczały na wszystkie strony. Zrzuciła warkocz na plecy i zaczęła napełniać wodą olbrzymi sagan.

– Pomyślałabyś, że przy tylu mężczyznach w domu mogłabym liczyć na to, że ktoś zabije i oskubie tego indyka. Niestety, nic z tego.

– Na pewno nie mogę ci w żaden sposób pomóc? – Mabel spodziewała się, że Esther zacznie przeproszać za swój strój i bałagan w domu. Była przekonana, że musiał stać za tym jakiś powód, musiało istnieć jakieś wyjaśnienie.

– Nie, nie. Rozgość się i czuj się jak u siebie. Ewentualnie możesz zaparzyć nam herbaty, a ja wpakuję to cholerne ptaszysko do piekarnika.

– Och... Tak. Dziękuję.

– A wiesz, co zrobił nasz najmłodszy? Mimo że hodujemy tutaj kilka indyków, i to tylko po to, żeby podać je na stół przy takich okazjach jak dzisiejsza, polazł wczoraj do lasu i ustrzelił z tuzin pardw. „Zjedzmy je w Święto Dziękczynienia” – mówi. I niby co ja mam zrobić z tymi wszystkimi martwymi ptakami? Po to karmiliśmy indyki, żeby teraz jeść pardwy? – Spojrzała na Mabel, jakby oczekiwała odpowiedzi.

– Nie mam pojęcia. Chyba nigdy nie próbowałam pardwy.

– Całkiem dobre mięso. Ale Święto Dziękczynienia to Święto Dziękczynienia, bez indyka się nie obejdzie.

– Przywiozłam ciasta na deser – przypomniała sobie Mabel. – Położyłam je na krześle, bo nie byłam pewna, co z nimi zrobić.

– Doskonale! Nawet nie miałam czasu, żeby pomyśleć o jakimś deserze. George twierdzi, że Betty musiała stracić rozum, skoro zrezygnowała z twoich wypieków. Ciągłe je wychwala, choć właściwie nie powinien się do nich zbliżać. Widziałaś, jakie ten chłop ma brzuszysko? – Znowu zmierzyła ją wyczekującym spojrzeniem.

– Och... Nie powiedziałałabym...

Śmiech Esther okazał się zaskakująco głośny.

– Wciąż mu powtarzam, że samodzielnie utrzymuje tę hotelową restaurację i powoli zaczyna to być widoczne w jego wyglądzie – oznajmiła.

\*

Następne kilka godzin wyglądało tak, jakby Mabel nagle wpadła przez dziurę do innego świata, który w niczym nie przypominał cichego, uporządkowanego królestwa smutku, światła i ciemności, gdzie mieszkała na co dzień. W tym świecie panował bałagan, ale był on również gościnny i wypełniony śmiechem. George wciąż żartował, że obie kobiety zajmowały się plotkowaniem, zamiast przyrządzaniem kolacji, a tę faktycznie podano dość późno, najwyraźniej jednak nikomu to nie przeszkadzało. Indyk okazał się suchy z wierzchu i niedopieczony wewnątrz.

Każdy miał wybrać swój ulubiony kawałek. W sosie pływały jakieś grudki, za to tłuczone ziemniaki były idealnie kremowe. Esther nie miała zamiaru przeproszać za niedociągnięcia. Jedli, mając talerze postawione na kolanach. Nikt nie odmówił modlitwy, za to George uniósł kielich i wzniósł toast.

– Za naszych sąsiadów. I przetrwanie kolejnej zimy.

Wszyscy wznieśli swoje kieliszki.

– I żebyśmy przez cały następny rok żywili się pardwami – dodała Esther, rozśmieszając rodzinę i gości.

Po obiedzie i podaniu ciasta Bensonowie zaczęli opowiadać o swoim życiu na Alasce.

Wspominali śnieg tak głęboki, że konie mogły swobodnie przechodzić ponad ogrodzeniem, i tak siarczyste mrozy, że woda po zmywaniu zamarzała w powietrzu, zanim zdążyło się ją wylać z miski.

– Nie wyobrażam sobie, że mogłabym mieszkać gdzieś indziej – podsumowała Esther. – A wy? Jesteście farmerami z południa, prawda?

– Nie. Chociaż rodzina Jacka ma ziemię nad brzegami Allegheny w Pensylwanii.

– I co tam hodujecie? – zainteresował się George.

– Głównie jabłka i trawę na siano – odpowiedział Jack.

– A ty? – Esther spojrzała w stronę Mabel.

– Ja chyba jestem czarną owcą w mojej rodzinie. Nikomu innemu nie przyszłoby do głowy przeprowadzka na farmę albo wyjazd na Alaskę. Mój ojciec jest profesorem literatury na uniwersytecie w Pensylwanii.

– Zostawiłaś to wszystko, żeby tutaj przyjechać? Co ty sobie, dziewczyno, myślałaś? – Esther wymierzyła jej przyjaznego kuksańca w ramię. – To on cię do tego przekonał, prawda?

Tak to zwykle bywa. Wloką na północ te biedne kobiety, twierdząc, że szukają przygody, ale tak naprawdę zależy im tylko na ciepłej kąpieli i gospodyni domowej.

– Nie. To wcale nie tak. – Wszystkie oczy, także Jacka, zwróciły się na Mabel. Zawahała się przez chwilę, ale podjęła urwany wątek. – Chciałam tutaj przyjechać. Jack też, ale zrobiliśmy to w końcu po moich naleganiach. Nie wiem dokładnie dlaczego, chyba potrzebowaliśmy odmiany.

Musieliśmy coś zrobić dla siebie. Nie jestem pewna, czy ma to dla was jakiś sens. Chcieliśmy pracować na własnej ziemi, wiedząc, że jest nieskażona, tylko nasza. Znaleźć się gdzieś, gdzie niczego nie można przyjmować za pewnik. Alaska wydawała się dobrym miejscem na rozpoczęcie nowego życia.

– Nieźle ci się z nią powiodło, co, Jack? – Esther wyszczerzyła się w szerokim uśmiechu.

– Nie pozwól, żeby ludzie się o tym zwiędzieli. Niewiele jest takich jak ona.

Mabel nie podnosiła wzroku, wiedziała jednak, że Jack wciąż patrzy na jej zarumienione policzki. Rzadko kiedy mówiła tak dużo w towarzystwie. Być może zdradziła im zbyt wiele.

Słyszając narastające wokół rozmowy, zaczęła się zastanawiać, czy to, co powiedziała, było prawdą. Po co przyjechali na północ? Żeby zacząć nowe życie? Czy to strach ją wygnał? Lęk przed siwizną we włosach i obwisłymi policzkami oraz przed jeszcze gorszą szarzyzną, która przenikała aż do kości? Bała się, że pewnego dnia pozostanie z niej tylko szary proszek unoszący się na wietrze.

\*

Wróciła pamięcią do pewnego popołudnia przed niespełna dwoma laty. Dzień był ciepły i cudowny, w powietrzu unosiła się woń kwitnących sadów. Jack siedział na huśtawce wiszącej na werandzie domu jego rodziców i osłaniał oczy. Oboje uczestniczyli w rodzinnym pikniku, ale w tym momencie byli sami. Sięgnęła do kieszeni sukienki i wyjęła złożoną ulotkę. „Czerwiec 1918. Alaska, Nasz Nowy Dom”.

„Chcę tam” – powiedziała.

„Do domu?” – zapytał.

„Nie” – odparła, pokazując mu reklamę. „Na północ”.

Rząd poszukiwał ludzi gotowych osiedlić się na terenach w pobliżu nowej linii kolejowej.

Koleje Alaskie i armatorzy parowców oferowali atrakcyjne zniżki dla wszystkich śmiałków decydujących się na tę podróż.

Starła się mówić jak najspokojniej, by ukryć swoją desperację. Jej neoficki entuzjazm budził w Jacku niepokój. Oboje zbliżali się do pięćdziesiątki. To prawda, że w młodości marzył o wyprawie na Alaskę, chciał się sprawdzić w tym dzikim i wspaniałym miejscu, ale czy nie było już na to zbyt późno?

Na pewno nękały go wątpliwości, ale zatrzymał je dla siebie. Sprzedał braciom ziemię i interes, a ona zapakowała do skrzyń patelnie, garnki i tyle książek, ile tylko zdołała zmieścić.

Na zachodnie wybrzeże dotarli koleją, a wypływający z Seattle parowiec pozwolił im dopłynąć do Seward na Alasce. Tam ponownie wsiedli do pociągu, który zawiózł ich do Alpine. Kiedy po drodze zatrzymali się w zupełnej głuszy, z dala od jakiegokolwiek cywilizacji, z jednego z wagonów wysiadł samotny mężczyzna z plecakiem, po czym zniknął wśród świerków porastających rzeczne dolinki. Mabel wyciągnęła rękę przed siebie i położyła dłoń na ramieniu Jacka, on jednak nie odwracał wzroku od okna – patrzył na zewnątrz z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Wyobrażała sobie, że zaczną pracować na zielonych polach otoczonych przez wysokie zaśnieżone szczyty przypominające szwajcarskie Alpy. Powietrze będzie czyste i przejrzyste, niebo bezkresne i błękitne. Zmęczeni i spoceni od wspólnej pracy zaczną się do siebie uśmiechać w ten sam sposób, w jaki uśmiechali się w młodości, gdy dopiero zaczynali się kochać. Życie nie okaże się łatwe, ale za to będzie tylko ich własne. Na krawędzi świata, z dala od wszystkiego, co znajome i bezpieczne, zbudują nowy dom w samym środku dziczy. Uciekną przed

wypielegnowanymi sadami i oczekiwaniami rodziny, staną się prawdziwymi partnerami.

I co z tego zostało? Nigdy nie pracowali razem w polu. Z dnia na dzień coraz rzadziej się do siebie odzywali. Przez pierwsze lato musiała mieszkać w obskurnym hoteliku, podczas gdy on budował chatę i stodołę. Siedząc samotnie na krawędzi materaca, który o wiele częściej służył traperom i górnikom niż kobietom z Pensylwanii, Mabel zastanawiała się, czy nie powinna napisać do swojej siostry. Niestrudzone słońce nie dawało jej ani chwili wytchnienia. Wszystko, co ją otaczało – koronkowe zasłony w oknach, tynk na ścianach budynku, jej własne starzejące się dłonie – wydawało się pozbawione kolorów. Po wyjściu z hotelu czekała na nią pojedyncza, błotnista, pokryta koleinami droga prowadząca wzdłuż torów. Zaczynała się pomiędzy drzewami i kończyła w kolejnej kępie drzew. Żadnych chodników czy księgarń. Nikogo poza Betty, która chodziła w męskich koszulach i roboczych spodniach, nie mogąc się powstrzymać od udzielania rad na temat przechowywania kiszanej kapusty i mięsa z łosia, leczenia octem opuchlizny po ukąszeniach przez komary czy odstraszenia niedźwiedzi za pomocą dźwięku rogu myśliwskiego.

Mabel bardzo chciała napisać do siostry, ale nie odważyłaby się przyznać do pomyłki.

Wszyscy ją przecież ostrzegali, że Alaska to kraina zagubionych mężczyzn i skompromitowanych kobiet i że nie znajdzie dla siebie miejsca w tej dzicy. Ścisnęła w dłoni ulotkę obiecującą nowy dom i porzuciła myśl o pisaniu listów.

Kiedy Jack pokazał jej w końcu ich nowe lokum, naprawdę chciała wierzyć, że im się uda. Taka właśnie była Alaska – surowa i pierwotna. Chata zbita ze świeżo ściętych bali, podwórko pokryte niewykarczowanymi pniakami i górskie szczyty strzelające w niebo. Każdego dnia pytała, czy może iść pracować z nim na polu, i każdego dnia odpowiadał, że powinna zostać w domu. Wracał wieczorami ze zgiętym grzbietem, pokryty zadrapaniami i ukąszeniami komarów.

Gotowała mu i prała, gotowała i prała, a szarzyzna rozwijała się w jej wnętrzu, doprowadzając w końcu do tego, że świat stracił wszystkie barwy.

\*

Wygladziła dłońmi zmarszczki na podołku spódnicy, próbując podchwycić kilka słów z toczonej obok niej rozmowy. Usłyszała coś o kopalni na północy.

– Mówię ci, Jack, nie warto się nad tym zastanawiać – stwierdził George. – Chyba że zależy ci na szybkim odejściu z tego świata.

Mabel starała się zachować spokój.

– Wspominałeś coś o kopalni? – zapytała.

– Wiem, że nadeszły dla was ciężkie czasy, ale nie ma się czego wstydzić. – George mrugnął porozumiewawczo. – Wystarczy, że utrzymasz swojego chłopca w domu, a jakoś sobie dacie radę.

Kiedy Benson razem z synami zaczęli wyliczać wszystkie okrutne sposoby, na które można stracić życie pod ziemią, Mabel odwróciła się do męża.

– Chciałeś mnie zostawić i szukać pracy w kopalni? – szepnęła wściekle.

– Potem o tym porozmawiamy – odpowiedział.

– Musicie tylko trzymać łosia w stodole i zaoszczędzić pieniądze na wiosnę – kontynuował George.

– Łosia? – Mabel zmarszczyła brwi. – W stodole?

Esther parsknęła śmiechem.

– No przecież nieżywego, kochanie – wyjaśniła. – Tylko mięso. Żeby mieć co jeść. Sami tak robiliśmy w ubiegłych latach. Szybko wam się znudzą tłuczone ziemniaki, smażone ziemniaki, gotowane mięso i pieczone mięso, ale przynajmniej pozwalają przetrwać.

– Trudno będzie znaleźć łosia o tej porze roku – wymamrotał najmłodszy z synów ze swojego miejsca w kuchni, wepchnąwszy ręce do kieszeni. – Lepiej by było, jakby dopadł jakiegoś, kiedy były na rykowisku.

– Garrett, przecież łosie wciąż się kręcą po okolicy – sprzeciwił się George. – Tylko trochę trudniej je teraz znaleźć.

Chłopak wzruszył ramionami, nie kryjąc swojego powątpiewania.

– Nie przejmujcie się nim. – Esther machnęła kciukiem w stronę syna. – Wydaje mu się, że jest następnym Danielem Boone'em.

Jeden ze starszych chłopaków parsknął śmiechem i wymierzył bratu kuksańca. Chłopiec zacisnął pięści i pchnął go na tyle mocno, że tamten wpadł na stół. Wybuchła gwałtowna sprzeczka.

Mabel czuła narastający niepokój, ale Esther i George nie zwracali na nich uwagi. Dopiero kiedy hałas stał się trudny do zniesienia nawet dla Bensonów, Esther wrzasnęła:

– Wystarczy, chłopcy! – I obaj momentalnie się uspokoili.

– Garrett ledwie co wyrósł z krótkich spodenek, ale możesz mi wierzyć, Jack, że ten chłopak naprawdę radzi sobie ze strzelbą. – George skinął dumnie brodą w



stronę najmłodszego z synów.

– Miał dziesięć lat, jak zastrzelił swojego pierwszego łosia. Przynosi do domu więcej zdobyczy niż my wszyscy razem.

– Zwłaszcza pardwy – szepnęła Esther, pochylając się do Mabel.

Żona Jacka próbowała się uśmiechnąć, ale jej myśli wciąż krążyły tylko wokół jednego.

Chciał ją opuścić. Pozostawić w tej mrocznej, ciasnej chacie.

Mężczyźni nadal rozmawiali o polowaniu na łosie i ponownie poczuła, jakby już wszyscy kiedyś omawiali ten temat i tylko ona siedziała wśród nich jak ktoś zupełnie niezorientowany i obcy.

– Nie powinieneś wychodzić bez strzelby, nawet do pracy na polu – przekonywał Jacka najmłodszy z Bensonów. – Zaczynij się rozglądać po zboczach. Zazwyczaj o tej porze śnieg spycha łosie w poblizze rzeki, ale skoro dotychczas nie padało, to pewnie wciąż będą wysoko, jedząc brzozy i osiki. – Chłopak z trudem ukrywał pogardę wobec jego niewiedzy. – Szkoda, że nie zapolowałeś jesienią. Teraz będziesz musiał się naszukać. Łosie gromadzą się w stado tylko na rykowisku.

Zachowują się zupełnie inaczej podczas rui. Samce szaleją po całym lesie, walą porożami o drzewa i tarzają się we własnych sikach. Walczą o samice.

– Słyszałem coś takiego – przypomniał sobie Jack. – Jakiś miesiąc temu. Rąbałem właśnie drewno, kiedy w lesie coś najpierw zaczęło sapać, a potem zastukało parę razy, jakby ktoś ścinał drzewo.

– Łoś. Wyzywał cię na pojedynek, waląc rogami o pień. Chciał walczyć, wydawało mu się, że też jesteś łosiem. – Chłopak uśmiechnął się pod nosem, patrząc na Jacka, który zdecydowanie nie przypominał tego zwierzęcia.

Esther zauważyła zaniepokojenie Mabel, ale źle zrozumiała jego przyczynę.

– Nic się nie martw, kochana – pocieszyła ją. – Przywykniesz do tego mięsa. O tej porze roku może być już dość twarde, ale zdołacie się nim wykarmić.

Na twarzy Mabel pojawił się słaby uśmiech.

\*

Kiedy nadeszła pora odjazdu, Bensonowie zaczęli nalegać, aby goście zatrzymali się u nich na noc. Jack wymówił się jednak koniecznością nakarmienia

zwierząt, a Mabel podziękowała, twierdząc, że najlepiej jej się śpi we własnym łóżku.

– Noc jest strasznie zimna – ostrzegła Esther i pomogła jej nałożyć płaszcz.

– Nic nam nie będzie. Bardzo ci za wszystko dziękujemy.

Esther wsunęła jej słoik do kieszeni płaszcz, a potem pozapinała ją jak dziecko aż po szyję i poprawiła kołnierz.

– Trzymaj ten zakwas w ciepłym, aż dojedziecie do domu, inaczej nic z tego nie wyjdzie.

I pamiętaj, co ci mówiłam o dodawaniu mąki od czasu do czasu.

Mabel docisnęła chłodny słój do ciała i raz jeszcze jej podziękowała.

Noc była jasna i wietrzna. Blask księżyca oświetlał koleiny na szlaku, nadając ziemi i drzewom grantowy odcień. Mabel odwróciła się i spojrzała po raz ostatni na światła w oknach Bensonów, a potem ukryła twarz pod szalem. Jack odchrząknął. Spodziewała się, że zaraz zacznie mówić o planach zatrudnienia się w kopalni, i była gotowa okazać swój słuszny gniew.

– Udana rodzinka, prawda? – powiedział zamiast tego.

– Tak – zgodziła się po długiej chwili milczenia. – Bez wątpienia.

– Esther cię chyba polubiła. O czym tyle gadałyście?

– Och... chyba o wszystkim. Tak mi się przynajmniej wydaje. – Zamilkła na sekundę, a potem dodała: – Pytała, dlaczego nie mieliśmy dzieci.

– I?

– Powiedziała, że w każdej chwili możemy sobie wziąć ich chłopaków.

Jack parsknął śmiechem, a ona również, wbrew sobie, uśmiechnęła się pod szalem.

## ROZDZIAŁ 4

Śnieg spadł następnego wieczoru, o zmierzchu. Zawirowały pierwsze płatki rzucane wiatrem po ziemi, a już po chwili powietrze wypełniły białe kłęby, fruujące fantazyjnie w świetle padającym z okna chaty. Mabel przypomniała sobie swoje dzieciństwo – małą dziewczynkę klęczącą na sofie i patrzącą na pierwsze śniegowe płatki padające w świetle ulicznych lamp.

Kiedy nieco później znów stanęła przy kuchennym oknie, zobaczyła Jacka, który wyszedł z lasu i przedzierał się przez zasy. Opuszczona głowa i powolny krok oznaczały, że polowanie nie przyniosło efektów.

Zabrała się do przygotowywania kolacji. Rozsunęła perkalowe zasłonki i zdjęła dwa talerze z kryjącej się za nimi kuchennej półki. Rozłożyła obrus. Przypomniała sobie bałagan w domu Bensonów i uśmiechnęła się pod nosem. Esther w tej męskiej bluzie, rzucająca martwego indyka na stół, wydawała się taka pewna siebie w tej kuchni. Mabel jeszcze nigdy nie spotkała takiej kobiety.

Esther nie starała się milczeć, nie udawała bezsilności i nie owijała w bawełnę.

Poprzedniej nocy George opowiedział im, jak jego żona kilka lat temu zastrzeliła prawie trzymetrowego niedźwiedzia. Siedziała samotnie w domu, gdy nagle usłyszała jakiś donośny łoskot, a kiedy wyjrzała na zewnątrz, zobaczyła niedźwiedzia, który próbował wdrzeć się do stodoły.

Zwierzę stało na tylnych łapach i waliło potężnymi pazurami w drewniane wrota. W końcu opadło na cztery łapy i zaczęło obwąchiwać pnie. Mabel umarłaby zapewne z przerażenia, ale Esther była inna. Żaden niedźwiedź nie miał prawa niepokoić jej krów. Spokojnie wróciła do domu, wzięła strzelbę, ponownie wyszła na podwórze i załatwiła go jednym strzałem. Mabel mogła sobie to bez trudu wyobrazić – Esther stojąca na szeroko rozstawionych nogach na brudnym podwórzu, pewna ręka, spokojny wzrok. To nie była kobieta, która zawahałaby się przed czymkolwiek ze względu na dobre maniery.

Mabel znów stanęła przy oknie. Śnieg padał coraz szybciej i był coraz gęstszy. Przyglądała się, jak Jack wychodzi ze stodoły, trzymając przed sobą latarnię, w której blasku kłębiły się białe tumany. Odwrócił się, tak jakby wyczuł jej spojrzenie i przez chwilę patrzyli sobie w oczy otoczeni własnymi kręgami światła i rozdzieleni gęstym welonem padającego śniegu. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni tak na siebie spoglądali, a czas wokół nich zdawał się dryfować równie powoli jak śnieg.

Gdy zakochała się w Jacku, miała wrażenie, że mogłaby odlecieć, odbić się bosymi stopami od trawy i poszybować po ciepłym, atramentowoczarnym niebie usianym gwiazdami, unosząc się w nocnej koszuli ponad szczytami drzew. Teraz to uczucie powróciło.

Noc widziana przez okno zdawała się gęstnieć, płatki śniegu wirowały coraz wolniej, kłębiąc się w ciemnościach. Była to taka śnieżycą, która wygania dzieci przed dom, zmusza je do wystawiania języków i tańczenia w miejscu z rozłożonymi ramionami i twarzą uniesioną ku niebu.

Mabel stała jak zaczarowana, wciąż ubrana w kuchenny fartuch. Kompletnie zapomniała o trzymanej w ręku szmatce. Możliwe, że oczarował ją padający śnieg, a może była to wina tego powracającego uczucia. Albo Esther, ubranej w męski kombinezon i kwiecistą bluzeczkę, strzelającej ze śmiechem do niedźwiedzi.

Rozwiązała troczki fartucha i odłożyła ścierkę. Znalazła jakąś czapkę i rękawice, ubrała buty i narzuciła na siebie jeden z płaszczy Jacka. Zimne powietrze ochłodziło jej twarz, przynosząc woń dymu unoszącego się z komina. Spoglądała przez chwilę na spadający śnieg, a potem zrobiła to samo co w dzieciństwie – zwróciła twarz do nieba i wystawiła język. Zahipnotyzowana wirującym nad głową białym puchem, zaczęła powoli okręcać się wokół własnej osi. Kolejne wilgotne płatki lądowały na jej policzkach i powiekach. Zatrzymała się w końcu i spojrzała na białą warstewkę, która zebrała się na ramionach płaszcza. Przez chwilę skupiała uwagę na pojedynczym rozgwieżdzonym płatku wsiąkającym powoli w wełnę. Sekundę później już go nie było.

Warstwa śniegu pokrywająca ziemię wokół jej stóp była coraz głębsza. Szurnęła nogą, tworząc wilgotną, ciężką grudkę. Idealny śnieg na śnieżki. Ulepiła jedną gołymi rękami, na twardej kulce pozostały ślady jej palców. Naciągnęła rękawice i zaczęła wygładzać śniegową kulę.

Słyszając poskrzypywanie butów Jacka, uniosła głowę i zobaczyła, że jej mąż zmierza w stronę chaty. Patrzył na nią spod przymrużonych powiek. Rzadko wychodziła na zewnątrz, zwłaszcza po zmierzchu. Jego zachowanie wywołało w

niej ochotę na dziecinne psoty. Uklepała śnieżkę parę razy i czekała, wciąż trzymając ją w ręce. Miała świadomość, że jej zachowanie jest dość dziwne, zastanawiała się, co będzie dalej. Rzuciła kulkę i trafiła go w lewą nogę, tuż nad cholewką buta.

Zatrzymał się, spojrzał na okrągły ślad śniegu na nogawce, a potem przeniósł wzrok na Mabel. W jego oczach błysnęła lekka irytacja pomieszana z zaskoczeniem, ale mimo ściągniętych brwi nie potrafił powstrzymać delikatnego uśmiechu, który wykrzywił mu kąciki ust. Pochylił się, postawił ostrożnie latarnię na śniegu, a następnie otrzepał dłonią białą plamę ze spodni.

Mabel wstrzymała oddech. Jack wciąż pochylał się nad ziemią z dłońmi przy butach, nagle jednak, szybciej niż zdążyła zareagować, zgarnął garść śniegu i cisnął w jej stronę perfekcyjnie uformowaną kulką. Trafiła ją prosto w czoło. Nie ruszyła się z miejsca, stała z rękami opuszczonymi luźno wzdłuż boków. Żadne z nich się nie odzywało. Śnieg osiadał na ich głowach i ramionach.

Wreszcie Mabel otarła czoło i spojrzała na Jacka, który wpatrywał się w nią z otwartymi ustami.

– Ja... Ja nie chciałem...

Wybuchła śmiechem, czując topniejący śnieg ściekający po policzkach i kolejne płatki lądujące na powiekach. Śmiała się tak mocno, że musiała się pochylić, zagarnęła przy tym kolejną garść śniegu i rzuciła śnieżką w Jacka. Natychmiast się zrewanżował i kolejne kulki zaczęły przecinać nocne niebo. Większość spadała na ziemię, niektóre jednak trafiały w piersi i ramiona. Roześmiani zaczęli się gonić wokół chaty, kryjąc się za narożnikami i wypatrując nadlatujących pocisków.

Uciekała przed nim, zamiatając skrajem spódnicy śniegowy puch, a on ją ścigał ze śnieżkami w obu dłoniach. Potknęła się w końcu i upadła, nie przestawała jednak obrzucać go śniegiem.

Jack stanął nad nią i delikatnie upuścił obie śniegowe piguły. Śmiała się cały czas. Oparł dłonie na kolanach, z trudem łapiąc oddech.

– Jesteśmy na to za starzy – wysapał.

– Naprawdę?

Pomógł jej się podnieść i stanęli twarzą w twarz, wciąż zdyszani, uśmiechnięci i pokryci śniegiem. Mabel wtuliła twarz w wilgotny kołnierz jego płaszcza, a on otoczył ją ramionami, pogrubionymi przez wełniane rękawy. Trwali tak przez chwilę, ignorując padający śnieg.

Wreszcie Jack cofnął się o krok, otrzepał włosy i sięgnął po latarnię.

– Zaczekaj – poprosiła. – Ulepmy bałwana.

– Co?

– Bałwana. Mamy idealny śnieg.

Wahał się przez chwilę. Było już późno i doskwierało mu zmęczenie. Takie zachowanie w ich wieku to nonsens. Mabel wiedziała, że istniały dziesiątki powodów, dla których mógł odmówić, ale Jack zamiast tego ponownie odstawił latarnię.

– Dobra – zgodził się, zwieszając głowę z odrobiną rezygnacji i zdejmując skórzane robocze rękawice. Dotknął kciukiem jej policzka i otarł kroplę stopionego śniegu. – W porządku.

\*

Miała rację, śnieg naprawdę był idealny. Zbijał się w grube warstwy, co ułatwiało lepienie kul. Mabel utoczyła najmniejszą z nich, z przeznaczeniem na głowę, a Jack umieścił jej dzieło na samym szczycie konstrukcji. Bałwan sięgał mu zaledwie do pasa.

– Chyba będzie za mały – zauważył.

Odsunęła się o parę kroków i spojrzała z dystansu.

– Doskonały – stwierdziła.

Dorzucili trochę śniegu w szczeliny i wygładzili krawędzie. Jack opuścił na chwilę krąg światła rzucanego przez latarnię i okno i zniknął wśród drzew. Wrócił stamtąd z dwiema gałązkami, które wetknął w bałwana, tworząc parę rąk.

– To dziewczynka – uznała Mabel. – Zróbmy małą dziewczynkę.

– Zgoda – odparł, wzruszając ramionami.

Przykłęknęła na ziemi i nadała podstawie bałwana kształt spódniczki owijającej biodra śniegowej dziewczynki. Sunąc dłońmi po powierzchni, zgarniała i uklepywała śnieg, by nadać figurze kształty małego dziecka. Kiedy się podniosła, zobaczyła, że Jack rzeźbi nożem twarz dziewczynki.

– Popatrz. – Odsunął się o krok, odsłaniając idealne, śliczne oczy, zgrabny nosek i delikatne białe usta. Wydawało jej się, że widzi także zarys kości policzkowych i podbródka.

– Och...

– Nie podoba ci się? – W jego głosie słychać było rozczarowanie. – Ależ nie. Jest prześliczna. Po prostu nie wiem, co... Nie potrafiła opisać swojego zaskoczenia. Te delikatne rysy twarzy, wyrzeźbione jego sękatymi dłońmi,

zdradzały tak wielką tęsknotę. To oczywiste, że on też marzył o dziecku. Bardzo często o tym rozmawiali na początku małżeństwa, żartowali, że dorobią się trzynaściorga dzieci, choć tak naprawdę spodziewali się trójki lub czwórki. Pierwszej wspólnej, cichej zimy cieszyli się na kolejne święta Bożego Narodzenia, które spędzą w otoczeniu swoich pociech. Z uroczystą powagą otwierali prezenty, wiedząc, że kiedyś ich bożonarodzeniowe poranki będą wypełnione tupotem roześmianych dzieci. Własnoręcznie uszyła malutkie skarpetki dla ich pierworodnego, a Jack naszkicował konika na biegunach, którego zamierzał zrobić. Zastanawiali się, czy pierwszy urodzi się chłopiec, czy dziewczynka, i nawet nie podejrzewali, że dwadzieścia lat później wciąż będą bezdzietną parą starych ludzi, mieszkających samotnie w samym sercu głuszy.

Śnieg padał coraz mocniej i robił się coraz gęstszy, sprawiając, że widoczność spadła do paru metrów.

– Przydałyby się jej jakieś włosy – zauważył Jack.

– Och, chyba wiem, czego jeszcze jej brakuje. – Ruszyła w stronę domu, a on skierował się do stodoły.

– Mam! – zawołała, wychodząc z powrotem na podwórze. – Rękawiczki na sznurku i szaliczek dla małej dziewczynki.

Jack powrócił z garścią pożółkłej dzikiej trawy zerwanej w pobliżu stodoły. Powtykał pojedyncze źdźbła w białą główkę, tworząc szaloną blond fryzurę, podczas gdy ona owinęła szalem szyję dziewczynki i zatknęła rękawiczki na końcach gałązek, przerzucając za plecy figurki błękitny sznurek, którym były połączone. Siostra Mabel zrobiła ten komplet na drutach, używając wełny w odcieniu nieba. Szal miał charakterystyczny ścieg, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie widziała – ścieg kropelkowy, tak nazywała go jej siostra. Przez materiał było widać białą powierzchnię śniegu.

Pobiegła błyskawicznie za róg chaty, gdzie rosła dzika żurawina. Zgarnęła kilka zamarzniętych jagód, powróciła do śnieżnej dziewczynki i ostrożnie wycisnęła żurawinowy sok na jej usta. Śnieg zabarwił się delikatną czerwienią.

Stanęła obok Jacka i razem spojrzeli na swoje dzieło.

– Jest piękna – westchnęła Mabel. – Prawda? Prześliczna.

– Doskonale nam wyszła, faktycznie.

Stojąc nieruchomo, nagle poczuła chłód przenikający przez wilgotne ubrania i zadrżała z zimna.

– Zmarzłaś?

Potrząsnęła głową.

– Chodźmy się rozgrzać do domu.

Nie chciała jeszcze wracać, wołała się cieszyć ciszą, śniegiem i tą ich bliskością. Ale zaczęła szczełukać zębami, więc tylko skinęła głową.

Kiedy weszli do środka, Jack dorzucił do pieca kilka szczapek drewna. Mabel zbliżyła się do trzaskających płomieni i zdjęła z siebie mokre rękawiczki, czapkę i płaszcz. On również zaczął się rozbierać. Śnieg osypywał się z ubrań i spadał z sykiem na rozgrzaną blachę. Czując, jak ciężka mokra suknia przywiera do jej ciała, rozpięła guziki i pozwoliła jej się zsunąć na podłogę.

Jack rozwiązał buty i zdjął przemoczoną koszulę. Po chwili stanęli przed sobą nadoży i trzęsący się z zimna. Nie zwracała uwagi na swoją nagość, dopóki nie podszedł bliżej i nie oparł szorstkiej dłoni na jej plecach.

– Lepiej? – zapytał.

– Tak.

Objęła go za ramiona, czując chłód wciąż bijący od jego skóry, a kiedy wcisnęła nos w zagłębienie jego szyi, zobaczyła śnieg, który wciąż topniał mu na brodzie.

– Chodźmy do łóżka – zaproponował.

Mimo upływu tych wszystkich lat, jego dotyk wciąż wprawiał ją w drżenie, a gardłowy, ściszony głos wywoływał przyjemny dreszcz wędrujący wzdłuż kręgosłupa. Nago przeszli do sypialni.

Leżąc pod przykryciem, zmagali się przez jakiś czas ze swymi ramionami, nogami, biodrami i kręgosłupami, aż wreszcie udało im się znaleźć układ równie czuły i znajomy jak zagięcia na starych mapach, które przez lata składano i rozkładano w ten sam sposób.

Po wszystkim oparła policzek na jego piersi.

– Nie pojedziesz do tej kopalni, prawda?

Pocałował ją w czubek głowy.

– Nie wiem, Mabel – szepnął, kryjąc usta w jej włosach. – Robię, co mogę.



## ROZDZIAŁ 5

Jack obudził się z zimna. W czasie jego kilkugodzinnego snu pogoda uległa zmianie. Czuł to w powietrzu, mówił mu o tym ból artretycznie wykrzywionych rąk. Oparty na łokciu zaczął przesuwać dłonią po blacie stolika nocnego w poszukiwaniu zapalek. Przytknął zapaloną główkę do świecy. Przekładając nogi przez krawędź łóżka, wciąż miał zeszywniałe plecy i kark. Siedział nieruchomo tak długo, aż ziąb stał się naprawdę nie do wytrzymania. Na drewnianych balach nad poduszką Mabel utworzyła się delikatna warstewka kryształków lodu. Zaklął pod nosem, gdy poprawiał żonie koldrę. Nie potrafił jej nawet zapewnić ciepłego, bezpiecznego domu. Przeszedł do dużego pokoju, niosąc przed sobą lichtarz ze świecą. Zabrzęczały metalowe drzwiczki pieca. Na palenisku dymiło się kilka dogasających węgielków.

W chwili, kiedy sięgał po buty, dostrzegł przez okno jakieś migotanie pomiędzy drzewami.

Oparł czoło o pokrytą szronem szybę i spojrzał raz jeszcze.

Świeży śnieg pokrywający ziemię błyszczał srebrzyście w blasku księżyca. Widział zarys stodoły i rosnących za nią drzew. Na krawędzi lasu ponownie coś zamigotało. Rozbłysk bladoniebieskiego światła. Jack wciąż się jeszcze nie rozbudził. Zamknął powoli oczy, a potem otworzył je ponownie i spróbował się skoncentrować.

Zobaczył ją wyraźnie. Pomiedzy drzewami przemykała niewielka postać. Czyżby widział spódniczkę, w którą była ubrana? Jej szyję owijał błękitny szal, a białe włosy spływały aż na plecy.

Drobna. Szybka. Dziewczynka. Biegnąca skrajem lasu. Zniknęła między drzewami.

Potarł dłońmi zaspane oczy. Coś mu się musiało przywidzieć z niewyspania i zmęczenia.

Odszedł od okna i wsunął buty na nogi, pozostawiając rozwiązane sznurówki. Otworzył drzwi i natychmiast poczuł, jak mróz zatyka mu dech w piersi. Idąc w stronę stosu drewna, słyszał śnieg skrzypiący pod butami. Dopiero kiedy wracał z całym naręczem świeżych szczap, spojrzał w stronę ich śnieżnej dziewczynki.

Odłożył drwa na ziemię i zbliżył się do miejsca, w którym stała. Zobaczył niewielką kupkę śniegu. Rękawiczki i szalik gdzieś zniknęły.

Rozgarnął zaspę czubkiem buta.

Domyślał się, że to robota jakiegoś zwierzęcia. Może łoś wpadł na ich figurkę. Ale co się stało z szalem i rękawiczkami? Czyżby porwał je kruk albo sójka kanadyjska? Ptaki były znane z upodobania do kradzieży. Odwrócił się i zobaczył ślady na śniegu: delikatne wgłębienia doskonale widoczne w blasku księżyca. Oddalały się od chaty w stronę lasu. Pochylił się nad nimi, nie ufając własnym oczom w niewyraźnym srebrzystym świetle. Kojot lub ryś. A jednak nie, coś innego.

Przykucnął i dotknął śladu gołą dłonią. Ludzka stopa. Niewielka. Jak u dziecka.

Poczuł dreszcze. Bolały go przemarzniete palce u stóp, a skóra pokryła się gęsią skórką.

Zgarnął porzucone drewno i wrócił do chaty. Błyskawicznie zamknął za sobą drzwi. Dorzucając drew do pieca, miał nadzieję, że hałas nie obudzi Mabel. Musiało mu się to przywidzieć. Rano wszystko da się wyjaśnić. Zaczekał, aż szczapy zajmą się ogniem, po czym zamknął palenisko.

Wsunął się z powrotem pod kołdrę obok rozgrzanego ciała Mabel. Jęknęła cicho przez sen, ale się nie obudziła. Położył się obok niej z szeroko otwartymi oczami i głową pełną szalejących myśli. Wkrótce zapadł w sen, który niewiele różnił się od jawy. Męczyły go wizje, nietrwale jak płatki śniegu, pełne dzieci mknących chyżo pomiędzy drzewami i kruków unoszących w dziobach trzepocące szale.

\*

Gdy zbudził się o poranku, Mabel krzątała się w kuchni, a na niebie świeciło słońce.

Wciąż czuł się tak zmęczony i zeszywniały, jakby spędził całą noc na rąbaniu drewna lub przenoszeniu bel siana i nie zdrzemnął się nawet na sekundę. Ubrał się i podszedł w skarpetkach do stołu. W powietrzu unosiła się woń kawy i naleśników.

– Myślę, że się udało – powitała go Mabel.

– Słucham?

– Użyłam tego zakwasu, który dostałam od Esther. Spróbuj. – Nałożyła mu naleśniki na talerz.

– Spałeś w nocy? – zapytała. – Wyglądasz na przemęczonego.

Z dłonią opartą na jego ramieniu naląła kawy z niebieskiego czajnika do kubka. Ujął go w obie dłonie, grzejąc się jego ciepłem.

– Nie wiem. Chyba nie.

– Strasznie zimno, prawda? I pięknie. Wszędzie tak jasno i biało.

– Wychodziłaś?

– Nie. Tylko w nocy pobiegłam na chwilę do wygodki.

Jack poderwał się od stołu.

– Nie będziesz jadł śniadania? – zdziwiła się.

– Przyniosę drzewa. Piec omal nie wygasł do rana.

Tym razem przed otwarciem drzwi pamiętał o tym, żeby narzucić na siebie płaszcz i znaleźć jakieś rękawice. Promienie słońca odbite od śniegu zmusiły go do zmrużenia oczu. Podszedł do stosu drewna, a potem spojrzął w stronę śnieżnej dziewczynki, a raczej tego, co z niej zostało.

Bezkształtna niewielka zaspą. Żadnego śladu szala ani rękawiczek. W demaskatorskim świetle dnia wszystko wyglądało tak samo jak nocą. Nawet ślady na śniegu, prowadzące przez podwórze w stronę drzew. Nagle dostrzegł martwego białego królika, leżącego tuż przy progu ich chaty.

Minął go, wszedł do środka i upuścił drewno na podłogę obok piecyka, a potem zapatrzył się niewidzącym wzrokiem gdzieś w przestrzeń.

– Zauważyłaś coś? – zapytał po chwili.

– Mówisz o tym trzaskającym mrozie?

– Nie. Pytam, czy dostrzegłaś coś dziwnego.

– To znaczy?

– Wydawało mi się, że zeszłej nocy coś słyszałem. Ale to pewnie nic takiego.

\*

Po śniadaniu poszedł nakarmić zwierzęta. Kierując się w stronę stodoły, zgarnął z progu martwe zwierzę i przycisnął do ciała, żeby Mabel nie zobaczyła niczego przez okno. Dopiero w stodole przyjrzał mu się uważniej. Królik musiał udusić się w sidłach, które werznąły się w jego białe futro i miękką skórę. Był

zamarznięty na kość. Później, kiedy już uporządził cały dobytek, poszedł za stodołę i wyrzucił truchło najdalej jak potrafił między drzewa.

Gdy wrócił do chaty, Mabel podgrzewała wodę do mycia.

– Widziałeś te ślady? – zapytała, spoglądając na niego przez ramię.

– Jakie ślady?

– Te. – Wskazała przez okno. – Pewnie lis.

– Kury są pozamykane?

– Tak. Nic im nie jest, wszystko zabezpieczone.

\*

Zdejmując strzelbę wiszącą nad drzwiami, oznajmił, że idzie zapolować na lisa.

Wiedział już, co go zaniepokoiło w tych śladach. Zaczynały się przy kupce śniegu i prowadziły tylko w jedną stronę – do lasu. Na podwórzu nie było żadnych innych znaków.

Trop wił się między brzozami, ponad powalonymi pniami i wokół ogołoconych, najeżonych igłami krzaków dzikiej róży. Robiąc kolejne pętle i zakręty, Jack stwierdził, że nie przypomina to śladów zagubionego dziecka. Musiało to być jakieś dzikie zwierzę, lis lub gronostaj.

Gwałtownie zmieniało kierunki, skakało nad śniegowymi czapami, krążyło w miejscu i zawracało, aż w końcu nie był pewien, czy wciąż ma przed sobą ten sam trop. Jeśli to była zaginiona dziewczynka, to dlaczego nie zapukała do ich drzwi? Czemu nie poprosiła o pomoc? Ślady nie prowadziły na południe, w stronę szlaku i miasteczka, tylko błędziły pomiędzy drzewami, kiedy jednak spojrzął przez ramię, nie mógł już dostrzec chaty i zrozumiał, że trop kierował się na północ, w góry. Obok odcisków obuwia pojawiły się także gdzieś indziej inne ślady. Lis, który przeciął dziecku drogę, a potem gdzieś zniknął. Dlaczego lis miałby śledzić w lesie małą dziewczynkę?

Jack wbił wzrok w ziemię, nie potrafiąc się pozbyć wątpliwości. A może to dziewczynka tropiła lisa? Może właśnie dlatego ślady były tak mocno splątane?

Zatrzymał się przy powalonej topoli i oparł się o jej okazały pień, by odpocząć. Musiał dać sobie spokój. Otarł pot z czoła. Mimo mrozu było sucho i bezwietrznie, a tropienie okazało się męczące. Może jednak powinien jeszcze raz przyjrzeć się tym śladom? W końcu mógł od samego początku iść za lisem.

Pochylił się nad wgłębieniami w śniegu, spodziewając się, że zobaczy odciski poduszek i pazurów, ale wciąż miał przed sobą odbicia dziecięcych stóp.

Ruszył dalej, po czym doszedł do niewielkiego strumyka i gęstwiny czarnych świerków.

Wiedział, że przedarcie się przez ten gąszcz będzie wymagało sporo wysiłku, a szedł już tym śladem od dłuższego czasu. Odwrócił się, czując nagły przypływ paniki – tak bardzo skupiał się na wypatrywaniu kolejnych tropów, że w ogóle nie zwracał uwagi na mijany krajobraz. Ze wszystkich stron otaczały go pokryte śniegiem drzewa. Na szczęście przypomniał sobie o własnych śladach.

To będzie długa i kręta droga powrotna, ale w końcu dotrze na miejsce.

Mabel czekała przy drzwiach. Otarła dłonie o fartuch i pomogła mu zdjąć płaszcz.

– Zaczynałam się martwić.

Jack wystawił dłonie nad piecem.

– I co? Złapałeś tego lisa?

– Nie. Ale wszędzie jest pełno śladów. – Wolał nie wspominać o dziecku i martwym króliku przed drzwiami, domyślał się, że wzbudzi to jej niepokój.

## ROZDZIAŁ 6

**W**racając z wygodki, Mabel przyglądała się z niepokojem śladom na śniegu. Jeszcze nigdy lisy nie zapuszczały się tak blisko chaty. Bała się ich, choć wiedziała, że to niewielkie stworzenia.

Kiedy przechodziła ponad wgłębieniami w śniegowym puchu, zwróciła uwagę na ich delikatny, podłużny kształt. W żaden sposób nie kojarzyły się ze śladami zostawionymi przez zwierzę, wyglądały jak odciski niewielkich butów. Podążyła wzrokiem za tropem i spojrzała w to miejsce, gdzie zeszłej nocy razem z Jackiem ulepili śnieżne dziecko. Zniknęło.

Zdyszana wpadła do wnętrza chaty.

– Jack? Ktoś kręcił się po naszym podwórzu i popsuł śniegową dziewczynkę.

– Wiem – odparł, nie przerywając ostrzenia noża przy kuchennej ladzie.

– Wydawało mi się, że mówiłeś o lisach.

– W lesie są też ślady lisa.

– A tutaj?

– Dziecka.

– Skąd wiesz?

– Wielkość. I jestem przekonany, że widziałem ją zeszłej nocy. Kręciła się pomiędzy drzewami.

– Ją? Czyli kogo?

– Dziewczynkę. Miała na sobie twój błękitny szal.

– Słucham? Dlaczego mi nie powiedziałeś? Próbowaleś jej poszukać?

– Dziś rano, wtedy gdy mówiłem, że idę wytropić lisa. Chciałem ją odnaleźć, ale zgubiłem trop.

– Ale wczoraj w nocy... W taki mróz widziałeś samotną dziewczynkę i nie poszedłeś jej pomóc? Pewnie wyszła ze swojej chaty i się zgubiła.

– Nie wiem, Mabel.

Udała się ponownie na zewnątrz i wbiła wzrok w niewielkie ślady. Pojedynczy trop zaczynał się pod chatą i znikał w lesie.

Przez kilka następnych dni w dolinie panował siarczysty mróz, niebo się wypogodziło, a dziecięce ślady zamarzyły w śniegu. Ich delikatne migotanie wciąż prześladowało ją w myślach, nie potrafiła się pozbyć wrażenia, że o czymś zapomniała.

Pewnego wieczoru podeszła do półki, na której stało kilka jej ulubionych książek, podtrzymywanych mahoniowymi ogranicznikami – Wiersze Emily Dickinson, Sztuka chodzenia Henry’ego Davida Thoreau i Srebrzysty dzwoneczek Frances Hodgson Burnett. Sunąc machinalnie palcem po książkowych grzbietach, przypomniła sobie pewną baśń, którą dość często czytywał jej ojciec. Doskonale pamiętała niebieską, skórzaną, podniszczoną okładkę oraz złocistą poświatę bijącą od ilustracji. Jedna z rycin przedstawiała dziecko, wyciągające dłoń w rękawiczce w stronę pary staruszków, którzy przed chwilą ulepili je ze śniegu.

Gdy następnego dnia Mabel szła przez podwórze, żeby nakarmić kurczęta, ponownie zatrzymała się przy niewielkich odciskach butów.

\*

Obudziła się w zupełnej ciszy i zanim otworzyła drzwi i podeszła do okna, zrozumiała, że coś się zmieniło. Mróz wytłumił wszystkie dźwięki, napierając na ściany chaty, ale w środku było ciepło. Jack zostawił ogień w piecu, zanim po raz kolejny wybrał się do lasu, aby upolować łosia.

Błyskawicznie się ubrała, a kiedy wyjrzała przez okno na lśniąca biel krajobrazu, odkryła, że przecucia jej nie myliły. Nocą znów spadł śnieg, który oblepił całą chatę i wszystkie pozostałe budynki. Kamienie i pieńki zamieniły się w miękkie białe zaspy. Świerkowe gałęzie okrywała gruba warstwa białego puchu, nad okapem chaty utworzył się śniegowy nawis, a ślady zostały zasypane.

Zgarnęła kosz z okruchami i kawałkami suszonych jabłek, pozostałymi po pieczeniu ciasta, i ruszyła do stodoły. Przyglądanie się kurom, które siedziały z nastroszonymi z zimna piórami na grzędzie z pojedynczego świerkowego pnia, przynosiło jej ukojenie. Kiedy weszła do środka, zaczęły drobić po zasypanej słomą podłodze, witając ją głośnym gdakaniem, niczym stare kobiety cieszące się na widok sąsiadki. Zatrzepotały rozciągnięte skrzydła. Czarnobiała kurka wydziobała z jej palców kawałek jabłka i pozwoliła się pogłodzić po piórach. Mabel sięgnęła pod miękki brzuch czerwonej nioski siedzącej w gnieździe i wymacała dwa ciepłe jajka. Przełożyła je do kosza i wyszła ze stodoły.

Kiedy zamykała za sobą wrota, dostrzegła jakiś niebieskawy rozblýsk pomiędzy ośnieżonymi świerkami. Wyteżywszy wzrok, stwierdziła, że błękit ustąpił miejsca czerwieni. Błękitny materiał, czerwone futro. Pomiedzy drzewami przemykało drobniutkie dziecko w niebieskim okryciu. Wystarczyło jednak mrugnąć, a ubranie znikalo, zastępowane gładkim futrem. Przywiodło jej to na myśl czarno-białe ilustracje wyświetlane po wrzuceniu monety i spojrzeniu w latarnię magiczną – widziała kiedyś coś podobnego w Nowym Jorku. Ruch i bezruch, dziecko i leśne stworzenie, znikające w mgnieniu oka.

Powoli ruszyła w stronę drzew. Przyspieszyła kroku, ale nigdzie nie było ani śladu dziewczynki.

Być może sobie poszła, Mabel nie miała jednak zamiaru przerywać poszukiwań.

Spoglądając przez zaśnieżone gałęzie na skraju lasu, stwierdziła z zaskoczeniem, że dziecko znajduje się jakieś sto metrów od niej. Mała postać kucała na śniegu tyłem do Mabel, a jej blond włosy owijał znajomy błękitny szal. Kobieta odchrząknęła, zastanawiając się, czy powinna zawołać dziecko. Słyszac ten dźwięk, dziewczynka momentalnie się spłoszyła. Zerwawszy się na równe nogi, porwała ze śniegu niewielki woreczek i popędziła przed siebie na złamanie karku. Znikając za potężnym świerkiem, odwróciła się i zmierzyła Mabel spojrzeniem błękitnych oczu, lśniących w psotnej, chochlikowatej buzi. Mogła mieć osiem, maksymalnie dziewięć lat.

Mabel ruszyła za nią – brnęła przez zaspy sięgające do kolan i pochylała się pod nisko wiszącymi konarami, pokrytymi ciężką puchową kołdrą. Śnieg osuwał się z jej włóczkowej czapki i topniał pod kołnierzem płaszcza, ale nie zwracała na to uwagi, tylko odsuwała kolejne gałęzie.

Wyszła spomiedzy drzew, otarła twarz i w tym samym miejscu, w którym poprzednio widziała dziewczynkę, dostrzegła rudego lisa. Zwierzę wpychało nos w zaspę, wyginało grzbiet jak kot przy misce z mlekiem i potrząsając głową na boki, rozszarpywało coś zębami. Mabel zamarła.

Nigdy jeszcze nie była tak blisko dzikiego stworzenia. Wystarczyło zrobić kilka kroków, a mogłaby pogłodzić jego czerwone futro, nakrapiane czarnymi plamkami.

Lis spojrzal na nią, wciąż trzymając głowę nisko nad ziemią i kładąc długie, czarne wąsy wzdłuż zwężonego pyska. Mabel poczuła nagły przyływ mdłości, gdy dostrzegła krew. Śnieg i nos zwierzęcia pokrywały czerwone plamy, najwyraźniej pożerało ono jakąś padlinę.



– Przestań! Zostaw to! Wynoś się! – Kobieta zamachała rękami, próbując odstraszyć lisa.

Ruszyła w jego stronę, czując wzbierający gniew. Drapieżnik wahał się przez chwilę, nie chcąc porzucić zdobyczy, ale w końcu pobiegł w ślad za dziewczynką.

Mabel podeszła do miejsca, w którym przed chwilą stało zwierzę, i zobaczyła to, czego wolałaby nie widzieć. Odrażające zwoje srebrzystych wnętrzności, drobniutkie kosteczki, krew i pióra. Przypomniała sobie, że dzisiejszego ranka nie policzyła kur, ale przyjrzawszy się brązowym piórom i niewielkiemu, oderwanemu łebkowi lisiej ofiary, stwierdziła, że nie był to żaden z jej ptaków.

Zostawiła w końcu na wpół pożarte ptasie truchło i ruszyła w głąb lasu, idąc po śladach dziewczynki i lisa. Zerwał się lodowaty wiatr, wiejący jej prosto w twarz, a z gałęzi zaczął się osypywać śnieg. Oddychała z coraz większym trudem, odwracała głowę na bok i parła przed siebie dalej w las. Kolejny gwałtowny podmuch uniósł z ziemi i drzew białe wirujące tumany. Mabel pochyliła się do przodu, by łatwiej było jej pokonać opór wiatru. Przestała jednak cokolwiek widzieć. Wokół niej rozszalała się niespodziewana śnieżycą, więc odwróciwszy się plecami do lodowatych podmuchów, ruszyła z powrotem w stronę domu. Nie miała właściwego ubrania, by kontynuować tę wyprawę, a dziewczynka bez wątpienia zdążyła się już oddalić. Kiedy zbliżała się do stodoły, wszystkie ślady – jej, lisa, dziecka, a także krwawe plamy i zwłoki ptaka – zniknęły pod świeżą warstwą śniegu.

\*

– Widziałam ją – oznajmiła Mabel, gdy Jack wrócił na kolację. – Tę dziewczynkę, o której opowiadałeś. Kręciła się na tyłach stodoły.

– Na pewno?

– Tak, tak! Szedł za nią lis i z początku myślałam, że upolował którąś z naszych kur, ale okazało się, że pożarł jakiegoś dzikiego ptaka.

Skrzywił się, jakby go coś zabolało.

– Naprawdę ją widziałam, Jack.

Skinął głową i odwiesił płaszcz na haczyk przy drzwiach.

– Nikt wczoraj w miasteczku o nią nie pytał? – chciała wiedzieć Mabel. – Nie słyszałeś żadnych wiadomości o zaginionym dziecku?

– Nie. Zupełnie nikt.

– A próbowałaś z kimś o tym porozmawiać?

– Nie. To bezcelowe. Musiała wrócić do domu, inaczej na pewno ktoś by jej szukał.

– Ale ona dzisiaj znowu tutaj była! Widziałam ją w pobliżu stodoły. Po co do nas przychodzi?

Jeśli się zgubiła albo potrzebuje jakiejś pomocy, to dlaczego nie zapuka po prostu do drzwi?

Jack pokiwał głową ze współczuciem, natychmiast jednak zmienił temat. Stwierdził, że na polowaniu natknął się tylko na kłepę z łoszakiem. Ze względu na to, że skończyły się im pieniądze, po wyczerpaniu zapasów ziarna będą musieli zarżnąć wszystkie kurczęta. Dobra wiadomość była taka, że wpadł wczoraj na George'a w hotelowej restauracji i zaprosił go wraz z rodziną na niedzielną kolację.

Mabel dopiero wtedy zaczęła go słuchać. Cieszyła się na myśl o wizycie Bensonów. Esther bez wątpienia powinna coś wiedzieć o tym dziecku, znała wszystkie rodziny mieszkające w dolinie. Może ona jej powie, dlaczego ta mała dziewczynka włóczy się samotnie po lesie.

## ROZDZIAŁ 7

Zamknawszy oczy przed snem, Jack zobaczył pod powiekami plątaninę gałęzi, zwierzęcych tropów i ośnieżonych skał, które oglądał całymi dniami na polowaniu. Od tygodni zrywał się prawie każdej nocy przed świtem i krążył ze strzelbą po lesie, próbując wypatrzyć łosia. Czuł się przy tym jak oszust. Zmarnował jedno popołudnie na tropienie zwierzęcia, które okazało się jeżozwierzem, podgryzającym nisko zwieszoną gałąź. Chodził tam i z powrotem wzdłuż brzegów Wolverine, czaił się na zboczach i u podnóża gór i miał już tego naprawdę serdecznie dosyć.

Wciąż leżał w łóżku. Zastanawiał się, czy chce mu się w ogóle wstawać. Wiedział, że George ma rację – jeśli zdoła ustrzelić łosia, przeżyją do następnych zbiorów, żywiąc się mięsem i ziemniakami. Skończyła się im już kawa, suszone jabłka, mleko w proszku i smalec. Będą musieli pozabijać kurczęta i oszczędzać na paszy dla konia. Koniec z kupowaniem tkanin na ubrania i przywożeniem drobnych upominków z miasteczka. Zima będzie ciężka, ale nie umrą z głodu.

Ubierając się, postanowił, że podczas jutrzejszej wizyty w miasteczku spróbuje się dowiedzieć czegoś więcej o tej robocie w kopalni. Nie będzie to pewnie najłatwiejsze, biorąc pod uwagę jego wiek, ale przynajmniej nie wróci do domu z pustymi rękami. Betty twierdziła, że mimo opadów śniegu kopalnia wciąż była otwarta, pociągi również nie przerywały kursowania.

W związku ze zwiększonym zapotrzebowaniem na węgiel ze strony Marynarki Wojkowej, koleje zatrudniły dodatkowych mężczyzn do czyszczenia torów ze śniegu. Nikt nie wiedział, ile to jeszcze potrwa, wciąż jednak poszukiwano ludzi do pracy.

W niedzielę miasteczko było kompletnie wymarłe, dlatego równie dobrze mógł spędzić ten dzień w lesie. Wróci po południu, zanim Bensonowie wpadną na kolację. Zgarnął plecak i strzelbę i wyruszył starym szlakiem w stronę najdalszego pola. Buty zapadały się w śnieżnym puchu aż do cholewek, ale tym razem nie miał zamiaru zapuszczać się w góry, gdzie zasy były jeszcze głębsze. Chciał się trzymać blisko domu, z nadzieją, że śnieg zmusi zwierzęta do zejścia w pobliże rzeki.

Czuł się tak, jakby zaciągnięte ciężkimi, ołowianymi chmurami niebo złożyło swój ciężar na jego ramionach. Brnął powoli przez pole, a wchodząc do lasu, wciąż nie potrafił się skupić na polowaniu.

Nigdy nie myślał o sobie jak o „miastowym” chłopaku. Przez całe życie ciężko harował na rodzinnej farmie w dolinie rzeki Allegheny. Radził sobie z narzędziami, zwierzętami i orką na polu. Ale ziemia, która do nich należała, była uprawiana od pokoleń i składała się głównie z łagodnych pagórków, porośniętych majestatycznymi drzewami. Nawet jelenie były tylko na wpół dzikie, leniwe i wypasione na trawie z okolicznych łąk. W dzieciństwie często przesiadywał nad brzegiem strumienia płynącego poniżej ich rodzinnego sadu. Leżał, żując zerwane źdźbła traw i ciesząc się niezbyt chłodnym i niezbyt gorącym powietrzem, które również miało odrobinę zielonkawy odcień. Wspinał się na przyjazne konary dębów i włóczył po trawiastych wzgórzach. To właśnie te bezcelowe spacery należały do jego najmiłszych wspomnień z dzieciństwa.

To miejsce w niczym nie przypominało domu. Samotne wędrówki po tych lasach nie sprawiały żadnej przyjemności, wzbudzały w nim raczej podwyższoną czujność oraz strach, głównie przed własną nieudolnością. Kiedy pracował nad wykarczowaniem pola, wciąż natykał się na potężne korzenie, był zmuszony ścinać ogromne drzewa, tylko po to, by zyskać kilkanaście centymetrów przestrzeni, i wykopywał kamienie tak wielkie, że aby odciągnąć je na bok, musiał wykorzystywać konia. Jak ta ziemia miała kiedykolwiek wydać plony?

Jeśli tylko przerywał na chwilę pracę, dostrzegał rozciągającą się dookoła niego dzicz – istniejącą tu od dawna, groźniejszą i o wiele silniejszą od jakiegokolwiek człowieka. Rachityczne czarne świerki rosły tu tak gęsto, że nie można było pomiędzy nimi precyzyjnie przycisnąć nawet ramienia, a wszystko, co żyło na tej ziemi, zdawało się najeżone kolcami i wrogie. Zetknięcie z kolcosiłem pozostawiało ropiejące rany, wejście w pokrzywy kończyło się piekącymi pręgami na ciele, a chmary komarów były tak gęste, że musiał się od nich oganiać w panice. Tej wiosny, gdy po raz pierwszy zabrał się do wycinki drzew i oczyszczania gruntu, z poruszonej ziemi wylatywały roje owadów. Musiał zasłaniać twarz siatką pszczelarza, przez którą niewiele było widać, ale bez niej praca okazywała się niemożliwa. Wystarczyło, że poklepał konia po grzbiecie, żeby cała dłoń momentalnie pokryła się krwią zmiażdżonych komarów.

To, że aktualnie zrobiło się zbyt zimno na komary, było prawdziwym błogosławieństwem.

Zniknęła również cała letnia bujność, zielona gęstwina topolowych konarów, szerokie liście pasternaku, czerwone rozbłyski wierzbówki. Pozbawione zielonego okrycia, zasypane śniegiem gałęzie i wąwozy wyciągały się w stronę gór niczym pobielane kości. Patrząc pomiędzy nagimi konarami, Jack nie potrafił dostrzec żadnych oznak życia. Łosie, wiewiórki, ptaki – wszystkie gdzieś zniknęły. Nad jego głową przeleciał wynędzniały kruk, szybujący ku jakimś żyźniejszym terenom.

Kiedy Jack opowiadał swoim braciom o wyjeździe na Alaskę, wszyscy mu zazdrościli.

Twierdzili, że to boska kraina, ziemia mlekiem i miodem płynąca. Łosie, karibu, niedźwiedzie – obfitość zwierząt miała sprawiać, że nie wiadomo było, do czego strzelać najpierw. W strumieniach zaś żyło tak wiele łososi, że można było się przedostać z jednego brzegu na drugi, skacząc po ich grzbietach.

Prawda okazała się zupełnie inna. Alaska niczego nie oddawała z własnej woli. Była biedna, dzika i obojętna na ludzkie wysiłki. I to właśnie dostrzegł w spojrzeniu tamtego rudego lisa.

\*

Jack podszedł do pnia i spróbował z grubsza odgarnąć warstwę śniegu, zanim na nim usiadł. Położył strzelbę na kolanach, zdjął wełnianą czapkę i przeczesał włosy palcami. Siedział tak przez jakiś czas, ze zwieszoną głową i łokciami opartymi na broni. Czuł ogarniające go zwątpienie, które tkwiło mu w gardle i szeptało do ucha, że jest już starym człowiekiem. Naprawdę bardzo starym.

Jeśli padłby tu teraz trupem, nikt nie pośpieszyłby mu z pomocą. Północny wiatr wciąż smagałby zbocze lodowca, ziemia pozostałaby zamarznięta. Być może to właśnie ten rudy lis jako pierwszy zbliżyłby się do jego ciała, obwąchał je i zaczął podgryzać. Kruki i wrony rozerwałyby zamarznięte mięso na strzępy, prawdopodobnie na trupa natknęłaby się też w końcu wataha wilków, które nie pozostawiłyby niczego, poza kupką kości. Mógłby liczyć jedynie na Mabel, natychmiast jednak sobie wyobraził, jak przedziera się z mozołem przez las, przygnieciona ciężarem jego martwego ciała. Wstał z pnia i przewiesił strzelbę przez ramię.

Przez całe dorosłe życie płakał zaledwie parę razy – gdy zmarła jego matka oraz wtedy, kiedy wraz z Mabel stracili dziecko. Nie mógł sobie teraz na to

pozwoić. Ruszył na ślepo przed siebie, stawiając automatycznie kolejne kroki i odgradzając się od wszystkich uczuć.

\*

To cisza wyrwała go z tego ponurego nastroju. Cisza pełna czyjejs obecności. Podniósł głowę i rozejrzał się wokół.

Zobaczył ją. Dziewczynka była parę metrów przed nim. Stała na śniegu, z ramionami zwieszonymi luźno wzdłuż boków, a na jej bladych ustach migotał cień uśmiechu. Nosila płaszczyk i buty obszyte białym futerkiem, a na głowę nałożyła brązową czapkę z soboli. Wciąż miała błękitny szal i rękawiczki Mabel. Dziecko lśniło od pokrywającego je śniegu, jakby dopiero co wyszło ze śnieżycy lub spędziło całą mroźną noc na dworze.

Chciał się do niej odezwać, ale dziewczynka powstrzymała go jednym spojrzeniem oczu błękitnych jak lód w rzece, pęknięcia w lodowcu i blask księżyca na śniegu. Zamrugła, trzepocąc blond rzęsami, na których migotały płatki śniegu, i uciekła.

– Zaczekaj! – zawołał, zrywając się do biegu. – Nie bój się! Zaczekaj!

Poruszał się jak łamaga, potykał o własne buty i wpadał w śnieg. Dziecko nie przestawało uciekać, ale zatrzymywało się co chwila, by spojrzeć za siebie.

– Proszę! – krzyknął ponownie, tym razem głośniej. – Zaczekaj!

Do jego uszu dotarł dźwięk przypominający szelest wiatru poruszającego zeschniętymi liśćmi lub śniegu osypującego się ze zbocza. Albo odległy szept. Ciii... Powstrzymał się przed kolejnym krzykiem. Schylając się pod ośnieżonymi gałęziami, brnął mozolnie za dziewczynką. Zapuszczał się coraz głębiej w las. Co rusz musiał patrzeć pod nogi, aby się o nic nie potknąć, ale za każdym razem, gdy podnosił głowę, dziecko wciąż na niego czekało.

I nagle znów gdzieś zniknęło. Zatrzymał się. Spoglądając spod przymrużonych powiek, próbował odnaleźć ślady dziewczynki na śniegu. Nie znalazł żadnego. Ponownie otoczyły go ta cisza i dziwny spokój znieruchomiałego lasu.

Gdzieś za jego plecami rozległ się dźwięk przypominający cykanie cykady, odwrócił się więc z nadzieją, że zobaczy jakiegoś ptaka lub zaginione dziecko. Zamiast tego dojrzał łosia, który stał jakieś pięćdziesiąt metrów od niego. Zwierzę powoli uniosło głowę, jakby przytłoczone ciężarem potężnego poroża sterczącego na wszystkie strony. Stało na wyprostowanych, chudych nogach, a gdy zakołysało

łbem, na jego nozdrzach i kryzie rozbłysły płatki śniegu. Jack jeszcze nigdy nie widział tak wspaniałego okazu. Łoś musiał mieć ze dwa metry w kłębie, a jego kark był szeroki niczym pień drzewa.

Zachwycony tym widokiem Jack omal nie przegapił szansy na ustrzelenie upragnionej zwierzyny. W dzieciństwie zaledwie parę razy polował na króliki i bażanty, chociaż kołatało mu w głowie także mgliste wspomnienie łowów na jelenia, na które pewnego zimnego poranka wybrał się razem z kuzynami. Tym razem wszystko wyglądało inaczej. Nie była to ani zabawa, ani przygoda, tylko walka o przetrwanie, do której był słabo przygotowany. Nie pamiętał zbyt wiele z tamtego polowania z chłopakami, ale wiedział, że ani razu wtedy nie strzelił.

Spodziewał się, że słysząc trzask ładowanej strzelby, zwierzę zerwie się do ucieczki, łoś jednak w ogóle się tym nie przejął, spokojnie obgryzał końcówki topolowych gałęzi.

Jack przyłożył strzelbę do policzka i skoncentrował się na trzymaniu jej prosto. Para wydobywająca się z ust utrudniała mu celowanie, więc wstrzymał oddech, wycelował w serce łosia i pociągnął za spust. Nie dotarł do niego ani huk wystrzału, ani siła odrzutu. Widział jedynie, jak pocisk trafia zwierzę, które chwieje się na nogach, jakby przytłoczone nagle ogromnym ciężarem, i pada na ziemię.

Opuścił broń i zbliżył się do leżącego zwierzęcia, które wierzgało nogami i żałośnie wykręcało głowę. Jack załadował kolejny nabój. Przez sekundę patrzył prosto w oszalałe z bólu oczy wciąż miotającego się na śniegu łosia, wreszcie uniósł strzelbę i wpakował mu kulę prosto w łeb. Łoś zamarł bez ruchu.

Jack oparł strzelbę o drzewo i zbliżył się na nieco miękkich nogach do martwego zwierzęcia.

Dotknął dłonią wciąż ciepłego boku i dopiero wtedy zrozumiał, jak potężny trafił mu się okaz. Rozłożyste poroże mogłoby spokojnie utrzymać go w powietrzu, a do objęcia potężnej piersi nie starczało obu rąk. Zwierzę musiało ważyć dobre pół tony, co oznaczało, że miał przed sobą kilkaset kilogramów doskonałego, świeżego mięsa.

Udało mu się. Zdobył zapasy na zimę. Nie będzie musiał pracować w kopalni. Chciał skakać i krzyczeć z radości. Marzył o tym, żeby pocałować Mabel albo żeby ktoś taki jak George poklepał go teraz po plecach i pochwalił za dobrą robotę.

Chciał świętować, ale był całkiem sam w uroczyście cichym lesie, a pod ogromnym podnieceniem, jakie go ogarnęło, kryło się w jego sercu coś zupełnie innego. Nie był to żal ani poczucie winy, tylko coś zdecydowanie mniej

uchwytnego. Złapał za poroże, próbując przesunąć zdobycz. Łoś okazał się bardzo ciężki, ale oparłszy się całym ciężarem na rogach, zdołał trochę przemieścić jego głowę. Naostrzył nóż wyjęty z plecaka, nie przestając się zastanawiać nad tym dziwnym uczuciem. Wreszcie udało mu się je nazwać – czuł się tak, jakby był komuś coś winny.

Odebrał życie. I sądząc po rozmiarach leżącego przed nim zwierzęcia, było to znaczące życie. Miał obowiązek zajęcia się tym mięsem, powinien okazać wdzięczność, transportując je do domu.

Dziewczynka też musiała być jakoś z tym związana. W końcu bez niej nigdy by nie natrafił na tego łosia. Doprowadziła go tutaj i zaalarmowała, gdy jak ostatni bęcwał minął ukrywające się w lesie zwierzę. Przypomnił sobie niezwykłą, zwierzęcą wręcz grację, z jaką dziewczynka biegła pomiędzy drzewami. Wyglądało to tak, jakby rozumiała śnieg, który zapewniał oparcie jej stopom, wiedziała, jak prześlizgiwać się pomiędzy gałęziami świerków. Znała też wszystkie zwierzęta – lisa, gronostaja, łosia i ptaki. Musiała znać tę krainę od podszewki.

Kłęcząc na zakrwawionym śniegu, Jack zastanawiał się, czy to właśnie nie tak człowiek powinien dotrzymywać swojej części umowy – ucząc się tej dziczy i biorąc ją sobie głęboko do serca, bezbronną i strzeżoną ze wszystkich stron, pełną przemocy i potulną, rozedrganą w swojej wielkości.

\*

Dzielenie mięsa okazało się pracą ponad jego siły i doświadczenie. Zdarzało mu się kroić kurczaka albo wołowinę, ale to wyglądało zupełnie inaczej. Miał przed sobą nienaruszone, kolosalne dzikie zwierzę, leżące pośrodku lasu w kałuży własnej krwi. Okazało się, że pierwszy strzał był całkiem udany i przeszył płuca. Teraz musiał rozpruć brzuch łosia i pozbyć się wnętrzości oraz ciepła, które mogłyby zepsuć mięso. Zadanie nie zaliczało się do najłatwiejszych. Przeszkadzały przede wszystkim nogi łosia, z których każda musiała ważyć przynajmniej pięćdziesiąt kilo. Próbował się jakoś precyzyjnie przemieszczać między tylnymi kończynami, żeby odsłonić brzuch, ale te okazały się bardzo nieporęczne. Wydobył z plecaka kawałek sznurka i obwiązał nim tylne kopyta łosia. Wkładając w to wszystkie siły, pociągnął koniec sznura za sobą i przywiązał go do drzewa.

Dzięki temu wreszcie udało się odsłonić brzuch zwierzęcia, choć wciąż się obawiał, że postronek może nie wytrzymać, a opadające kopyta trafią go prosto w



głowę.

Ponownie naostrzył nóż, ale nie wiedział za bardzo, od czego zacząć. Światło dnia zaczynało już przygasać, więc wbił ostrze w odsłonięte podbrzusze łosia, pamiętając o tym, żeby nie naruszyć żołądka, co mogłoby zatruć mięso. Wysunął nieco ostrą część noża i zaczął nią ciąć na całej długości.

Zanurzył ręce po łokcie we krwi i wnętrznościach, kiedy nagle usłyszał, że ktoś przedziera się przez las. Przez chwilę wydawało mu się, że być może to zagubiona dziewczynka, ale przypomniał sobie, jak bezszelestnie poruszała się pomiędzy drzewami. Do jego uszu dobiegło końskie prychnięcie. Wyprostował się i otarł nóż o nogawkę spodni.

Pomiędzy drzewami ukazał się Garrett, prowadzący konia.

– Witaj! – zawołał Jack.

– Usłyszałem strzały. Trafiłeś coś?

– Tak.

– Łosia?

Jack pokiwał głową.

Chłopak przywiązał konia do pobliskiego drzewa. Kiedy podszedł bliżej, jego oczy rozszerzyły się z zaskoczenia.

– Rany boskie! To naprawdę spory łos. – Podszedł do poroża i rozłożył ręce, próbując zmierzyć jego szerokość. – Rany boskie! – powtórzył ciszej, kiedy nie udało mu się go dotknąć z obu stron.

– Aż taki duży?

– Cholera, tak. – Chłopak próbował naśladować język dorosłych. – Wielki jak cholera.

– Nie miałem pojęcia. To pierwszy łos, jakiego widzę z bliska.

Garrett zdjął rękawicę i wyciągnął do niego dłoń.

– Gratulacje! To naprawdę coś.

Jack otarł zakrwawioną rękę o spodnie i uścisnął mu dłoń.

– Dzięki, Garrett. To miłe z twojej strony. Przyznam, że się tego nie spodziewałem.

– Nie żartuj. To naprawdę wspaniały okaz.

Jack jeszcze nigdy nie widział tak rozpromienionego Garretta. Z jego chłopięcej twarzy zniknął ten wiecznie nadąsany, ponury uśmieszek.

– Usłyszałem cię, kiedy szukałem nad rzeką miejsca na rozstawienie sideł – wyjaśnił chłopak. – Bum. Bum. Dwa strzały. To zawsze dobry znak. Domyśliłem się, że coś upolowałeś.

Ale naprawdę się nie spodziewałem, że trafi ci się coś takiego.

– Wydawał mi się dość spory – przyznał Jack.

Garrett zamilkł, a jego dłoń z nabożną czcią sunęła wzdłuż poroża.

– Jeszcze nigdy nie widziałem tak wielkiego byka – westchnął. – A już na pewno nigdy podobnego nie ustrzeliłem.

Musiał zmienić zdanie na temat Garretta. Niewielu trzynastoletnich chłopców potrafiłoby w takiej sytuacji powstrzymać zawiść.

– Zgaduję, że dopiero teraz będę miał ręce pełne roboty.

– Tak – zgodził się Garrett. – Będzie sporo pracy, ale w dwóch damy sobie radę.

– Mam nadzieję, że nie czujesz się zmuszony do pomocy?

Chłopak wyciągnął nóż zza paska.

– Chętnie pomogę.

– Będę bardzo wdzięczny. Na początek przydałoby mi się parę wskazówek. Mógłbyś mi pokazać, od czego powinienem zacząć, bo prawdę mówiąc, zupełnie mnie to przerosło.

– Ale całkiem nieźle zacząłeś, pozbywając się wnętrzości. – Garrett rozsunął przeciętą skórę i zajrzał do środka. – Popatrz tutaj – wskazał. – Możesz to wyciąć, nie powinno być żadnych problemów.

Wykroili serce i wątrobę, a Jack wrzucił je – olbrzymie i jeszcze mokre – do jutowego worka.

\*

Oprawienie łosia zajęło im kolejnych kilka godzin. Była to ciężka robota. Jack miał tak zgrabiałe i przemarznięte dłonie, że kilkakrotnie zaciął się nożem. Bolały go plecy i kolana. Promienie słońca prześlizgiwały się między gałęziami, powietrze robiło się coraz zimniejsze, martwe zwierzę zeszywniało, a oni wciąż nie przerywali pracy. Czasem Garrett podpowiadał mu, gdzie powinien ciąć lub jak rozdzielić kawałki mięsa. Podtrzymywał nogi łosia i rozsuwał naciętą skórę, ułatwiając Jackowi robotę. Trochę pożartowali i porozmawiali, ale głównie pracowali w pełnej zrozumienia ciszy.

Kiedy odcięli nogi, rozcięli żebra, odkroili poledwicę, pręgę i karkówkę, Garrett sięgnął do plecaka po pilę i zabrał się do odcinania poroża.

– Musisz je zabrać – wyjaśnił. – Pokażemy je wszystkim, bo na słowo nikt nam nie uwierzy.

Jack wolałby co prawda zostawić rogi i zabrać w zamian większy zapas mięsa, uznał jednak, że poćwiartowanym kawałkom raczej nic nie grozi, jeśli rozwieszą je na noc na drzewach, a rano wróci po nie, mając ze sobą konia i wóz. Nie chciał zawieść chłopaka, który tak gorliwie mu pomagał, dlatego przywiązali poroże do siodła jego konia, razem z najważniejszymi organami i najlepszymi kawałkami mięsa.

– Świetny koń – pochwalił Jack, gdy pakowali zdobycz na jego grzbiet. – Nie płoszy się przed zapachem świeżego mięsa.

– Sam go kupiłem. Od górnika, który używał go do przenoszenia towarów. Chcę z niego zrobić konia do polowań.

Zakrwawieni i zmęczeni zaczęli się przedzierać powoli między drzewami. Garrett prowadził konia na sznurku. Jack dopiero teraz uświadomił sobie, że znajdowali się bardzo blisko jego pola, skąd mogli wrócić szlakiem do domu. Kiedy dotarli na podwórze, w dolinie zapadał już wieczór.

– Bardzo ci dziękuję za pomoc. – Jack spojrzał na Garretta. – Bez ciebie do teraz kroiłbym mięso.

– Pewnie, pewnie. – Chłopak nie zatrzymał się nawet na sekundę. – Zaczekaj, aż mama i tato to zobaczą.

Popędził do stodoły, pozostawiając Jacka w tyle.

– Wygląda na to, że wrócili przed tobą – zawołał Jack, widząc stojące na podwórzu sanie.

W tej samej chwili ze stodoły wyszedł George w towarzystwie dwóch starszych synów.

– Nie uwierzycie! – wrzasnął Garrett. – Jeszcze nigdy nie widzieliście tak cholernie wielkiego łosia jak ten, którego Jack właśnie ustrzelił!

## ROZDZIAŁ 8

Przygotowując się o poranku do wizyty Bensonów, Mabel przypominała sobie, jak wyglądało Święto Dziękczynienia w domu sąsiadów. Nie powinna się martwić plamami na obrusie ani tym, że podłogi z desek nigdy nie da się porządnie doczyścić. Przygotuje dobry posiłek, ale postara się zbytnio nie popisywać. Nigdy nie założyła na siebie dresu i nie miała takiego zamiaru, a jej długa sukienka wyglądała nieco formalnie, lecz tylko to mogła ubrać.

Przed południem wysprzątała całą chatę i nakryła do stołu. Jakąś godzinę zajęło jej układanie włosów i przekładanie naczyń na stole. Z ulgą powitała nadejście wieczoru i ciągnięte przez konia sanie Bensonów. George i dwaj starsi synowie zaprowadzili zwierzę do stodoły, podczas gdy Esther zabrała pakunki z sań i ruszyła do drzwi. Nie dała Mabel okazji do powitania jej w progu, pakując się bez pukania do środka.

– Dzięki Bogu, że wreszcie tu dojechaliśmy – rzuciła na stół przykurzony worek, omal nie zrzucając talerza. – Pomyślałam, że przyda ci się cebula. My mamy jej w tym roku aż za dużo.

Rozpięła płaszcz i zaczęła wydobywać z przepastnych kieszeni kolejne słoiki.

– To jest dżem z rabarbaru, doskonały do naleśników na zakwasie. Udało ci się z nim coś zrobić? Trzeba mu poświęcić trochę uwagi, nie można dopuścić, żeby stał za długo w cieple albo na mrozie. A tutaj masz dżem malinowo-jagodowy. Tak mi się przynajmniej wydaje. Może być w nim też trochę porzeczek. Trudno stwierdzić. Ale na pewno będzie dobry. A w tym słoiku są kiszzone ogórki, na ostro. George je uwielbia, więc mu nie mów, że wyniosłam jego przysmak z domu.

Esther odwiesiła płaszcz na oparcie krzesła.

– Bałam się, że mi to wszystko pozamarza po drodze, wolałam trzymać je przy sobie – wyjaśniła ze śmiechem i spojrzała w końcu na Mabel, tak jakby dopiero teraz ją zauważyła. Natychmiast wzięła ją w ramiona i przytuliła się do niej zimnym policzkiem.

– Jak dobrze cię widzieć. Od świąt marudziłam George'owi, że musimy do was przyjechać.

Nam, kobietom, nie jest tutaj łatwo, no nie? Zbyt wielu facetów się tu kręci, jeśli ktoś pytałby mnie o zdanie. Sama zresztą zaszalałam i mam samych chłopaków. – Ponownie się zaśmiała, potrząsając długim warkoczem.

Widząc, jak wodzi wzrokiem po chacie, Mabel poczuła mieszaninę dumy i zawstydzenia, przekonana, że jej gość zwróci uwagę na firany i czystość w kuchni, próbując ocenić jej gospodarskie talenty.

– Ładny, czysty dom – pochwaliła Esther. – George mówił, że pojawił się jakiś problem ze szronem na ścianach, ale przy takim mrozie dzieje się tak u każdego. Musicie mocniej grzać.

Wygląda na to, że macie całkiem solidny piecyk, a to bardzo ważne.

Podeszła do pieca i dokładnie tak jak Jack wyciągnęła przed siebie dłonie. Mabel uświadomiła sobie, że nigdy nie zwróciła większej uwagi na piecyk, i zrozumiała, że Esther na pewno nie przegapi starannie zastawionego stołu i zdjęć wiszących na ścianach chaty. Nagle spojrzała na swój dom zupełnie innym wzrokiem.

– Jack jeszcze nie wrócił – wyjaśniła. – Pojawi się pewnie lada chwila i będziemy mogli usiąść do kolacji. Chciałabyś może napić się herbaty? Nastawiłam już wodę.

– Z rozkoszą. Jestem cała przemarznięta po tej podróży. Ale w sumie nie narzekam, zawsze lubiłam śnieg.

– Wiem, co masz na myśli. Albo przynajmniej mogę powiedzieć, że już się do niego przyzwyczaiłam.

Podobnie jak do wielu innych rzeczy tutaj.

Esther parsknęła śmiechem.

– Prawda. Chociaż nie wiem, czy do tego w ogóle można przywyknąć. Po prostu po jakimś czasie masz to już we krwi i nie jesteś w stanie wytrzymać w żadnym innym miejscu.

Usiadły przy stole. Esther nie przestawała mówić, a Mabel nalala jej herbaty. Nie potrafiła znaleźć okazji, aby zapytać o widzianą w lesie dziewczynkę.

– Wiem, że zagadam cię dzisiejszego wieczoru na śmierć – przyznała Esther. – Ale tak dobrze mieć obok siebie jakąś kobietę. Chłopaki naprawdę się starają, lecz najszcześliwsi są wtedy, kiedy siedzę cicho. Przy stole słyhać tylko mlaskanie i „podaj mi to, podaj mi tamto”. A ja lubię usiąść i pogadać. To właściwie jedyny powód, dla którego czasem tęsknię za miastem. Zawsze było z kim porozmawiać. Nawet nie obchodziło mnie za bardzo, o czym wtedy rozmawialiśmy.

Zacząła opowiadać o zeszłorocznych zbiorach, potem o planach rozbudowy kolei i waźniakach, którzy przyjechali aż z Waszyngtonu, aby sprawdzić stan torów i porobić sobie pozowane zdjęcia, oraz o tym, że zwiększone wydobycie w kopalniach i zatrudnienie na kolei wywołają większe zapotrzebowanie na produkty spożywcze. Potem mówiła o wilkach krążących nad rzeką i o swoim najmłodszym synu, który chciał rozstawić sidła, żeby złapać kilka z nich, by skasować obiecaną nagrodę.

– Nie pokazał się u was jeszcze, prawda? – zapytała. – Miał odprowadzić konia znad rzeki i spotkać się tu z nami na kolacji.

Kolejne pytanie Esther dotyczyło lisa, którego Jack zauważył na polu.

– Uważajcie, bo przy pierwszej okazji pozagryza wam kury – ostrzegła. – Następnym razem powinniście go po prostu zastrzelić.

Jeszcze nikt nigdy nie sugerował Mabel, że powinna do czegoś strzelać. Nie przyznała się, że przez całe życie nawet nie dotknęła broni. Wstydziła się tego przed Esther.

– No tak – odparła. – Pewnie masz rację.

Chciała powiedzieć, że sama również widziała tego lisa, gdy towarzyszył dziewczynce, która kręciła się w pobliżu ich stodoły, ale w tym momencie drzwi otwarły się na całą szerokość.

– Możecie mówić o szczęściu nowicjusza – rzucił od progu George – ale Jack zastrzelił największego łosia w całej dolinie. Naprawdę musicie to zobaczyć.

\*

Idąc za Esther i George'em, Mabel próbowała sobie wyobrazić, co zobaczy w stodole.

Tak naprawdę spodziewała się widoku całego zwierzęcia, jeszcze ze skórą i futrem, nadal wyglądającego jak łoś. Kiedy weszła do środka i dostrzegła zakrwawione odcięte poroże, wstrzymała oddech.

– Rany boskie! – jęknęła Esther.

– Dokładnie to samo powiedziałem, mamó. Prawda? – Garrett odwrócił się do Jacka. – Rany boskie!

Jego dziecięcy, pełen entuzjazmu głosik poruszył Mabel prawie tak samo mocno jak martwe zwierzę.

– Te rogi mają prawie metr osiemdziesiąt na szerokość – chłopak ustawił się za zdobyczą, pozując jak afrykański myśliwy ze swoim trofeum.

Nagle Jack złapał Mabel od tyłu w pasie, odwrócił przodem do siebie i trzymał przez chwilę w powietrzu.

– Zrobiłem to, kochanie! Upolowałem naszego łosia! – Pocałował ją w szyję, jakby nagle oboje stali się znacznie młodszy. Zalatywało od niego wonią dzikich zwierząt i bimbrowu, a jego oczy błyszczały od alkoholu. Kiedy odstawił ją z powrotem na klepisko, poczuła się kompletnie zdezorientowana.

– Och... – Tylko tyle potrafiła z siebie wydobyć.

Stodoła wypełniła się gwarem rozmów i radosnych okrzyków. Jack zaczął opowiadać, jak podczas chodzenia po lesie usłyszał za sobą jakiś hałas, a kiedy się odwrócił, miał przed sobą tego łosia, stojącego zaledwie parę metrów od ich pola. Zastrzelił go, po czym pojawił się Garrett, bez którego pomocy na pewno nie udałooby mu się oprawić mięsa. Pomiedzy obydwojma mężczyznami i dwoma starszymi synami Bensonów krążyła butelka z bimbrem, a każdy z nich przykładał ją do ust i pociągał solidny łyk, mówiąc: „Na zdrowie!” i ignorując błagania najmłodszego z chłopaków.

– Masz jeszcze na to czas, dzieciaku – stwierdziła Esther, również częstując się bimbrem, co wywołało salwę śmiechu wśród mężczyzn. Mabel stała w milczeniu. Przyjaciółka odwróciła się do niej i podała jej butelkę.

– Musisz się napić – zachęcała ją radośnie. – Wznies toast za swojego myśliwego.

Mabel przyłożyła do ust chłodną szyjkę butelki. Sam zapach wystarczył, żeby zaczęła się krztusić, zdołała jednak przechylić flaszkę. Lodowato zimny napój obmył jej usta i zaczął palić w gardle, tak że się rozkaszała. Nie przestając się dusić, podała butelkę dalej, podczas gdy pozostali śmiali się radośnie.

– Wychodzi na to, że w tym roku możesz sobie odpuścić tę kopalnię, co Jack? – zauważył George.

– Chyba tak. Spróbujemy przetrwać tę zimę w tradycyjny sposób – na mięsie i ziemniakach.

Dopóki nam ostatecznie nie zbrzydną.

Mabel uśmiechnęła się do niego; wiedziała, że powinna być wdzięczna za tę zdobyczą, wciąż jednak nie potrafiła oderwać wzroku od odpiłowanych kości czaszki, leżących u jej stóp.

Wrócili do domu dopiero wtedy, gdy całkowicie zgrabiały jej z zimna ręce. Jack zabrał latarnię z haka przy drzwiach i objąwszy małżonkę, poprowadził

wszystkich przez śnieg do chaty, gdzie czekała na nich kolacja. Mabel stała się nagle żoną myśliwego z Północy, człowieka z lasu, który potrafił oprawić zwierzę i wznosił toasty bimbrem. Jej świat wywrócił się do góry nogami, przestała go rozpoznawać.

\*

Hałaśliwa gromada przeniosła się do chaty, przekrzykując się jeden przez drugiego i otrzepując śnieg z ubrań. Jack odwiesił płaszcz, odsłaniając ramiona, koszulę i spodnie, pokryte rozmazanymi plamami zaschniętej krwi. Oprócz Mabel nikt nie zwrócił na to uwagi.

– Chyba powinienem się umyć – stwierdził, spojrzawszy na swoje ubranie.

Garrett rzucił jutowy worek na kuchenną ladę, a Esther wyjęła z niego żylasty, okrągły mięsień, wielkości bochenka chleba. Mabel uświadomiła sobie, że patrzy na zwierzęce serce. Jej przyjaciółka zaczęła je kroić na cienkie plastry.

– Nastaw patelnię – rzuciła przez ramię do Mabel. – Zjemy trochę tego na kolację. Nie ma nic lepszego od świeżego serca łosia.

Nim Mabel zdążyła się ruszyć, Esther sama ustawiła żeliwne naczynie na piecu.

– Podałabyś mi cebulę? – poprosiła. – Pokroję ją i wrzucę na patelnię.

Następna godzina okazała się dla Mabel rozmytym chaosem wypełnionym wonią smażonego mięsa i cebuli oraz głośnymi rozmowami. Ktoś musiał ugnieść gotowane ziemniaki, ktoś postawił na stole chleb, pokrojoną marchew i otwarty słoik z cukinią. Zanim zrozumiała, co się wokół niej dzieje, wszyscy tłoczyli się już przy stole. Najmłodszy z chłopaków musiał trzymać talerz na kolanach. Mabel odkroiła kawałek serca nożem do steków i wzięła do ust pierwszy kęs.

– Pyszne, prawda? – dopytywała się Esther.

Mabel skinęła głową i żuła dalej, próbując nie myśleć o kurczącym i rozkurczającym się mięśniu w piersi łosia. Podsmażone mięso miało miedziany posmak krwi, ale wcale nie było takie niedobre, jak się obawiała.

Kiedy rozmowy z wolna ucichły, a wszyscy kończyli już swoje dania, Esther spojrzała na nią z drugiego końca stołu.

– Pamiętasz, że chciałaś mi coś powiedzieć? – zapytała. – Wtedy, zanim George wpadł do domu.

– Och, już nie pamiętam...



– Rozmawialiśmy o tym lisie...

Mabel poczuła nagle zdenerwowanie.

– Faktycznie, chciałam cię o coś zapytać, ale wolałabym to zrobić później. – Nie przejmuj się, nikt przecież nie zwraca na nas uwagi. Mów! – Esther machnęła niecierpliwie ręką. Mabel musiała przyznać jej rację – mężczyźni pogrążeni w myśliwskich opowieściach zupełnie je ignorowali.

– Cóż, chciałam cię zapytać, czy nie słyszałaś o jakiejś małej dziewczynce, która mieszkałaby w pobliżu? Taka drobnutka blondyneczka.

– Dziewczynka? Niech no się tylko zastanowię. W całej dolinie żyje zaledwie kilka rodzin.

W większości domów mieszkają samotni poszukiwacze złota. Wrightowie mają parę dziewczynek, ale obie są rude. Kręcone rude włosy i policzki jak jabłuszka. Na dodatek osiedlili się daleko stąd. Między naszym a waszym domem znalazłoby się jeszcze parę indiańskich obozowisk w okolicach rzeki, ale oni zwykle pojawiają się tylko latem, kiedy łososie płyną na tarło. I oczywiście, raczej nie ma wśród nich blond dzieci.

Esther zabrała się do sprzątanania naczyń. Mężczyźni przerwali na chwilę rozmowę i oddali jej sztućce, po czym natychmiast wrócili do swoich historii.

– Pytam o to dlatego – Mabel pochyliła się do niej i ściszyła głos – że widzieliśmy tu ostatnio jakieś dziecko. Jack obudził się w środku nocy i zobaczył dziewczynkę biegnącą pomiędzy drzewami. Następnego dnia rano zobaczyliśmy, że z ulepionego przez nas wcześniej bałwana, a właściwie małej śniegowej dziewczuszki, została tylko kupka śniegu, zniknęły też gdzieś rękawiczki i szalik, którymi ją ozdobiliśmy. Wiem, jak to głupio brzmi, ale wydaje mi się, że to robota tej dziewczynki. I zupełnie mi to nie przeszkadza, sama bym jej dała te rzeczy, gdyby ich naprawdę potrzebowała. Martwię się tylko, czy się nie zgubiła. Pomyśl – samotne dziecko w lesie, i to na takim mrozie.

Esther przestała zbierać naczynia i spojrzała na nią z uwagą.

– Mówisz, że tu ją widziałaś? Małą blondynkę biegnącą między drzewami?

– Tak. Nie wydaje ci się to dziwne?

– Jesteś pewna? Nie pomyliliście jej z jakimś zwierzęciem?

– Nie. Mam całkowitą pewność. Widzieliśmy jej ślady. Jack próbował iść za nimi, ale zgubiły się w lesie. A potem ja też ją zobaczyłam. Kręciła się pomiędzy drzewami za naszą stodołą.

– A to ci dopiero... Tak jak mówiłam – są w okolicy dziewczynki Wrightów, ale mieszkają dobrych piętnaście kilometrów stąd, jak nie więcej... – Esther zamilkła i

usiadła na krześle, a potem spojrzała z delikatnym uśmiechem na Mabel siedzącą po drugiej stronie stołu.

– Nie chciałabym, żebyś to źle odebrała, Mabel, ale do tego miejsca niełatwo się przyzwyczaić.

Długie zimy są czasem ciężkie do zniesienia. Nazywa się to tutaj „śnieżną gorączką”.

Wciąż się zamartwiasz problemami, nic ci nie pasuje i niekiedy umysł zaczyna płatać ci figle. – Poglądziła jej dłoń leżącą na stole. – Dostrzegasz rzeczy, których się boisz albo... bardzo pragniesz.

Mabel pozwoliła się głaskać przez chwilę, w końcu jednak cofnęła rękę.

– Nie. Nie rozumiesz. Naprawdę ją widziałam. Oboje widzieliśmy ślady, a szalik i rękawiczki naprawdę gdzieś zniknęły.

– Może porwało je jakieś zwierzę albo wiatr? Da się to wytłumaczyć na różne sposoby.

Mężczyźni nagle zamilkli i spojrzeli na Mabel.

– To prawda. Powiedz, że ją widzieliśmy, Jack. Miała na sobie niebieski płaszczyk.

Jej mąż zaczął się wiercić na krześle, wzruszając ramionami.

– To mogło być cokolwiek – stwierdził wreszcie.

– Nie. Nie i nie. – Mabel poczuła złość. – To na pewno była dziewczynka. Sam ją widziałeś.

Podobnie jak ślady na śniegu.

– A mogłabyś nam pokazać te ślady? – zapytała Esther. – Garrett jest świetnym tropicielem, może uda mu się coś o nich powiedzieć.

Mabel z trudem powstrzymywała się od łez i krzyków, skrupulatnie dobierała słowa.

– Już ich nie ma. Zeszłotygodniowa śnieżycą wszystko zasypała.

– Śnieżycą? Przecież nie padało od... – Esther zamilkła, zacisnąwszy nagle usta.

Mabel wstała od stołu i odstawiła naczynia na ladę, zadowolona z tego, że może przerwać rozmowę. Jack również się podniósł i dołożył drewna do piecyka, unikał przy tym patrzenia jej w oczy. Skupiła się na deserze – ciasteczkach na zakwasie, posmarowanych dżemem zrobionym przez Esther. Przyjaciółka podeszła do niej i delikatnie ścisnęła ją za łokieć. Chociaż chciała w ten sposób wyrazić swoje współczucie i przywiązanie, Mabel poczuła się jeszcze gorzej.

Chwilę później chata znów wypełniła się gwarem niezobowiązujących pogaduszek o porach roku, pracy na roli i gromadzeniu zapasów na zimę. Esther,

George i Jack zaśmiewali się do rozpuku z historii o wrednych niedźwiedziach, upartych koniach i figlach, jakie płatali sobie wzajemnie Bensonowie. Nikt nie wspomniał już ani słowem o dziewczynce i śladach na śniegu.

Na zewnątrz zapadł mrok. Mabel wyjrzała przez okno, pomyślała, że być może znów uda jej się wypatrzeć zagubione dziecko, ale zobaczyła tylko swoje odbicie w szybie oświetlonej blaskiem lampy.

## ROZDZIAŁ 9

Jack sięgnął po jedno z ciasteczek na zakwasie, upieczonych przez Mabel. Wstał bardzo wcześnie, żeby przywieźć resztę mięsa do domu, a kiedy rozwiesił je w końcu w stodole i odprowadził konia, zrobił sobie przerwę na lunch. Korzystając z tego, że żona patrzyła w drugą stronę, wsunął ciasteczko do kieszeni i oznajmił, że wraca do roboty w stodole. Zamiast tego jednak skierował się w stronę lasu.

Próba wywabienia dziecka w ten sposób wydawała mu się niewłaściwa. Jako dzieciak często podchodził jelenie i szopy, podsuwając im jedzenie, i nauczył się, że cierpliwość zwykle się opłaca. Pewnego dnia doprowadził do tego, że łania wzięła marchewkę wprost z jego dłoni i dopiero potem uciekła do lasu. Nigdy nie zapomniał tego momentu, gdy po ciągnącym się w nieskończoność kucaniu i czekaniu zwierzę pochyliło długą szyję i wyjęło pokarm z jego palców, dotykając ich miękkim pyskiem.

Zgarnął śnieg z pniaka i położył na oczyszczonym miejscu przyniesione ciasteczko, zastanawiając się nad tym, czy kierowała nim tylko ciekawość. W końcu dziewczynka nie była szopem, którego łatwo skusić na przynętę. I choć czułby się głupio, przyznając się do tego przed Bensonami, ciągle się o nią martwił. Ta mała przyszła do ich domu i żadne z nich nie wiedziało, jaki był tego powód. Może faktycznie strach lub nieśmiałość powstrzymywały ją od zapukania do drzwi. Może czuła się samotna i szukała towarzystwa, a może miała pilniejsze potrzeby.

Schronienie. Ubranie. Jedzenie. Pomoc. Nie potrafił przestać o tym myśleć, więc wypróbował jedyny sposób, jaki znał, aby ją podejść.

Przez następnych kilka godzin Jack pracował na dworze, odgarniając śnieg i układając porąbane drzewo. Kątem oka wciąż obserwował odsnieżony pniak, ale ciasteczko wciąż leżało tam, gdzie je zostawił, a w lesie panowała zupełna cisza.

Następnego ranka odkrył ślady prowadzące do pnia i niknące w krzakach za świerkiem, gdzie musiała się ukrywać dziewczynka. Smakołyk wciąż był nienaruszony.

Wieczorem postanowił rozejrzeć się po chacie za inną przynętą. Sprawdzał kolejne puszki i pudełeczka, aż w końcu Mabel zapytała, co mu chodzi po głowie.

– Nic takiego – wymamrotał, czując przyływ poczucia winy. Na pewno skrytykowałaby jego pomysł albo próbowała podpowiedzieć jakieś rozwiązanie, a on musiał to zrobić po swojemu.

W młodości nigdy nie udało mu się podejść żadnego jelenia ani ptaka, jeśli jego przyjaciele kręcili się gdzieś w okolicy.

Co ważniejsze, każda wzmianka o dziewczynce wzbudzała w Mabel niepokój. W ostatnim czasie miała zdecydowanie lepszy nastrój, a w jej oczach pojawił się blask, który sprawiał Jackowi radość. Spotkanie z Esther dobrze na nią wpłynęło, ale kiedy tylko wracał temat zabłąkanego dziecka, jego żona traciła panowanie nad sobą. Często przyłapywał ją na wyglądaniu za okno. Te same zachowania, które w młodości sprawiały, że była dla niego tak pociągająca, teraz stawały się sygnałami nie najlepszego stanu zdrowia psychicznego. Zawsze miała sporą wyobraźnię, była cicha i niezależna, ale z czasem przekształciło się to w ponurą melancholię, którą poważnie się martwił. Uznał, że dopóki nie będzie miał żadnych pewnych informacji na temat dziewczynki, lepiej w ogóle przemilczeć ten temat.

\*

Kiedy ciasteczka na zakwasie, miętowe czekoladki, a nawet zwędzony przez Jacka kawałek ciasta Mabel nie przyniosły żadnego efektu, musiał przyznać, że nie ma pomysłu na to, jak zwabić dziewczynkę. Pomyślał o zabranych przez nią szalu i rękawiczkach. Być może było jej zimno i potrzebowała jeszcze jakichś ubrań? Przypomnił sobie jednak te nieliczne okazje, kiedy miał szansę się jej przyjrzeć – futra i wełna, którymi się okrywała, wydawały się jej całkowicie wystarczać.

Gdy wybrał się do miasta, jego uwagę zwróciła niewielka porcelanowa laleczka na wystawie sklepowej. Zabawka miała długie, proste blond włosy, całkiem podobne do włosów dziewczynki, a ubrana była w kolorowy strój – szwedzkiej lub duńskiej wieśniaczki. Ignorując wyrzuty sumienia wywołane wydawaniem pieniędzy na taką błahostkę, kupił laleczkę na kredyt i wsunął do kieszeni płaszcz. Po powrocie do domu nie potrafił usiedzieć w miejscu. Wziął zabawkę ze sobą i poszedł po raz ostatni nakarmić i napoić zwierzęta, chociaż było już po zmroku.

Niosąc przed sobą latarnię zabraną ze stodoły, dotarł do pieńka, na którym wciąż leżały nietknięte dary. Wyjął laleczkę z kieszeni. Może faktycznie postradał rozum? On i Mabel. Jak to nazywała Esther? „Śnieżna gorączka”?

– To dla ciebie – zawołał tak delikatnie, jak tylko potrafił. – Jesteś tam? – zachrypiał. Odkaszlnął i spróbował raz jeszcze: – Nie wiem, czy tam jesteś i czy w ogóle mnie słyszysz, ale chciałbym, żebyś to wzięła. Przywiozłem ją z miasteczka. I... no cóż... dobranoc.

Miał nadzieję, że uda mu się ją zobaczyć, albo przynajmniej usłyszy ptasi trel unoszący się między drzewami, noc jednak pozostała cicha, ciemna i mroźna. Przystępując z nogi na nogę, wepchnął ręce do kieszeni, wreszcie odwrócił się od pnia, na którym pozostawił porcelanową laleczkę.

\*

Kiedy wrócił do chaty, Mabel podgrzewała mu właśnie wodę do mycia. Znad miski uniosły się kłęby pary. Jack zdjął koszulę, przewiesił ręcznik przez ramię, ochlapał wodą twarz i namydlił brodę. Za jego plecami Mabel krzątała się w kuchni.

– Och – westchnęła nagle.

Jack spojrział znad miski, ocierając twarz ręcznikiem.

– Co się dzieje?

– Popatrz na okno. Widzisz?

Na szybie przed ich oczami zaczęła się tworzyć warstwa grubego szronu, kolejne zawijasy i pierzaste kształty rozchodziły się powoli od środka okna ku krawędziom. Na szkle wiły się i plątały białe, koronkowe gałązki, rozkwitały kolejne lodowe kwiaty. W ciągu kilku sekund całe okno pokryło się kilkunastoma lodowymi malunkami.

– Może to z powodu pary? – szepnęła Mabel, przyciskając dłoń do szyby. Ciepło skóry roztopiło warstwę lodu. Zwinęła palce w pięść, wydrapała niewielkie kółeczko pośrodku szklanej tafli i wyjrzała na zewnątrz.

– Och! Och! – westchnęła gwałtownie.

– Co się dzieje, Mabel? Co jest?

– To ona! Widziałam jej twarzyczkę za oknem! Miała futro dookoła głowy, zupełnie jak dzikie zwierzę.

– To jej czapka. Ma taką czapeczkę z soboli, wiązaną pod brodą.

– Ale ona tam teraz jest! Poszukaj jej.

– Potrafi szybko biegać, nawet po śniegu – próbował zaprotestować Jack, ale Mabel już podawała mu płaszcz oraz buty i otwierała drzwi.

Wyszedł na zewnątrz, a jego mokra broda i włosy momentalnie zeszywniały na mrozie.

Obszedł chatę dookoła, ale znalazł tylko to, czego się spodziewał – śnieg, drzewa i mrok. Dziecko zniknęło.

\*

Następnego ranka omal nie potknął się o niewielki koszyk stojący na progu.

– Jack? Co to...

– Nie wiem – odparł i ustawił kosz na stole. Mabel podeszła bliżej, żeby się przyjrzeć. Koszyk upleciono z topolowej kory i obszyto prymitywną nitką z wysuszonych korzeni jakichś roślin. Miał rozmiar dwóch złożonych dłoni i był po brzegi wypełniony fioletowymi jagodami.

Jack wziął jedną z nich w dwa palce, powąchał i położył na języku.

– Przestań, Jack, nie wiesz, co to może być.

– To borówki. Smakuje jak borówka.

Zmarszczyła brwi, ale również sięgnęła po owoc i skosztowała.

– Masz rację. Dzikie borówki. Zamarznięte na kość.

Usiadła przy stole, trzymając koszyk za krawędzie tak ostrożnie, jakby się bała, że mógłby się rozpaść w jej dłoniach.

– Myślisz, że to ona? – zapytała. – To dziecko nam je przyniosło?

– Myślę, że wiem, z czym zjemy naleśniki na śniadanie – odpowiedział, ale Mabel się nie uśmiechnęła.

– Przyniosę dREW do ognia – stwierdził.

Idąc po własnych śladach, minął zapas drewna i podszedł do pieńka na skraju lasu. Laleczka zniknęła. Niewielkie, dziecięce ślady okrężyły pniak dwukrotnie – w jedną i drugą stronę – a potem niknęły pomiędzy drzewami. Wgłębienia w śniegu były tak delikatne, jakby dziewczynka ważyła nie więcej niż piórko.

Gdy wrócił z naręczem drewna, Mabel stała przy piecu i smażyła naleśniki. Dorzuciła po kilka borówek do każdego z nich. Zjedli przy stole, wpatrzeni w wiklinowy koszyk, który wciąż stał pomiędzy nimi. Nie rozmawiali o dziewczynce

aż do momentu, kiedy wszystkie naczynia zostały uprzątnięte, a Jack ponownie ruszył ku drzwiom.

– Zbiorę trochę drzewa z pola. Wszyscy mówią, że nadciąga fala mrozów.

– Jak możesz! – wybuchła Mabel cichym, roztrzęsionym głosem. – Jak możesz tak po prostu jeść śniadanie i zajmować się robotą, jakby nic się nie stało?

– Jest zima. Potrzebujemy drewna.

– To przecież dziecko, Jack. Może nie chcesz się do tego przyznać przed sąsiadami, ale też ją widziałeś. Wiesz, że tam jest.

Westchnął i dokończył zawiązywać sznurówki, a potem podszedł do żony i położył dłonie na jej ramionach.

– I co możemy zrobić? – zapytał.

– Coś musimy.

– Nie wiem, jak moglibyśmy jej pomóc. Wydaje mi się, że z nią wszystko w porządku.

– Jak może być wszystko w porządku? – Mabel spojrzała na niego spod przymrużonych powiek. – Samotne dziecko włóczące się po lesie w środku zimy?

– Mam wrażenie, że nie marznie. I na pewno wie, jak znaleźć jedzenie. Popatrz na ten koszyk z borówkami. Potrafi sobie tutaj poradzić, pewnie lepiej niż my.

– Ale to tylko małe dziecko. Dziewczynka.

Bał się, że Mabel za chwilę się rozplacze, i marzył tylko o tym, żeby jak najszybciej wyjść. Było to paskudne, tchórzliwe zachowanie i robił tak już nie raz – gdy stracili dziecko i Mabel pogrążyła się w rozpacz, gdy krewni obgadywali ją za plecami, gdy Bensonowie pytali o dziewczynkę z lasu. Ale naprawdę potrzebował oddechu. Pragnienie to było tak silne, że wyszedł z chaty, nie mówiąc ani słowa więcej.



## ROZDZIAŁ 10

Nocce Mabel były wypełnione płatkami śniegu i nieubranymi dziećmi. Śniło jej się, że utknęła w samym środku burzy śnieżnej. Wokół niej wirowały białe tumany. Wyciągnęła przed siebie otwartą dłoń, by złapać kilka płatków. Roztapiając się na jej skórze, przemieniały się w nagie niemowlęta, nie większe od paznokcia i mokre. Porwane przez wiatr, znów stawały się śnieżynkami i znikwały wśród tysięcy im podobnych.

Czasem budził ją odgłos własnego płaczu, niekiedy Jack musiał delikatnie potrząsnąć nią przez sen: „Obudź się, Mabel. Śni ci się jakiś koszmar. Zbudź się”.

W ciągu dnia zapominała powoli o strasznych szczegółach, a same sny zdawały jej się dziwaczne i skomplikowane, wciąż jednak nękało ją poczucie jakiejś nieokreślonej straty. Nie potrafiła się skupić na tym, co powinna zrobić, zatopiona w bezcelowych wędrówkach wewnątrz własnego umysłu. Co chwila wracało do niej niewyraźne wspomnienie – ojciec, oprawiona w skórę książka z baśniami, śnieżna dziewczynka ożywająca na jej stronach. Martwiła się tym, że nie pamięta już szczegółów tej historii, a jej umysł zachował zaledwie kilka ilustracji, więc wciąż wracała myślami do tego tematu. Skoro istniała taka książka, to czy mogła też istnieć podobna dziewczynka? Jeśli para starych ludzi ulepi sobie dziewczynkę ze śniegu, to kim ona dla nich będzie?

Córeczką? Widmem?

Szukała przecież racjonalnych wyjaśnień. Pytała Esther o mieszkające w pobliżu dzieci, prosiła Jacka, by spróbował się czegoś dowiedzieć w miasteczku. Pamiętała też jednak, że kiedy po raz pierwszy zobaczyła ślady na śniegu, prowadziły one od pozostałości po śnieżnej figurce aż do lasu. Podwórce pozostało idealnie białe.

Do tego dochodził jeszcze ten szron krystalizujący się na szybie przed ich oczami i burza śnieżna, która przywiodła ją w stronę domu. Co najważniejsze, było także samo dziecko, o twarzy wyglądającej dokładnie jak ta wyrzeźbiona ze śniegu przez Jacka i oczach niczym kryształki lodu. Choć wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne, Mabel wiedziała, że taka właśnie była prawda – to

ona i Jack stworzyli tę dziewczynkę ze śniegu, zamarznętej trawy i brzoźowych witek.

Zrozumienie tego wprawiało ją w zachwyty. Dziecko było nie tylko cudem, lecz także ich własnym dziełem. Nie można powołać czegoś do życia, a potem pozwolić, by zniknęło w dziczy.

\*

Kilka dni po znalezieniu koszyka na progu Mabel zdecydowała się na napisanie listu do siostry, która wciąż mieszkała w ich rodzinnym, filadelfijskim domu. Być może książka nadal leżała na strychu, razem ze skrzyniami pełnymi ubrań i pamiątek, uzbieranych przez te wszystkie lata. Wstawiła chleb do piekarnika, a potem zasiadła przy stole, znajdując pociechę w samym akcie pisania. Czynność ta nadawała jej życiu jakiś racjonalny cel. Książka mogła się znaleźć lub nie, ale jeśli siostra mogłaby jej ją odesłać, to Mabel była święcie przekonana, że na pewno miałyby to jakieś konsekwencje. Mogłaby się z niej dowiedzieć, jak wyglądały dalsze losy pary staruszków i śnieżnego dziecka.

Najukochańsza Siostrze, mam nadzieję, że mój list zastanie Cię w dobrym zdrowiu. My przygotowujemy się do zimy – zaczęła.

W dalszej części opisała zaśnieżone góry oraz przyjacielskich Bensonów. Zapytała o już dorosłych siostrzeńców i dom rodzinny. Dopiero wtedy, jakby od niechcienia, zadała pytanie o książkę.

Pamiętasz ją, najdroższa Ado? Przez kilka lat w dzieciństwie była to moja ulubiona lektura.

Wydaje mi się, że miała oprawę z niebieskiej skóry, ale z samej historii niewiele już pamiętam – nie znam nawet tytułu. Wiem, że jej odszukanie może być niemożliwe, ale nie potrafię przestać o niej myśleć. Tak jak wtedy, gdy masz na końcu języka czyjeś nazwisko, ale nie umiesz sobie go do końca przypomnieć. Mogę mieć jedynie nadzieję, że wiesz, o jakiej książce myślę i uda Ci się ją odnaleźć wśród tych wszystkich kufrów i gratów na strychu.

Później poprosiła ją jeszcze o przysłanie paru ołówków, miała bowiem zamiar wrócić do swojego dawnego hobby, a w jej piórniku pozostało zaledwie parę stępionych ołówek.

Zakleiła list, odłożyła na bok i podeszła do piecyka. Wyjęła z piekarnika chleb i popukała delikatnie w skórkę, żeby sprawdzić, czy już się upiekł, po czym

wsunęła go z powrotem. Spojrzała za okno i zobaczyła Jacka przy stosie drewna. Oraz dziewczynkę.

Stała pomiędzy drzewami, niezauważona przez Jacka, który rozebrał się z płaszcza i rozłupywał kolejne drwa, unosząc nad głową ciężki topór i opuszczając go z hukiem. Dziewczynka nie spuszczała z niego wzroku, a potem podeszła bliżej i wyjrzała spomiędzy sosnowych gałęzi, w których się ukrywała. Wciąż miała na sobie ten błękitny płaszczyk obsyty białym futrem. Pod nim Mabel dostrzegła jasnoniebieską sukienkę w kwiatki, sięgającą do kolan, oraz buty zrobione ze skóry i futra jakiegoś zwierzęcia.

Zbliżyła się do okna, wciąż niezdecydowana, czy powinna zawołać, zwracając uwagę Jacka, czy czekać, aż sam dostrzeże dziewczynkę. Nie chciała jej wystraszyć – z drugiej strony, była tak blisko... Nagle Jack podniósł głowę i również ją zobaczył. Mała postać znajdowała się jakieś dziesięć metrów od niego. Mabel wstrzymała oddech. Widziała, że jej mąż coś mówi, ale nie słyszała słów. Dziecko wciąż tkwiło w bezruchu. Jack wyciągnął rękę i zrobił krok do przodu.

Dziewczynka cofnęła się, a on znów zaczął mówić. Przez okno trudno było dostrzec wszystkie szczegóły, ale Mabel miała wrażenie, że dziecko podniosło dłoń w niebieskiej rękawiczce i pomachało nią. Oddech skraplający się na szybie uniemożliwiał dalszą obserwację. Przetarła szkło ręką i zdążyła jeszcze zobaczyć, jak dziewczynka odwraca się na pięcie i znika między drzewami.

Jack stał nieruchomo z opuszczonymi rękami, oparłszy topór o ziemię. Mabel popędziła do drzwi i otworzyła je na całą szerokość.

– Biegnij za nią, Jack. Goń ją! – Jej krzyk okazał się znacznie głośniejszy i bardziej przenikliwy, niż się spodziewała. Zaskoczony Jack wodził wzrokiem, patrząc to na nią, to na las.

W końcu ruszył za dziewczynką, z początku powoli, potem szybciej, truchtając w głębokim śniegu.

Jego nogi wydawały się dziwacznie wydłużone i krzywe, gdy parł przez zaspę w ciężkich butach, niezdolny do tego, by biec tak lekko jak dziewczynka.

Czekała na niego przy oknie. Od czasu do czasu podchodziła do drzwi, otwierała je i rozglądała się na wszystkie strony, ale nikogo nie dostrzegła ani w lesie, ani na podwórzu. Mijające minuty złożyły się w godzinę, a potem kolejną. Zastanawiała się, czy nie powinna ubrać zimowych butów i płaszcza, żeby ruszyć za nimi, wiedziała jednak, że nie byłoby to zbyt rozsądne.

Zimą dni były krótkie, a noc mogła zapaść w każdej chwili.

Zapaliła lampę, która rozproszyła wieczorny półmrok w chacie, dołożyła drewna do ognia i próbowała się powstrzymać przed chodzeniem z miejsca na miejsce. Przypomniła sobie, jak jej matka krążyła po domu, załamując ręce, gdy ojciec spóźniał się z jakimś uniwersyteckim spotkaniem.

Jej myśli powędrowały w stronę żon żołnierzy, poszukiwaczy złota, traperów, pijaków i cudzołóżników, spędzających całe noce na oczekiwaniach. Dlaczego to zawsze kobiety były skazane na nerwy, zgryzoty i wyczekiwanie?

Usiadła w końcu przy piecu i spróbowała się skupić na szyciu. Nawet nie wiedziała, kiedy zasnęła na krześle, obudził ją dopiero powrót Jacka. Jego brodę i wąsy pokrywała warstwa lodu, a zeszywniałe nogawki spodni były oblepione śniegiem. Nie zdjął butów, nie otrzepał ich też ze śniegu, tylko od razu podszedł do pieca i wyciągnął nad nim zmarznięte dłonie. Ruszając w pogoń za dzieckiem, nie zabrał ze sobą rękawiczek. Kiedy dotknęła jego zimnej skóry, skrzywił się z bólu.

– Masz odmrożenia?

– Nie wiem. Ale na pewno zmarzłem. – Lód okalający jego usta i zmęczenie sprawiały, że wypowiedane przez niego słowa były niewyraźne. Mabel zaczęła pocierać dłonie męża, próbując przywrócić krążenie w palcach.

– Dogoniłeś ją? Co widziałeś?

Odsunął się i wydlubał odrobinę lodu z zarostu, po czym zabrał się do zdejmowania butów, płaszcza oraz spodni, które powiesił na haku obok pieca, by wyschły. Chata wypełniła się wonią mokrej wełny.

– Jack? Słyszałeś mnie? Co tam znalazłeś?

– Nic – odpowiedział, nie patrząc w jej stronę i kierując się zmęczonym krokiem do sypialni.

– Jestem zmęczony, Mabel. Nie mam siły o tym rozmawiać.

Wsunął się pod pościel, a po chwili dało się słyszeć ciche chrapanie. Mabel znów została sama przy piecyku.

## ROZDZIAŁ 11

Jack zawsze wierzył, że nawet jeśli nie dałoby się go nazwać odważnym, to na pewno można go uznać za rzetelnego i kompetentnego. Z dużą ostrożnością podchodził do rzeczy prawdziwie niebezpiecznych, takich jak narowiste konie czy narzędzia rolnicze zdolne do odcięcia kończyn, kpił jednak ze wszystkich przesądów i zabobonów. Niemniej w samym środku dziczy, w gasnącym świetle zimowego dnia odkrył w sobie pokłady zwierzęcego strachu. Tym, co go najbardziej zawstydziło, był fakt, że nie potrafił tego nawet nazwać. Gdyby Mabel chciała wiedzieć, co go tak przeraziło, kiedy szedł w ślad za dziewczynką po górach, mógłby jedynie wyjaśnić, że poczuł się jak dziecko, niepewne tego, co kryją ciemności. W jego umyśle wirowały niepokojące myśli, historie zasłyszane w dzieciństwie – o leśnych wiedźmach i ludziach przemienionych w niedźwiedzie. Przerazała go nie tyle dziewczynka, ile ten dziwny świat złożony ze śniegu, skał i milczących drzew, pomiędzy którymi z taką łatwością się przemieszczała.

Dziecko śmiało przeskakiwało ponad powalonymi pniami i pędziło przez las ze zwinnością chochlika. Zbliżył się do niej na tyle, by dostrzec brązową futrzaną czapkę i sięgające do kolan skórzane botki. Kiedy się do niej odezwał przy stosie drewna, stała tak blisko, że mógł zobaczyć jej jasne rzęsy i intensywnie niebieskie oczy. Uśmiechnęła się do niego, gdy zapytał o lalkę.

Nieśmiały, słodki, dziewczęcy uśmiech.

Nagle jednak zmieniła się w ducha, w rozmazaną ciszę. Kiedy próbował dotrzymać jej kroku, w lesie uniosła się lodowa mgła. W powietrzu zamigotały miniaturowe kryształki, które momentalnie obsiadły gałęzie i zalepiły mu rzęsy. Widoczność spadła do zaledwie paru kroków, co chwila musiał się też zatrzymywać, opierając dłonie na kolanach i czując marznący pot na czole. Starał się zapanować nad własnym, głośnym oddechem, jednak w otaczającej go ciszy słyhać było tylko skrzypienie jego butów. Dziecko nie wydawało żadnych dźwięków. Odwrócił się, słysząc trzask łamanych gałązek, ale zobaczył tylko zająca czmychającego pomiędzy olchy, a po zapadnięciu zmroku usłyszał dalekie pohukiwanie sowy. Dziewczynka poruszała się bezszelestnie.

Czasem nie był nawet pewien, czy wciąż ją ściga, czy też miota się na ślepo pomiędzy drzewami jak jakiś szaleniec. Po czym znów ją przed sobą dostrzegął, tak jakby specjalnie na niego czekała.

Nie miał pojęcia, jak daleko za nią zaszedł i ile czasu minęło, od kiedy wyruszył w pościg, parł jednak naprzód przez należące do nich stuszećdziesięciohektarowe gospodarstwo, aż do stóp wzgórza, na którym upolował łosia, i wyżej, gdzie wysokie drzewa ustępowały miejsca karłowatym brzozom i dzikiemu rozmarynowi. Szedł za nią górskim grzbietem nad zaśnieżoną doliną, wspinając się coraz wyżej, aż dotarł do kolejnego wzniesienia i odkrył, że znalazł się w górskim wąwozie, otoczonym stromymi łupkowymi ścianami.

Wewnątrz rozpadliny szalał mroźny wiatr. W oddali było widać lodowy wodospad, wijący się po skalistym zboczach. Pod stopami miał niewielki strumyk, meandrujący pod lodem między skałami i drzewami. Dziewczynki wciąż jednak nigdzie nie było.

Ostrożnie ruszył po jej śladach w głąb wąwozu, stwierdzając po chwili, że urywają się przed zaśnieżonym zboczem. Nie miało to najmniejszego sensu, ale tak właśnie było – ani na stoku, ani nad brzegiem strumienia nie było żadnych śladów; kończyły się u stóp góry. Dopiero chwilę później zauważył niewielkie drzwiczki w zboczach, zwieńczone śnieżną kopułą. Kucnął przy skale, czując zimny pot na plecach. Mógł otworzyć te drzwiczki i zawołać dziewczynkę, ale tego nie zrobił. Czego mógł się spodziewać? Jakiejś baśniowej bestii przetrzymującej dziecko w jaskini? Rechocącej złowieszczo wiedźmy? Czy też że nie zobaczy zupełnie niczego – żadnego dziecka, żadnych śladów, żadnych drzwi – tylko własne szaleństwo, zagrzebane w nietkniętym śniegu? To chyba była jego największa obawa – nie chciał odkryć, że uganiał się za iluzją.

Aby nie musieć się mierzyć z tą możliwością, odwrócił się tyłem do drzwi i ruszył z powrotem do domu. Przez chwilę jeszcze wpatrywał się w ślady. W niektórych miejscach widział dwa rodzaje odcisków butów – dziewczynki i swoje, większe. Czasami ślad był pojedynczy, domyślał się więc, że najprawdopodobniej zdeptał swoimi buciorami odciski pozostawione przez dziewczynkę, co tylko wzmagало jego niepokój w tym smaganym wiatrem lesie. Robiło się coraz ciemniej i zaczynał się obawiać, że splątane ślady prowadzą go coraz głębiej pomiędzy drzewa, odwrócił się więc od nich i skierował się prosto ku rzece. Miał nadzieję, że trzymając się brzegu Wolverine, uda mu się w ciągu godziny wrócić do domu.

Powrót okazał się jednak o wiele trudniejszy – droga wiodła go przez strome wąwozy, gdzie zapadał się po kolana w śniegu, i gęsty las, w którym całkowicie gubił orientację. Samą rzekę zauważył dopiero wtedy, gdy poczuł lód pod stopami i usłyszał jej stłumiony odgłos. Wycofał się na stały grunt i ruszył w stronę domu, orientując się według niewyraźnych zarysów znajomego brzegu.

Spodziewał się, że Mabel będzie na niego czekać, spragniona odpowiedzi. Było to całkowicie racjonalne, ale wzbudzało w nim irytację. Odczuwał potworne zmęczenie, miał odmrożenia i mógł jej opowiedzieć tylko o starym mężczyźnie, który trząśł się ze strachu przed miniaturowymi drzewczkami.

\*

Obudził się następnego ranka, słysząc, jak Mabel krząta się w kuchni. Brzęczenie naczyń, świst miotły, trzaski i postukiwania – każdy dźwięk sygnalizował jej podenerwowanie. Powoli zwłóknął się z łóżka.

Oboje udali się do swoich zajęć, kroki Mabel stawały się jednak coraz głośniejsze, podobnie zresztą jak jej westchnienia, a gniew wciąż zdawał się narastać. Wreszcie da sobie spokój, lecz dystans, jaki się między nimi wytworzył, stanie się jeszcze szerszy i głębszy. Doskonale o tym wiedział, ale nie miał siły, żeby to powstrzymać. Zamiast tego pozostawił ją samą sobie i uciekł do stodoły i rąbania drewna.

\*

Żałował tego, co zrobił wczoraj. Nie powinien był uganiać się za tym dzieckiem. Przez kilka następnych dni poświęcał się pracy w stodole lub na podwórzu, choć wiedział, że powinien wypalać pnie na polu. Wpatrywał się w las i szukał śladów na śniegu. Powtarzał sobie, że jeśli dziewczynka pojawi się raz jeszcze, to powstrzyma się od pościgu, postara się jej nie przestraszyć.

Kiedy więc stanęła tuż obok niego jakiś tydzień później, dotrzymał swoich postanowień i w dalszym ciągu zajmował się robotą, jakby nic się nie stało. Szczapa za szczapą znosił drewno za stodołę i układał je na stosie. W końcu dziewczynka przycupnęła na świerkowym pniaku, wciąż nie spuszczając z niego wzroku. Po zapadnięciu ciemności Jack wszedł do stodoły, żeby odłożyć na

miejsce topór i siekierę. Dziecko ruszyło parę kroków za nim i zatrzymało się na progu.

Czekało, aż wróci, wpatrując się w niego tymi olbrzymimi niebieskimi oczyma. Minął je bez słowa i skierował się do chaty. Dopiero kiedy stanął przy drzwiach, odwrócił się do niej i rzucił przez ramię: „Czas na kolację. Chodź do środka”.

Zostawił jej otwarte drzwi, a ona go posłuchała. Weszła ostrożnie do domu, jakby się bała, że podłoga może w każdej chwili usunąć jej się spod nóg, ale wciąż szła przed siebie. Gdy znalazła się w ogrzonym wnętrzu, warstwa lodu okrywająca jej płaszcz i czapkę natychmiast zaczęła się topić. Jack obserwował lód znikający z jej botków i rzęsy pokryte kroplami wody.

Dziewczynka miała mokre oczy i wyglądała, jakby płakała.

Mabel robiła coś przy kuchennym stole, odwrócona do nich plecami. Jack zamknął drzwi.

– Chyba przydałoby nam się trochę więcej drewna – odezwała się i odwróciła, trzymając w ręku gorący garnek z ziemniakami. Kiedy dostrzegła dziewczynkę stojącą obok Jacka, otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, zamiast tego jednak upuściła garnek.

– Och! – jęknęła, patrząc na swoje mokre stopy, pokryte kawałkami ugotowanych ziemniaków.

– Jejku.

Dziewczynka cofnęła się, wystraszona hałasem, kiedy jednak w chacie ponownie zapadła cisza, zaśmiała się cichutko, zakrywając buzię dłonią w rękawiczce.

Mabel błyskawicznie zgarnęła ziemniaki z powrotem do garnka i wytarła wodę ręcznikiem, wciąż nie spuszczać wzroku z dziecka.

– Pozwól, że wezmę twój płaszcz – zaproponował Jack.

Dziewczynka zdjęła rękawiczki, a kiedy wyciągnął rękę, żeby je od niej wziąć, wsunęła dłoń do kieszeni płaszcza. Wyjęła z niej jakieś niewielkie zwierzątko z czarnym noskiem, pokryte białym futrem. Spodziewał się, że będzie się wyrywało i spróbuje uciec, ale po dokładniejszych oględzinach okazało się, że jest to tylko futerko, mające jakieś dwadzieścia centymetrów długości od pyska do ogona.

– Gronostaj?

Dziecko skinęło głową i wyciągnęło do niego rękę. Zasuszona skóra pod futerkiem przypominała w dotyku pergamin. Mabel podeszła bliżej, pogładziła



palcem zamknięte powieki i niewielkie wąsiki, a potem przesunęła nim po białym futrze.

– Bardzo ładne – stwierdził Jack, oddając je dziewczynce. Dziecko pokręciło głową. – Włóż je z powrotem do kieszeni. Żebyś nie zapomniała.

Kolejny delikatny uśmiech i przeczący ruch głową.

– Ona chce, żebyśmy je zatrzymali – szepnęła Mabel.

– Na pewno? To dla nas?

Uśmiech.

– Jesteś pewna?

Energiczne kiwnięcie główką.

Jack zawiesił gronostajową skórkę na haku przy kuchennym oknie i wygładził dłonią zmierzwione futro. Odwrócił się spojrzał na Mabel nachylając się nad dzieckiem.

– Dziękuję – powiedziała.

– Proszę. – Jack podszedł do stołu i odsunął krzesło. – Usiądź.

Dziewczynka siadła, ułożywszy sobie na kolanach płaszczyk i rękawiczki, nadal jednak nie zdjęła czapki.

– Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym to powiesił? – zapytał.

Milczenie.

– W porządku. Jak ci wygodniej.

Stawiając na stole talerz ze stekami z łosia, Mabel spojrzała pytająco spod uniesionych brwi na Jacka. Odpowiedział prawie niezauważalnie wzruszeniem ramion.

– Chyba będziemy musieli się obejść bez ziemniaków, prawda? – stwierdziła Mabel, patrząc na dziewczynkę, która odpowiedziała uśmiechem. – Mamy trochę tych paskudnych sucharów i gotowaną marchewkę, myślę, że damy sobie radę.

## ROZDZIAŁ 12

Nigdy sobie nie wyobrażała, że przy jej kuchennym stole zasiądzie kiedyś mała dziewczynka. Jak do tego doszło? Wszystko wokół niej działo się w surrealistycznie szybkim, a jednocześnie powolnym tempie snu. Stawiając przed dzieckiem talerz, musiała ze wszystkich sił powstrzymać pragnienie dotknięcia dziewczęcej dłoni, sprawdzenia, czy istnieje naprawdę. Oboje z Jackiem zajęli swoje miejsca. Widziała, że mąż składa ręce do modlitwy i opuszcza głowę, ona jednak wciąż nie mogła oderwać oczu od niespodziewanego gościa.

Z bliska, otoczona wysokimi krzesłami, dziewczynka wydawała się jeszcze mniejsza. Po zdjęciu płaszczyka, który nadawał jej zaokrąglone kształty, gdy przemykała pomiędzy drzewami, dokładnie było widać jej chudziutkie ręce i wąskie ramiona. Wciąż miała na sobie tę samą bawełnianą sukienkę ozdobioną wzorem w drobne kwiatki, ale dopiero teraz dało się zauważyć, że jest to letni strój, uszyty na dorosłą kobietę. Spod spodu wystawała przykrótka koszulka z długimi rękawami, które nie sięgały nawet do nadgarstków. Przyglądając się jej białym włosom, Mabel dostrzegła w nich szarozielone porosty, poźółkłe żdźbła traw i pozwijane kawałki kory. Było to jednocześnie piękne i dziwne, niczym gniazdo dzikiego ptaka.

– Dobry Boże... – Jack rozpoczął modlitwę, ale dziewczynka nie pochyliła głowy i wpatrywała się w niego bez słowa. Miała delikatne usta, ledwie zarysowane kości policzkowe i niewielki nosek. Mabel przyłapała się na wspomnieniu twarzyczki wyrzeźbionej przez Jacka w śniegu.

W dziecięcej, delikatnej buzi była jakaś zawziętość, kryjąca się w blasku błękitnych oczu i lekko uniesionym podbródku.

– Dziękujemy ci za dary tej ziemi, które spożywamy... – Jack zamilkł. Mabel jeszcze nigdy nie słyszała, żeby tak głęboko się zastanawiał nad słowami modlitwy. – Prosimy, abys zechciał nam towarzyszyć w tym posiłku i dołączył do nas... oraz do dziecka, które dziś nas odwiedziło.

Dziewczynka otwarła oczy i spojrzała na nich oboje, zaciskając usta.

– Amen.

– Amen – odpowiedziała Mabel. Mała położyła dłonie na kolanach i przyglądała się jej, gdy rozkładała steki, a potem pochyliła się nad talerzem i spojrzała na mięso.

– Och. Zaczekaj chwilę, przyniosę jeszcze suchary. – Mabel wstała i zatrzymała się za jej plecami, wciągając głęboko w nozdrza woń dziecka – świeży śnieg, górskie zioła i brzoza kora. Delikatnie pogładziła jej włosy czubkami palców. Być może to jednak wcale nie był sen.

Kiedy oboje zabrali się do jedzenia, dziewczynka natychmiast poszła w ich ślady. Wzięła do ręki suchara, obwąchała go głośno i odłożyła z powrotem. Mabel zareagowała śmiechem.

– Zgadza się z tobą z całego serca – stwierdziła i również odłożyła swój suchar.

Dziecko wzięło do ręki stek, również go obwąchało i włożyło do ust. Widząc, że jest obserwowane, zrobiło kęs i położyło mięso na talerzu. Jack odkroił kawałek swojej porcji i uniósł widelec do ust.

– Wszystko w porządku, kochanie – uspokoiła ją Mabel. – Możesz jeść jak ci wygodniej.

Mała wahała się przez chwilę, ale znów wzięła stek do ręki. Nie rzuciła się jednak na niego niczym zgłodniałe szczenię, jak spodziewała się tego Mabel, tylko ogryzła go kawałek po kawałku, zjadając wszystko, nawet chrząstkę. Później ostrożnie pogryzła całą marchewkę. Opróżniła stojący przed nią talerz, podczas gdy Jack i Mabel wciąż kroili swoje kawałki mięsa.

– Chciałabyś dokładkę? Na pewno nie? Mamy dużo jedzenia. – Mabel spojrzała z nagłym lękiem na zaczerwienione policzki dziecka i szkliste oczy, które mogły zwiastować gorączkę. – Przegrzejesz się, dziecino. Pozwól, że wezmę twój płaszczyk. I czapkę.

Dziewczynka stanowczo pokręciła głową. Na grzbiecie jej noska zaśnił pot, a kiedy Mabel przyjrzała się bliżej, zobaczyła sporą kroplę płynącą po dziecięcym policzku.

– Otwórz drzwi – szepnęła do Jacka.

– Co?

– Drzwi. Na całą szerokość.

– Co? Jest grubo poniżej zera.

– Błagam. Nie widzisz, co się dzieje? Nie widzisz, że jest jej za gorąco? Proszę... otwórz te drzwi.

Posłuchał jej, podpierając otwarte skrzydło kawałkiem drewna.

– Proszę, dziecino. To powinno cię ochłodzić. Lepiej ci?

Dziewczynka skinęła głową, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

– Masz jakieś imię? – chciała wiedzieć Mabel. Jack spojrzał na nią, marszcząc brew. Być może działała zbyt gwałtownie, ale naprawdę nie potrafiła się powstrzymać. Marzyła tylko o tym, by objąć to dziecko, wziąć w swoje ramiona i nigdy już nie wypuścić.

– Ja nazywam się Mabel, a to jest Jack. Mieszkasz gdzieś w okolicy? Są tu twoi rodzice?

Dziecko wyglądało tak, jakby rozumiało pytania, ale wyraz jego twarzy zupełnie się nie zmienił.

– Jak masz na imię? – zapytała raz jeszcze Mabel. Mała wstała z miejsca i nakładając płaszcz, podeszła do drzwi.

– Och. Nie odchodź. Proszę – błagała ją Mabel. – Przepraszam za te wszystkie pytania.

Zostań, proszę.

Dziewczynka była już jednak na zewnątrz. Nie wydawała się ani rozgniewana, ani wystraszona.

Stojąc na śniegu, odwróciła się do Mabel i Jacka.

„Dziękuję” – powiedziała, a jej głos rozdzwonił się cichutko w głowie Mabel. Chwilę później zniknęła w mroku, powiewając grzywą jasnych włosów. Mabel stała tak długo w otwartych drzwiach, aż chłód zmroził jej stopy.

## ROZDZIAŁ 13

Jack niepokoił się tym, że dziewczynka pojawiała się i znikła bez żadnego ostrzeżenia. W jej zachowaniu i wyglądzie, w pokrytych szronem brwiach i zimnym spojrzeniu błękitnych oczu oraz materializowaniu się pośród drzew było coś niezemskiego. Jej rzadki stłumiony śmiech, drobna budowa ciała jasno wskazywały na to, że była jeszcze dzieckiem, ale w tym, jak sobie radziła ze światem, w jej skupieniu i mądrości tkwiła pewna wiedza, z jaką Jack się jeszcze nigdy nie spotkał.

Mała nie pokazała się przez kilka kolejnych dni, za to odwiedził ich Garrett. Przyjechał do nich konno pewnego śnieżnego, ciemnego popołudnia, wracając z nad rzeki.

– Witaj – zawołał do Jacka, po czym zeskoczył z konia i otrzepał śnieg z czapki.

Zaglądnienie do nich po powrocie ze sprawdzania sidaeł stało się jego nowym zwyczajem.

Jeśli udało mu się coś złapać, przyjeżdżał się pochwalić, a potem przez jakąś godzinę towarzyszył Jackowi przy robocie. Pomagał układać drewno lub przynosić siano. Jack zadawał mu pytania na temat polowania i rozstawiania pułapek, chociaż chłopak nie potrzebował właściwie żadnej zachęty do mówienia. Zmienił się od chwili, kiedy pomógł mu oprawić łosia. Tak jakby chciał się z nim zaprzyjaźnić. Wciąż szukał jego aprobaty.

– Udało ci się coś złapać? – zapytał Jack, wskazując głową na konia.

– Nie. Nic. Kojot okazał się za sprytny, żeby wpakować się w moje sidła. Wystarczy zostawić na nich odrobinę zapachu i nic z tego nie będzie. Nawet się nie zbliżą. Czasem myślę, że trudniej je upolować niż... Ale Jack już go nie słuchał. Patrzył nad jego ramieniem na dziewczynkę stojącą pomiędzy drzewami. Przyglądała się im z za szerokiego pnia topoli.

– Widziałeś coś? – zainteresował się Garrett, spoglądając w tę samą stronę, ale dziecko już zniknęło.

– Tak mi się zdawało – odpowiedział Jack. – Ale to tylko moje stare oczy płatają mi jakieś figle.

\*

Kiedy następnego dnia pracował w obejściu, dziewczynka podeszła do niego w milczeniu i usiadła na pieńku. Kilka razy otwierała usta, jakby miała zamiar coś powiedzieć, ale natychmiast zamykała je z powrotem.

Jack był pewien, że musiało nią kierować coś więcej niż tylko głód czy ciekawość. Wyczuwał, że pod tym spojrzeniem kryją się jakieś rany, jakaś skłonność do smutku i znużenia.

Podczas gdy Mabel wciąż próbowała się czegoś dowiedzieć, zadając przy stole kolejne pytania, które pozostawały bez odpowiedzi, on zdecydował się czekać i obserwować. Dziewczynka w końcu powie, co ją tu sprowadza. Na razie cieszył się po prostu jej towarzystwem. Odwiedziła ich chatę zaledwie parę razy i nigdy nie chciała zostać na noc. Wciąż jednak przynosiła jakieś drobne podarki: futro gronostaja, koszyczek jagód, oprawioną rybę, gotową do wrzucenia na patelnię. Rozumiał teraz, że martwy królik, którego znalazł na progu, również był jej darem.

Żałował, że wyrzucił go do lasu.

Wreszcie nadszedł ten dzień, kiedy dziewczynka pojawiła się bez żadnego prezentu, za to Jack mógł dostrzec w jej oczach wyraźne pytanie. Tym razem przyszła bardzo wcześnie, tuż po tym, gdy skończył śniadanie i wyszedł w półmrok poranka. Szła za nim przez podwórze i wokół stodoły, trzymając się blisko jak cień.

Kiedy zamknął za sobą wrota, poczuł jej zimne dłonie na nadgarstkach. Pociągnęła go za rękę, więc pochylił się w jej stronę.

„Obiecasz mi?”. – W jej cichym głosie było słycać lęk.

Zanim zdążyły do niego dotrzeć wszystkie konsekwencje tej obietnicy, już brnął za nią przez śnieg. Dziewczynka biegła, jakby coś ją goniło, zatrzymywała się jednak, gdy opadał z sił, i czekała, po czym prowadziła go nieustępliwie coraz wyżej w góry.

Starał się, jak mógł, ale w porównaniu z tym dzieckiem był zdyszany, powolnym niezdarą.

Jej kroki były delikatne i pewne. Droga wydawała się o wiele dłuższa niż wtedy, gdy ścigał ją w ciemnościach. Wyczuwał coraz większe zniecierpliwienie dziewczynki. Czekala, aż ją dogoni, a kiedy był krok za nią, ponownie zrywała się do biegu, nie dając mu czasu na złapanie oddechu. Przestał zwracać uwagę na to,

dokąd idą, miał jednak świadomość, że ciągle wspinają się po zboczu. Długa powolna wędrówka pod górę odebrała mu resztki tchu, a przez jego łydki przechodziły kolejne skurcze. Szare niebo zdawało się go przytłaczać, czuł się słaby i ociężały.

Za każdym razem, gdy docierali do jakiegoś grzbietu, wydawało mu się, że to już, że wreszcie dotarli na miejsce. Wciąż jednak szli wyżej, do kolejnej przełęczy i jeszcze dalej. Śnieg stawał się coraz głębszy, poruszał się więc jeszcze wolniej, podczas gdy dziewczynka zdawała się bez trudu unosić na jego powierzchni.

„Wszystko w porządku?”. – Zatrzymała się nad nim. „Już prawie jesteśmy” – dodała.

„W porządku” – odparł. „Prowadź”.

Próbował się uśmiechnąć, świadomy tego, że jest zdolny tylko do żalosego grymasu.

„Nie jestem już taki młody, ale dojdę na miejsce”.

Miał wrażenie, że dziewczynka specjalnie zwolniła, aby mu pokazać, gdzie stawiać kolejne kroki i której gałęzi się złapać, by podciągnąć się nad krawędzią.

W końcu zobaczył przed sobą skaliste ściany wąwozu i usłyszał szum strumienia płynącego pod lodem. Oboje ruszyli w głąb jaru. Wkrótce znaleźli się pomiędzy wysokimi świerkami, które na tej wysokości wydawały się zupełnie nie na miejscu, a ich potężne konary i grube pnie zamieniały wąską dolinę w coś w rodzaju kryjówki. Dziewczynka zwolniła kroku i choć nie patrzyła w jego stronę, Jack miał wrażenie, że obawia się wejść głębiej. Nagle stanęła i wskazała pokryty śniegiem pagórek pomiędzy drzewami.

„Co to jest?”.

Nie odpowiedziała. Wciąż wskazywała w tę stronę, więc Jack zbliżył się do niewielkiego wzniesienia. Oczyszczył je ze śniegu, odsłaniając znajdującą się pod spodem płachtę brezentu. Spojrzał pytająco na dziewczynkę, ale ona odwróciła się tyłem.

Kiedy szarpnął za skraj materiału, wyskoczyło spod niego stado nornic, które rozpierzchły się na wszystkie strony i znikły w śnieżnych zaspach. Dostrzegł ludzką szyję i blond włosy kończące się nad kołnierzem płaszcza typowego dla drwali. Poczul, jak jego serce zaczyna walić ze wszystkich sił. Dotknął dłonią szerokiego ramienia, które okazało się twarde jak przymarznięty do ziemi pień topoli. Okrążył śnieżny pagórek i odkrył tunele wydrążone przez nornice, które wykopały wokół trupa cały labirynt korytarzy. Chociaż zupełnie nie miał na to ochoty, zabrał się do odgarniania śniegu, odsłaniając głowę, twarz i tors

mężczyzny. Ciało leżało na boku, skulone niczym dziecko, ale bez wątpienia należało do dorosłego, potężnego mężczyzny, znacznie wyższego i szerszego w ramionach niż Jack. To, że był martwy, nie ulegało wątpliwości. Jego oczy zapadły się w głąb czaszki i spoglądały w górę niewidzącym, zamglonym spojrzeniem. Skóra miała niebieskawy odcień, a twarz, ubranie, włosy i krzaczastą brodę pokrywały kryształki lodu.

Gryzonie zdążyły się już dobrać do policzków, nosa i palców i poznać okolicę swoimi odchodami.

„Jezu wszechmogący!”.

„To mój tatuś” – szepnęła.

„Co się stało?”.

„Próbowałam. Cały czas próbowałam”.

Jack spojrział jej prosto w oczy, które wyglądały jak zamarznięta tafla jeziora. Żadnego pociągania nosem, żadnych łez. Spokojny, nieruchomy błękit.

„Ciągnęłam go za rękę i prosiłam: «Wstań, tato», ale nie chciał się ruszyć. Siedział tylko na śniegu”.

„Dlaczego nie chciał się ruszyć?”.

„Mówił, że Piotrowa woda go rozgrzeje, ale wiedziałam, że wcale tak nie będzie. Chciałam, żeby mu było ciepło. Trzymałam go za ręce i za buzię, o tak”.

Pochyliła się i ujęła twarz nieboszczyka w dłonie z taką miłością, do jakiej zdolna jest tylko córka.

„Próbowałam, ale się robił coraz bardziej zimny i zimny”.

Jack przyklęknął przy zwłokach i momentalnie wyczuł silną woń alkoholu. W jednej dłoni nieboszczyka błyszcząca przymarznięta butelka z zielonego szkła. Poczul, jak przewraca mu się w żołądku. Jak można się upić na śmierć na oczach własnego dziecka?

„Dlaczego nie mogłam go ogrzać?” – zapytała dziewczynka.

Nie podnosząc się z kolan, Jack oparł dłonie na jej drobnych ramionkach.

„Nie możesz się obwiniać. Twój tato był dorosłym człowiekiem i tylko on sam mógł się uratować. To naprawdę nie twoja wina”.

Ponownie nakrył zwłoki brezentem.

„Kiedy to się stało?”.

„Jak spadł pierwszy śnieg” – odpowiedziało dziecko.

Pamiętał ten dzień. To wtedy ulepili na podwórzu śniegową dziewczynkę. Trzy tygodnie temu.

„Dlaczego nie poprosiłaś nas o pomoc?”.



„Próbowałam odgonić lisa. Krzyczałam i rzucałam w niego kamieniami. Przykryłam tatusia, żeby ptaki go nie dziobały. Ale teraz... nornice nie dają mu spokoju”.

Jack nie miał innego wyjścia. Wyprostował się i strzepnął śnieg z kolan.

„Mogę sprowadzić jakąś pomoc z miasteczka” – zaoferował.

Dziewczynka zmierzyła go gniewnym spojrzeniem.

„Obiecałeś. Obiecałeś”.

Pamiętał o tym. Westchnął ciężko, postukał obcasami butów, próbując otrzepać je ze śniegu.

Na to się nie umawiali.

„Nie musimy tego robić dziś” – stwierdził wreszcie. „Muszę to przemyśleć, a potem postanowimy, jak zaopiekować się... twoim tatą”.

„W porządku”. – Jej głos był spokojny i zmęczony, jakby straciła ochotę do walki.

„Zostaniesz z nami, dopóki się tym wszystkim nie zajmimy”.

Powiedział to dokładnie takim samym tonem jak wtedy, gdy zaprosił ją pierwszy raz do domu, tak jakby była to ostateczna decyzja.

Wyprostowała się, a w jej oczach znów błysnął gniew.

„Nie” – sprzeciwiła się.

„Nie mogę cię zostawić w tym lesie. To nie jest miejsce dla dziecka”.

„Mój dom jest tutaj” – uparła się, unosząc wysoko głowę. Jej jasne włosy zafalowały na wietrze szumiącym pomiędzy świerkami.

To był jej dom. Jack jej wierzył.

\*

Podczas kolejnej wizyty w miasteczku zaczął się dopytywać, czy w ostatnich latach ktoś rozstawiał pułapki w pobliżu jego domu i czy nie słyszano o kimś, kto by mieszkał w górach.

Twierdził, że zauważył na kilku drzewach ślady siekiery, tak jakby ktoś próbował oznaczyć sobie szlak.

– Pewnie – odpowiedział mu George. – Zabawne, że pytasz, bo nie widziałem tego gościa już od wieków. Mówiliśmy na niego Szwed, a on w ogóle nie protestował. Jak sobie o tym teraz myślę, to raczej nigdy nie powiedział, jak się nazywa. Jeśli mam oceniać po akcencie, chyba był z Rosji.

– Jak wygląda? – chciał wiedzieć Jack. – Zastanawiam się, czy go kiedyś spotkałem.

– Wielki, postawny facet. Potężny jak drwal. Jasne włosy, broda. Moim zdaniem trzymał się trochę na uboczu, raczej nie był z tych przyjacielskich i gadatliwych. Esther zaprasza od czasu do czasu wszystkich samotnych kawalerów na niedzielny obiad, ale jego jakoś zawsze pomijała.

Ciekawe, co się z nim stało. Myślisz, że kłusuje na twoim terenie?

Betty również pamiętała tego mężczyznę.

– Och, to faktycznie był jakiś dziwak – stwierdziła, nalewając Jackowi kawy. – Podobnie jak większość facetów mieszkających w dolinie, latem zajmował się poszukiwaniem złota, a zimą polował. Pewnie wydawało mu się, że znajdzie tu fortunę i wróci bogaty tam, skąd przyjechał.

Nie rozumiałam połowy z tego, co mówił, zawsze wtrącał jakieś obce słowa.

– A widziałaś go może ostatnio? Jeśli wpadłbym na niego przypadkiem, to wolałbym wiedzieć, z kim mam do czynienia.

– Nie. Nawet nie pamiętam, kiedy go widziałam. Zwykle pojawia się w miasteczku tylko parę razy do roku. Z tego, co słyszałam, większość czasu spędza pijany w indiańskich obozowiskach w górze rzeki.

– Ciekawe, co się z nim stało. – Jack zamieszał kawę w swoim kubku.

– Kto wie. Może wrócił do siebie. Mógł też utonąć albo zginąć z łap niedźwiedzia. Takie rzeczy są tutaj na porządku dziennym. Ludzie przychodzą i odchodzą, a czasem po prostu rozplývają się w powietrzu.

– A nie pamiętasz przypadkiem, czy miał jakieś dzieci... albo żonę? Tak sobie pomyślałem, że może Mabel chciałaby ją poznać.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Jak dla mnie wyglądał raczej na samotnika.

\*

W drodze powrotnej do domu Jack czuł się przytłoczony smutkiem. Koń pędził rącho przed siebie, potrząsając łbem, jakby rześkie powietrze dodawało mu energii. Zacisnąwszy zgrabiące z zimna dłonie na lejcach, Jack cały czas myślał o dziewczynce po drugiej stronie góry i jej zamarzniętym na śmierć ojcu. Wciąż nie był pewien, czy postąpił właściwie. Rozumiał, dlaczego wymusiła na nim obietnicę, że nikomu o tym nie powie, a zwłaszcza Mabel. Chyba żadna kobieta

nie pozwoliłaby dziecku na samotne przebywanie w dziczy i czuwanie przy zmarłym ojcu.

A dziewczynka bała się, że będzie musiała opuścić miejsce, które już знаła. Raz czy dwa zauważył, jak Mabel próbuje odgarnąć jej grzywkę z oczu albo pozapinać płaszczyk – miała zawsze się krzywiła i próbowała odsunąć. Zaciskała usta i patrzyła na nią z takim wyrazem twarzy, jakby chciała powiedzieć, że sama sobie poradzi.

Miał właściwie pewność, że tak było. Dziewczynka doskonale orientowała się w lesie.

Potrafiła się wyżywić i wiedziała, jak znaleźć schronienie. Czy dziecko potrzebowało czegoś więcej? Oczywiście Mabel powiedziałyby, że tak. Jej zdaniem dziewczynce niezbędne były uczucia i ciepło, potrzebowała kogoś, kto by się nią zaopiekował, ale Jack nie wiedział, na ile przemawiała przez nią chęć posiadania własnego dziecka, a ile w tym było prawdziwych potrzeb dziewczynki.

Zresztą – przecież obiecał. Przez całe życie złożył naprawdę niewiele obietnic, ale starał się ich dotrzymywać ze wszystkich sił.

\*

Tajemnica przywarła do niego równie mocno jak woń czarnego dymu i topniejącego śniegu.

Nocą Mabel przysunęła twarz do jego brody i pogłaskała ją palcami.

– Co paliłeś?

– Część tych wykarczowanych pieńków z zeszłego lata. Akurat była dziś dobra pogoda, ani zbyt wietrznie, ani zbyt sucho.

– Tak, tak właśnie myślałam – westchnęła, choć jej głos zdradzał, że nie była całkowicie przekonana.

Ziemia rozmarzała w znacznie wolniejszym tempie, niż się spodziewał. Udało mu się w końcu wydobyć skostniałe ciało spod drzewa. Pociął pień i zapalił ognisko z wysuszonych na wiór gałęzi. Dziewczynka patrzyła na płomień z oddali, a one migotały w jej oczach. Zapytał ją, czy może zaopiekować się ogniem w nocy, gdy będzie musiał wrócić do domu, ale tylko pokręciła głową. Kiedy więc dzień błyskawicznie dobiegł końca, a nad lasem zapadły ciemności, zbudował tak wysoki stos drewna, jak tylko potrafił, i zaczął schodzić z góry. Za jego plecami ognie strzelały z trzaskiem w niebo.

Następnego dnia rozgarnął wciąż dymiące się drewno i łopatą zaczął kopać ziemię. Zamierzał zrobić dół tak głęboki, jak tylko się da. Wykopanie grobu w tym miejscu wymagało sporego wysiłku, zwłaszcza w grudniu. W końcu jednak musi się to udać. Ponownie nakrył zwłoki brezentem i odsunął je od ognia na bezpieczną odległość. Choć było to obrzydliwe, wolałby, żeby ciało nie zaczęło tajać i pozostało zamrożone na kość.

\*

Trzeciego dnia powrócił do domu zmęczony jak pies i pokryty sadzą. Mabel czekała przy drzwiach.

– George cię szukał – poinformowała. – Powiedziałam, że wypalasz pnie pod nowe pole.

– Och.

– Mówił, że cię tam nie znalazł.

– Hmm. – Unikał patrzenia jej w oczy.

– Co się dzieje? – Delikatnie ścisnęła go za ramię. – Gdzie byłeś?

– Nigdzie. Cały dzień pracowałem. George musiał mnie przeoczyć.

\*

Następnego ranka Jack powrócił na rozmiękłą ziemię i ponownie rozpałił ognisko. Błyskawicznie zaczął ociekać potem, pokryty od stóp do głów brudem i sadzą ze spalonego drewna.

Dziewczynka się nie pojawiła, ale co jakiś czas wyczuwał czyjąś obecność między drzewami, tak jakby ktoś go obserwował. Zastanawiał się, które z nich tym razem przemyka pomiędzy ośnieżonymi gałęziami – dziecko czy lis?

Przed południem udało mu się wykopać dół na tyle głęboki, by pomieścić ciało dorosłego mężczyzny. Wygrzebał resztki spalonego węgla i oparł się o łopatę, podpierając brodę dłonią. To nie był pierwszy grób, jaki musiał samotnie kopać. Wrócił myślą do niewielkiego dołka, w którym pochował drobniutkie bezwładne ciało, nie większe niż serce dorosłego mężczyzny.

Postanowił przywołać dziewczynkę.

„Już czas” – powiedział. „Połóżmy twojego tatę na spoczynek”.

Dziecko wyszło zza świerka.

„Już go nie ma?” – zapytało.

„Chodzi ci o ogień? Tak, już zgasł”.

Musieli obyć się bez trumny. Jack nie miał żadnych desek, z których mógłby ją zbudować, nie chciał też zwracać na siebie uwagi, pytając o drewno w mieście. Pozostał im tylko brezent.

Tak długo szarpał i przesuwiał materiał, aż udało mu się wyzwolić go od lodu, a potem pociągnął owinięte ciało w stronę grobu.

„Pożegnałaś się?”.

Dziewczynka skinęła głową. Jack poczuł mdłości. Przez cały dzień pocił się na mrozie i nie miał siły nawet na obiad. Pochowanie mężczyzny bez powiadamiania władz, podpisania papierów czy chociażby jakiegoś faceta w sutannie, który przeczytałby kawałek z Biblii, wciąż wydawało mu się niewłaściwym pomysłem, ale nie widział innego wyjścia. Poza śmiercią ojca, najgorsze, co mogłoby się przytrafić temu dziecku, byłoby zaangażowanie władz w jego sytuację.

Natychmiast zostałyby odesłane do jakiegoś sierocińca oddalonego od tych gór, a Jack wierzył, że podobnie jak dzikie zwierzę, ta delikatna, a jednocześnie silna dziewczynka mogła żyć tylko na swoim terenie. Z dala od niego natychmiast umarłaby z tęsknoty.

Nie mogąc liczyć na niczyją pomoc, powoli wepchnął zeszywniałe, owinięte w brezent ciało do grobu. Uderzyło o ziemię z obrzydliwym stuknięciem.

„Mogę go zasypać?” – zapytał.

Dziewczynka ponownie pokiwała głową.

Nabrał łopata ziemię oraz kawałki spalonego drewna i wrzucił je do dołu. Nie wiedział, czy starczy mu sił, żeby skończyć tę pracę, ale się nie poddawał i zasypywał grób łopata za łopata.

Dziewczynka stała za jego plecami i wciąż milczała. Co jakiś czas prosił ją o pomoc w udeptywaniu kolejnych warstw ziemi. Wskakiwała i wyskakiwała z grobu, z wciąż zmarszczonym czołem i futrzaną czapką opadniętą na plecy, podtrzymywaną przez sznurki.

„Gotowe” – stwierdził Jack, przerzucając resztki ziemi.

Dziewczynka stanęła obok niego i zamknęła oczy. Chwilę później wyrzuciła gwałtownie ręce ku niebu. Na grób opadły delikatne płatki śniegu. Było go o wiele więcej, niż dziecko mogłoby pomieścić w ramionach, i spadał pionowo, tak jakby leciał wprost z bezchmurnego nieba.

Jack milczał, czekając, aż opadnie ostatnia ze śnieżynek.

Kiedy znów się odezwał, jego głos był zachrypnięty od dymu.

„Wiosną możemy tu położyć kilka ładnych kamieni. I posadzić jakieś kwiaty”.  
Mała skinęła głową, po czym objęła go w pasie i wcisnęła buzię w poły jego płaszcza.

Przez chwilę stał bez ruchu, nie wiedząc, co zrobić z rękami, wreszcie również ją przytulił, delikatnie poklepał po plecach i pogładził dłonią jej włosy.

„Już dobrze. Wszystko będzie dobrze. Już po wszystkim”.

## CZĘŚĆ DRUGA

*Aż pewnego ranka, gdy stopniały już resztki śniegu, dziewczynka ponownie odwiedziła parę staruszków i ucałowała oboje w policzki.*

– Muszę

*was teraz opuścić – powiedziała.*

– Ale

*dłaczego? – załkali.*

– Jestem

*dzieckiem śniegu. Potrzebuję chłodu do życia. Kiedy wzięli ją w ramiona, na podłogę spadło kilka płatków śniegu. Dziewczynka błyskawicznie wysliznęła się z ich objęć i wymknęła na zewnątrz.*

– Wróć do nas – błagali. –

*Prosimy, wróć!*

*Śnieżynka,,  
wersja Frei Littledale*

## ROZDZIAŁ 14

Nie spodziewali się, że jeszcze kiedyś będą wypatrywać z nadzieją każdego kolejnego dnia. Mabel budziła się szczęśliwa i wypełniała ją nastrój oczekiwania, choć sama nie wiedziała, co było tego powodem. Czy ten dzień był jakiś wyjątkowy? Ktoś obchodził urodziny albo nadeszło jakieś święto? Czy miała jakieś plany? I wtedy sobie przypominała, że to właśnie tego dnia być może po raz kolejny odwiedzi ich dziewczynka.

Mabel nadal często przystawała przy oknie, tym razem jednak nie kierowała nią melancholia, która gnębiła ją całą poprzednią zimą. Wyglądała na zewnątrz z nadzieją i wyczekiwaniem, licząc na to, że zauważy pomiędzy drzewami znajomą futrzaną czapczkę i skórzane mokasyny.

Grudniowe dni nabrały swego rodzaju migotliwego blasku, zaczęły lśnić niczym pokryte szronem gałęzie, odbijające promienie porannego słońca.

Chociaż próbowała się pohamować, wciąż wyobrażała sobie, jak biegnie w stronę wychodzącego z lasu dziecka, bierze je w ramiona i zaczyna wirować z nim dookoła. Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić. Czekala więc cierpliwie, udając, że nie zwraca uwagi na pojawienie się dziewczynki. Nie starała się jej przekonać do mycia, nie wyczesywała liści i porostów z jej włosów, nie prała jej ubrań ani nie szyla dla niej nowych. To prawda – czasem wyobrażała ją sobie w ślicznych, plisowanych sukienkach i z pięknymi kokardami we włosach. Zdarzało jej się też marzyć, że zaprasza Esther na herbatę i przedstawia jej dziewczynkę jako własne dziecko.

Oczywiście nigdy niczego takiego nie zrobiła. Wiedziała, że to tylko jej własne, śmieszne fantazje, romantyczne wyobrażenie dzieciństwa, które nie miało zbyt wiele wspólnego z tą tajemniczą osobką. Tak naprawdę, po odpędzeniu tych wszystkich próżnych i bzdurnych myśli pragnęła tylko jednego – aby móc jej dotknąć, pogładzić po policzku, przytulić i wciągnąć w nozdrza jej zapach, przywodzący na myśl górskie powietrze. Na razie musiała się jednak zadowolić obserwowaniem jej uśmiechów i każdego ranka z nadzieją podbiegała do okna, licząc, że i tego dnia będzie mogła ją zobaczyć.



Nie umiała się dopatrzeć żadnego wzorca w wizytach dziewczynki. Dziecko pojawiała się przez cały tydzień wieczorem, po czym nie było go przez dwa lub trzy dni, a kiedy wracało o poranku, zamiast towarzyszyć Jackowi pracującemu w stodole, zostawało z Mabel, krzątającą się w kuchni. Widząc, jak mała przygląda się wyrabianiu ciasta, Mabel czuła się tak, jakby patrzyła na uroczonego ptaszka, który przysiadł na parapecie sypialni. Powstrzymywała się od gwałtownych ruchów, aby jej nie spłoszyć, i starała się naśladować spokojne zachowanie swojego męża. Wyjaśniła jej cichym, łagodnym głosem, dlaczego posypuje ciasto mąką i jak je ugniatać, by stało się gładkie i wystarczająco elastyczne. Opowiedziała, jak nauczyła się pieczenia chleba od ciotki Jacka, która była zaszokowana odkryciem, że zamężna kobieta może tego nie umieć.

Tego dnia dziewczynka została aż do kolacji. Po powrocie Jacka ze stodoły zasiedli w trójkę przy stole. Zanim zdążył rozpocząć modlitwę, dziecko pochyliło głowę. Mabel i jej mąż wymienili porozumiewawcze spojrzenia – dziewczynka zaczynała się przyzwyczajać do ich zasad.

Z jakiegoś powodu Jack miał nadzwyczaj dobry nastrój, ciągle żartował, podawał jedzenie i opowiadał o swojej pracy. W pewnej chwili poprosił małą o sól. Skupione na swoim talerzu dziecko nie usłyszało jego prośby. Odchrząknął i zastukał delikatnie palcami w blat stołu.

„To już się robi niedorzeczne” – oznajmił.

Dziewczynka spojrzała na niego z zaskoczeniem, więc odruchowo ściszył głos.

„Musimy cię jakoś nazwać. Nie możesz na zawsze pozostać dziewczynką”.

Dziecko milczało. Jack sięgnął po sól, najwyraźniej rezygnując z próby nadania mu imienia.

Mabel wciąż czekała, on jednak wrócił do jedzenia.

„Faina” – szepnęła w końcu dziewczynka.

„Słucham?”. – Mabel nie zrozumiała jej słów.

„Nazywam się Faina”.

„Mogłabyś powtórzyć to trochę wolniej?”.

„Fa-i-na”.

Każda sylaba brzmiała niczym cichutki szept. Z początku Mabel nie potrafiła zrozumieć tych obcych dźwięków, które zdawały się składać z samych samogłosek, w końcu jednak usłyszała znajomą nutę „fa”, głoskę „i” oraz wydech na samym końcu, które składały się na imię dziewczynki siedzącej przy stole. Faina.

„Co ono oznacza?” – zapytała.

Dziewczynka zmarszczyła brwi i zagryzła wargi.

„Musiałabyś to zobaczyć, żeby zrozumieć” – odpowiedziała w końcu, a jej twarz nagle pojaśniała. „Kiedyś ci pokażę. Pewnego dnia zobaczysz, co oznacza moje imię”.

„Faina. Bardzo ładne imię”.

„Cóż – wtrącił Jack – to na pewno uprości nam parę rzeczy, prawda?”.

\*

Tej nocy, po odejściu dziewczynki, nie potrafili się powstrzymać przed ciągłym powtarzaniem jej imienia. Z łatwością ześlizgiwało się im z języków, a Mabel była zafascynowana tym, jak brzmiało w jej ustach i szumiało w uszach niczym delikatny szept.

– Widziałeś, jak Faina pochyliła głowę przed modlitwą? Czyż Faina nie jest prześlicznym dzieckiem? Ciekawe, co nam Faina przyniesie podczas następnych odwiedzin?

Zachowywali się jak para dzieciaków bawiących się w mamę i tatę i Mabel była z tego powodu ogromnie szczęśliwa.

\*

Świt osrebrzył swym blaskiem zaspę i świerki, a Mabel, siedząc przy kuchennym stole, próbowała naszkicować brzozy koszyczek podarowany im przez Fainę. Oparła go o drewniane pudełeczko, w którym przechowywała przepisy, tak by nachylał się w jej stronę, i starała się przypomnieć sobie, jak wyglądał, gdy wypełniały go jagody. Nie rysowała już od bardzo dawna, ołówek w dłoni wydawał jej się czymś obcym i nie umiała sobie poradzić z cieniowaniem oraz perspektywą. Przeciągnęła się z frustracją i z ręką przyłożoną do karku.

Twarc dziewczynki widoczna w oknie ogromnie ją zaskoczyła, szybko się jednak opanowała i podniosła dłoń, uśmiechając się na powitanie. Kiedy dziecko odmachalo, Mabel znów poczuła gwałtowny przypływ uczuć.

„Faina, dziecino. Wchodź do środka, proszę”.

Dziewczynka przyniosła ze sobą zapach śniegu, a w chacie momentalnie pojaśniało i zrobiło się chłodniej. Mabel zdjęła z niej szal, rękawiczki, czapkę i wełniany płaszcz. Tym razem nie stawiała oporu, a Mabel przycisnęła jej ubrania do piersi, wdychając głęboko woń zimy, wełny i jedwabistego, brązowego

futra. Owinęła dłoń skrawkiem szala, zachwycając się tym, jak ścieg, którego wyuczyła się od siostry, wspaniale podkreśla urodę dziewczynki.

„Co to jest? Co robisz?”. – Dziecko stanęło przy stole i wzięło do ręki ołówek.

„Rysowałam” – wyjaśniła Mabel. „Chciałabyś zobaczyć?”.

Przewiesiła ubrania malej przez oparcie krzesła i uchyliła drzwi na zewnątrz, wpuszczając chłodne powietrze, a potem sama usiadła za stołem.

„To mój szkicownik. A to ołówki. Chciałam narysować ten koszyczek, który nam podarowałaś”.

Podniosła rysunek do góry.

„Och” – westchnęła dziewczynka.

„Niezbyt ładny, prawda? Chyba straciłam resztki talentu, o ile kiedykolwiek go miałam”.

„Mnie się bardzo podoba”. – Dziecko przesunęło palcem po papierze i rozchyliło usta w zachwycie.

„Co jeszcze potrafisz narysować?” – zapytało.

Mabel wzruszyła ramionami.

„Wszystko, na czym się skoncentruję. Chyba. Ale nie gwarantuję, że będzie wyglądało jak powinno”.

„A mnie potrafiłabyś narysować?”.

„Tak. Och, tak. Ale musisz wiedzieć, że portrety nigdy mi nie wychodziły”.

Mabel ustawiła krzesło pod oknem, tak by promienie zimowego słońca padały na twarz i jasne włosy Fainy. Przez następną godzinę wodziła wzrokiem od dziecka do szkicownika, obawiając się, że dziewczynka zacznie w końcu protestować, ona jednak wcale nie narzekała i siedziała w absolutnym bezruchu. Spokojnie patrzyła przed siebie, odrobinę unosząc brodę.

Każde pociągnięcie ołówkiem było dla Mabel prawdziwym spełnieniem marzeń, czuła się tak, jakby faktycznie przytulała to dziecko, gładziła je po policzkach i przeczesywała mu włosy.

Narysowała delikatny zarys kości policzkowych, małe usta, uniesione w zaciekawieniu blond brwi. Opanowana, ostrożna, dzielna, niewinna i jednocześnie tak pełna wiedzy... Przechylona głowa i przymrużone oczy dziewczynki sugerowały też pewną dzikość, którą Mabel bardzo chciała oddać. Zależało jej na tym, by nie zapomnieć o żadnym z tych zapamiętanych dziś drobiazgów.

„Chciałabyś zobaczyć rysunek?”.

„Skończyłaś?”.

„Na tyle, na ile jestem to w stanie dzisiaj zrobić” – odpowiedziała z uśmiechem Mabel.

Odwróciła kartkę z rysunkiem w stronę dziecka, nie wiedząc, jakiej może się spodziewać reakcji.

Dziewczynka wzięła głęboki wdech i zaklaskała z radości.

„Podoba ci się?”.

„Och tak! Czy to ja? Naprawdę tak wyglądam?”.

„Nigdy wcześniej się nie widziałaś, dziecino?”.

Faina potrząsnęła głową.

„Naprawdę? Nawet w lustrze? Zaczekaj chwilę, mam tu coś, co jest lepsze od wszystkich rysunków, jakie mogłabym zrobić”. – Poszła natychmiast do sypialni i przyniosła stamtąd zwyczajne lustro.

„Wiesz, co to jest? Takie szkiełko, w którym możesz zobaczyć samą siebie”.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

„Popatrz. Widzisz? To ty”.

Faina z poważnym, skupionym wyrazem twarzy wpatrywała się w swoje odbicie. Przyłożyła do lśniącej powierzchni czubek palca, a potem zaczęła dotykać własnych włosów i twarzy.

Uśmiechnęła się, pokręciła głową i odgarnęła włosy z czoła, wciąż nie odrywając oczu od zwierciadła.

„Chciałabyś zatrzymać ten rysunek?” – zapytała Mabel.

Dziewczynka z uśmiechem pokiwała głową. Mabel poskładała kartkę w niewielki kwadracik, który mógł się zmieścić w kieszonce dziecięcego płaszczka.

\*

Po zjedzeniu kolacji i odejściu Fainy Mabel usiadła przy piecu i zabrała się do robienia na drutach. W dolinie szalał wiatr i ciągle miała wrażenie, że słyszy jeszcze jakiś odgłos oprócz jego wycia. Przypominało to żalosne ujadanie.

– Czy to wiatr? – zapytała Jacka, który stanął przy oknie i spojrzał na panujące na zewnątrz ciemności.

– Nie. Wydaje mi się, że w górze rzeki krążą wilki. Już wcześniej słyszałem ich wycie.

– Mógłbyś dorzucić drew do ognia? Chyba się trochę przeziębiam.

Przyglądała się płomieniom pochłaniającym korę na świeżo dołożonych gałęziach i migocącym na ścianach chaty. Jack ponownie podszedł do okna i zapatrzył się w ciemność, tak jak to sama często robiła.

– Myślisz, że nic jej nie grozi? – zapytała. – Ten wiatr jest straszny, a teraz jeszcze te wilki... – Przypuszczam, że jest zupełnie bezpieczna.

Tego wieczoru jeszcze długo się nie kładli. Pomimo zapasu porąbanych szczap leżących obok pieca, Jack kilka razy wychodził na zewnątrz, żeby przynieść dodatkowe drewna, Mabel zaś próbowała się skupić na swojej robótce, chociaż była zmęczona i piekły ją oczy. Wreszcie nie mogli już dłużej wytrzymać i położyli się do łóżka. Wyjący na zewnątrz wiatr ukołysał ich do snu.

## ROZDZIAŁ 15

W połowie lutego do ich chaty dotarła owinięta w brązowy papier paczka, zaadresowana do Mabel i dostarczona pociągiem do Alpine. Jack przywiózł ją razem z kilkoma rzeczami kupionymi za resztkę kredytu w miejscowym sklepie.

Mabel odczekała, aż jej mąż ponownie wyjdzie na zewnątrz, i dopiero wtedy usiadła przy stole, aby otworzyć przesyłkę. Czy to naprawdę mogło być to? Wydawało jej się, że upłynęły całe wieki od czasu, gdy napisała do siostry z pytaniem o książkę. Przez kilka tygodni z nadzieją wyczekiwała odpowiedzi, a kiedy ta nie nadeszła, uznała, że siostra nie znalazła tego tomu lub nie miała ochoty go szukać.

Korciło ją, by natychmiast rozerwać papier, czuła jednak, że powinna podejść do tego spokojnie i z opanowaniem. Nastawiła wodę i zaczęła, aż się ugotuje, po czym zaparzyła sobie herbatę. Dopiero potem znów usiadła przy stole i rozcięła nożyczkami sznurek oplatający pakunek.

Po ostrożnym zdjęciu papieru znalazła w środku dwie osobno zapakowane paczuszki.

Większa z nich zdecydowanie przypominała kształtem książkę – Mabel zdecydowała się jednak rozpocząć od tej mniejszej. Jak się okazało, kryła kilka doskonałych ołówków oraz zapas węgla do rysowania. Wreszcie zaczęła powoli zdejmować brązowy papier z drugiej paczki.

Książka wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętała – duża i idealnie kwadratowa, zupełnie inna od wszystkich książeczek dla dzieci, jakie znała. Oprawiono ją w niebieski safian.

Okladkę ozdabiał wytłoczony misterny płatek śniegu o srebrnym połysku, srebrzysty był również grzbiet. Położyła tom na stole i otworzyła go na pierwszej stronie. W górnym rogu błękitnej marmurkowej karty ktoś napisał delikatnie ołówkiem „Снегурочка, 1857”. „Śnieżna dziewczynka”.

Rozpoznała schludne pismo swego ojca. Zbierał książki, podróżując po świecie, czasem też kupował je specjalnie dla niej. Trzymał je na półce w gabinecie, ale

zdejmował którąś za każdym razem, kiedy o to prosiła, a potem sadzał ją sobie na kolanach i przewracał kolejne strony.

Z książką rozłożoną przed sobą na stole Mabel czuła się tak, jakby wróciła do tego gabinetu, wypełnionego zapachem fajkowego tytoniu i starych tomów. Przewróciła kartkę, odsłaniając całostronicową ilustrację zabezpieczoną cieniątką bibułką i tekst napisany kanciastymi, niezrozumiałymi literami. Książka była napisana po rosyjsku! Jak mogła o tym zapomnieć? A może nigdy nie zwróciła na to uwagi? Uświadomiła sobie nagle, że choć była to jej ukochana książka z dzieciństwa, nigdy jej nie przeczytała. To ojciec opowiadał jej całą historię, podczas gdy ona wpatrywała się w ilustracje. Nie wiedziała tak naprawdę, czy w ogóle znał ten język, czy też wymyślił tę opowiadkę, patrząc na zamieszczone tam obrazki.

Od śmierci ojca upłynęło wiele lat, wciąż jednak pamiętała jego melodyjny, tubalny głos.

Byli sobie dziad i baba, którzy wielce się kochali i radowali się swoim życiem, ale ogromnym smutkiem napawał ich fakt, że nie mieli własnych dzieci.

Mabel spojrzała na ilustrację. Kojarzyła się z rosyjskimi obrazami laserunkowymi, pełnymi przyciemnionych, głębokich barw i ozdobnych detali. Widać było na niej parę staruszków, kobietę i mężczyznę, klęczących przed dziewczynką, która zdawała się być od pasa w górę prawdziwym dzieckiem, podczas gdy od pasa w dół została ulepiona ze śniegu.

W jasnych włosach dziecka lśniły klejnoty, a policzki promieniowały życiem. Dziewczynka uśmiechała się słodko, patrząc na klęczącą przed nią parę, i wyciągała w ich stronę dłonie osłonięte rękawiczkami bez palców. Z jej ramion opadała srebrzystobiała, haftowana peleryna, niemal nieodróżnialna od śniegu. W tle było widać czarnozieloną gęstwinię świerków, nad którymi majaczyły w oddali białe górskie szczyty. Pomiedzy drzewami przemykał rudy lis z wąskimi oczami, złocistymi jak u kota.

Sięgnęła po kubek z herbatą i odkryła, że napój zdążył ostygnąć. Jak długo wpatrywała się w tę jedną ilustrację? Upiła odrobinę chłodnego naparu i przewróciła kolejną stronę. Zobaczyła noc i dziewczynkę wbiegającą pomiędzy drzewa. Na czarnograntowym niebie lśniły srebrzyste gwiazdy, a staruszkowie patrzyli na nią ze smutkiem z progu swojej chaty.

Z każdą następną stroną Mabel czuła coraz większe zawroty głowy i całkowicie się zatracala.

Zbliżyła książkę do oczu. Kolejny obrazek od zawsze należał do jej ulubionych. Przedstawiał dziewczynkę stojącą pośrodku zaśnieżonej polany i otoczoną przez leśne zwierzęta – niedźwiedzie, wilki, zające, gronostaja, jelenia, lisa, a nawet małą myszkę. Zwierzęta przysiadły na tylnych łapach za plecami dziecka, nie okazując żadnej agresji ani też uwielbienia. Wyglądało to tak, jakby pozowały do portretu, z lśnącymi futrami, ślepiami i kłami, podczas gdy dziewczynka bez strachu, ale też bez radości patrzyła wprost na czytelnika. Nie wiadomo było, czy zwierzęta chciały ją pożreć, czy też czuły do niej sympatię. Mimo upływu tylu lat, wciąż nie potrafiła zrozumieć, co kryło się w ich oczach.

Zamknęła książkę i delikatnie przesunęła palcem po wytłoczonym na okładce śnieżnym płatku. Zgarnęła ze stołu brązowy papier i dopiero wtedy zauważyła zgrabnie poskładany list od siostry, który zaplątał się pomiędzy opakowaniami.

Najdroższa Mabel!

Jakże miło było zobaczyć Twoje śliczne pismo i przeczytać, że u Ciebie wszystko w porządku.

Być może zabrzmiało to dziwnie, ale wszyscy tutaj mamy wrażenie, jakbyś została wygnana na biegun północny. Z wielką ulgą dowiedziałam się więc, że jesteś bezpieczna i znalazłaś przyjaznych sąsiadów. W takiej dziczynie to musi być prawdziwe błogosławieństwo. Cieszy mnie również to, że znów sięgnęłaś po swój szkicownik. Zawsze wierzyłam w twój talent artystyczny. Nie zechciałabyś może podesłać nam kilku obrazków ze swego nowego domu? Wszyscy chcielibyśmy poznać Twoje przygody.

Co do Twojej prośby o książkę, muszę przyznać, że odnalazłam ją czystym przypadkiem.

Pan Arthur Ransome, jeden ze studentów tutejszego uniwersytetu, przysłany do uporządkowania papierów naszego ojca, obdarzył ten tom szczególnym uwielbieniem, ponieważ przedmiotem jego studiów są baśnie z dalekiej Północy. Nie czułam się w żaden sposób związana z tą książką, więc pozwoliłam mu ją zabrać w celu dalszego przestudiowania. Po otrzymaniu Twego listu z radością odkryłam, że doskonale wiem, o co pytasz. Oczywiście ów młody człowiek nie chciał się z nią rozstać i niemal musiałam wyrwać mu ją z rąk. Ostrzegłam, że to bardzo rzadkie wydanie i należy je traktować ze szczególną ostrożnością. Pomysł wysłania książki na najdalsze krańce cywilizowanego świata wzbudził w nim wyraźną odrazę.

Przygotowując ją do wysyłki, zwróciłam uwagę, że tekst napisano po rosyjsku. Obawiałam się, że jeśli nie nauczyłaś się tego języka na Alasce, odkrycie, iż



książka jest zupełnie nieczytelna, sprawi ci sporą przykrość. Dlatego też, nim ją spakowałam, poprosiłam tego młodzieńca, aby opowiedział mi coś o tej dziewczynce, Śnieżynce.

Pan Ransome twierdzi, że historia Śnieżynki trafiła do Rosji tak, jak do nas dotarły opowieści o Czerwonym Kapturku czy Królowie Śnieżce. Podobnie jak inne baśnie, opowiada się ją na wiele sposobów, ale początek jest zawsze taki sam. W leśnej chacie żyje para staruszków, których nęka w życiu tylko jeden smutek – nie mają własnych dzieci. Tak więc pewnego zimowego dnia lepią sobie śniegową dziewczynkę.

Niezależnie od wersji – co stwierdzam ze smutkiem – zakończenie tej historii nie jest szczęśliwe. Śnieżynka odwiedza ich przez całą zimę, w końcu jednak zawsze się roztapia. Bawi się z miejscowymi dziećmi zbyt blisko ogniska, zapomina o nadchodzącej szybko wiosnie lub, tak jak w opowieści zapisanej w książce ojca, spotyka chłopca i wybiera dozgonną miłość.

Zgodnie z tym, co mówi pan Ransome, w najbardziej tradycyjnej wersji tej opowieści dziewczynka gubi się pewnego dnia w lesie. Napotyka tam niedźwiedzia, który ofiarowuje jej pomoc, ona jednak, patrząc na jego kły i pazury, obawia się, że zwierzę może ją pożreć. Odrzuca więc jego propozycję. Wilk, którego później spotyka, także obiecuje, że odprowadzi ją bezpiecznie do domu, ale ponieważ wygląda on równie groźnie jak niedźwiedź, dziecko ponownie odmawia.

W końcu natrafia na lisa, który przysięga, że zabierze ją do domu. Stwierdziwszy, że ten zwierzak wygląda na przyjaźniejszego od pozostałych, dziewczynka łapie go za kark i pozwala wyprowadzić się z lasu. Po przybyciu do chaty staruszków lis, w ramach zapłaty za bezpieczne sprowadzenie jej do domu, prosi o tłustą kurę. Staruszkowie postanawiają go jednak przechytrzyć i dają mu worek z zapakowanym w środku psem myśliwskim. Lis zaciąga pakunek do lasu, a kiedy go otwiera, pies zaczyna go gonić i zabija.

Dziewczynka jest z tego powodu bardzo zła i zasmucona. Żegna się ze staruszkami, mówiąc, że skoro kochają swoją kurę bardziej niż ją, to musi wrócić do swoich rodziców – Zimy i Wiosny.

Kiedy następnego dnia staruszka wygląda na zewnątrz, jedynymi pozostałościami po dziecku są czerwone buciki, niebieskie rękawiczki i kałuża wody.

Cóż za tragiczna opowieść! Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego baśnie dla dzieci są tak przerażające. Chętnie zmieniłabym zakończenie na takie, w

którym wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

W końcu możemy to zrobić, prawda, Mabel? Możemy wymyślać swoje zakończenia i przedkładać radość nad smutki?

## ROZDZIAŁ 16

**A**nie moglibyśmy zatrzymać choć jednej? – błagała Mabel. – Tej rudej. Jest taka kochana i wyżywiłaby się okruchami ze stołu.

– Kury nie lubią samotności – wyjaśnił Jack. – Wolą żyć w stadzie. To nie byłoby właściwe.

– Może pan Palmer mógłby udzielić nam jeszcze kredytu na zakup ziarna na resztę zimy.

To przecież nie kosztowałyby tak wiele.

Jacka dusił ciasny kołnierzyk koszuli, a chata wydawała mu się zbyt ciasna i okropnie duszna. Karma dla kur, na rany Chrystusa! Kogo jeszcze nie stać na pokarm dla niosek? Na dodatek skończyła się im kawa, a zapas cukru również był na wyczerpaniu.

– Musimy to zrobić – oznajmił, kierując się ku drzwiom. Prawie udało mu się wyjść, gdy Mabel ponownie go zawołała.

– Esther twierdzi, że przed oskubaniem z piór najlepiej jest je zanurzyć we wrzątku. Mam nastawić wodę?

– W porządku – zgodził się i zamknął za sobą drzwi.

\*

Zabijanie kur nie sprawiało mu żadnej przyjemności. Gdyby miał jakiś wybór, pozostawiłby je przy życiu i pozwolił dreptać po stodole, aż padłyby ze starości. Większość z nich zносиła latem sporo jaj i wiedział, że Mabel czuje się z nimi związana. Nie mógł jednak pozwolić na to, by pod jego opieką padły z głodu. Lepiej je pozabijać i mieć to z głowy.

Zmierzając w stronę stodoły, nie spuszczał oka z siekiery leżącej przy stosie drewna. Żałował, że nie poprosił George'a o radę, co powinien zrobić w takiej sytuacji. Pamiętał, że jego babka dusiła kurczęta gołymi rękami, słyszał jednak, że zwykle odcina się im głowy i pozwala wykrwawić. Musiał to zrobić, niezależnie od tego, jak paskudne było to zajęcie.

Już wkrótce będzie zmuszony przynieść tuzin bezgłowych ptaków do kuchni i położyć je przed biedną Mabel, która tak bardzo je lubiła. Wiedział, że sobie z nimi poradzi. Oczyści je z piór i wnętrzności bez słowa skargi, tak jak nigdy nie skarżyła się na coraz większe braki w spiżarni i niekończące się posiłki złożone z mięsa łosia i ziemniaków. Przez ostatnie parę tygodni udało jej się nazbierać tyle zamrożonych dzikich jagód i owoców głogu, że zrobiła z nich odrobinę dżemu, upiekła również ciasto bez jajek, które nie było takie najgorsze. Любиła improwizować.

Jej policzki były wciąż zaróżowione i śmiała się o wiele częściej niż przez ostatnie lata, nawet jeśli znów musiała podać na stół steki z łosia.

Jego uwadze nie uszło również to, że znowu nosiła przy sobie szkicownik i ołówki.

Dziewczynka za każdym razem przynosiła jej coś nowego do narysowania – a to sówie pióro, a to garść górskich jagód, a to świerkową gałąź, wciąż obwieszoną szyszkami. Zasiadały wtedy obie przy stole i pochylały głowy nad rysunkiem, a przez otwarte drzwi wpadało zimne powietrze – „żeby Faina się nie przegrzała”. Lubił je wtedy obserwować.

Jednocześnie przerażało go coraz większe przywiązanie Mabel do dziecka. Swoje własne zresztą też; potrafił się do tego przyznać. Co prawda nie sterczał całymi dniami przy oknie, ale tak samo niecierpliwie wyczekiwał jej wizyt. Miał nadzieję, że jest bezpieczna i że nie czuje się samotna, nadzieję, że znów pojawi się pomiędzy drzewami i przybiegnie do niego z uśmiechem.

Czasem myślał o tym, żeby wyjawić Mabel prawdę. Sekret okazał się dla niego ogromnym ciężarem i wciąż nie był pewien, czy postąpił właściwie. Chciał jej opowiedzieć o martwym mężczyźnie i opuszczonym miejscu w górach, gdzie go pochował. Opisać dziwne drzwi znalezione w zboczu góry. Wiedza o tym, co musiało przecierpieć to dziecko, sprawiała, że ogarniał go wewnętrzny chłód i musiał niekiedy odwracać wzrok od jej niewielkiej pobladłej twarzyczki, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Pamiętał o swojej obietnicy, odnosił jednak wrażenie, że stanowiła dla niego wygodną wymówkę. Okrutna prawda o doświadczeniach dziewczynki mogłaby złamać serce Mabel, a ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było sprawianie jej dodatkowego smutku. Jej skłonność do pogrążania się w żalu wciąż wzbudzała w nim przerażenie. Wielokrotnie zastanawiał się, czy wtedy w listopadzie miała pełną świadomość wszystkich zagrożeń, gdy weszła na lód skuwający rzekę.

Złapał kurę za nogi i wyniósł roztrzepotanego, skrzeczącego ptaka przed stodołę, po czym udał się w stronę pieńka do rąbania drewna. Kura nie przestawała jazgotać nawet po tym, gdy odciął jej głowę. Odkładając na bok jej truchło, pomyślał ponuro o jedenastu pozostałych nioskach.

\*

Początkowo nie miał zamiaru pomagać jej w oskubywaniu, ale zmienił zdanie, gdy zobaczył, jak ciężka i niewdzięczna to praca, zwłaszcza dla jednej osoby. Oboje podwinęli rękawy i pokryci piórami pracowali ramię w ramię przy kuchennym stole, zamieniając się miejscami, gdy trzeba było zanurzyć następną kurę we wrzącej wodzie, a potem wrywać z niej garściami kolejne pióra. Przygotowali sobie jutowe worki do zbierania rudych i czarnych piór, ale nie minęło wiele czasu, gdy więcej ich było na podłodze i w powietrzu, niż udało im się upchnąć do środka.

– Może powinniśmy to robić na zewnątrz – zauważyła Mabel, próbując strącić wierzchem dłoni kolejne wilgotne piórko, które przykleiło jej się do czoła.

Jack zaśmiał się pod nosem.

– Naprawdę chciałbym ci pomóc, ale boję się, że tylko pogorszę sytuację. – Wyciągnął do niej pokryte piórami dłonie.

– I jeszcze ten okropny zapach. – Nad garnkiem wrzącej wody unosiła się para cuchnąca przypalonymi piórami i na wpół ugotowaną kurzą skórą.

– Tak się właśnie zastanawiałem, czy nie zjedlibyśmy dzisiaj kurczaka na kolację. – Jack próbował zachować poważny wyraz twarzy.

– O nie, nie zniosłabym tego... żartujesz sobie, prawda? – Pstryknęła w niego piórkiem.

Westchnęła ciężko, widząc, jak zabiera się do oskubywania kolejnego ptaka.

– Co się dzieje?

– To nasza kochana Kurka Rudopiórka.

– Mówiłem ci, że lepiej by było, gdybyś nie nadawała im imion.

– Tu nie chodzi o imiona. Wiedzialabym, że to ona, nawet gdyby nie miała imienia. Kiedy zbierałam jajka, zawsze za mną chodziła i gdakała, jakby chciała mi udzielić jakichś rad.

– Przykro mi, Mabel. Nie miałem innego wyjścia. – Rozprostował palce, czując rozprężające się ścięgna. Zastanawiał się nad tym, dlaczego wciąż musiał ją

rozczarowywać.

– Myślisz, że cię o to obwiniam?

– A czyja to wina? Tylko ja ponoszę odpowiedzialność.

– Dlaczego zawsze dochodzisz do tego samego wniosku? Czemu bierzesz na siebie całą winę? Kto cię namówił do tego wyjazdu? Czy to nie ja chciałam tego domu, ciężkiej pracy i wszystkich porażek, jakie się z tym wiążą? Jeśli już musisz kogoś obwiniać, niech to będę ja, dlatego że tak niewiele ci pomagam.

Jack wciąż wpatrywał się w swoje dłonie.

– Nie rozumiesz tego? To miało być nasze, wspólne. Wszystkie sukcesy i porażki. – Gestykulowała zamaszycie, obejmując tym gestem oskubane kury i wilgotne pióra.

– To wszystko? – zapytał, nie potrafiąc powstrzymać uśmiechu.

– Tak, to wszystko. – Ona również się uśmiechnęła. – Każde cholerne piórko. Moje i twoje.

Jack pochylił się ku niej i zatknąwszy pióro za jej uchem, pocałował ją w czubek nosa.

– W porządku – odpowiedział.

Po oprawieniu ostatniego ptaka próbowali zamieść pióra zaścielające podłogę chaty, ale całkowity brak efektów ich pracy wzbudził w nich taką wesołość, że wyczerpana śmiechem Mabel opadła w końcu na kuchenne krzesło z wyciągniętymi przed siebie nogami. Jack otarł ramieniem pot skapujący z czoła.

– Kto by pomyślał, że przygotowanie kurczaka do zjedzenia wymaga tyle roboty? – Mabel powachlowała się dłonią.

Zgodził się z nią kiwnięciem głowy i zabrał oskubane ptaki do stodoły, gdzie powiesił je obok mięsa łosia. Mogły wisieć w tym chłodzie tak długo, aż w końcu zdecydują się je zjeść.

Po powrocie do chaty zauważył, że Mabel zatrzymała jedną kurę.

– Daj spokój – poprosił. – Przecież żartowałem. Nie będziemy dziś jeść kurczaka.

– To nie dla nas.

– A dla kogo?

Mabel nałożyła na siebie płaszcz i wciągnęła buty.

– Muszę go zanieść do lasu.

– Gdzie do lasu?

– Tam gdzie zostawiłeś dla niej te wszystkie podarki i lalczkę.

Mógł się domyślić, że wiedziała o tym od samego początku.

– Naprawdę chcesz zostawić dziecku martwą kurę?

– To nie dla niej, tylko dla tego lisa.

– Chcesz karmić dzikie lisy naszymi kurami?

– Muszę.

– Po co? – Podniósł nieco głos. – Dlaczego, na rany Chrystusa, chcesz wyrzucać jedzenie do lasu, skoro ledwie wiążemy koniec z końcem?

– Chcę, żeby wiedziała... – Mabel zdobyła się na odwagę i uniosła dumnie brodę. – Fajna musi wiedzieć, że ją kochamy.

– I ta kura ma jej o tym powiedzieć?

– Już ci mówiłam, że to dla jej lisa.

Widząc, jak wychodzi z oskubanym ptakiem w środku nocy, chciał się zaśmiać z absurdalności całej tej sytuacji. Zamiast tego przypomniał sobie słowa Esther o „śnieżnej gorączce”.

## ROZDZIAŁ 17

Z blizając się do chaty, usłyszał szczebiot kobiecych głosów, a gdy wszedł do środka z naręczem drewna, jego oczom ukazała się Esther rozparta na krześle obok pieca i opierająca nogi na drugim krzeselku. Miała na sobie męskie wełniane portki, a nogawki wepchnęła do wysokich skarpet w czerwone prążki. Przez dziurę w jednej z nich wystawał paluch, którym pokiwała na Jacka, gdy ten dołożył drew do ognia.

– Właśnie mówiłam Mabel, że mam tylko nadzieję, że ten mój chłopak nie zawraca ci zbytnio głowy. Wiem, że często was odwiedzał tej zimy, i jestem pewna, że musiałeś się dużo nasłuchać – stwierdziła na powitanie.

Mabel podała jej kubek z herbatą, z którego Esther natychmiast upiła odrobinę z głośnym siorbnięciem.

– Nie, nie – sprzeciwił się, próbując nie patrzeć na wystający paluch. – Wcale nie. Prawdę mówiąc, bardzo mi odpowiada jego towarzystwo, mógłbym się od niego sporo nauczyć.

– Tylko mu tego pod żadnym pozorem nie mów! Zaraz się napuszy i nie przestanie o tym gadać. Chłopak sporo wie, to prawda, ale wyobraża sobie, że jest dwa razy mądrzejszy.

– Cóż, chyba wszyscy tacy byliśmy w jego wieku.

– On też cię polubił. Ciągłe o tobie mówi. Jack to, Jack tamto... Mabel przyniosła kolejny kubek z herbatą, tym razem dla męża.

– Esther przywiozła nam też chleb z cukinią – poinformowała.

Obie kobiety spędziły większość dnia na dzieleniu się przepisami i uczeniu się wzajemnie ściągów, a ich śmiechy było słychać nawet na podwórzu. Cieszył się, że Mabel miała towarzystwo.

Esther wstała, przeciągnęła się i sięgnęła po kawałek chleba z talerza.

– Doradziłam również, żeby Mabel trochę częściej wychodziła na dwór. Wszystkie te jej gadki o dziewczynce ganiającej pomiędzy drzewami. Za chwilę zacznie biegać w samej bieliźnie i kapeluszu po lesie i wyprawiać podwieczorki – delikatnie trąciła przyjaciółkę łokciem w bok, ale nie udało jej się wywołać u niej uśmiechu. – Och, tylko na nią popatrzcie, jak od razu pobladła.



Przecież nie mówię ci niczego nowego, te wszystkie opowieści o dziewczynce są bez sensu.

– Uwierz mi, Esther, że naprawdę nie oszalałam. – W głosie Mabel pojawiło się wyraźne napięcie. Spojrzała na Jacka.

– Za to na pewno została w tobie wola walki, dziewczyno. – Esther objęła ją w pasie i przytuliła. – I możesz mi wierzyć, że będzie ci niezbędna, aby tu przeżyć.

Jack miał nadzieję, że Esther znajdzie sobie zaraz jakiś pretekst, żeby wyjść, ale ona zdawała się nie zwracać uwagi na wymowne milczenie Mabel albo potrafiła je znosić z o wiele większą łatwością niż on. Ponownie zasiadła na krześle i przepłukała sobie usta herbatą.

– Doskonała herbatka, naprawdę bardzo dobra – pochwaliła. – A opowiadałam wam kiedyś o niedźwiedziej herbacie?

– Nie, nie przypominam sobie, żebyś o tym wspominała. – Jack miał co prawda zamiar jeszcze popracować jakąś godzinę lub dwie na dworze, ale odsunął krzesło i usiadł, a następnie poczęstował się kawałkiem chleba z cukinią.

– Danny... Jeffers? Jaspers? – próbowała przypomnieć sobie Esther. – Cholera, to chyba już skleroza. W każdym razie ten Danny nosił zawsze przy sobie cuchnący worek wypełniony... jakby to powiedzieć... niezbyt popularnymi kawałkami niedźwiedziego mięsa. Przysięgał, że robi z nich wywar, który miał zbawienny wpływ na miłosne pożycie. – W oczach Esther rozbłysły figlarne ogniki. – Zawsze było wiadomo, kto ma z tym problemy, wystarczyło tylko patrzeć, jacy ludzie rozmawiają z Dannym.

– To trzeba było wypić? Ohyda – Mabel zmarszczyła nos.

– Mnie tam bardziej szkoda tych niedźwiedzi – stwierdził Jack. – Wyobraźcie sobie, co one musiały wycierpieć.

Esther wybuchła tak gwałtownym śmiechem, że musiała trzymać się za brzuch.

– To ci dopiero byłby widok. Najpierw trzeba by powalić takiego niedźwiedzia na ziemię... – Nie myślisz chyba...? – Mabel spojrzała na nią z nagłą odrazą.

– Nie... Nie... – Esther z trudem wypowiadała kolejne słowa, wciąż dusząc się ze śmiechu.

– Niedźwiedzie na pewno nie były żywe. Musiał je wcześniej zabić.

– Och.

Jack nie potrafił stwierdzić, czy jego żona była zawstydzona, czy też zasmucona losem tych zabitych zwierząt.

– Przez te wszystkie lata musiałaś się pewnie napatrzeć na różnych dziwaków.  
– Spojrzał na Esther.

– Pewnie. Zlatują się tutaj jak muchy. Sami się do nich zaliczamy, więc rozumiesz.

To wreszcie wywołało uśmiech na twarzy Mabel.

– A słyszeliście już o tym facecie, co pomalował całą chatę na pomarańczowo? – zapytała Esther.

– Nie. – Mabel parsknęła śmiechem i pokręciła głową. – Nie wierzę. Na pewno sobie to wymyśliłaś.

– Przysięgam. – Uniosła prawą dłoń do góry. – Cała pomarańczowa jak owoc. Mówił, że w czasie ponurej zimy ten kolor utrzyma go w dobrym nastroju. Jego chata stała po drugiej stronie torów i mnie się zawsze podobała, ale mężczyźni z miasteczka szydzili z niego bez końca.

– I co? Miał dobry nastój? – chciał wiedzieć Jack.

– Raczej nie. Spalił się tej zimy razem z chatą, zostały tylko zgliszcza. Biorąc pod uwagę, że narzekał na zimno bardziej niż ktokolwiek, kogo znałam, nigdy nie potrafiłam zrozumieć, co taki człowiek jak Sam Hill robił na Alasce. Wszyscy twierdzili, że to był wypadek, a chałupa spłonęła tak szybko właśnie z powodu tej farby na ścianach, ale może po prostu miał już dość tego mrozu i postanowił odejść w płomieniach, jak stary Sam McGee.

– Jaki Sam? – nie zrozumiała Mabel. – On też tu mieszka?

– Ona się mnie pyta „jaki Sam”?! I twój ojciec jest profesorem literatury? – zdziwiła się Esther i wyrecytowała z pamięci wiersz pochodzącego z Jukonu poety Roberta Service’a, opowiadający o wszystkich dziwnych rzeczach dziejących się w promieniach słońca świecącego o północy.

Mabel poprosiła przyjaciółkę, by została u nich na kolację, Esther odparła jednak, że musi wracać do domu i ugotować posiłek dla wszystkich swoich chłopców. Wciągnęła buty, narzuciła na siebie płaszcz i raz jeszcze przytuliła Mabel na pożegnanie.

– Uważaj na siebie – poprosiła. – Nie chciałabym stracić swojej najlepszej przyjaciółki.

– Będę uważała – obiecała Mabel. – Miło było cię znowu zobaczyć.

Jack wyszedł razem z Esther i zaoferował, że pomoże jej zaprząć konia do wozu.

– Nie trzeba. Dam sobie radę – podziękowała. Spojrzała w stronę chaty i pochyliła się ku niemu. – Za to martwię się o Mabel. Jest w niej jakiś taki

smutek... Moja matka też na to cierpiała.

Uważaj na nią, proszę.

\*

Spodziewał się, że po jego powrocie Mabel wciąż będzie milcząca i przygnębiona, ale zamiast tego zastał ją przy kuchennym zlewie, gdy podśpiewywała sobie coś pod nosem.

– Udana wizyta? – zapytał.

– Tak. Jeszcze nigdy nikogo takiego nie spotkałam. Ona jest pełna niespodzianek i całkiem dobrze się bawiłam. – Zaczęła nalewać wodę do miski i mówiła dalej, nie podnosząc wzroku:

– Dlaczego nigdy mnie nie poprzesz? Czemu nie powiesz, że też widziałeś tę dziewczynkę?

Mógł się domyślić, że bardziej rozgniewa się na niego niż na Esther.

– Nie potrafię tego zrozumieć, Jack. Przecież wiesz, że ona istnieje naprawdę. Miałaś ją przed swoimi oczami, siedziała z nami przy stole. Dlaczego nie chcesz się do tego przyznać przed Bensonami?

– Nie wiem. Może nie jestem tak dzielny jak ty.

– Nie kpij sobie ze mnie.

– Nie kpię. Jesteś inna. Zawsze pozostajesz wierna sobie, nawet jeśli ludzie uznają cię za wariatkę. A ja... no cóż... – Lepiej już nic nie mów – przerwała mu, na szczęście w jej głosie pobrzmiwało raczej rozbawienie niż gniew. Odwróciła się i zabrała do wybierania ziemniaków z worka.

– A może też powinnam sobie sprawić takie spodnie, jak ma Esther? – wypowiedziała na głos swe myśli po chwili milczenia.

– Koniecznie z dziurawymi skarpetkami do kompletu.

– Przecież chyba są ciepłe i wygodne?

– Skarpetki? – zażartował.

– Nie, nie. Skarpetki to zupełnie inny temat.

Kiedy zaczęła obierać ziemniaki, stanął za nią i pogładził kosmyki włosów, które wysunęły się jej spod spinek i opadły na kark. Potem objął ją w pasie i przytulił. Mimo upływu lat wciąż uwielbiał zapach jej skóry, woń mydła i czystości.

– Zatańcz ze mną – szepnął.

– Co?

– Chciałbym, żebyś ze mną zatańczyła.

– Tutaj? Teraz? Coś mi się wydaje, że to raczej ty oszalałeś.

– Proszę.

– Nie mamy muzyki.

– Możemy sobie chyba przypomnieć jakąś melodię? – Zaczął nucić Pod cienistą jabłonią.

– Chodź. – Odwrócił ją twarzą do siebie i wciąż obejmując w pasie, złapał za dłoń. Podśpiewywał coraz głośniej, wirując z nią po drewnianej podłodze.

– Hmm, hmm... „Obiecuję szczerze, że będę na ciebie czekał...”.

– „Pod cienistą jabłonią”. – Pocałowała go w policzek, a on objął ją mocniej ramieniem.

– Och – westchnęła. – Coś mi się przypomniało. Posłuchaj tylko... – Zaczęła cichutko nucić. Z początku nie rozpoznał melodii, ale chwilę później już śpiewał razem z nią.

– „Czy wciąż będziesz mnie całować – zawirowali obok kuchennego stołu – gdy siwizną skrzy się głowa i czy wciąż majową siłę będzie miała w grudniu miłość?”.

Kiedy przystanęli obok pieca, Mabel pochyliła się i pocałowała męża w usta. Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować po twarzy, schodząc aż do szyi, a gdy się odrobinę odchyliła, musnął ustami jej wystającą kość obojczykową. Potem objął żonę ręką pod kolanami i wziął na ręce.

– Co ty wyprawiasz? Przecież połamiesz sobie kręgosłup – zaprotestowała, ale nie potrafiła się powstrzymać od śmiechu. – Jesteśmy już na to za starzy.

– Naprawdę? – Potarł brodą o jej policzek. Zapiszczała radośnie, ponownie wybuchając śmiechem, i pozwoliła zanieść się do sypialni, choć wciąż jeszcze nie zjedli kolacji.

## ROZDZIAŁ 18

Mabel wypatrywała w śnieżnej bieli drobniutkich rozbłysków rubinowej czerwieni, zdradzających, gdzie rosną żurawiny. Kiedyś uznawała je za niejadalne, Esther wyjaśniła jej jednak, że zamrożone owoce są dużo słodsze i doskonale się nadają do sosów i galaretek. Pod koniec lutego skończyły się mrozy, niebo było niebieskie, ustały wiatry i pobyt poza domem sprawiał jej przyjemność. Z brzozowym koszykiem od Fainy w ręku krążyła wokół chaty, brodząc w głębokim śniegu. Jagody były niewielkie i porzucane pomiędzy nagimi, kolczastymi gałęziami, ale stopniowo udawało jej się zapelniać koszyczek. Miała zamiar przygotować z nich coś smakowitego, z dodatkiem odrobiny cebuli, którą dostała od Esther, oraz przypraw. Być może dzięki temu mięso łosia zacznie smakować inaczej niż to, które jedli bez końca, każdego dnia. Uśmiechnęła się do siebie, myśląc o tym, jak potrzeba staje się matką wynalazku, a kiedy spojrzała w górę, dostrzegła przed sobą dziewczynkę i lisa.

Widok Fainy nie przestawał jej zaskakiwać. Nie chodziło tylko o to, że pojawiała się w tak niespodziewany sposób, ale też o jej zachowanie. Stała wyprostowana z luźno opuszczonymi rękami, cała na biało i niebiesko z tymi płowymi włosami i w wełnianym płaszczu obszytym futerkiem, szaliku i rękawiczkach. Brązową futrzaną czapkę pokrywały płatki śniegu, błyszcząły również na rzęsach dziewczynki. Patrzyła ze spokojnym zainteresowaniem, tak jakby czekała w tym miejscu od wielu minut, albo i lat, całkowicie pewna, że Mabel prędzej czy później tu dotrze.

Wciąż nie potrafiła odgadnąć jej wieku. Wydawała się jednocześnie młoda jak niemowlę i stara jak same góry, w jej oczach odbijały się niewypowiedziane myśli, a twarz była nieprzenikniona.

Z tym dzieckiem kryjącym się wśród drzew wszystko wydawało się możliwe i rzeczywiste.

Lis również był zdumiewający. Siedział obok Fainy, nadstawiając czujnie uszu, a tylne łapy owinał sobie rudym ogonem. Coś w jego drapieżnym spojrzeniu i wąskim czarnym pysku zdradzało ślady tysiąca małych mordów, a Mabel wciąż nie potrafiła zapomnieć, jak szczyrzył do niej zakrwawione kły.

„To twój przyjaciel?” – zapytała dziewczynkę.

Faina wzruszyła ramionami.

„Polujemy razem” – wyjaśniła.

„Które z was zabija?”.

„Oboje”.

„Głaszczesz go czasem?”.

Dziewczynka pokręciła głową.

„Kiedyś to robiłam” – odpowiedziała. „Jak był mały, mogłam go karmić z ręki i nigdy mnie nie ugryzł. Czasem sypiał przy mnie w nocy. Ale teraz jest już dziki. Chodzimy razem po lesie i polujemy, to wszystko”.

Próbując potwierdzić swoje słowa, sięgnęła dłonią w stronę lisa, ten jednak tylko się uchylił i przemknął między jej nogami, po czym zniknął wśród drzew. Mabel zobaczyła smutek i tęsknotę malujące się na twarzy dziecka.

„Zebrałaś dużo żurawin?” – Faina ponownie odwróciła się w jej stronę.

„Trochę. Powinnam znaleźć ich więcej. Ale mamy taki piękny dzień, że wcale nie chce mi się wracać do domu”.

Mała pokiwała głową i wskazała miejsce za świerkami.

„Tam jest ich więcej”.

„Dziękuję. Chcesz iść ze mną?”.

Ale Faina już biegła w stronę ich chaty. Pomknęła przez las, przeskakując nad zaspami, aż Mabel w końcu straciła ją z oczu. Śnieg odbijał złociste promienie słońca, a na zboczu lodowca znów zerwał się wiatr, wśród drzew wciąż jednak panowała taka cisza, że nagle poczuła się tak, jakby od zawsze była zupełnie sama. Ruszyła mozolnie przed siebie ku polance za świerkami.

\*

Przez dłuższą chwilę nie potrafiła zrozumieć, co usłyszała. Napelniwszy koszyczek żurawinami znalezionymi we wskazanym przez Fainę miejscu, naciągnęła z powrotem rękawiczki i udała się w stronę domu. Szła ostrożnie, żeby nie zgubić ani jednej jagody. Gdy zbliżała się do chaty, wydawało jej się, że słyszy jakieś krzyki albo śpiew. Kiedy przyspieszyła kroku i wypadła spomiędzy drzew na podwórze, zrozumiała, że był to śmiech.

Jack i dziewczynka stali ramię w ramię z wyciągniętymi przed siebie rękami, prawie stykając się dłońmi, a potem – bez żadnego ostrzeżenia – upadli oboje

tyłem na śnieg.

„Chodź, zobacz!” – zawołała dziewczynka do Mabel. „Popatrz tylko”.

„Jack? Faina? Co wy wyprawiacie?”.

„Robimy orły” – odkrzyknął jej mąż, a dziecko zawtórowało mu śmiechem.

Mabel zbliżyła się do nich, wciąż trzymając w ręku koszyczek, i spojrzała w dół. Jack zapadł się prawie ćwierć metra w śniegowy puch i wymachiwał nogami i ramionami niczym tonący człowiek. Roześmiał się, pokazując wąsy i brodę pokryte śniegiem.

Dziewczynka leżała tuż obok niego i z uśmiechem wbijała spojrzenie błękitnych oczu w niebo.

Mabel dopiero w tej chwili dostrzegła, że była otoczona przez śnieżne orły – wielkie, potężne odciśnięte przez Jacka i małe, delikatne, będące dziełem dziewczynki. Pokryli nimi całe podwórze, w słońcu lśnił co najmniej tuzin podwójnych odcisków. Mabel, która zaczęła się przechadzać pomiędzy nimi, stwierdziła, że jeszcze nigdy nie widziała czegoś tak pięknego.

Jack podniósł się, a potem podał rękę Fainie i pomógł jej wstać.

„Popatrz teraz” – zawołała dziewczynka, pozwalając się podnieść. Oboje zanieśli się śmiechem. Mabel podeszła do nich i poczuła, jak coś zapiera jej dech w piersi. Śnieżny orzeł Fainy był tak delikatny, a jego skrzydła tak misterne, że faktycznie przypominał prawdziwego ptaka odciśniętego na śniegu, gdy zerwał się do lotu.

„Wspaniałe, prawda?” – zachwycił się Jack.

„Nie rozumiem. Jak...”.

„Nie pamiętasz, jak sama to robiłaś w dzieciństwie? Wystarczy tylko machać rękami i nogami.

Chodź, spróbuj”.

Wahała się, wciąż nie odstawiając koszyka.

„Proszę” – rzekła błagalnie dziewczynka. „Możesz to zrobić?”.

„Nie wiem... Ta długa spódnica i wszystko...”.

Jack oparł dłonie na jej ramionach i zanim zdążyła się domyślić, co zamierza, pchnął ją delikatnie do tyłu. Spodziewała się bolesnego upadku, zamiast tego wpadła w śnieg miękkiej jak kołdra i tłumiący wszystkie dźwięki. Zobaczyła nad sobą roześmiane twarze dziewczynki i Jacka oraz górujące nad nimi przepiękne, błękitne niebo. Tuż przed jej oczami migotały pojedyncze śnieżne kryształki.

„Spróbuj” – zachęcał ją Jack. „Musiś machać rękami, jakbyś miała skrzydła”.

Rozłożyła ramiona, czując ciężar śniegu, a potem przysunęła je z powrotem do boków.

Następnie spróbowała poruszyć nogami.

„Może być?” – zapytała.

Jack wyciągnął do niej dłoń i z cichym westchnieniem pomógł podnieść się na nogi.

„Popatrzcie” – westchnęło dziecko. „Czy nie jest cudowny?”.

Mabel spojrzała na swojego orła. Podobnie jak odciski pozostawione przez Jacka, jej również był głęboki i nie tak delikatny, ale musiała przyznać, że wygląda wspaniale.

„Twój jest najładniejszy ze wszystkich” – oceniła Faina, obejmując ją rękami w pasie i przytulając ze wszystkich sił. Mabel poczuła, że znów traci grunt pod nogami i ponownie upadły tyłem w puszysty śnieg.

\*

Nawet po tym, gdy dziewczynka wróciła do lasu, orły pozostały na ich podwórzu i Mabel nie potrafiła się powstrzymać od uśmiechu za każdym razem, kiedy na nie spoglądała. Nie chodziło tylko o ich nierówne wzory, tańczące pomiędzy chatą a stodołą, aż do stosu drewna, lecz także o wspomnienie Jacka rzucającego się na śnieg niczym mały chłopiec i rozchichotanej Fainy u jego boku. Oraz ramion dziewczynki obejmującej ją w pasie, przytulającej się jak córka do matki. Radośnie, spontanicznie. Najpiękniej, jak tylko można.

Odeszła od kuchennego okna i zbliżyła się do pieca. Nie mogła się doczekać, kiedy pokaże to wszystko Esther. Jeśli sąsiadka już wcześniej uznawała ich oboje za częściowo obłąkanych, teraz na pewno straci resztki wątpliwości. Mabel zamieszała gotujące się żurawiny. W całej chacie unosił się ostry zapach, dokładnie taki sam – co sobie w tym momencie uświadomiła – jaki wypełniał dom Bensonów, gdy pierwszy raz ich odwiedzili.

Raz jeszcze wyjrzała przez okno i popatrzyła na prześliczne, szalone orły. Nagle dotarło do niej, że są przecież wśród nich te zrobione przez Fainę. Jej delikatne ptaki z wzorzystymi skrzydłami. Na pewno nie da się zaprzeczyć ich istnieniu.

Esther zobaczy, że mówiła jej prawdę, że dziewczynka rzeczywiście istnieje. Przecież ona i Jack nie byliby w stanie zrobić dziesiątków odcisków o rozmiarach



małego dziecka.

Chociaż z początku temat dziewczynki był dla Esther nieustającym pretekstem do delikatnych kpin, wraz z upływem zimowych miesięcy stawała się coraz ostrożniejsza, a jej wątpliwości zaczęły narastać. Wciąż się dopytywała, czy Mabel wychodzi zażyć świeżego powietrza i czy nie sypia zbyt wiele w ciągu dnia. Nieustająco zachęcała ją do odwiedzin, a kiedy usłyszała, że przyjaciółka nie czuje się zbyt pewnie, powożąc koniem, sama zaczęła wpadać z wizytami do ich chaty.

Nie było oczywiście żadnej gwarancji, że pojawi się wkrótce, ale w zależności od pogody zaglądała tutaj co kilka tygodni, zazwyczaj w niedzielne popołudnie. Od kolejnej niedzieli dzieliło ich zaledwie parę dni, a Esther nie pokazywała się od ponad dwóch tygodni. Jeśli tylko nie zacznie padać śnieg, Mabel będzie mogła jej przedstawić dowód na istnienie dziewczynki z lasu.

Nie pierwszy raz spotykała się z takim niedowierzaniem. Przypominała sobie, jak przez całe lata w dzieciństwie starsze rodzeństwo wyśmiewało się z jej poszukiwań wrózek i czarownic.

Jeden z nauczycieli ostrzegł nawet jej ojca, że głowę Mabel wypełniają same bzdury, i oskarżył go o to, że pozwala dziewczynce czytać zbyt wiele książek.

Pewnego razu naprawdę była przekonana, że udało jej się złapać wrózkę. Kiedy miała osiem lat, zbudowała pułapkę z gałęzi i zawiesiła ją na dębie rosnącym na tyłach ich domu.

W środku nocy podkrađła się do okna swojej sypialni i spojrzała na rozkołysaną zasadzkę, oświetloną blaskiem księżyca. Po otwarciu okna do jej uszu dotarł jakiś piskliwy świergot, brzmiący dokładnie tak, jak sobie wyobrażała, że będzie rozbrzmiewało łkanie uwięzionej wrózki.

Zawołała swoją śpiącą siostrę:

„Ada, Ada! Chodź, zobacz! Udało mi się złapać wrózkę. Teraz musisz mi uwierzyć, że one naprawdę istnieją”.

Zaspana Ada wymamrotała coś pod nosem i – bosą, ubraną w nocną koszulę – poszła razem z nią pod dąb, ale kiedy Mabel zdjęła pułapkę z gałęzi i zajrzała do środka, zamiast wrózki zobaczyła trzęsącego się ze strachu ptaszka. Otworzyła drzwiczki, ale ptak nie chciał wyjść na zewnątrz.

Ada potrząsnęła pułapką i stworzenie wypadło na ziemię. Zanim zdążyły zanieść go do domu i uwić mu gniazdko, ptaszek już nie żył.

To wspomnienie sprawiło jej przykrość, przypomniało o wstydzie, upokorzeniu i poczuciu winy w związku ze spowodowaniem śmierci niewinnej istoty. Pod tym wszystkim jednak kryło się kolejne uczucie, najprawdziwsze z

wszystkich – wściekle rozczarowanie. Skoro nie potrafiła przekonać nikogo innego, to jak mogła sama nadal w coś wierzyć?

\*

Kolejne dni były słoneczne i spokojne. Mabel strzegła śnieżnych orłów, które wciąż były wyraźne i lśniły pod słonecznym niebem, podczas gdy dni stawały się coraz dłuższe. Bała się, że zaczną topnieć w promieniach słońca, powietrze wciąż jednak było chłodne, a śnieg suchy i puszysty.

W niedzielny poranek na zboczu lodowca ponownie zerwał się wiatr. Mabel słyszała jego wycie nad brzegiem rzeki i wpatrywała się w rozkołysane wierzchołki drzew oraz spadający z nich śnieg. Błagała w myślach, żeby Esther pojawiła się jak najszybciej i zobaczyła śnieżne orły, by mogła się przekonać, że dziewczynka istnieje naprawdę.

Potworny świst wiatru sprawił, że tym razem nie usłyszała konia wbiegającego na ich podwórze.

O tym, że Esther jednak postanowiła ich odwiedzić, dowiedziała się dopiero wtedy, gdy sąsiadka otworzyła drzwi na całą szerokość i wpakowała się do wnętrza chaty.

– Popatrz tylko, kogo przywiało – zawołała na przywitanie, śmiejąc się tubalnie i zatrzaszkując za sobą drzwi.

– Och, Esther. A jednak się pojawiłaś! I to w taką pogodę.

– Wiatr zaczął szaleć dopiero wtedy, gdy byłam w połowie drogi. Uznałam, że mam tak samo daleko w jedną stronę, jak i w drugą, więc postanowiłam jechać dalej.

– Strasznie się z tego cieszę. Nie zdejmuj jeszcze płaszcza, proszę. Chciałabym ci coś pokazać.

– Mabel owinęła się szalem i naciągnęła na głowę czapkę.

Obdarzona awanturniczą żyłką Esther nie miała zamiaru pytać, dokąd ani po co się wybierają.

Odwróciła się na pięcie i wyszła razem z Mabel na szalejącą na zewnątrz zawieruchę.

Mimo błękitnego nieba i świecącego słońca, w powietrzu unosiły się tumany śniegu, porwanego przez wiatr. Obie kobiety ruszyły na ślepo przez podwórze.

– Tutaj – krzyknęła w pewnej chwili Mabel.

– Co to?

Wiatr zagłuszał jej słowa, więc Mabel przywołała sąsiadkę gestem ręki i obie ruszyły w stronę stodoły. Być może jej ściana osłoniła od wiatru przynajmniej kilka śnieżnych orłów.

Niestety, kiedy dotarły na miejsce, po odciskach pozostały zaledwie delikatne zarysy, kilka bezkształtnych wgłębień zasypanych niesionym przez wiatr śniegiem.

– Widzisz je? – zawołała Mabel, próbując przekrzyczeć wiatr.

Esther potrząsnęła głową i rozłożyła ręce, mierząc ją pytającym spojrzeniem. Wiatr ucichł na chwilę, choć z oddali wciąż było słychać jego wycie. Mabel wskazała niewyraźne kształty pod śniegiem.

– Potrafisz tu cokolwiek dojrzeć? – spytała.

– Nie. Widzę tylko śnieg. A właściwie, to co powinnam zobaczyć?

– Ja tylko... One przecież tutaj były.

– Ale co? – W cichym pytaniu Esther można było wyczuć wyraźny niepokój. Mabel zmusiła się do uśmiechu.

– Nic takiego – odpowiedziała, biorąc przyjaciółkę pod ramię. – Nieważne. Wracajmy do środka, zanim znów zaczniesz się zawierucha.

Musisz skosztować moich żurawin.

## ROZDZIAŁ 19

Jack odgarnął śnieg, by zrobić ścieżkę przez podwórze, i zabrał się właśnie do rąbania drewna na podpałkę, gdy zobaczył Garretta wyjeżdżającego z lasu. Z siodła zwisał martwy lis.

Jack przerwał pracę i czekał, aż chłopak podjedzie bliżej.

Garrett wydawał się stworzony do jazdy konnej. Siedząc z nisko pochyloną głową, poruszał ramionami w rytm niosącego go zwierzęcia. Dopiero po chwili spojrzął przed siebie, a kiedy zauważył Jacka, jego młodzieńcza twarz rozblęśla radością. Wyprostował się momentalnie, posyłając mu szeroki uśmiech, a potem wskazał ręką na swoje trofeum.

– Twoja dzisiejsza zdobycz? – zapytał Jack.

– Piękny, prawda? – Chłopak zeskoczył z konia i uniósł za futro bezwładny łeb lisa. – Srebrny – dodał z nieskrywaną dumą.

Jack odłożył siekiere i podszedł do konia. Uszy i pysk martwego drapieżnika były jedwabście czarne, ale w futrze pokrywającym jego grzbiet i boki lśniły pasemka srebra.

– To od mrozu? – chciał wiedzieć Jack.

– Ależ nie – odparł Garrett. – Takie się właśnie rodzą. Srebrzyste.

– Wspaniały. Często ci się udaje je upolować?

– To mój pierwszy. Nie pojawiają się zbyt często. Zwykle trafiam na rude albo mieszańce.

Widziałeś kiedyś mieszańca? Ma czarnorude futro i czarny krzyż na grzbiecie.

– Złapałeś ostatnio jakiegoś rudego? – Jack przysiadł na pieńku do rąbania drewna.

– Jakiś miesiąc temu jeden taki wpadł mi w sidła. Kolejny zdołał się wyrwać z pułapki.

Chociaż oczywiście nie wiem, jakiego był koloru. – Chłopak zaśmiał się z własnej odpowiedzi.

– To zrozumiałe – zgodził się Jack. – A jak zamierzasz wykorzystać tę zdobycz?

– Myślałem, żeby zrobić z niego futrzany kołnierz dla mamy. Chcę, żeby to była dla niej niespodzianka, więc prosiłbym, żebyś o tym nie wspominał.

– Doskonały prezent.

– W zeszłym roku podarowałem jej rękawiczki z rysiego futra. Jak masz jakieś skóry, to Betty z hotelu uszyje ci z nich wszystko – czapki, rękawice, co tylko chcesz. Jest naprawdę niezła.

Chciałbym kiedyś mieć kołnierz z rosomaka, jeśli tylko uda mi się go upolować.

Jack najchętniej wróciłby do pracy, ale chłopiec nie przestawał gadać, więc mu na to pozwolił.

Położył kolejną gałąź do porąbania na pieńku, a Garrett zaczął opowiadać o znalezionych tego dnia w lesie śladach, pozostawionych przez króliki, jeżozwierze, rosomaki i samotnego wilka, który zmierzał najwyraźniej w górę rzeki.

– Chyba nieczęsto się zdarza, żeby wilki chodziły samotnie? – zainteresował się Jack.

– Pewnie jakieś szczenię, które odłączyło się od stada i ruszyło polować w pojedynkę.

Rozłożyłem sidła w pobliżu martwego od dawna łosia. Może uda mi się złapać tego wilka.

Jack wziął zamach i rozłupał gałąź ostrzem siekiery. Kawalki drewna posypały się na śnieg.

– Lubisz to, prawda? – zapytał, sięgając po następny konar. – Tropienie zwierząt sprawia ci radość.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Na pewno lepsze to niż orka na ugorze – odpowiedział i spojrzał błyskawicznie na Jacka.

– Przepraszam, nie chciałem cię urazić – dodał natychmiast.

– Nic się nie stało. Sam czasami mam dosyć tej roboty, takie jednak jest życie. Natomiast tropienie zwierząt to coś zupełnie innego. Wyobrażam sobie, jaka to musi być ciężka i pewnie często samotna praca.

– Lubię to. Jeżdżenie nad brzegiem rzeki, kiedy jestem całkiem sam i towarzyszy mi tylko wiatr i śnieg. Cieszy mnie szukanie śladów i patrzenie, jak zwierzęta pojawiają się i znikają pomiędzy drzewami. Jak już będę starszy, to wybuduję sobie chatę tuż nad rzeką i kupię jakieś psy. Już teraz mógłbym mieć cały zaprzęg, ale mama na to nie pozwala, bo nie wytrzyma ich ciągłego wycia i szczekania, powiada też, że gdybyśmy musieli je karmić, szybko poszlibyśmy z torbami. Ale jak już zamieszkać we własnym domu, będę miał swój zaprzęg i będę nim jeździł aż do lodowca.

- Nie chcesz zostawać na gospodarstwie?
- Nie. Moi bracia mogą sobie to wszystko wziąć.

Jack potrafił go zrozumieć. Trudno dowieść własnej wartości, gdy jest się najmłodszym w rodzinie. Widział wiele razy, jak starsi Bensonowie dokuczali Garrettowi, wymuszając posłuszeństwo i kpiąc z jego starań. To, że chłopak wolał polować, nie było niczym dziwnym. Tylko wtedy mógł robić to, co chciał.

– Wygląda na to, że powinieneś sobie poradzić – pocieszył go. – Twój ojciec zawsze się tobą przechwala.

Chłopiec wzruszył ramionami, rozkopując pobliską zaspę czubkiem buta, ale Jack mógł bez problemu zauważyć, że ta uwaga sprawiła mu sporą radość.

– Muszę wracać, zanim zrobi się zbyt późno – oznajmił Garrett. – Myślisz, że twoja żona też chciałaby zobaczyć tego lisa?

– Może innym razem.

Garrett skinął głową, wskoczył na konia i ruszył w stronę rodzinnego domu.

\*

– Co ten chłopak znowu upolował? – zainteresowała się Mabel, gdy Jack wrócił do domu, po czym zaczęła nakrywać do kolacji.

– Lisa.

– Lisa? – zamarła nagle w bezruchu.

– Wiem, czego się obawiasz, ale to nie był przyjaciel Fainy. Ten miał srebrne futro.

W ogóle był niepodobny do tego rudzielca, z którym ona biega.

Myślał, że na tym się skończy, ale w czasie kolacji Mabel wciąż wracała do tego tematu.

– Czy on musi zastawiać sidła na lisy? Poluje też na rude?

– Na tym polega jego robota, Mabel. I trudno się spodziewać, że będzie wybierać, na jakiego koloru lisy poluje.

Jego żona zamilkła na chwilę, ale ciągle nie dawało jej to spokoju.

– Ale lisowi Fainy też grozi niebezpieczeństwo? Może go przecież kiedyś złapać i zabić?

– Na twoim miejscu jakoś bym się tym zbytnio nie martwił. Ten jej lis wygląda na bardzo czujnego. Nie sądzę, żeby miał się wpakować w któreś z sideł Garretta.

– A co jeśli tak się właśnie stanie? Możemy poprosić tego chłopaka, żeby przestał?

– Ma zrezygnować z zastawiania sideł? Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli go do tego namówić.

Zresztą nie tylko on poluje w tych lasach. W górze rzeki są też inni myśliwi.

Jego odpowiedź wyraźnie wytrąciła ją z równowagi. Ledwie tknęła resztę swojego posiłku, a potem chodziła przez dłuższą chwilę tam i z powrotem przed półką z książkami, nie potrafiąc się zdecydować na wyjęcie listu, ukrytego w jednym z tomów. Jack odczuł sporą ulgę, gdy wreszcie go odnalazła i usiadła przy ogniu, zabierając się do czytania.

## ROZDZIAŁ 20

Opanowała ją trudna do określenia, męcząca potrzeba nieustannej czujności. Stojąc przy oknie, wypatrywała, czy znad rzeki nie nadjeżdża Garrett, ale jej myśli wciąż krążyły wokół dziecka i lisa. Wystarczył najlżejszy dźwięk przypominający odgłosy konia przedzierającego się przez śnieg, by znów stała przy szybie, próbując przeniknąć wzrokiem mrok pomiędzy drzewami.

Zdarzało jej się też spacerować aż nad rzekę i patrzeć na skuwający ją lód.

Jeśli Garrett kiedykolwiek pojawi się przed ich domem z martwym rudym lisem, zgodnie z tym, co mówiła baśń, Faina będzie dla nich na zawsze stracona. Mabel tak często wracała do listu swojej siostry, że na papierze porobiły się zagięcia, a śliczny, zdradzający wykształcenie charakter pisma Ady stawiał sprawę jasno – lis, który odprowadził dziewczynkę na próg chaty, ginie, miłość zostaje zastąpiona zwątpieniem, a wokół porzuconych bucików i rękawiczek lśni kałuża roztopionego śniegu. Kolejne dziecko znika z ich życia.

Nie potrafiłyby się z tym pogodzić. Objęła się ciasno ramionami, jakby w ten sposób chciała uwięzić w swoim wnętrzu wszystkie możliwości, całą przyszłość i każdą śmierć. Być może to je powstrzyma. Być może wystarczy tylko, że będzie postępować właściwie. Gdyby tylko mogła wiedzieć, co się stanie lub może stać. Albo potrafiła w to uwierzyć z całego serca.

W ogóle uwierzyć.

Poprzednio jej się to nie udało, wtedy gdy poczuła pierwsze drgnienie nowego życia w swym łonie. W głębi duszy była przekonana, że to wszystko jej wina. Podczas ciąży bez ustanku rozmyślała o tym, co oznacza bycie matką i czy jest zdolna do aż tak wielkiej miłości. Gdyby tylko wtedy nie zwątpiła, dziecko nie umarłoby w jej wnętrzu i mogłoby je wydać na świat i wykarmić własną piersią.

Tym razem nie pozwoli na to, by jej miłość osłabła nawet przez chwilę. Wciąż będzie w nią wierzyła i nie straci czujności. „Błagam cię, dziecino, nie opuszczaj nas” – powtarzała w myślach. „Nie opuszczaj”.

Wtedy jednak przypomniawszy sobie o Fainie biegnącej z lisem pomiędzy drzewami i Garretcie rozstawiającym sidła i pułapki po lasach. Zaczęła się jednocześnie zastanawiać, czy zdoła zapobiec temu, co wydawało się nieuchronne.



Czy jej siostra mogła mieć rację, sugerując, że sami decydujemy o zakończeniach, wybierając smutek bądź radość? A może po prostu okrutny świat dawał i odbierał, dawał i odbierał, miotając się na oślep?

Niezależnie od tego, jak to faktycznie wyglądało, Mabel wciąż nie potrafiła się powstrzymać od chodzenia z kąta w kąt. Obejmowała się ramionami i ciągle wyglądała przez okno. Zasypywała Jacka dziesiątkami pytań: Jak długo jeszcze ten chłopak będzie rozstawiał sidła? Dokąd tym razem poszedł? Co udało mu się upolować? Zobaczywszy Garretta jadącego na koniu obok ich chaty i machającego radośnie znad siodła, z którego zwisał upolowany wilk, odruchowo wstrzymała oddech. Wypuściła go dopiero następnego dnia, gdy w drzwiach stanęła Faina i Mabel mogła zapytać o lisa.

„Nic mu nie jest” – odpowiedziała dziewczynka.

\*

W końcu nadszedł marzec i Jack stwierdził, że chłopak już wkrótce przestanie rozstawiać sidła. Mabel mogła wreszcie swobodnie oddychać. Pojawiły się pierwsze oznaki wiosny, śnieg topniał i znów padał, coraz częściej połączony z deszczem. Zasy na podwórzu były coraz mniejsze, ale w lasach wciąż jeszcze zalegał głęboki śnieg. Każdego ranka powierzchnię kałuż skuwiała cienka warstwa lodu, a spod okapu zwisały długie, szkliste sople.

Widząc Garretta wracającego do domu, zaprosiła go do chaty, aby poczęstować chłopca jakimś ciepłym napojem i kawałkiem chleba.

– To ile w końcu udało ci się złapać tych lisów? – zagała swobodnie, jakby kierowała nią jedynie ciekawość, a nie desperacja. Ukroiła kilka pajd chleba i położyła przed nim na stole.

– Nie licząc tego srebrnego, to żadnych – przyznał. – Ale udało mi się upolować wilka, kilka gronostajów i kojotów.

Siedzenie przy stole najwyraźniej wpędzało go w zakłopotanie i nie wiedział, co zrobić z rękami. Z początku przyciskał je kurczowo do boków, a potem oparł na blacie, szurając przy tym nerwowo nogami. Sięgnął po kawałek chleba.

– Długo jeszcze będziesz rozstawiał sidła? – Mabel podała mu herbatę i stanęła za jego plecami.

– Rzeka powoli odmarza – odpowiedział z pełnymi ustami. – Jeszcze parę dni i będę musiał pozbierać pułapki i dać sobie spokój.

Mabel wyciągnęła rękę i delikatnie go przytuliła, obejmując za ramiona.

– Martwimy się o ciebie – powiedziała, a potem nagle się wyprostowała, jakby zaskoczona tym wybuchem uczuć. – Razem z Jackiem wolelibyśmy, żebyś nie kręcił się nad rzeką, jeśli nie jest bezpiecznie. Ale ty sobie doskonale poradziłeś, prawda?

Garrett również zdawał się skrępowany tym nagłym wyznaniem, nie stracił jednak swojego szerokiego uśmiechu.

– W tym roku naprawdę uda mi zarobić jakieś pieniądze na sprzedaży futer – przyznał.

– To dobrze – pochwaliła go Mabel i wróciła do kuchennej lady.

\*

Dochodziło południe. Mabel przysnęła przy piecu, z otwartą książką leżącą na kolanach.

Przez większość zimy nie pozwalała sobie na drzemki w środku dnia, próbując chociaż w ten sposób udowodnić, że nie dotknęła jej „śnieżna gorączka”. Poprzedniej nocy jednak miała problemy z zaśnięciem i wciąż nękały ją koszmary. Światło dnia i ciepło bijące od pieca okazały się tak kojące, że nie potrafiła opanować senności.

Obudził ją dotyk małej, chłodnej dłoni. Otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą Fainę.

„Musisz coś zobaczyć”. – Dziewczynka pociągnęła ją za rękę.

„Och” – westchnęła Mabel. „Nie spodziewałam się ciebie, dzieciно”.

„Pośpiesz się” – ponagliła ją Faina.

„Mam ci coś narysować?”.

Dziecko przytuliło się do niej, kiwając energicznie głową.

„Gdzie?”.

Mała rączka wskazała za okno.

„Na zewnątrz? W porządku. Dobrze. Zaczekaj tylko, aż ubiorę buty i płaszcz”.

„Weźmiesz ołówki?”.

„Tak, oczywiście. Szkicownik też”.

Po otwarciu drzwi Mabel zdziwiła się na widok padającego śniegu. Był już przecież pierwszy tydzień kwietnia.

Faina wzięła ją za rękę i obie wyszły na podwórze. Mimo śniegu, w powietrzu unosiła się już woń wiosny – rozmarzającej rzeki, wilgotnej ziemi, starych i nowych liści, kory i korzeni.

Mabel zauważyła, że wciąż stoją nieruchomo, trzymając się za ręce, a jej serce wypełniło się miłością, niczym studnia chłodną, słodką wodą.

„Narysujesz to dla mnie?” – zapytała cicho Faina.

„Śnieg? Nawet nie wiedziałabym, jak to zrobić”.

Dziewczynka puściła jej dłoń i wyciągnęła rękę w stronę nieba. Jej rękawiczka wisiała swobodnie z rękawa, podtrzymywana przez sznureczek obwiązany wokół nadgarstka. Na gołą skórę dziewczynki spadła pojedyncza śnieżynka. Pokazała ją Mabel.

„Teraz możesz narysować?”.

Śniegowy płatek był nie większy niż najmniejszy guziczek przy koszuli. Miał sześć ramion przypominających pióra i heksagonalny środek. Choć powinien się stopić, wciąż leżał na dłoni dziecka, jak mikroskopijne piórko.

Mabel miała wrażenie, że czas nagle zwolnił; nie potrafiła złapać oddechu i przestała czuć własny puls. Wiedziała, że to, na co patrzy, nie powinno w ogóle istnieć, ale śnieżynka nie chciała zniknąć. Dziecko wciąż trzymało ją na dłoni – świetlisty, przejrzysty cud z ostrymi krawędziami.

„Proszę, narysujesz go dla mnie?”. – Oczy Fainy były olbrzymie i wyglądały, jakby okalał je szron.

Cóż miała zrobić? Mabel sięgnęła po swój szkicownik i ująwszy ołówek w zgrabiałe palce, zaczęła rysować. Faina stała bez ruchu, wciąż nie wypuszczając płatka.

„Może powinniśmy wrócić do domu? Mogłybyśmy usiąść i zrobić to porządnie” – zaproponowała Mabel i w tym samym momencie zrozumiała, że to niemożliwe. Dziewczynka z uśmiechem pokręciła głową.

„Nie, nie. W nagrzonej chacie chyba nie uda nam się narysować śniegu, prawda?”.

Mabel doskonale wiedziała, że szkic był zbyt mały, aby oddać wszystkie linie i krzywizny.

Marząc o szkle powiększającym, wyrwała kartkę ze szkicownika i zaczęła rysować na nowo.

„Rysunki symetryczne nigdy mi nie wychodziły” – stwierdziła, mówiąc raczej do siebie niż do dziecka. „Jestem zbyt niecierpliwa i brakuje mi dokładności”.

Tym razem zaczęła rysować zamaszystymi pociągnięciami ołówka, wypełniając całą stronę szkicem pojedynczego płatka. Rysowała jedną ręką, trzymając notes w drugiej, co jakiś czas pochylała się, by się lepiej przyjrzeć. Niestety ciepło jej oddechu mogło w ułamku sekundy zmienić płatek w kroplę wody, więc szybko odwracała głowę, by na niego nie dmuchać.

Na papier spadły kolejne płatki śniegu. Kiedy zamieniły się w mokre plamy, Mabel wydała z siebie ciężkie westchnienie i przyśpieszyła pracę, przeklinając się w duchu, że nie jest lepszą artystką.

„Na pewno jest doskonały” – szepnęła Faina. „Wiem, że taki będzie”.

Mabel wodziła wzrokiem od rysunku do płatka na dłoni dziecka.

„Szczegóły zawsze mogę dopracować” – stwierdziła wreszcie. „Możemy uznać, że już skończyliśmy?”.

„Tak” – zgodziła się Faina, po czym przysunęła dłoń do ust i delikatnie zdmuchnęła płatek, który pofrunął w powietrze niczym puszek z dmuchawca.

„Och” – westchnęła Mabel, czując, jak łzy napływają jej do oczu, choć nie potrafiła powiedzieć, z jakiego powodu.

Faina ponownie złapała ją za rękę i mocno się do niej przytuliła. Wokół nich lądowały kolejne lepkie śnieżynki. Świat ogarnęła cisza. Śnieg stawał się coraz cięższy i bardziej wilgotny, mocząc kołnierz płaszcza Mabel.

Dziewczynka pociągnęła ją za rękaw. Mabel pochyliła się nad nią, myśląc, że chce jej coś szepnąć do ucha, ale zamiast tego poczuła jej chłodne, suche usteczka na swoim policzku.

„Żegnaj” – powiedziało dziecko i puściło jej rękaw. Kiedy ruszyło przed siebie, Mabel zrozumiała. Wepchnęła szkicownik pod płaszc i stała w deszczu, nie zwracając uwagi na przemoczony płaszc i oblepione błotem buty. Wpatrywała się bez końca w las, ale w głębi serca wiedziała już wszystko.

## ROZDZIAŁ 21

Zima okazała się idiotyczną stratą czasu. Popracował w stodole, posegregował narzędzia, oskubał kury i bawił się na śniegu. Mógł oczywiście wykorzystać ten czas, by się lepiej przygotować do wiosny, ale w sumie po co? Prawdą było to, co mówiono o tej ziemi – cała robota odbywała się w ciągu kilku wypełnionych gorączkową pracą miesięcy. Ziemię można było uprawiać tylko dlatego, że latem słońce świeciło tutaj przez dwadzieścia godzin dziennie, a warzywa w ciągu jednej nocy osiągały niespotykane rozmiary. George twierdził, że zdarzało mu się widywać pięćdziesięciokilogramowe główki kapusty, zebrane na okolicznych polach. Nadszedł jednak maj, a Jack i jego koń tonęli w błocie za każdym razem, gdy próbowali zaorać pole. W ojczystych stronach Jacka zboża zostałyby zasiane już miesiąc temu. Czekaając, aż ziemia odtaje i obeschnie, słyszał w swojej głowie tykanie zegara, który oprócz tego, że odliczał minuty, dodatkowo oznajmiał donośnym biciem, że oto upłynął kolejny dzień jego życia. Tego roku ich gospodarstwo musiało wreszcie na siebie zarobić. Biorąc pod uwagę, że zimą kilku gospodarzy porzuciło swoje domostwa i zrezygnowało z mieszkania na Alasce – choć rozwój kolei zapewniał nowe rynki zbytu – Jack miał nadzieję, że uda mu się zrealizować ten plan. Musiał postawić wszystko na jedną kartę. Posadzi nie tylko ziemniaki, lecz także marchew, sałatę i kapustę i przez całe lato będzie sprzedawał warzywa w obozach górniczych. Próbował rozmawiać o tym z Mabel, lecz za każdym razem kończyło się to sprzeczką. Wspomnił jej, że musiałyby zatrudnić kilku chłopaków z miasteczka do pomocy przy zasiewach, ale nie mieli na to pieniędzy.

– Trzeba wymyślić coś innego – odpowiedziała, wbijając nieobecne spojrzenie w swoje dłonie.

– Niby co? I jak, na Boga? – wybuchnął, nie próbując pohamować gniewu w głosie. – Nie jestem już przecież taki młody – dodał nieco łagodniej. – Bolą mnie plecy, a rankiem z trudem mogę zgiąć palce. Naprawdę potrzebuję pomocy.

– Kto mówi, że tylko ty masz się tym zajmować? A ja to co?

– Nigdy nie pracowałaś na roli, Mabel. Nie chcę, żebyś teraz zaczynała.

– Wolisz się po prostu zapracować na śmierć i zostawić mnie tu samą, żebyśmy oboje musieli cierpieć?

– Nigdy tego nie chciałem. Ale tak to wygląda – jesteśmy tutaj tylko we dwoje. Któraś z nas musi zająć się domem, podczas gdy drugie zarabia na jego utrzymanie.

I tak rozmowa raz jeszcze wróciła do pustki, która istniała pomiędzy nimi; pustki, którą powinny były wypełnić dzieci. Dziewczynka, która pomagałaby Mabel, i chłopiec, zdolny do pracy na polach.

– A co z hotelem? Może Betty znów będzie chciała moje ciasta?

– Wydawało mi się, że przyjechaliśmy tutaj, żeby uprawiać ziemię, a nie handlować ciastami i wypiekami, jak jacyś Cyganie. Tak powinno być. Jeśli kiedykolwiek będziemy w stanie utrzymać się z tej ziemi, to musimy zacząć od tego roku. Ale nie wiem, jak mam sobie sam z tym wszystkim poradzić. – Wyszedł na zewnątrz, powstrzymując się od trzaśnięcia drzwiami.

\*

Od dziecka kochał zapach ziemi, która zrzucając lodowe okowy, wracała do życia. Ale nie tej wiosny. Wokół ich domu panowała wilgotna i zatęchła atmosfera ponurej samotności.

Z początku Jack nie wiedział, co było jej źródłem. Być może jego własny nastrój, a może wiosenna pogoda i chmury przynoszące deszcze, od których ściany chaty nasiąkały wilgocią. Mabel również nie potrafiła znaleźć sobie miejsca.

Pewnego dnia zdecydował się policzyć dni od ostatniej wizyty dziewczynki. Minęły trzy tygodnie – jeszcze nigdy nie znikwała na tak długo. Choć starał się skupić na czekającej go pracy, ta myśl wciąż nie dawała mu spokoju.

Jej imię przestało się pojawiać w ich rozmowach, krzesło przy stole pozostawało puste, a Mabel już nie stawiała dodatkowego nakrycia na stole. Jack martwił się o nią równie mocno jak o dziewczynkę. Jego żona nie wystawała już przy oknie, a kiedy wracał do domu, stała najczęściej nad zlewem i wpatrywała się w brudne naczynia, jakby kompletnie straciła poczucie czasu.

Czasem zauważała jego przyście dopiero wtedy, gdy kładł rękę na jej ramieniu.

A przecież zimą wyglądało to zupełnie inaczej. Jack nie mógł się doczekać powrotów na posiłki, nawet jeśli nie spodziewali się odwiedzin Fainy. Rozmawiali

o swoich planach i przyszłości.

Nie kładł się spać zaraz po kolacji, tylko pomagał Mabel w sprzątaniu ze stołu. Kiedy po raz pierwszy zabrał się do zmywania naczyń, Mabel przyłożyła dłoń do czoła i zamknęła oczy, udając, że omdlewa. Pocałował w półprzymknięte powieki żony, co wywołało uśmiech na jej twarzy, a potem śmiali się, tańczyli i kochali.

Po odejściu dziecka to wszystko zniknęło.

Minął stodołę, kierując się w stronę pola. Buty zapadały się w błocie. Zeskoczył ze ścieżki na trawę i mech porastające nieco bardziej suchy grunt. Na brzoźowych gałązkach pojawiły się pierwsze niewielkie zielone pączki. Coś przemknęło między drzewami.

– Faina?

Wśród drzew znów mignął jakiś cień, był jednak zbyt daleko, żeby dostrzec cokolwiek więcej. Ruszył ścieżką odchodzącą w bok od pola. Trzy dni temu natknął się tam na ślady i odchody pozostawione przez niedźwiedzia. Nie miał co prawda przy sobie strzelby, ale musiał to sprawdzić.

Tygodniowy brak odwiedzin dałoby się jeszcze wyjaśnić – dziewczynka mogła po prostu polować w różnych zakątkach lasu. Ale trzy tygodnie to coś zupełnie innego. Choroba, wiosenna lawina topniejącego śniegu, niestabilny lód na rzece – idąc pomiędzy drzewami, Jack odhaczał w myślach kolejne ponure scenariusze.

Ziemia pozbawiona śnieżnej pokrywy i letniej zieleni wydawała się całkowicie naga.

Spod martwych liści pod jego stopami wystrzeliwały pierwsze zielone pędy skrzypów. Szedł tak szybko, jak tylko pozwalało na to jego stare serce. Po jakimś czasie dotarł do skalistego klifu, uświadamiając sobie jednocześnie, że zszedł z drogi i minął strumień. Ruszył dalej po śladach zwierząt, co wymagało kucania pod olchowymi gałęziami. Kierując się szumem wody, dotarł w końcu do strumienia, wezbranego od wiosennych roztopów. Jego huk był ogłuszający.

Idąc brzegiem, dotarł w końcu do grzbietu wzgórza i znajomej kępy wysokich świerków oraz pnia pozostałego po ściętym przez niego drzewie. Na grobie mężczyzny ułożono stos kamieni.

Faina musiała je tu przynieść znad strumienia.

– Faina? Jesteś tutaj? Faina? – Jego krzyki ginęły w szumie płynącej wody. – Faina? To ja, Jack! Słyszysz mnie?

Przypomniawszy sobie o drzewczkach w zboczach wzgórza, za którymi skryła się przed nim dziewczynka. Musiał się kilkakrotnie rozejrzeć po okolicy, nim wreszcie udało mu się je odnaleźć.

Wyglądały jak najzwyklejsze drzwi do chaty zbite z oheblowanych desek, tyle że były tak niskie, że dorosły mężczyzna musiałby się zgiąć w pół, aby wejść do środka, nie miały też framugi i zdawało się, że osadzono je wprost w trawiastym zboczu. Nie dostrzegł przed nimi żadnych śladów, a kiedy zapukał, uchyliły się do wewnątrz na skórzanych zawiasach.

– Faina? Jesteś tu, kochanie?

Drżał ze strachu, że znajdzie ją skuloną na łóżku, głodną, schorowaną lub jeszcze gorzej.

Wnętrze okazało się jaśniejsze, niż się spodziewał, gdzieś nad jego głową musiało się znajdować źródło dziennego światła.

– Faina?

Żadnej odpowiedzi. Jego oczy dostosowały się do półmroku. Ściany zrobiono z pni ociosanych siekierą. W drewnianym suficie pozostawiono kwadratowy otwór, nie szerszy od przewodu kominowego, przez który było widać niebo. Tuż pod nim znajdowało się palenisko z zimnymi resztkami nadpalonego drewna. Ono również było kwadratowe – kawałek ziemi otoczony kilkoma deskami.

Twórca tej chaty wrył się głęboko we wzgórze, budując pomieszczenie w jego wnętrzu, a potem ponownie przykrył wszystko darnią. Efekt był taki, że kryjówka wyglądała po prostu jak trawiasty pagórek, jeden z wielu w tej okolicy. Taka budowla zapewniała zapewne lepszą izolację, zwłaszcza zimą, gdy wszystko było pokryte śniegiem, ale nie wydawała się zbyt praktyczna.

Było w niej też coś złowróżbnego. Ktokolwiek mieszkał w tym wnętrzu, musiał mieć skłonność do mroku i sekretów.

Powietrze pachniało wilgocią, jak na opuszczonym strychu, ale dało się też wyczuć inne, specyficzne zapachy – drzewa, suszonego mięsa i ryb, wyprawionych futer oraz ziół. Z sufitu zwisało kilka pęczków ususzonych roślin. Kiedy się wyprostował, jego głowa znalazła się zaledwie ćwierć metra od sklepienia.

Drzwi zamknęły się z głuchym hukiem.

– Faina?

Otwarł je ponownie, ale nikogo za nimi nie było.

Stojąc w tym wilgotnym, pustym pomieszczeniu, coraz bardziej martwił się o dziewczynkę.

Rozejrzał się wokół i stwierdził, że gdyby nie widział, jak przechodziła przez te drzwi, nigdy by nie uwierzył, że tutaj właśnie mieszkała. Nie było tu żadnych zabawek, sukienek ani dziecięcych ubranek. Być może opuszczając to miejsce,



zabrała je ze sobą – nie można było tego w żaden sposób stwierdzić. Tracił nogą spalone drewno na palenisku. Żadnego dymu, żadnych iskier.

Ogień wygasł wiele dni albo i nawet tygodni temu.

Znalazł łóżko zrobione z okorowanych gałęzi świerka. Nie przykryto go kocem, tylko skórą karibu oraz innymi wyprawionymi futrami. Jeden róg pomieszczenia zajmowało coś w rodzaju kuchni, ze stołem i półkami, na których zobaczył słoje z fasolą i mąką, ale prawie żadnego innego jedzenia. W przeciwległą ścianę powbijano drewniane bolce, na których zawisły rakiety śnieżne, siekiery i narzędzia do obróbki drewna, należące raczej do dorosłego mężczyzny, a nie dziecka. Sprzęt był brudny i częściowo zardzewiał. Pomiędzy narzędziami wisiało też parę ubrań – obszyta futrem kurtka byłaby zbyt duża nawet na niego. Gdy zdjął ją z bolca, usłyszał jakiś brzęk. Przeszukał kieszenie i odkrył kilka pustych butelek. Obwąchał je wszystkie – niektóre pachniały zwierzęcym moczem i piżmem, z innych niosła się woń mocnego samogonu. Piotrowej wody, jak nazywała to dziewczynka.

Potrząsnął głową, by oczyścić nos z tych woni, i odwiesił kurtkę na miejsce. W kolejnym narożniku natknął się na stos wysuszonych skór: bóbr, wilk, kuna, norka.

Ruszył w stronę drzwi, gotów do wyjścia, kiedy nagle przypomniał sobie o lalce. Mogła tu gdzieś być. Wrócił do łóżka, rozgarnął leżące na nim futra, ale niczego nie znalazł. Za to pod pryczą odkrył drewniane pudełko, uklęknął więc i je wyciągnął.

W środku leżał różowy dziecięcy kocyk, wyswiechtany i brudny, ale porządnie poskładany.

Pod nim ukrywało się kilka czarno-białych fotografii. Jack wziął je do ręki. Pierwsza z nich przedstawiała elegancko ubraną parę, stojącą z walizkami i kuframi na nabrzeżu, jakby mieli za chwilę wsiąść na statek. Z początku nie potrafił rozpoznać mężczyzny – na zdjęciu był o wiele młodszy, ufryzowany i gładko ogolony. Kobieta u jego boku miała stylową suknię, a w jej delikatnych rysach twarzy i blond włosach Jack rozpoznawał rysy Fainy. Byli to zapewne jej rodzice, tuż przed odpłynięciem z Seattle na Alaskę. Na kolejnej fotografii zobaczył kobietę trzymającą drobniutkie niemowlę, owinięte czystym i nowym kocykiem, tym samym, który teraz spoczywał w pudełku. Kolejne zdjęcie – mężczyzna w raketach śnieżnych i kurtce, uśmiechający się krzywo do aparatu. Kompletnie nie przypominał zwłok wepchniętych przez niego do dziury w ziemi, ale to na pewno był on.

Jack zacisnął zęby. Jak ten mężczyzna mógł porzucić w tej dziczy swoją małą córeczkę?

Odłożył koc i fotografie do pudełka i wepchnął je z powrotem pod łóżko.

Wyprostował się i słysząc, jak strzela mu w kolanach, poczuł się nagle stary i wystraszony.

Dziecko zniknęło. Zostało pochłonięte przez to miejsce.

Raz jeszcze wrócił myślami do laleczki i rozejrzał się po pokoju, choć już wiedział, że niczego nie znajdzie. Uznał to za niewielkie pocieszenie. Stracili Fainę, ale dokądkolwiek poszła i cokolwiek się z nią działo, miała przy sobie tę lalkę.

Po wyjściu na zewnątrz musiał zmrużyć oczy przed blaskiem słonecznego światła i po omacku zamykać drzwi. Stał przez chwilę nieruchomo, wsłuchując się w szum strumienia i pozwalając, aby górski wiatr owiewał jego twarz. Pomimo dręczącego go smutku musiał przyznać, że było tu przepięknie. Widać było stąd całą dolinę, a jeśliby się wysilił, mógł prawie dostrzec ich chatę.

## ROZDZIAŁ 22

Kiedy następnego dnia Jack nie wrócił na obiad z pola, Mabel była tym jedynie odrobinę zaniepokojona. Uznała, że najpewniej postanowił pracować bez przerwy. Ale gdy wieczorem kolacja zaczęła stygnąć na stole, zrozumiała, że coś musiało się wydarzyć. Z gardłem ściśniętym paniką założyła płaszcz i buty. Tuż przed wyjściem zdjęła jeszcze na wszelki wypadek strzelbę z haka i napełniła kieszenie nabojami. Przysięgła sobie, że kiedyś nauczy się z niej strzelać.

Ruszyła ścieżką prowadzącą na pola, a jej suknia momentalnie utonęła w błocie. Wyobrażała sobie Jacka leżącego na polu, wspominając jednocześnie własnego ojca, który umarł na zawał serca we własnym sadzie. Zostałaby całkiem sama i nie miałaby innego wyjścia – musiałyby wrócić do rodzinnego domu i zamieszkać razem z siostrą. Albo z rodziną Jacka.

Po dotarciu na miejsce omiotła pole uważnym spojrzeniem, nie zauważyła jednak ani męża, ani konia. W koronach drzew pojawiły się już wieczorne cienie, a na niebie błyszczały pierwsze, rzadko porozrzucane gwiazdy. Nad moczarami rozległ się skrzek lecących żurawi, równie nierzeczywisty jak powolny trzepot ich szarych skrzydeł. Mabel czuła przenikające ją dreszcze, a mróz ścinał błoto pod jej stopami.

Pomiędzy drzewami dało się słyszeć prychnanie konia. Ruszyła w tamtą stronę i po chwili dotarła do nowego pola. Zobaczyła konia, wciąż zaprzężonego do wywróconego pługa. Zwierzę podniosło powoli jedno kopyto, a potem drugie.

– Jack? Jack?

W otaczającym ją półmroku mogła dostrzec tylko zarysy kształtów, mimo to ruszyła w stronę zwierzęcia. Do jej uszu dotarł zduszony jęk.

– Mabel?

Chciała się zerwać do biegu i ruszyć w stronę, z której dochodził głos, ale wyboista ziemia skutecznie jej to uniemożliwiła. Wciąż nie potrafiła dostrzec Jacka.

– Tutaj, Mabel. Tu.

Ruszyła za dźwiękiem, pochylona nisko nad ziemią. Zobaczyła go dopiero wtedy, gdy omal na niego nie nadepnęła. Leżał na plecach, z twarzą skierowaną

ku nocnemu niebu.

– Co się stało? Jesteś ranny?

– Koń. Pociągnął mnie. Parę godzin temu... – krew i ziemia tłumili jego słowa.

Mabel przyklękła i otarła mu usta rękawem.

– Jak to się stało?

– Niedźwiedź.

– Tutaj?

– Wyszedł z lasu, kiedy akurat dokręcałem śrubę w tym cholernym pługu. Koń zauważył go pierwszy i zaczął szaleć.

Mabel spojrzała na otaczający ich las.

– Już go nie ma – uspokoił ją. – Raczej nie chciał nam zrobić krzywdy. Przechodził obok, pewnie nawet nas nie widział. Próbowałem wyprząc się z pługa, ale koń się wystraszył i zaczął biegać w kółko, aż upadłem i pociągnął mnie za sobą. W końcu się wyplątałem i miałem nadzieję, że pobiegnie do domu, ciągnąc ten pług za sobą – wiedziałabyś wtedy, że coś się stało – ale przestał uciekać. – Jack spróbował usiąść, a na jego twarzy pojawił się grymas bólu.

– Gdzie cię boli?

– Wszędzie – próbował się zaśmiać, ale z jego ust wydobył się tylko ochryply kaszel. – Głównie plecy.

– Co mam zrobić?

– Wyprzęgnij konia. Nie bój się. Nie będzie już szalał.

– A potem?

– A potem będziesz mnie musiała na niego wsadzić, żebyśmy mogli wrócić do domu.

– Możesz wstać?

– Nie wiem.

Korzystając ze wskazówek Jacka, zdjęła uprząż z konia i przyprowadziła zwierzę w pobliże swojego męża. Pochyliła się i wsunawszy ręce pod jego ramiona, spróbowała podnieść go z ziemi. Był cięższy, niż się spodziewała, zapadła się w błocie przytłoczona jego ciężarem. Oplótł ją ramionami za szyję i z głośnym jękiem zdołał uklęknąć.

– Jezu – westchnął, ocierając łzy z oczu.

– Sprowadzę jakąś pomoc. Pójdę po George'a.

– Nie. Damy sobie radę. Chodź. – Ponownie otoczył ją ramieniem i wstał, ocierając ubłoconą koszulą o jej twarz. – Spokojnie. Powoli. Złap go teraz za uzdę.

Koń szarpał głową na wszystkie strony, podczas gdy Mabel jedną ręką próbowała go utrzymać w miejscu. Jack puścił jej szyję i przywarł do końskiego boku.

– Nie dasz rady. Nie uda ci się na niego wsiąść.

– Muszę. – Oparł obie dłonie o grzbiet konia, podciągnął się do góry i przewiesił się w poprzek zwierzęcia.

– Prr... Prr... – Mabel z trudem utrzymywała zwierzę w bezruchu, podczas gdy Jack zdołał przełożyć jedną nogę przez jego grzbiet i oprzeć głowę o grzywę, pozlepianą zasuszonym potem.

– Jezu – wyjęczał, z trudem łapiąc oddech. – Jezu.

– Jack? Mam już ruszać?

– Spokojnie. Dojdziemy powoli.

Powrót do domu był długi. Panujące ciemności utrudniały poruszanie się, Mabel miała też spore problemy z oceną odległości, więc ciągle czuła się dezorientowana. Jedną ręką prowadziła konia, w drugiej trzymała strzelbę. Za każdym razem, gdy zwierzę potknęło się o jakiś kamień lub wykrot, Jack jęczał z bólu. Oddałaby wszystko, żeby znaleźć przy sobie jakiś kawałek liny lub lejce. Zapierający się koń kilka razy wyrwał jej postronek z rąk i wciąż się obawiała, że może zrzucić jej męża i pognać do domu.

– Wszystko w porządku, Mabel. Staraj się nie śpieszyć.

Poprowadziła konia aż pod drzwi chaty i pomogła Jackowi zsunąć się z jego grzbietu.

Opadł na ziemię na czworakach.

– Idź – poprosił. – Odprowadź konia do stodoły.

– Ale...

– Dam sobie radę. Idź.

Spełniła jego prośbę i ruszyła w stronę stodoły, a kiedy spojrzała przez ramię, zobaczyła, jak Jack pełźnie ku drzwiom.

\*

Mabel wzięła się w garść, aby zagrzać wodę i pomóc Jackowi w zdjęciu ubrań. Rozłożyła wełniany koc na podłodze przed piecem i położyła na nim męża, żeby go obmyć z brudu i krwi.

Od czasu do czasu pojękiwał z bólu, zwłaszcza wtedy gdy dotykała obtartej skóry między jego łopatkami. Większe zmartwienie budził w niej fioletowy siniak, który rozlewał się w okolicach krzyża.

– Powinnam sprowadzić pomoc.

– Po prostu połów mnie do łóżka – sprzeciwił się, kręcąc głową.

Uznała, że bez bandażu powierzchowne otarcia zagoją się szybciej. Ubrała męża w długą, czystą koszulę. Pólnagi, przeszedł na czworakach do sypialni, gdzie pomogła mu położyć się do łóżka. Później próbowała go nakarmić rosołem, ale tylko krzywił się z bólu.

\*

Siedziała do późnej nocy przy kuchennym stole, oświetlonym pojedynczą świecą, i wpatrywała się w kubek z zimną herbatą. Od czasu do czasu słyszała poskrzypywanie łóżka i jęki Jacka. Już wcześniej zdarzało mu się solidnie potłuc – w rodzinnym gospodarstwie palety przytrzasnęły mu rękę, złamał nogę, gdy spadł z konia – ale jeszcze nigdy aż tak bardzo. Wiedziała z doświadczenia, że następnego dnia ból będzie jeszcze silniejszy. Pomyślała o opuszczonym polu i szaleńczym tempie prac Jacka, który tyrał po dwanaście godzin dziennie i twierdził, że i tak nie zdąży z wszystkim na czas. Nawet jeśli szybko wróci do zdrowia, ta przerwa może ich zrujnować.

\*

Tej nocy prawie w ogóle nie spała. Przebiegające przez jej głowę niespokojne myśli wciąż krążyły wokół zasiewów i zarobków, wracając ciągle do punktu bez odpowiedzi. Kiedy udało jej się zdrzemnąć na krześle, momentalnie obudziły ją jęki Jacka.

Przewidywania okazały się słuszne – w nocy ból stał się dwukrotnie silniejszy, a o poranku Jack ledwie mógł z siebie wydobyć jakieś słowo. Delikatnie odwróciła go na bok i podwinęła mu koszulę. Otarcia musiały sięgać aż do kości.

– Nie mogę poruszyć stopami. – Jego szept zdradzał krańcową desperację.

Pogłaskała go po czole i pocałowała w usta.

– Zaraz wracam – powiedziała ze spokojem, którego w ogóle nie odczuwała. Przyniosła mu wodę i chleb, a potem oznajmiła, że pójdzie nakarmić zwierzęta.

Do tej pory zaledwie parę razy miała okazję dosiadać konia, ale uznała, że tak będzie szybciej niż zaprzęganie go do wozu. Nie chciała zostawiać Jacka, lecz podobnie jak w przypadku spraw, nad którymi zastanawiała się ubiegłej nocy, nie potrafiła znaleźć żadnego wyjścia z tej sytuacji. Musiała sprowadzić lekarza.

Mimo że spędziła w miasteczku całe lato, nie miała pojęcia, gdzie szukać doktora. Domyślała się, że powinien wynajmować pokój w pensjonacie albo w hotelu. Po męczącej, dwugodzinnej jeździe zeskoczyła z siodła na drogę przed sklepem w miasteczku. Jack zawsze się tak pochlebnie wypowiadał o właścicielu, Josephie Palmerze. Pamiętała go jako uprzejmego, cichego w obyciu mężczyznę z przyszyżoną białą brodą.

Pytanie o lekarza wprowadziło staruszkę w zakłopotanie.

– Nie mamy tu żadnego. Najbliższy urzęduje w Anchorage. Trzeba tam dojechać pociągiem.

– Słucham?

– Nie ma tutaj żadnego lekarza, kochana. Nigdy takiego nie było – powtórzył łagodnie.

– To chyba jakieś kpiny? Żadnego lekarza? To przecież miasteczko, na Boga!

Wzięła głęboki oddech, próbując znaleźć w sobie choć odrobinę siły. Pan Palmer pokiwał smutno głową, gdy opowiedziała mu o obrażeniach swojego męża. Stwierdził, że znał kilku mężczyzn, którzy poprzetręcali sobie grzbiety, i żaden lekarz nie mógł im pomóc.

– Trzeba dać temu czas. Albo się zagoi, albo nie – stwierdził, jakby żałując, że tak właśnie wyglądała prawda. Zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji.

Poza doradzeniem podróży do Anchorage pan Palmer mógł ją tylko poratować brązową butelką wypełnioną jakimś płynem.

– Trzeba mu to podawać co parę godzin. Zmniejszy ból i pomoże zasnąć – doradził. – I proszę się nie martwić, że wypije za dużo. Znam ludzi, którzy raczą się tym na co dzień i nic im nie jest.

Zapłaciła i podziękowała, a kiedy odwróciła się ku drzwiom, zawołał ją raz jeszcze.

– Być może wyda się to pani niewłaściwe, ale na pani miejscu kupiłbym mu parę flaszek bimbru. Najlepiej u Teda Swansona, przy rzece, po drugiej stronie torów. Może pani pomóc. To, co pani dałem, powinno być skuteczniejsze z odrobiną alkoholu. Raczej nikomu nie doradzam takiej kuracji, ale wygląda na to, że Jack jest w potrzebie.

Laudanum i samogon – jedyne lekarstwa, jakie to miejsce mogło zaoferować jej mężowi.

Wskoczyła na konia i pognęła galopem, zbyt wściekła, by odczuwać strach.



## ROZDZIAŁ 23

Pod błękitnym niebem otwierały się lepkie pąki topól, a błoto pokrywające pola zamieniło się w wilgotną żyzną glebę, ale pogrążoną w żalu Mabel wciąż przytłaczało aż nazbyt znajome poczucie porażki. Ciągłe odczuwała jakieś pragnienie lub głód, czające się w głębi przetyku, ale oparła się pokusie sięgnięcia po butelkę z laudanum. W promieniach słońca chata wydawała się mroczna i chłodna. Nie rozpalala w piecu, lecz świece cały czas płonęły. Jack wciąż spoczywał nieruchomo na łożu, do którego już nie wracała na noc, i wzywał ją tylko wtedy, kiedy przestawały działać środki przeciwbólowe. Przypomniała sobie, co Esther mówiła jej kiedyś o łosiach, którym zdarza się u progu wiosny padać z głodu. Po przeżyciu całej zimy te długonogie zwierzęta ginęły z wyczerpania i desperacji, potykając się w ciężkim, mokrym śniegu.

Została sama. Jej silny mąż, który zawsze się o nią troszczył, zmienił się w płaczący po nocach wrak człowieka i wciąż błagał, by od niego odeszła i zaczęła nowe życie. Dziewczynka, którą pokochała, również zniknęła – kolejne stracone dziecko w ich życiu. Siedząc wyprostowana na krześle, przysypiała o najdziwniejszych porach, śniąc koszmary o zakrwawionych, martwych niemowlętach i topniejących kałużach śniegu. Baśń opisana w liście przez jej siostrę wciąż nawiedzała jej sny. Zacznę topnieć za każdym razem, gdy wasza miłość do mnie osłabnie. Wrócę prosto do nieba – Śnieżynka.

Po przebudzeniu nie miała nawet czasu, żeby smucić się z powodu tych snów. Czekano na nią zbyt wiele roboty: opieka nad zwierzętami, przynoszenie wody, sadzanie Jacka na nocniku, przygotowywanie posiłków, które potem musiała jeść samotnie. Zmęczenie zaburzyło jej poczucie czasu i zwykle miała problem z odróżnieniem dnia od nocy, świtu od wieczora.

Pewnego popołudnia, gdy koszmary wciąż nie dawały jej spokoju, wyszła na zewnątrz, mrużąc oczy przed słonecznym blaskiem. Rozrzuciła okruchy chleba, by mogły się nimi pożywić dzikie grubodzioby oraz sikorki. Przemawiała do nich, tak jakby potrafiły ją zrozumieć, one jednak rozpierzchły się na dźwięk jej głosu. Poszła na pastwisko i pogładziła konia po miękkim pysku, a potem weszła między drzewa i zerwała kilka gałązek żurawiny. Trzymając w zaciśniętej dłoni drobne

białe kwiatki, wciąż wpatrywała się w las z nadzieją, że dostrzeże dziewczynkę, ale pomiędzy drzewami panowała cisza. Przypomniała sobie o niedźwiedziu i wilkach. Musiała zaczekać, aż Jack będzie zdolny do podróży, i wtedy wyniosą się z tego miejsca. Nie mieli tu już na co liczyć.

– Halo? Jest tam ktoś?

Patrząc pod słońce, nie potrafiła rozpoznać postaci siedzącej na koniu. Mężczyzna zsunął się z siodła i wyjął z juków jutowy worek. To był George. Mabel poczuła nagłą ulgę i z wdzięcznością przyjęła zaoferowane jej ramię.

– Słyszałem, że twój stary zaniemógł, co?

Kiedy usiadła na krześle, zaczął wyjmować z worka słoje i ustawił je na stole. W środku lśniła jakaś ciecz.

– Nie patrz tak na mnie, Mabel. Przetracony grzbiet to najlepsza wymówka do picia samogonu.

Gdzie on jest?

Wskazała drzwi do sypialni, za którymi spał Jack.

– Jeszcze nie potrafi samodzielnie chodzić – szepnęła. – A kiedy laudanum przestaje działać, ból staje się nie do zniesienia.

George zacmokał cichutko i potrząsnął głową.

– Cholera. Chyba nie kopnie nam tu w kalendarz, co?

– Nie, George. Na pewno nie. – Wstała i zaczęła ustawiać słoiki z bimbrem na kuchennej półce. Tak jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie.

– Jak tylko wydobreje, będę musiała przygotować plan podróży – oznajmiła. – I wiem, że chciałby, abyś zatrzymał nasz sprzęt, narzędzia, no i oczywiście zwierzęta. Obawiam się, że nie będziemy mogli zabrać ich ze sobą.

– Mabel?

– Rozumiesz chyba, że nie możemy tutaj zostać?

– Chcecie opuścić gospodarstwo? Na zawsze?

– Przecież ledwie wiązaliśmy koniec z końcem, George. I jesteśmy tylko we dwójkę.

Przyjazd tutaj był cudowną przygodą, ale musimy się pogodzić z losem i wrócić do domu.

– Nie możecie tak po prostu odejść. Tak wiele tutaj zrobiliście. Musi być jakiś sposób. – George spojrział na drzwi sypialni. – Od jak dawna tak leży?

– Ponad tydzień.

– A ile mu się udało zrobić na polu przed tym wypadkiem?

– Wciąż je dopiero przygotowywał.

– Nie zrobił żadnych zasiewów?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Niech to szlag... wybaczone, proszę. To musiał być cholerny cios, prawda?

– Tak, George, to prawda.

Wsiadając na konia i gotując się do odjazdu, George był niezwykle milczący.

– Na pewno przyjdziemy się pożegnać przed odjazdem – zawołała za nim z progu chaty.

– Podziękuj Esther za wszystko. Jesteście naprawdę najlepszymi sąsiadami, na jakich mogliśmy trafić.

George spojrział na nią przez ramię, potrząsnął głową i odjechał bez słowa. Mabel była pewna, że w jego wzroku kryła się reprimenda.

\*

Wylewała właśnie wodę z miski na tyłach chaty, gdy usłyszała zgrzyt wozu toczącego się po drodze. Wpadła błyskawicznie do chaty i zaczęła ukrywać bieliznę i pościel, które właśnie prała.

– Daj spokój, nie musisz dla nas sprzątać – zaśmiała się od progu Esther.

– Och, Esther. – Mabel odkryła z zaskoczeniem, że przytula się do sąsiadki, wciskając twarz w jej ramiona i zanosząc się płaczem.

– No już, już, wybecz się. – Przyjaciółka poklepała ją po plecach. – Już w porządku.

Mabel odsunęła się o krok, otarła oczy i spróbowała się uśmiechnąć.

– Popatrz tylko na mnie. Jestem w kompletnej rozsypce. Nie tak powinno się witać gości.

– Niczego innego się nie spodziewałam. Biedactwo, sama od tyłu dni musisz się opiekować poobijanym facetem. A oni przecież są jak dzieci, kiedy coś ich boli. Myślę, że to dlatego, że nie muszą rodzić – spojrzała Mabel prosto w oczy, nie okazując żadnego żalu czy zażenowania.

Tak jakby doskonale wiedziała, jakie chce przywołać wspomnienie. Mabel świetnie ją rozumiała – przetrwała w końcu poród, choć dziecko urodziło się martwe. Udało jej się to przeżyć, prawda?

Poczuła się tak, jakby odkryła nagle w kieszeni mały kamyk, twardy jak diament, o którego istnieniu zdążyła już zapomnieć.

– I gdzie, do diabła, mam to postawić. – W drzwiach pojawił się Garrett z całym naręczem pakunków.

– Opanuj się. I odłóż to tam, gdzie znajdziesz miejsce. A potem przynieś resztę... – Co to jest, Esther?

– Zapasy.

– Ale my... George nic ci nie powiedział?

– O twoim niedorzecznym planie ucieczki? Oczywiście, że mi powiedział. Nie liczyłaś na to, że oddamy bez walki jedynych interesujących przyjaciół, jakich tu znaleźliśmy?

– Musimy stąd wyjechać, to wszystko nie będzie nam potrzebne. – Mabel ściszyła głos do szeptu. – I prawdę mówiąc, Esther, nie mamy pieniędzy, żeby za to zapłacić.

Garrett rzucił kolejne pakunki na stół. Jego matka w milczeniu podniosła rękę, żeby na odchodnym palnąć go w tył głowy. Pomimo smutnego nastroju Mabel nie potrafiła powstrzymać się od uśmiechu.

– Nic się nie martw o pieniądze. Wszyscy słyszeli o tym, co się wam przytrafiło, i każdy coś dorzucił. Nic specjalnego, ale przez jakiś czas pozwoli wam przetrwać.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. To zbyt wiele... taka hojność... – Wiesz, może i nie mamy tu żadnego doktora, ale paru ludzi jeszcze zachowało dobre serca. – Esther spojrzała na nią przez ramię i mrugnęła, po czym zabrała się do rozpakowywania worków i pudeł.

– Ojej, strasznie mi przykro. Nie chciałam was urazić. Byłam wtedy zrozpaczona.

– Nic się nie stało. Staruszek Palmer był pod zbytnim wrażeniem twoich umiejętności jeździeckich, żeby się obrazić. Twierdzi, że jeszcze nigdy nie widział kobiety, która jeździłaby tak elegancko. Połóż te śpiwory przy piecu, Garrett, niech się na razie nie plątaj pod nogami.

– Śpiwory?

– Czyżbym zapomniała ci powiedzieć? Wprowadzam się do was, razem z moim dzieciakiem.

Możemy być nieznośni i się rządzić, ale na pewno nie odmówicie darmowej pomocy.

– Pomocy? Przy Jacku?

– Z Jackiem i z zasiewami. Zostaniemy z tobą aż do końca lata, chyba że wcześniej będziesz miała nas już dosyć.

– Ależ Esther... nie. Nie, nie mogę na to pozwolić.

– Jak to? Kochana, ty chyba naprawdę nie wiesz, z kim masz do czynienia. Ja i Garrett mamy zamiar obsiać te pola. Możesz nam pomóc albo zejść nam z drogi, bo na pewno nas nie powstrzymasz. – Jej ostatnie słowa zostały zagłuszone przez jakiś łoskot. Jej syn wciągnął do chaty końskie koryto.

– Na Boga, mamó, po co żeśmy to ze sobą przywlekli?

– Gdybyś tyle nie gadał, skończyłbyś już robotę. Postaw to tutaj, koło pieca.

– Nie wiem, czy zauważyłaś, ale pewnie mają tu jakieś żłoby. – Chłopak przewrócił oczami, patrząc w stronę stodoły.

– Ale nie takie.

Koryto było idealnie czyste i zajmowało większość miejsca przy piecu. Mabel uświadomiła sobie nagle, że ich dom zmienił się w dom Bensonów, wypełniony żartobliwymi kłótniami oraz bałaganem, i uśmiechnęła się do swoich myśli.

– Poproś Mabel, żeby ci pokazała, gdzie leży ten pług. Sprawdź, czy nie trzeba przy nim czegoś zrobić. Pokaż mu, Mabel. Ja się tutaj wszystkim zajmę, a tobie nie zaszkodzi odrobina świeżego powietrza.

Chłopak był milczący i przygnębiony, więc Mabel wskazała mu tylko, gdzie leży pług, i zostawiła samemu sobie. Pomimo nagłego poczucia winy zdecydowała się na dłuższą drogę do domu. Wciągała głęboko w płuca zieloną woń młodych liści i przyglądała się ostrym liniom oddzielającym na horyzoncie lesiste tereny od wciąż zaśnieżonych górskich szczytów. Nagle przypomniała sobie, że zapomniała podać Jackowi laudanum.

– Już wróciłaś? Mogłaś jeszcze trochę zostać. Woda się jeszcze nie ugotowała. – Esther wskazała palcem na olbrzymi sagan stojący na piecu. Para uciekała przez otwarte drzwi chaty.

Mabel natychmiast pobiegła do sypialni. Jack miał mokre włosy i uśmiechał się do niej potulnie, z głową opartą na poduszce.

– Wykąpała mnie – powiedział.

– Esther?

Próbował pokiwać głową – na tyle, na ile pozwalała mu na to jego pozycja. Umoszczone wokół niego koce i poduszki zmuszały go do przyjęcia dziwacznej pozy z ugiętymi i rozłożonymi kolanami.

– Wygodnie ci?

Skrzywił się, ale skinął głową.

– Możesz wierzyć albo nie, ale tak.

– Przepraszam, że zapomniałam o twoim lekarstwie.

– Ona już się wszystkim zajęła. Dała mi też odrobinę czegoś mocniejszego.

– Pośpiesz się – zawołała ją Esther z sąsiedniego pokoju. – Za chwilę woda ci całkiem ostygnie, albo wróci ten mój nastolatek. – Przeląła gorącą wodę z kotła do koryta. – Normalnie to ty kąpałabyś się jako pierwsza, ale chciałam jak najlepiej oczyścić te jego rany. Za to mam dla ciebie świeżo zagrzaną wodę.

Mabel miała zamiar się sprzeciwić, powiedzieć Esther, że nie zasłużyła na tak ogromną pomoc, ale zamiast tego zrzuciła z siebie ubranie i weszła do wody, która sięgała jej do kolan.

Przyjaciółka pilnowała w tym czasie drzwi.

– Nie śpiesz się. Taka kąpiel nie trafia się każdego dnia.

Esther zadbała o to, by na krześle stojącym obok zaimprovizowanej wanny zawisł czysty ręcznik, zostawiła na nim również kostkę eleganckiego mydła i butelkę z lawendowym szamponem.

Woda była nieznośnie gorąca, mimo to Mabel zanurzyła się aż po czubek głowy, pozwalając by jej włosy unosiły się na powierzchni. Za każdym razem, gdy chciała już wyjść z wanny, Esther kazała jej wracać, aż w końcu woda ostygła, a skóra na jej palcach zrobiła się całkiem pomarszczona.

Kiedy wreszcie skończyła się kąpać, słońce zaszło już za horyzontem, pozostawiając za sobą nieustający poblask wiecznego dnia. Esther owinęła ją ręcznikiem i rozczochrała jej włosy.

– Nareszcie jakoś wyglądasz. Przebierz się w coś wygodnego, kolacja będzie gotowa za chwilę. Możesz się już ubrać do spania, nie musisz zakładać niczego wymyślnego. Garrett będzie pracował do późna na polu i pewnie wcale mu się nie uśmiecha spanie w towarzystwie dwóch starych bab, ale w końcu się zmęczy i wróci.

\*

Kiedy już obie przebrały się w nocne koszule, Esther podała jej potrawkę z mięsa niedźwiedzia i świeże suchary, a potem rozciągnęła trzy śpiwory w pobliżu pieca.

– Tak sobie pomyślałam, że pewnie od dobrych paru dni sypiasz na krześle. Wiem, jak to jest leżeć obok kogoś, kto rzuca się w chorobie po całym łóżku. Ale te śpiwory nie są wcale takie najgorsze. Znalazłam dla ciebie taki, który był czysty.

Położy się. – Poklepała jeden ze śpiworów, a potem wsunęła się do wnętrza drugiego.

Położywszy głowę na poduszce, Mabel poczuła przyływ ulgi. Wreszcie była czysta i miała jakieś towarzystwo.

– Naprawdę myślisz, że może się nam udać? – szepnęła ze swojego legowiska.

– Ja, ty i Garrett obsadzimy wszystkie pola?

– Nie przyjeżdżałabym tutaj, gdybym tak nie myślała.

– Ale co z twoim domem?

– George ma do pomocy Billa i Michaela, poza tym i tak mieliśmy zamiar zatrudnić paru młodzików z miasteczka do pomocy przy wysiewach. Większość roboty mamy już za sobą.

– Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować.

– Poczekaj, aż skończymy.

Obie zamilkły.

– A co z tą twoją dziewczynką? – zapytała po chwili Esther.

– Odeszła.

Mabel poczuła dłoń przyjaciółki ściskającą ją za ramię.

– Biedactwo. Pewnie wystarczyło trochę słońca i świeżego powietrza, żeby przestała się pojawiać.

Mabel powstrzymała się od odpowiedzi i przez dłuższą chwilę wbijała wzrok w sufit. Wydawało jej się, że Esther przysnęła i sama również prawie zapadła w drzemkę, gdy nagle zaczęła się śmiać – z początku cichutko, a potem na cały głos.

– Co cię tak rozbawiło?

– Naprawdę wykąpałaś mojego męża? Nadal nie potrafię w to uwierzyć. – Wciąż chichotała.

– Chyba żadna kobieta poza mną i jego matką nie widziała jego... – Jestem zameżna od trzydziestu lat i mam trójkę synów. Jak już widziałas jednego, to widziałas je wszystkie.

Obie zanosły się śmiechem, gdy nagle w drzwiach chaty stanął Garrett.

– Co się dzieje? Z czego się śmiejecie? – zapytał, ale jego poważna twarz i zaczerwienione policzki tylko jeszcze bardziej je rozbawiły.

\*

Niezrozumiałe głosy przetaczające się nad nim sprawiały, że Jack czuł się kompletnie zdezorientowany i kręciło mu się w głowie, więc skupił się na kolejnej dawce laudanum i samogonu.

Przenosiły go do mrocznego, ciepłego miejsca, w którym nie istniała ani przeszłość, ani przyszłość i nic nie miało znaczenia. Kiedy się później ocknął wśród cichych cieni, był nieco bardziej przytomny, a jego czaszka pulsowała bólem. Nie potrafił zrozumieć tego śmiechu, który wcześniej usłyszał. Dopiero potem przypomniał sobie Esther, która pomogła mu wejść nago do końskiego żłobu wypełnionego gorącą wodą. Jego ciało przeniknął potworny ból, który promieniując od środka pleców, zmusił go do płaczu. Użał się nad sobą. Do tego się to właśnie sprowadzało.

Nie chodziło o naderwane mięśnie i uszkodzone nerwy. Płakał, ponieważ stał się bezużytecznym ciężarem.

– Jack? – Usłyszał szept dochodzący od strony drzwi sypialni. – Potrzebujesz czegoś?

Przełknął z trudem ślinę i otarł usta wierzchem dłoni.

– Chcesz swoje lekarstwo?

To nie była Mabel.

– To ty, Esther?

– Cii. Daj pospać swojej żonie. Wypij.

Podawała mu kubeczek wypełniony mieszanką laudanum i bimbru. Opróżnił go jednym haustem.

Wyjęła mu naczynie z dłoni, a potem otarła jego załzawione oczy i policzki.

– W końcu przestanie cię boleć. Wiem, że teraz trudno w to uwierzyć, ale tak będzie. Ja i Garrett będziemy wam pomagać, a Mabel jest o wiele twardsza, niż jej się wydaje. Nie musisz się już sam o wszystko martwić. Pomożemy wam. Rozumiesz? Wszystko będzie dobrze.

Jack jednak ponownie pogrążył się w poszukiwaniu tej nieprzepuszczalnej głębinie, w której znikaly wszystkie dźwięki, ból i światła, gdzie nie musiał myśleć nad doborem słów, ponieważ jego niezdarny język i bezużyteczne usta i tak nie były w stanie ich wypowiedzieć.



## ROZDZIAŁ 24

**E**sther upierała się, że to ona przede wszystkim powinna sprawować opiekę na Jackiem, i stopniowo zaczęła mu zmniejszać dawki laudanum, wydłużając jednocześnie długość jego codziennych spacerów. Z początku kończyły się one przy kuchennym stole, z czasem jednak zaczął dochodzić aż do wygodki za domem, dzięki czemu nie musiał już używać nocnika.

– Jesteś dla niego zbyt miękka, Mabel. Musi wstawać i się ruszać. To jedyny sposób, żeby znowu zmusić jego mięśnie do działania.

– Ale on ciągle skarży się na bóle.

– W pewnym momencie zaczniesz cierpieć bardziej niż z powodu obolałych pleców. Rozumiesz?

Zaczniesz go nękać zupełnie inny ból, a laudanum i bimber sprawią, że będzie jeszcze gorszy.

Musi stanąć o własnych siłach. Trzeba mu pokazać jego własną ziemię i pozwolić na podjęcie jakichś decyzji, żeby wiedział, że to wszystko wciąż do niego należy, nawet jeśli nie może samodzielnie na tej ziemi pracować.

Tak więc w czasie, kiedy Garrett pokazywał Mabel, jak sadzić ziemniaki, Esther zabierała Jacka na poranne spacerunki po polach. Mabel nie mogła patrzeć na to, jak jej mąż powoli szura nogami.

Wyglądał tak, jakby w ciągu tego miesiąca postarzał się o całe stulecie. Garbił się, a jego twarz była wymizerowana. Jeśli zawadził nogą o jakiś korzeń czy wykrot, zatrzymywał się z jękiem w miejscu i zaciskał zęby z bólu, zamykając jednocześnie oczy. Umarłaby raczej ze wstydu, zanim by się do tego komukolwiek przyznała, ale zdecydowanie wolała towarzystwo Garretta i sadzenie ziemniaków niż chodzenie u boku męża podczas tych wyczerpujących spacerów.

Zresztą chłopak wcale nie okazał się takim najgorszym kompanem. Esther twierdziła, że jej syn był nieco rozdrażniony tym, że ponizono go pracą na gospodarstwie obcego człowieka, i to na dodatek w towarzystwie dwóch starych kobiet. Wolałby polować w górach, poza tym uważa, że rolnictwo jest poniżej jego godności. Ale to dobry chłopak i jeśli się już do czegoś zabrał, pracował bardzo ciężko.

Mabel przyglądała się jego rozzaleniu: widziała, jaki był ponury, wychodząc z chaty, żeby wykonać kolejne polecenie matki. Kiedy jednak była z nim sama, wydawał się mniej kapryśny.

Nigdy nie próbował jej mówić, żeby uważała z nożem i się nie pocięła. Zakładał, że Mabel potrafi wykonać swoją robotę, i tak właśnie było. Już wkrótce radziła sobie z obcinaniem kłaczy z sadzonek równie szybko jak on.

Słońce wspięło się wysoko na niebie i świeciło bezpośrednio nad jej głową, a każda sadzonka trafiała do leżącego pomiędzy nimi jutowego worka. Zbliżała się pora obiadu, a ona właściwie nie wiedziała, kiedy minął im cały poranek. Chłopiec wrócił z nią do chaty i pomógł przygotować posiłek z ziemnego mięsa i wczorajszego chleba. Gdy Esther położyła Jacka z powrotem do łóżka, zjedli we trójkę, stojąc przy kuchennym stole. Mabel wciąż miała ubrudzone ziemią ręce i podwinięte rękawy.

Kiedy Esther i Garrett wyszli przed dom, żeby załadować sadzonki na wóz, poszła za nimi. Dopiero gdy podała stojącemu na wozie chłopcu ciężki worek, dotarło do niej, że cieszy ją praca na roli. Garrett nie zwrócił uwagi na jej zamyślenie, tylko rzucił wór na furę i zeskoczył na ziemię. Esther ponagliła konia, ruszając w kierunku pól, a Mabel wraz z chłopakiem poszli pieszo za nimi.

– Może nie powinienem się wtrącać – odezwał się nagle Garrett – ale myślę, że ta sukienka może trochę przeszkadzać. Nie ma pani żadnych spodni albo czegoś w tym rodzaju? Mama zawsze coś takiego ubiera do roboty.

– Nie, niestety, nie mam takich ubrań. Sukienka musi wystarczyć.

Zmierzył ją sceptycznym wzrokiem i poszedł dalej bez słowa. Po dotarciu na pole Esther porozrzucała worki z sadzonkami po całym terenie, a potem zaprzęgała konia do kultywatora, którym zaczęła orać równe bruzdy. Mabel i Garrett ruszyli za nią. Chłopak pokazał jej, jaka odległość powinna dzielić sadzonki, jak głęboka musi być dziura i w jaki sposób ją zasypać, uklepując delikatnie ziemię z wierzchu. Musieli obejść całe pole, ciągnąc za sobą worek.

Po jakimś czasie praca zamieniła się w rutynę, a umysł Mabel znowu zaczął błądzić. Sadziła ziemniaki gołymi rękami i jednocześnie rozmyślała o ciepłej, suchej ziemi przesypującej się pomiędzy jej palcami, pączkujących roślinach i gnijących liściach. Wstała, otrzepała sukienkę, pochyliła się, wykopała kolejną dziurę, wrzuciła do niej sadzonkę; następna dziura i następna sadzonka.

Uklepała ziemię dłonią, formując niewielki grób.

\*

Tu, na polu, kolory były zbyt intensywne, przesiąknięte złocistym słońcem i błękitem nieba, a suche i czyste powietrze różniło się od tego, które знаła z Pensylwanii. Od tamtych czasów minęła już zresztą ponad dekada. Mimo to, klęcząc na tej ziemi, Mabel była też jednocześnie i tam. Ołowiany blask księżyca. Ścieżki w sadzie. Szorstka ziemia pod kolanami. I pochowane przed dwoma dniami dziecko.

Pamiętała, jak zostawiła Jacka w łóżku i wyszła na zewnątrz w samej koszuli. Osłabiona i okaleczona porodem, nie miała pojęcia, co nią wtedy pokierowało. Poszła zwirową dróżką prowadzącą w głąb sadu pełnego bezlistnych brązowych drzew oświetlonych światłem księżyca.

To właśnie tam wykopał dla niego grób, na ziemi, która od pokoleń należała do jego rodziny.

Zaczęła pełznąć na czworakach pomiędzy drzewami, obmacując ziemię przed sobą. Nie udało jej się niczego znaleźć, więc wstała, czując nagły ból w piersi. Zobaczyła, jak przód jej koszuli przemaka od mleka, które pociekło jej na brzuch i wsiąknęło w ziemię, nikomu już niepotrzebne.

„Ta rozpacz mnie zabije” – pomyślała.

\*

– Wszystko w porządku?

Ocknęła się, czując cień Garretta na swojej twarzy. Kompletnie straciła poczucie czasu i nie wiedziała, od jak dawna tak klęczy.

– Tak, tak. Nic mi nie jest. – Wytrzeła brudne dłonie o sukienkę. – Coś mi się po prostu przypomniało.

Kiedy spojrzała na chłopaka, jego oczy rozszerzyły się z zaskoczenia.

– Jest pani pewna? Bo... nie wygląda pani najlepiej, szczerze mówiąc – wskazał na jej twarz. Kilka łez musiało się rozmazać na ubrudzonych policzkach, nadając jej upiorny wygląd.

– Wybacz mi, proszę. Stare baby tak mają – powiedziała, szukając czegoś, czym mogłaby obetrzeć twarz.

Garrett nie odrywał od niej wzroku.

– Chyba widziałeś już kiedyś płaczącą kobietę?

Wzruszył ramionami.

– Nie? W sumie możliwe. Na pewno nie jestem w stanie sobie wyobrazić twojej matki zalanej łzami.

– Powinniśmy wracać? Chce pani odpocząć?

– Nie. Muszę się tylko czymś wytrzeć.

Chłopiec sięgnął do kieszeni po chusteczkę, ale jej nie znalazł, więc odwinął rękaw koszuli i podsunął Mabel swój mankiet.

– Za czysty może nie jest, ale proszę.

Uśmiechnęła się do niego i obtarła oczy.

– Dziękuję.

Kiedy odwrócił się i schylił po jutowy worek, ponownie złapała go za rękaw i przytrzymała obiema dłońmi.

– Chciałabym cię o coś spytać, Garrett.

– Tak?

– Udało ci się jeszcze upolować jakiegoś lisa poza tym srebrnym?

– Nie, żadnego – odpowiedział, patrząc na nią uważnie. – Potrzebuje pani futra? Bo jeśli tak, to mam kilka skór z zeszłego roku. Jestem pewien, że Betty coś z nich uszyje.

Ale Mabel już go nie słuchała, pochylona nad kolejną dziurą.

\*

Ostatecznie nie dała się zabić rozpaczy, prawda? Nawet jeśli nie chciała podnosić się z ziemi w sadzie, pragnąc, by ta ją pochłonęła niczym jej własny grób, to w końcu jednak wstała, poczłapała do domu, obmyła się w misce, a rano przygotowała Jackowi śniadanie. Posprzątała naczynia i wyszorowała do czysta stół oraz ladę. Upiekła chleb. Pracowała, starając się ignorować ból w nabrzmiąłych piersiach i pustkę w swoim łonie. A potem zrobiła coś niewyobrażalnego:

weszła do dziecięcego pokoju i dotknęła dębowej kołyski, która była w rodzinie Jacka od pokoleń.

Pogładziła własnoręcznie uszyty pastelowy kocyk, a następnie, przytłoczona smutkiem, opadła na bujany fotel i z rękami skrzyżowanymi na brzuchu próbowała sobie przypomnieć, co czuła, nosząc w sobie inne życie.

Kiedy udało jej się trochę pozbierać, zabrała się do składania maleńkich ubranek, kocyków, pieluch i pakowania ich do brązowych pudełek. Wstrząsały nią gwałtowne ataki płaczu, ciekło jej z nosa i właściwie nic nie widziała przez łzy, ale nie przestawała pracować. Nie usłyszała, kiedy Jack wrócił do domu. Gdy podniosła głowę, patrzył na nią w milczeniu, a potem odwrócił się i odszedł, jakby zażenowany jej niepohamowaną rozpaczą. Nie oparł dłoni na jej ramieniu.

Nie przytulił jej. Nie powiedział ani słowa. Mimo upływu tak wielu lat, wciąż nie potrafiła mu tego wybaczyć.

\*

Po dotarciu do końca bruzdy Mabel wyprostowała grzbiet i zaczęła się rozciągać, opierając dłonie o krzyż. Skraj jej sukni ciągnął się po ziemi, miała brudne i obolałe od pracy ręce.

Spojrzała za siebie, by zobaczyć, ile udało im się zrobić. Garrett otrzepał dłonie o nogawki spodni.

– Jeden rząd za nami – stwierdził. – Zostało jeszcze tysiąc – uśmiechnął się i popatrzył na nią, unosząc brew, jakby chciał zapytać, czy jest na to gotowa.

Mabel pokiwała głową.

– Ruszamy? – zapytała.

Chłopak wykonał zamaszysty gest ręką, jak odkrywca pokazujący nowe ziemie.

– Ruszamy!

Esther zawróciła i udała się w przeciwną stronę, a mijając ich oboje, pomachała im radośnie.

Mabel uniosła dłoń i odmachnęła. Delikatny wietrzyk osuszył pot na jej twarzy i rozczochrał grzywkę. Niebo nad jej głową było bezchmurne i olśniewające. W oddali, za drzewami, majaczyły białe górskie szczyty.

Uniosła spódnicę i przeskoczyła nad bruzdą, którą właśnie obsadzili. Garrett przyciągnął worek z sadzonkami i znów przystąpili do pracy.

Pracowali aż do zmierzchu i wrócili do chaty bardzo późno. Jack zapalił wszystkie latarnie i smażył dla nich steki.

– Co to takiego? – zdziwiła się Esther, a potem wciągnęła głęboko powietrze do płuc i zaśmiała się radośnie. – Coś tu niebiańsko pachnie.

– Skoro nie mogę wam zbyt pomóc, to pomyślałem, że przynajmniej coś ugotuję – powiedział Jack z uśmiechem.

\*

Kilka kolejnych dni było wypełnionych ziemniakami, ziemią, słońcem i mięśniami obolałymi po pracy na polu. Jack pomagał im, jak mógł, ale zazwyczaj zostawał w chacie i przygotowywał posiłki. Wieczorem wszyscy byli zbyt zmęczeni, by rozmawiać. Chłopak zasypiał przy stole, z brodą opartą na brudnych dłoniach. Przed nastaniem nocy Mabel była już kompletnie otępiała ze zmęczenia. Dotychczas nie potrafiła pojąć, dlaczego Jack zasypiał na krześle, nie mając siły na to, żeby zdjąć buty, umyć się i opowiedzieć jej o swoim dniu. Teraz doskonale to rozumiała.

Ale pomimo obolałych mięśni i dręczącej monotonii, dni wypełnione ciężką pracą w polu napawały ją taką dumą, jakiej nigdy wcześniej nie zaznała. Przestała zauważać bałagan w chacie i z wdzięcznością wracała do domu, wiedząc, że czeka tam na nią ciepły posiłek i śpiwór. Nie zwracała już uwagi na to, czy ktoś pozmywał naczynia lub zamiótł podłogi.

– Myślę, że skończyliśmy, Jack – oznajmiła Esther pewnego popołudnia, biorąc się pod boki. – Wiem, że planowałeś w tym roku sadzić jeszcze kapustę i tym podobne. Ale pomyślałam, że skoro już mamy posadzone te ziemniaki, to poczekajmy i zobaczmy, co z nich wyrośnie.

Jack pokiwał głową. Może faktycznie przetrwają dzięki samym ziemniakom.

– Bez was nigdy by się nam nie udało – powiedział z prawdziwą szczerością w głosie, ale Mabel potrafiła dostrzec w jego oczach delikatny cień wstydu. – Nie mam pojęcia, jak się wam za to odpłacimy.

Esther zbyła go machnięciem ręki i oznajmiła, że planuje tego wieczoru powrót do domu.

– Dobrze się bawiłam, ale jestem już gotowa wrócić do własnego łóżka i chrapiącego męża. Zdrowiejesz, Jack, a Garrett powinien sobie poradzić z robotą w polu. Żadnych sprzeciwów, proszę, już wszystko to z George'em omówiliśmy. Chłopak pracuje tu o wiele lepiej, niż mu się to kiedykolwiek zdarzało w domu, a poza tym my już mamy wszystko obsadzone i obsiane.

Możecie mu przygotować jakiś kątek w stodole, jeśli nie chcecie, żeby wam się plątał po domu.

Czas, żebyście znowu pomieszkali we dwoje.

Mabel wiedziała, że przyjaciółka ma rację, mimo to obawiała się tej chwili. Jack się zmienił, stracił pewność siebie i był niespokojny. Wciąż nie potrafiła

zapomnieć o tym, jak nękany bólem błagał ją, by od niego odeszła. Zamiast słuchać jego pojękiwań, zajęła się pracą w polu, co pomogło jej odzyskać wiarę we własne siły. Po odejściu Esther i Garretta znów będzie dzieliła z nim łożę i czuła obawę, że okaże się to spaniem z kimś zupełnie obcym. Jack spojrział na nią ze smutkiem, jakby potrafił odczytać jej myśli.

Esther odjechała po kolacji, a Mabel zaprowadziła Garretta na poddasze stodoły. Chłopak przyniósł ze sobą śpiwór, a ona przygotowała mu przewróconą skrzyneczkę, której mógł używać jako stolika. Potem postawiła na niej latarnię i budzik i położyła książkę.

– Biały Kieł Jacka Londona. Czytałeś to już kiedyś?

– Nie, proszę pani.

– Proszę, mów do mnie Mabel. Myślę, że powinna ci się spodobać, ale jeśli nie, to mogę ci znaleźć jakąś inną.

Chciała go jeszcze ostrzec, by uważał z latarnią, ale w końcu uznała, że to niepotrzebne.

Skoro on traktował ją jak równą sobie, spróbuje odwdziżyć mu się tym samym.

– Zachodź do nas, jeśli będziesz czegoś potrzebował albo stęsknisz się za towarzystwem.

– Tak, proszę pa... to znaczy Mabel.

– Mogę cię jeszcze o coś spytać?

– Tak?

– Nie natknąłeś się może zeszłej zimy na jakieś dziwne ślady w czasie polowania? Odciski butów na śniegu lub coś równie niewytłumaczalnego?

– Masz na myśli tę małą dziewczynkę? Słyszałem o niej.

– I? Zauważyłeś jakieś jej ślady?

Chłopak pokręcił głową z wyraźnym rozczarowaniem.

– Nic? Zupełnie nic? Nigdy?

– Przykro mi – odpowiedział.

\*

Noc była zimna, więc Jack rozpałił w piecu. W kuchni piętrzyły się brudne naczynia, a siedząca na krześle Mabel wyciągała stopy w stronę ognia, próbując się rozgrzać. Bolały ją wszystkie mięśnie. Wystarczyło, żeby tylko zamknęła oczy, a

pod jej powiekami pojawiały się setki bruzd obsadzonych ziemniakami. Dryfowała powoli nad ziemią.

– Zasypiasz, Mabel. Chodź do łóżka. – Jack pomasaował jej ramiona. – Musisz być wyczerpana.

– Nie, nie. – Spojrzała na niego, podnosząc głowę. – Cudownie się czuję. Wreszcie mam wrażenie, że coś robię, do czegoś się przydaję. Dzisiejszy dzień był jednym z najlepszych w moim życiu. – Zamilkła, uświadamiając sobie, co właściwie powiedziała. Jack bez słowa pokiwał głową.

Naciągnęła na siebie nocną koszulę i poszła do łóżka. Jack rozebrał się do bielizny i przysiadł obok niej.

– Jack?

– Hm?

– Damy sobie radę, prawda? My dwoje?

Jęknął, podnosząc nogi do góry i opadając na poduszkę. Przewrócił się na bok, twarzą w jej stronę i zaczął gładzić ją po włosach, wciąż nie odzywając się ani słowem. Na widok łez błyszczących w kącikach jego oczu oparła głowę na dłoni, a potem pochyliła się i pocałowała mokre, zamknięte powieki.

– Uda nam się, Jack. Wszystko będzie dobrze. – Objęła jego głowę ramieniem i pozwoliła mu płakać.



## ROZDZIAŁ 25

Nawet Jack mógł stwierdzić, że to lato było niezwykle łaskawe dla rolników. Słońce i deszcz pojawiały się w idealnych odstępach czasu. Warzywa posadzone na własną rękę przez Garretta, który zamierzał sprzedawać je pracownikom kolei, rozkwitły w pełni na polach.

Plecy wciąż dawały się Jackowi we znaki i bywały poranki, kiedy musiał się zsunąć z łóżka na podłogę, podpełznąć do stołu i podciągnąć się na rękach na blacie, żeby stanąć w pozycji wyprostowanej. Nadal od czasu do czasu drętwiały mu nogi i ręce, nękały go też opuchnięte i obolałe stawy. Spodziewał się, że nadejdzie kiedyś taki dzień, że w ogóle nie uda mu się wstać z łóżka.

Wieczorami jednak, kiedy chodził samotnie po polu, wpatrując się w ośnieżone szczyty lśniące błękitem w przytłumionym świetle wiecznego dnia, jego kroki nabierały nowej energii i sprężystości. Przechadzał się pomiędzy idealnie równymi rzędami obsadzonymi rozłożystymi, intensywnie zielonymi główkami sałaty i kapusty. Miękka gleba pod jego butami pachniała wilgotną ściółką. Nabierał czasem pełną garść ziemi i przesypywał ją między palcami, zachwycony jej żyznością, zdarzało mu się również, że wyciągał rzodkiewkę prosto z pola, czyścił ją z grubsza o nogawkę spodni, a potem zjadał z donośnym satysfakcjonującym chrupnięciem, wyrzucając zieloną końcówkę między drzewa. Dochodził do kolejnego pola, na którym kwiaty ziemniaków sięgały mu już do połowy uda i zaczynały kwitnąć. Latem to miejsce w niczym nie przypominało martwej, przetrącającej grzbiety ziemi, przez którą zeszłej zimy przeciągnął go własny koń.

Miał świadomość, że zawdzięcza to wszystko Esther i jej synowi. Garrett doglądał sałaty i rzodkiewek, upewniając się, że będą gotowe, gdy kolej zacznie się domagać cotygodniowych dostaw. Plewił i okopywał ziemniaki. Nawozy nie miały dla niego tajemnic, więc Jack nie musiał pokładać zaufania w wiedzy sprzedawcy z Anchorage – w zamian wykorzystywał doświadczenie chłopca.

Mimo swoich czternastu lat, Garrett doskonale znał się na pracach polowych, ale zupełnie nie miał do nich przekonania. Za zgodą Jacka i Mabel wypuszczał się nieraz na cały dzień do lasu, zabierając jedynie konia, strzelbę i chlebak. Czasem

wracał z torbą pełną tęczowych pstrągów lub upolowanym cietrzewiem. Pewnego razu przywiózł Mabel zdobioną paciorkami sakiewkę ze skóry łosia, uszytą przez kobietę z plemienia Atabasków, mieszkających w górze rzeki.

Opowiadał im o wodospadzie, który odkrył w górach, i o niedźwiedziu grizzly, bawiącym się na śniegu.

– Zachowywał się jak małe dziecko. Wbiegał na zbocze, a potem ześlizgiwał się w dół.

I od nowa – do góry i w dół.

\*

Pewnego letniego wieczoru, gdy słońce zachodziło już nad doliną, Garrett zapytał Jacka, czy może dołączyć do niego podczas spaceru po polach.

– Wziąłbym ze sobą strzelbę. Może uda się ustrzelić jakiegoś cietrzewia lub dwa.

Jack niezbyt chętnie rezygnował z samotności i miał świadomość tego, jak powoli się rusza.

Pomysł polowania również nie wzbudzał w nim zachwyty. Raz czy dwa zdarzyło mu się przestraszyć cietrzewie na polu, a wyskakujące mu spod nóg, gwałtownie trzepocące skrzydłami ptaki, które przysiadły potem całe nastroszone na najbliższej świerkowej gałęzi, niezmiennie wzbudzały w nim ogromną radość. Milczał więc, licząc na to, że chłopak pojmie aluzję, on jednak odebrał to jako potwierdzenie i pognął do stodoły po broń.

– Wrócimy za jakąś chwilę. – Jack spojrział przez ramię, kierując się ku drzwiom, ale wątpił, czy Mabel w ogóle go słyszała. Patrząc na nią, jak pochylała się nad stołem, skupiona na szyciu, które pochłaniało ostatnio większość jej wieczorów, poczuł nagły przypływ uczuć.

Z początku czuł się upokorzony tym, że jego żona musiała pracować w polu zamiast niego.

Teraz jednak, gdy lato zbliżało się już do końca, wiedział, że to przynajmniej częściowo dzięki niej odzyskał dawną energię. Nie zachowywała się już jak potępiona dusza – stała u jego boku, jej dłonie były ubrudzone tą samą ziemią i oboje myśleli o tym samym: ile powinni posadzić buraków w przyszłym roku? Czy na północnym polu trzeba wysypać wapno? Czy nowa kura powinna najpierw wysiedzieć jakiś tuzin piskląt, zanim zaczną podbierać jej jajka? Wreszcie miał

poczucie, że ich los, ich szczęście nie spoczywają już tylko na jego barkach. „Popatrz, czego dokonaliśmy” – powiedziała do niego pewnego ranka, wskazując na zagony rzodkwi, kapusty, brokułów i ziemniaków.

\*

Garrett dogonił go na ścieżce, strzelbę miał opartą na zagięciu łokcia.

– Taki rok jak ten to już się nam chyba nigdy nie trafi. – Chłopak potrząsnął głową, patrząc z niedowierzaniem na pola. – Potrafisz w to uwierzyć? Pada, kiedy tylko tego potrzebujemy, a słońce świeci dokładnie wtedy, gdy jest nam niezbędne.

– Dobrze jest – przyznał Jack i wyszarpnął z ziemi dwie rzodkiewki. Podał chłopcu jedną z nich, obaj otarli je o spodnie i zjedli w milczeniu.

– Nie wiem, jak ci dziękować za to wszystko, co zrobiłeś – Jack odrzucił liście pomiędzy drzewa.

– To nic takiego.

– Nie, to naprawdę wiele.

Ścieżka doprowadziła ich do nowego pola. Garrett wysunął się naprzód, wciąż dzierżąc w ręku strzelbę i kopiąc beztrudno przydrożny piach. „Czym wy go karmicie?” – żartowała Esther i faktycznie, nawet Jack zauważył, że chłopak urósł tego lata o dobrych kilkanaście centymetrów.

Gdzieś zniknęła dziecinna miękkość jego twarzy, a szczęka i kości policzkowe stały się wyraźniejsze.

Zmieniło się również jego zachowanie, był nieco dojrzalszy. Patrząc Jackowi prosto w oczy, jasno wyrażał swoje opinie i rzadko trzeba było go o coś prosić. George z początku nie chciał w to uwierzyć, twierdząc, że to uprzejmość każe im wychwalać jego najmłodszego syna, ale po kilku wizytach przyznał im rację. „Może powinniśmy wam podesłać też dwóch pozostałych” – stwierdził ze śmiechem. Jack miał jednak wrażenie, że zmiana była możliwa głównie dlatego, że chłopak wreszcie wy dostał się z cienia braci. Widział też sygnały wskazujące na to, że Garrett czerpał dumę z pracy, jaką wykonał w ich gospodarstwie.

Dróżka prowadziła skrajem pola, obok kępy czarnych świerków. Wieczorne światło nie potrafiło się przebić przez ich najeżone igłami, gęsto splecione gałęzie, a powietrze w cieniu drzew było zdecydowanie chłodniejsze. Patrząc na wąską ścieżynę oddzielającą las od porządnie utrzymanego pola, Jack pograżył się w

myślach o tym, jak wiele pracy musiał włożyć w przygotowanie tej ziemi, gdy nagle Garrett stanął w miejscu i zaczął ładować strzelbę. Wzrok Jacka podążył za jego spojrzeniem. Zanim zdążył się skoncentrować na tym, co widzi, chłopak wygrzebał nabój z kieszeni i wepchnął go do lufy.

– Nie! Zaczekaj! – Jack oparł dłoń na jego ramieniu. – Nie strzelaj.

Garrett spojrział na niego kątem oka i wycelował broń.

– Prosiłem, żebyś nie strzelał.

– To przecież lis. Dlaczego? – Zmrużył powieki z niedowierzaniem i ponownie skupił się na celu, jakby uznał, że się przesłyszał. Lis, który wybiegł spomiędzy świerków, przykucnął na ścieżce, nie potrafiąc zdecydować, w którą stronę czmychnąć. Jack nie był pewien – trudno odróżnić jednego rudego lisa od drugiego – ale zwierzę wyglądało znajomo: te same czarne uszy, ogniście pomarańczowe futro i czarne skarpetki. Tylko tyle mu po niej pozostało.

– Zostaw go.

– Tego lisa?

– Tak, na Boga. Tego lisa. Daj mu spokój. – Jack złapał za lufę strzelby i opuścił ją ku ziemi.

Zwierzak momentalnie skorzystał z okazji i pomknął przez ziemniaczane pole. Pomiędzy drzewami mignął futrzany ogon i już go nie było.

– Straciłeś rozum czy co? Mogliśmy go dopaść. – Garrett wyjął nabój z lufy i wsunął go z powrotem do kieszeni. Jack spojrział mu w oczy i dostrzegł w nich poirytowane rozbłyski, a być może nawet odrobinę pogardy.

– Posłuchaj, nie miałbym nic przeciwko...

– Wiesz, że on tu wróci – przerwał mu chłopak, tonem zupełnie pozbawionym szacunku. – Zobaczymy.

– Zawsze wracają. Następnym razem zaczniesz grzebać w waszych śmieciach i węszyć wokół stodoły.

Chłopak ruszył przed siebie, po czym okrążył pole i doszedł do miejsca, w którym zniknął lis, ale nie odezwał się już ani słowem. Przerwał milczenie dopiero wtedy, gdy zbliżali się do domu.

– Darowanie mu życia nie miało żadnego sensu.

– Powiedzmy, że to znajomy lis. Należał do kogoś, kogo znałem. – Jack z trudem dobierał słowa.

– Należał? Lis?

Doszli już do stodoły, więc Jack miał nadzieję, że to już koniec ich rozmowy i chłopiec pójdzie do łóżka, Garrett jednak zatrzymał się w progu.

– Do kogo należał?

– Do kogoś znajomego.

– Ale tu przecież nikt nie mieszka... – Zamilkł, wchodząc do środka, ale nagle znów się odwrócił. – Moment. Nie mówisz chyba o tej dziewczynce? Słyszałem, jak mama rozmawiała o tym z tatą. O tej, która według Mabel zeszłej zimy kręciła się po okolicy.

– Tak. To jej lis i nie chciałbym, żeby ktoś do niego strzelał.

Garrett potrząsnął głową i wypuścił powietrze nosem.

– Sprawci ci to jakiś problem?

– Nie, nie. Wcale, proszę pana.

Chłopak już od dawna nie zwracał się do niego „proszę pana”. Jack odwrócił się w stronę domu.

– Chodzi mi tylko o to... nigdy nie było żadnej dziewczynki, prawda?

Jack nie zamierzał się zatrzymywać. Wcale nie chciał prowadzić tej rozmowy. Był zmęczony.

Miał zepsuty wieczór i marzył tylko o tym, żeby usiąść przy piecu. Mimo to odwrócił się do Garretta.

– Była. Ta dziewczynka istniała naprawdę i wychowywała tego lisa od małego. Zwierzę nadal tu czasem przychodzi, ale nie robi żadnych szkód, żywi się tym, co mu rzucimy.

Chłopiec znów pokręcił głową i cicho prychnął przez nos.

– To niemożliwe.

– Co? Opiekowanie się lisem od szczenięcia?

– Nie. Ta dziewczynka. Sama, w lesie, w środku zimy. Nie miałyby żadnych szans.

– Nie wierzysz, że ktoś mógłby tu przetrwać?

– Nie, ktoś na pewno mógłby. Dorosły mężczyzna, który wie, co robi. Ale nie ma ich zbyt wielu – stwierdził takim tonem, jakby sam zaliczał się do tych nielicznych. – Ale nie dziecko, dziewczynka. – Musiał zauważyć wyraz twarzy Jacka, bo natychmiast dodał: – To nie znaczy, że ci nie wierzę. Widziałeś, co widziałeś. Ale można to jakoś inaczej wytłumaczyć.

– Może. – Jack ruszył powoli w stronę domu. Miał nadzieję, że to już koniec rozmowy, ale Garrett jeszcze raz za nim zawołał:

– Dobranoc! Pozdrów ode mnie Mabel.

Jack nie odwrócił się, tylko machnął mu ręką na pożegnanie.

\*

– Udany spacer? – Mabel skupiała się na swojej robótce i pochyłona nad stołem szła w świetle latarni. Jack pozbył się butów i podszedł do miski, żeby umyć ręce. Ochlapał twarz i kark zimną wodą i otarł je ręcznikiem.

– Jak ci idzie z szyciem?

– Powoli, ale do przodu. Musiałam spruć parę ściągów, więc aktualnie mam już dosyć. – Odłożyła materiał na stół i opadła na oparcie krzesła, masując sobie kark. – A jak wasza przechadzka?

– Przyjemna. Cicha, przynajmniej z mojej strony.

– No tak, trzeba przyznać, że chłopak zrobił się gadatliwy, prawda? Ale bardzo go lubię.

I nie boi się ciężkiej pracy.

– Tak. – Jack dorzucił kolejną szczapę do pieca. Noce robiły się coraz chłodniejsze, zwiastując nadejście jesieni. – Co ty właściwie szyjesz?

– Och, nic takiego, drobiazg.

– Tajemnica? Czyżby prezent na Boże Narodzenie?

– Ale nie dla ciebie. Przynajmniej nie ten. – Uśmiechnęła się do niego.

– To dla kogo w takim razie?

– Dla nikogo, tak naprawdę... – Jej oczy podpowiadały mu, że umiera z ochoty, aby wyjawić prawdę.

– Daj spokój, mów. Wyglądasz jak kot, który objadł się złotą rybką.

– No dobrze. To prezent dla Fainy. Nowy płaszczyk na zimę. Myślę, że już wiem, jak go wykończyć. – Wstała, przytrzymując przed sobą kawałki płaszcza, po czym rozłożywszy ręce, rozciągnęła pasmo niebieskiej włóczki. Następnie dobrała kilka skrawków białego futra.

– Dla Fainy?

– Tak. Śliczny, prawda? To futerko z białego królika. Poprosiłam o nie Garretta, powiedziałam mu, że potrzebuję czegoś do obszycia, a on powiedział mi, że to jest najbardziej miękkie.

I faktycznie, tylko dotknij.

Wreszcie zrozumiał, co w ostatnich dniach zajmowało jej tyle czasu. To dlatego nie spała po nocach, szkicując coś z radością w swoim notesie. Chciał wyrwać jej ten materiał z ręki i rzucić go na podłogę. Poczul zawroty głowy i nadciągające mdłości.

– Nie podoba ci się? Zauważyłam zeszłej zimy, jak bardzo wyświechtany był ten płaszczyk, który nosiła, a na dodatek chyba już z niego wyrosła – rękawy nie sięgały jej do nadgarstków.

Nie jestem pewna jej rozmiarów, ale próbowałam sobie przypomnieć, jak wyglądała, gdy siedziała tu na krześle, i jak wąskie były jej ramionka.

Mabel rozciągnęła materiał na stole i sięgnęła po nici. Jej twarz promieniowała entuzjazmem.

– Będzie cudowny, zobaczysz. Jestem tego pewna. Mam tylko nadzieję, że uda mi się go skończyć na czas.

– Na czas?

– Kiedy do nas wróci – odpowiedziała, jakby to było najzupełniej oczywiste.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Co wiedzieć?

– Jezu, Mabel, przecież ona nie wróci. Nie rozumiesz?

Zrobiła krok do tyłu i przyłożyła dłonie do policzków. Wystraszył ją, ale sekundę później w jej oczach błysnął sprzeciw.

– Oczywiście, że wróci. – Zaczęła składać materiał i wbijać igły w poduszeczkę. Jej gwałtowne ruchy zdradzały gniew. Jack usiadł na krześle przy piecu i oparł głowę na dłoniach, wbijając łokcie w kolana. Nie mógł patrzeć na żonę. Słyszał, jak krząta się po kuchni, trzaskając naczyniami, a potem jej kroki oddaliły się w stronę sypialni. Ucichły, gdy zatrzymała się przed drzwiami. Wciąż nie podnosił głowy. Głos Mabel był cichy, ale zdecydowany.

– Ona wróci. I ani ty, ani nikt inny nie będzie mi wmawiał, że nie.

Weszła do sypialni, zabrawszy ze sobą ostatnią zapaloną latarnię. Jacka pozostawiła w ciemnościach przy piecu.

## ROZDZIAŁ 26

**D**ziewczynka przyszła do niej we śnie, przynosząc ze sobą nadzieję. Jej płaszczyk, błękitny tak jak oczy, jej falujące białe włosy, gdy ześlizgiwała się po górskim zboczu. Faina zanosila się śmiechem, delikatnym jak brzmienie dzwoneczków w mroźnym powietrzu, a gdy skakała pomiędzy głazami, pod jej stopami wykwiłał lód. Śpiewając i unosząc ręce ku niebu, płała po porośniętym stoku, a padający za jej plecami śnieg wyglądał jak biała peleryna rozciągnięta przez nią nad wzgórzami.

Tuż po przebudzeniu Mabel wyjrzała przez okno sypialni i zobaczyła śnieg. Odległe szczyty pokryły się cieniutką białą kołderką, a ona zrozumiała, że to było coś więcej niż zwykły sen.

Dziewczynka przecież wcale nie musiała umierać. Może nie odeszła od nich na zawsze.

Mogła przecież przenieść się na północ, do krainy wiecznego śniegu, a potem wrócić, aby spędzić kolejną zimę z parą staruszków mieszkających w maleńkiej chatynce nieopodal wioski.

Mabel musiała tylko w to uwierzyć i pragnąć tego z całego serca. Jej miłość sprowadzi dziewczynkę z powrotem. „Błagam cię, dziecino – powtarzała w myślach – błagam, wróć do nas”.

\*

Niezależnie od tego, z której strony próbowała na to patrzeć, szukając śladów dziewczynki, Mabel zawsze wracała do tej nocy, kiedy wraz z Jackiem ukształtowali ją ze śniegu. On wyrzeźbił jej usta i oczy, ona dała rękawiczki i karminowy kolor na wargach. To właśnie tej nocy ze śniegu, lodu i tęsknoty narodziło się dziecko.

Co się wtedy wydarzyło w tych ciemnościach, gdy mróz otoczył aureolą słomiane włosy śniegowej dziewczynki, że stała się istotą z krwi i kości? Czy wyglądało to tak, jak na książkowej ilustracji, pokazującej ciepło rozchodzące się po policzkach dziecka, docierające do płuc i oddzielające żywą tkankę od śniegu i



skutej lodem ziemi? Mabel nie potrafiłaby wytłumaczyć, w jaki sposób jeden atom zmieniał się w drugi, ale tak samo nie umiałyby wyjaśnić, jak pojedyncze komórki stawały się w jej łonie bijącym sercem i duszą pełną nadziei, tworząc nowe życie.

Ośmiokątny cud śnieżnych płatków formujących się w chmurach i przypominających kształtem paprocie lub liście, które toczyły się po jej rękawie, topniejąc w chwili uderzenia, również był dla niej niewytłumaczalny. W jaki sposób taka potęga i piękno przemieniały się w coś tak niewielkiego, ulotnego i niedającego się wyjaśnić?

Do wiary w cuda rozumienie było jednak zupełnie zbędne. Mabel zaczynała zresztą podejrzewać, że im mniej się rozumiało, tym wiara była łatwiejsza. Aby w coś uwierzyć, należało zaprzestać poszukiwania wyjaśnień i skupić się na ochranianiu tej iskierki wiary, nim prześlizgnie się nam przez palce.

I tak, gdy jesienny chłód zaczął z wolna skuwać ziemię, a śnieg schodził powoli z górskich zboczy, Mabel wciąż szyła płaszcz dla dziecka, całkowicie przekonana, że Faina do nich wróci. Zamówiła kilka kłębków parzonej wełny, a potem wrzuciła je do olbrzymiego sagana i ufarbowała na granatowo, w odcieniu kojarzącym się z barwą zimowej rzeki. Chciała, żeby płaszcz miał podszewkę z pikowanego jedwabiu i lamówkę z białego futra. Miał być solidny i praktyczny, ale jednocześnie odpowiedni dla dziewczynki. Guziki z kunsztownie zdobionego srebra kupiła jeszcze w Bostonie i od lat przechowywała w słoju z guzikami, nie wiedząc, do czego je wykorzystać. Planowała obszyć futerkiem kaptur i przód, a także rękawy i dół płaszcza.

Z przodu i z tyłu miała zamiar wyhaftować białą nitką płatki śniegu, tworzące olśniewającą kaskadę.

Sięgnęła po szkicownik i książkę Roberta Hooke'a Mikrografia. Opisanie niewielkich obiektów widzianych za pomocą szkła powiększającego. Była to jedna z kilku książek poświęconych naukom biologicznym, pochodzących z biblioteki jej ojca, które zabrała ze sobą na Alaskę.

Przypomniała sobie o niej pewnego wieczoru, kiedy pracowała nad kolejnym fragmentem płaszcza.

Starą księgę wypełniały ilustracje powiększonych obiektów, a w dzieciństwie Mabel zachwycała się rozkładaną ryciną ukazującą wiotkonogą wesz. Teraz jednak przypomniało jej się, że wśród obrazków były także powiększone płatki śniegu.

Z olbrzymią lubością obserwuję za każdym razem intrygujące kształty płatków śniegu opadających na czarną tkaninę albo czarny kapelusz, a narysowanie każdego z nich z osobna zdaje mi się zupełną niemożliwością... – pisał Hooke,

zamieszczając na kolejnych stronach szkice kilku śnieżynek – zaokrąglonych i ostrokątnych, gwiazdzistych i sześciokątnych.

Odrysowała stamtąd kilka przykładów, a potem próbowała odtworzyć z pamięci kształt płatka, który opadł na jej rękaw tej nocy, gdy ulepili z Jackiem śnieżne dziecko.

Krój płaszcza był prosty, podpatrzony w katalogu. Drzewa i okap dachu zatrzymywały promienie wieczornego słońca, więc nawet jeśli na zewnątrz było jeszcze jasno, Mabel rozciągała materiał na stole i pracowała przy zapalanej latarni. Szycie według wykroju dawało jej swego rodzaju ukojenie, cichy wypoczynek po dniu spędzonym na pracy poza domem. Robota w polu była żmudna, wyczerpująca i wymagała olbrzymiej wiary – rolnik zawierzał wszystko ziemi, ale w ostatecznym rozrachunku to nie od niego zależało, czy będzie padać, czy też nie. Szycie wyglądało zupełnie inaczej. Mabel miała pewność, że jeśli tylko wykaze się cierpliwością i skrupulatnością, jeżeli będzie postępowała dokładnie według instrukcji, robiąc wszystko krok po kroku, to w końcu uzyska dokładnie to, co planowała. Uznawała to za mały cud, jeden z niewielu, jakie życie miało do zaoferowania.

Chociaż cieszyło ją samo szycie, dopiero haftowanie pozwoliło jej na wyrażenie swojej olbrzymiej nadziei. Każdy szew zdradzał jej oddanie, każdy płatek śniegu upamiętniał cud.

Jako pierwszą chciała wyhaftować śnieżynkę, którą pokazała jej Faina – idealną, sześcioramienną gwiazdkę o pierzastym wzorze. Pomiędzy piórami tworzyły się mniejsze gwiazdki, a w samym środku płatka mieściło się sześciokątne serce.

Pochylała się właśnie nad tamborkiem, trzymany kilka centymetrów przed twarzą, gdy usłyszała, że Jack skończył karmić konia i wszedł do chaty. Wcale jej nie przeszkadzało, że wracał do domu coraz później, choć zastanawiała się, dlaczego jej unikał. Ale milczała, głównie dlatego, że ostatnio łatwo się irytował.

– Wszystko w porządku? – zapytała, podnosząc wzrok znad robótki.

Skinął głową.

– Widziałam, że w nocy musiał złapać przymrozek. Zdążymy wykopać wszystkie ziemniaki?

Kolejne kiwnięcie.

– Garrett się już położył? Chciałam mu dać następną książkę. Kolejnego Jacka Londona albo Wyspę skarbów. Jeśli nie będzie miał czasu jej skończyć, to zawsze mógłby pożyczyć ją do domu. – Przygryzła nitkę i wyciągnęła przed siebie dłoń z

wyhaftowaną śnieżynką, żeby jej się przyjrzeć. Mogłaby pokazać ją Jackowi, ale wiedziała, że to go tylko rozwścieczy. Płaszcz, śniegowe płatki i rozmowy o Fainie sprawiały, że momentalnie milknął, garbiąc ramiona. Mogłaby zapytać, co jest tego powodem, ale obawiała się odpowiedzi. Sam zresztą ciągle powtarzał, żeby dała temu spokój, więc zastosowała się do jego rady.

\*

Tydzień później, kiedy ostatnie ziemniaki wylądowały już w workach, obudzili się oboje o poranku i zobaczyli cieniutką śniegową warstwę pokrywającą całą ziemię. Nie utrzymała się dłużej niż do południa, a Mabel była pewna, że od prawdziwej zimy dzieli ich jeszcze co najmniej kilka tygodni, ale sam widok śniegu sprawił jej ogromną radość. Błyskawicznie przygotowała śniadanie dla Jacka i Garretta, a potem ubrała buty i narzuciła na siebie płaszcz.

– Dokąd się wybierasz? – zainteresował się Jack, zgarniając resztę jajek i ziemniaków ze swojego talerza.

– Pomyślałam, że się przejdę, popatrzę na śnieg.

Skinął głową, ale wokół jego oczu pojawiły się zmarszczki, zdradzające zmęczenie i trapiące go wątpliwości. Bał się, że Mabel dozna wkrótce rozczarowania, że Faina nie wróci, że nie była tym cudem, na jaki czekała.

Pozapinała się pod samą szyję, naciągnęła kapelusz i włożyła robocze rękawice, ale na zewnątrz było cieplej, niż się spodziewała. Zza chmur wynurzyło się słońce, a jego promienie migotały pomiędzy gałęziami drzew. Bezlistne gałązki brzoź i topoli pokrywała warstewka bieli. Jej buty pozostawiały brązowe ślady, odsłaniając leżące pod śniegiem pożółkłe liście i wyschniętą trawę. Kiedy minęła oborę i topole, zobaczyła nieskazitelną biel pól. Zastanawiała się, czy nie ruszyć nad rzekę albo przejść się szlakiem do najdalszego pola, ale przypomniała sobie, że Garrett wracał tego dnia do domu. Zimę miał zamiar spędzić z rodziną i chociaż na pewno będą się jeszcze często widywali w następnych tygodniach, było to coś w rodzaju pożegnania. Chciała, aby na odchodnym wybrał jakąś książkę, którą zabrałby ze sobą do domu.

Kiedy wróciła, Garrett zmywał właśnie naczynia.

– Nie, nie – przerwała mu, odwieszając płaszcz na haczyk obok drzwi. – To przecież twój ostatni dzień. Jak my sobie w ogóle bez ciebie poradzimy, co?

– Nie wiem. Ale mógłbym tu zostać.

– Twoja matka by się chyba na to nie zgodziła – odpowiedział Jack, ustawiając talerze obok miski z wodą. – Chciałaby mieć najmłodszego syna z powrotem w domu.

Chłopak spojrział na niego z powątpiewaniem, ale nic nie powiedział. Wyrósł i dojrzał w ciągu tych paru miesięcy. To na nim spoczęła większość ciężkich prac w polu, a wieczorami rozmawiał z nimi o uprawie zbóż, pogodzie, książkach oraz sztuce. Mabel wreszcie mogła swobodnie włączyć się do rozmowy, równie chętna do przedyskutowania sensu sadzenia rzepy, jak i do opowiedzenia o muzeum, które widziała w Nowym Jorku.

Kto by pomyślał, że stara kobieta może się czegoś nauczyć od takiego młodzika? Ale to właśnie Garrett pokazał jej, na czym polega praca w polu, i sprawił, że życie na Alasce stało się bliższe jej początkowym wyobrażeniom. Nie miała jednak pojęcia, jak mu o tym powiedzieć.

Mając taką matkę jak Esther, chłopak zapewne nie potrafił sobie wyobrazić, że kobieta mogłaby zrobić coś wbrew swej woli albo, co gorsza, nie wykazać się żadną wolą. Mabel miała wrażenie, że dotąd ukrywała się w wygodnej i bezpiecznej norze, a on wyciągnął do niej rękę i pomógł wyjść na słońce. Od tej pory mogła chodzić tam, gdzie miała ochotę.

– Zastanawiałam się właśnie, czy nie chciałbyś sobie pożyczyć jakiejś książki do domu.

O ile masz jeszcze ochotę czytać, oczywiście.

– Naprawdę mogę? Nie miałabyś nic przeciwko temu? Obiecuję, że będę na nią uważał.

– Jasne, że tak. Dlatego ci to zaproponowałam.

Poszła z nim do sypialni i przyklęknęła, aby wyciągnąć skrzynię.

– Pozwól, ja to zrobię – zaoferował i wysunął ją z łatwością spod łóżka. – Masz tu same książki? Pełną skrzynię?

– W tej i w kilku innych. – Zaśmiała się, widząc zaskoczenie na jego twarzy. – Powinieneś kiedyś zobaczyć bibliotekę mojego ojca. Pokój wielkości naszej chaty, wypełniony książkami aż po sufit. Ale mogłam zabrać tutaj tylko kilka z nich.

– Tęsknisz za nimi?

– Za książkami?

– Za książkami, za rodziną, za tym wszystkim. To chyba musiało wyglądać zupełnie inaczej niż tu.

– Och, pewnie, że czasami zdarza mi się tęsknić za jakąś książką, znajomym lub krewnym, ale naprawdę się cieszę, że tutaj mieszkam. – Otworzyła skrzynię, a

chłopak zaczął wyciągać kolejne tomy.

– Nie śpiesz się. Matka oczekuje cię dopiero na kolację – podniosła się z kolan i otrzepała spódnicę. Ruszyła do drzwi.

– Dziękuję – rzucił za nią Garrett.

Nie wiedziała, jak wyrazić mu swoją wdzięczność, czy opowiedzieć o tym, co dla niej zrobił.

– Nie ma za co, Garrett.

## ROZDZIAŁ 27

*Najdroższa Ado!*

**G**ratulacje z okazji urodzin najmłodszego wnuka! Cóż za radość! I na dodatek masz ich przy sobie. Dziecięcy szczebiot niosący się po tych starych, drewnianych schodach musi być naprawdę cudowny. Przykro mi natomiast słyszeć o odejściu ciotki Harriett, pocieszające jest jedynie to, że zgasła spokojnie w podeszłym wieku. Dziękuję Ci za wszystkie informacje o rodzinie, są dla mnie prawdziwie bezcenne.

*U nas wszystko w porządku, naprawdę. Wiem, że uznałaś nas za szaleńców, gdy postanowiliśmy wyjechać na Alaskę, i muszę przyznać, że sama miałam podobne myśli. Ale ten ostatni rok wszystko nam wynagrodził. Zaczęłam więcej pracować na polu. Wyobraź to sobie tylko – ja, o której zawsze mówiono „delikatna” i „bojaźliwa”, wykopująca ziemniaki i grzebiąca w ziemi.*

*Ale to naprawdę wspaniałe móc wykonywać pracę, która przynosi widoczne efekty. Jack przemienił tę dziką ziemię, którą nazywamy naszym domem, w kwitnące gospodarstwo i ja również mogłam przyłożyć do tego rękę. Nasza spiżarnia wypełniła się słojami z dżemem i wekami z mięsem łośia, którego Jack ustrzelił tej jesieni. Czasem tęsknię za „Dalekim Wschodem”, jak nazywają tutaj nasze rodzinne okolice, i strasznie mi Was wszystkich brakuje, ale postanowiliśmy ostatecznie, że tu zostajemy. To jest teraz nasz dom i oboje wierzymy, że znaleźliśmy nowy sposób na życie, który nam odpowiada.*

*Posyłam Ci kilka moich ostatnich rysunków. Na jednym z nich widać rabatkę z truskawkami, z której jestem bardzo dumna, bo tego lata upiekłam dzięki niej wiele ciast truskawkowych.*

*Na drugim narysowałam rozkwitające krzewy nad rzeką, a w tle jest góra ocieniająca naszą dolinę.*

*Ostatni przedstawia płatek śniegu, któremu z ogromną radością przyglądałam się zeszłej zimy. Rysowałam go już kilka razy, ponieważ jeszcze nigdy nie widziałam tak nieskończenie delikatnej elegancji.*

*Pomiędzy stronami tego listu znajdziesz zasuszony bukietik żurawin. Po wysuszeniu te drobniutkie kwiatuszki być może nie robią wielkiego wrażenia, ale wyobraź sobie ich piękno, gdy rozkwitają wiosną wśród drzew. Wysyłam również parę bucików dla córeczki Sophie.*

*Białe futerko pochodzi z królika upolowanego dla mnie przez chłopaka sąsiadów. Mam nadzieję, że dotrą do Was, nim dziewczynka z nich wyrośnie.*

*Spodziewam się, że wkrótce spadnie śnieg. Szczyty już pobielają, a poranki są mroźne. Nie mogę się tego doczekać.*

*Twja kochająca siostra,  
Mabel*

## ROZDZIAŁ 28

Ostra zima zaatakowała pod koniec października. Zamiast ciężkiego, mokrego śniegu znaczącego łagodnie koniec jesieni, rozszalały się gwałtowne śnieżyce, przyganiane lodowatym wiatrem od strony rzeki. Całkowite ciemności zapadały już w południe, a oni siedzieli w chacie, wsłuchując się w podmuchy i coś jakby stukanie o ściany. Mabel podniosła głowę znad szycia, a Jack przerwał pastowanie butów. Znowu coś zastukało, tym razem głośniejsze, więc Jack podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

Z początku miał wrażenie, że zobaczył górskiego ducha, jakąś zakrwawioną ośnieżoną postać. Faina była wyższa i – o ile to w ogóle możliwe – jeszcze chudsza, niż ją zapamiętał.

Płaszczyk i czapkę dziewczynki pokrywał śnieg, a jej przemoczone włosy zwisały niczym postronki.

Nad brwią było widać strużkę zakrzepłej krwi. Jack stanął jak sparalizowany, nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa.

Dziewczynka zdjęła czapkę, otrzepała ją ze śniegu i spojrzała na niego, jakby to nakrycie głowy było powodem jego zdumienia.

„To ja, Faina”.

Była nieco zdyszana, ale jej spokojny i radosny głos sprawił, że udało mu się wreszcie otrząsnąć. Wziął ją w ramiona i przytulił, kołysząc się na piętach.

„Faina? Faina. Na Boga. Wróciłaś. Naprawdę tu jesteś”.

Nie był pewien, czy wypowiedział te słowa na głos, czy tylko w myślach. Przyciągnął jej głowę do piersi i wciągnął głęboko w płuca woń lodowatego wiatru, kołyszącego czubkami świerków, i zapach krwi krążącej w dzikich żyłach i poczuł, jak miękną mu kolana. Otoczywszy dziewczynkę ramieniem, wrócił do środka i zamknął drzwi chaty.

„Mój Boże, Mabel” – jęknął, nie próbując ukrywać swojego wzruszenia. „To Faina. Wróciła.”

Jest tutaj”.

„Och, dziecino! Zastanawiałam się, kiedy do nas wrócisz”.



Mabel była zupełnie opanowana i uśmiechnięta. Jakim cudem potrafiła ustać na własnych nogach, skoro on, dorosły mężczyzna, omal nie zemdleł na widok dziewczynki? Dlaczego nie płakała, nie pobięła jej na spotkanie ani nie upadła u jej stóp? Stała tylko i spokojnie otrzepywała śnieg z ramion Fainy.

„Popatrz no tylko. Po prostu popatrz”.

Oczy Mabel błyszczały radością, a na jej policzkach wykwitł rumieniec, powstrzymywała się jednak od radosnych pisków i wrzasków. Pomogła Fainie zdjąć płaszczyk i strzepnęła nim w powietrzu, pozbywając się śniegu.

„Podejź. Niech no ci się przyjrzę”.

Popatrzyła na dziewczynkę, trzymając ją na odległość ramienia.

„Wiedziałam, że urośniesz”.

Urośnie? Mabel chyba postradała zmysły. Ani słowa o krwi, zabiedzonym wyglądzie dziecka i jego wielomiesięcznej nieobecności? Jack pogładził małą po twarzy i uniósł jej podbródek, patrząc prosto w oczy.

„Co się z tobą działo, Faino? Wszystko w porządku?”.

„Pytasz o to?”. – Dziewczynka spojrzała na swoje ręce. „Oprawiałam królika” – wyjaśniła i popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, w których błyszczało oczekiwanie. „Ale wróciłam” – dodała. „Wróciłam do was”.

„Oczywiście, że wróciłaś. Wiedziałam, że tak będzie” – stwierdziła Mabel, tak jakby nigdy nie miała żadnych wątpliwości.

„Jak...” – chciał zapytać Jack, ale jego żona już zaprowadziła dziecko do stołu.

„Miałam pewność, że to się wkrótce wydarzy” – mówiła Mabel. „To dlatego tak się śpieszyłam.

Ale czekaj, wszystko po kolei. Chciałabyś się pewnie umyć i rozgościć, prawda?”.

Faina z uśmiechem wyciągnęła przed siebie ręce. Jej dłonie były przemarznięte i poplamione krwią, ale Mabel tylko uśmiechnęła się do niej jak matka do dziecka, które umazało się błotem przy grze w piłkę. Zabrała ze stołu swoją robótkę i odłożyła ją na krzesło.

„Przyjrzyjmy się no temu tylko” – zaproponowała. „Na piecu jest ciepła woda, gotowałam na herbatę, ale do mycia też powinno wystarczyć”.

Dziewczynka uśmiechnęła się nieśmiało, a chwilę później Mabel obmywała jej ręce w letniej wodzie z mydlinami i ocierała twarz nawilżoną szmatką. Jack stał przy piecu, zdumiony zarówno spokojem swojej żony, jak i samą obecnością dziecka. Kiedy Mabel poszła po coś do sypialni, przyklęknął przy krześle i

popatrzył na dziewczynkę, powstrzymując pragnienie, by ponownie wziąć ją w ramiona.

„Co to jest?” – zapytał znacznie bardziej surowym tonem, niż zamierzał, wskazując na miskę z zakrwawioną wodą. „Gdzie się podziewałaś? Co się z tobą działo?”.

„Przestań ją męczyć, Jack” – poprosiła Mabel, stając za jego plecami. „Widzisz przecież, jaka jest zmęczona. Daj jej odpocząć”.

Faina chciała coś powiedzieć, ale Mabel delikatnie ją uciszyła i podsunęła jej lusterko.

„Widzisz? Już dobrze. Jesteś tutaj z nami, całkowicie bezpieczna. I prześlicznie wyglądasz”.

To była prawda. Dziecko w ich chacie nie tylko żyło, ale i sprawiało wrażenie zadowolonego.

Jack przypomniał sobie Garretta, który twierdził, że to niemożliwe, i poczuł nagły przypływ dumy z Fainy. Dziewczynka przetrwała wbrew wszelkim przeciwnościom.

„A tobie jak się podoba?” – zapytała go Mabel, odwracając Fainę twarzą w jego stronę.

Dziewczynka rozłożyła ramiona i z podziwem spojrzała w dół, na swój nowy płaszczyk.

Jack jeszcze nigdy nie widział czegoś podobnego. Płaszcz miał kolor zimowego nieba, jego krawędzie, mankiety i kaptur obszyto białym futrem, a srebrzyste guziczki błyszczały niczym lód.

Ale największe wrażenie robiły płatki śniegu o przeróżnych rozmiarach i kształtach, które zdawały się wirować i przenikać przez granatową wełnę. Ich osobliwe piękno doskonale pasowało do dziewczynki.

„Cudowny” – pochwalił, dławiąc w sobie emocje wywołane powrotem tej dziewczynki ubranej w śnieżny płaszczyk. „A tobie jak się podoba, Faino? Lubisz swój nowy płaszcz?”.

Dziecko milczało, delikatnie marszcząc brew.

„Faina? Co się stało, kochanie?” – Mabel pochyliła się nad dzieckiem. „Jeśli ci się nie podoba, to nic takiego, nie martw się. To tylko płaszczyk”.

Dziewczynka pokręciła przecząco głową.

„Naprawdę. To nic takiego. Jeśli jest przyciasny, mogę uszyć następny. A jeżeli jest za duży, to może tu na ciebie poczekać do przyszłego roku. Nie martw się tym”.

„Ty to zrobiłaś?” – szepnęła Faina. „Uszyłaś to dla mnie?”.

„Tak, ale nie przejmuj się tym. To tylko materiał i kilka nitek”.

Dziewczynka pogładziła dłonią przód płaszcza i opadające po nim płatki.

„Podoba ci się?”.

Zamiast odpowiedzieć, rzuciła się Mabel w ramiona, a w uśmiechniętej twarzy dziecka widocznej ponad ramieniem jego żony Jack mógł odczytać niezmierne oddanie.

„Kocham cię nad wszystko” – wyznała dziewczynka w objęciach Mabel.

„Nic mnie nie może bardziej uszczęśliwić” – przyznała kobieta i podniosła się z kolan, trzymając dziecko za rękę i przyglądając mu się uważnie.

„Pasuje na ciebie, prawda?”.

Faina skinęła głową, patrząc jednocześnie na swój stary płaszczyk.

„Tak się właśnie zastanawiałam, czy nie mogłabym przerobić twojego poprzedniego płaszcza na kocyk? W ten sposób wciąż byś z niego korzystała. Myślisz, że możemy tak zrobić?”

Będę musiała go pociąć, ale potem zszyję kawałki z powrotem i zrobię z niego ładny, nowy koc”.

„Naprawdę? Potrafisz to zrobić? I będę mogła go zabrać?”.

„Tak, oczywiście, to będzie zdecydowanie twój kocyk”.

\*

Ożywiona i rozgadana zabrała się do przygotowania kolacji, wypełniając dom radosnym szczebiotem i nie pozwalając im mówić o niczym innym poza dzieleniem się radością z ponownego spotkania. Może to powinno mu wystarczyć. Może powinien być za to wdzięczny i nie prosić o nic więcej.

Dopiero kiedy w chacie zrobiło się zbyt ciepło, a nad garnkami stojącymi na piecu uniosły się kłęby pary, które sprawiły, że dziewczynka opadła bez siły na oparcie krzesła, Jack zauważył u Mabel pierwsze oznaki strachu lub wątpliwości. Widząc, co się dzieje, błyskawicznie wyszła na zewnątrz i wróciła z pełną garścią śniegu, którym natarła policzki i czoło Fainy.

„Już, już. Tu jest stanowczo za gorąco. Już dobrze”.

Jack przyłożył dłoń do czoła dziecka, ale było zupełnie zimne.

„Myślę, że jest po prostu zmęczona” – szepnęła Mabel, nie przestając jednak nacierać jej ust śniegiem. „Za gorąco” – mruzczała do siebie. „Zdecydowanie za

ciepło. Przyniesie jeszcze trochę śniegu, proszę”.

Jack otworzył drzwi i znalazł się w samym środku zamieci, przyniesionej z rzeki przez wiatr, dmący we wszystkich kierunkach naraz. Tej nocy pogoda była naprawdę okropna. Dziewczynka w ułamku sekundy przemoknie do suchej nitki, a wichura wyssie z niej resztki ciepła. Nie mógł na to pozwolić, nie chciał, żeby wracała do lodowatej, pustej nory w zboczu góry.

„Zostaniesz dzisiaj na noc” – oznajmił, wracając ze śniegiem.

Mabel zmarszczyła czoło.

„Jesteś pewien?”.

„Tak” – odpowiedział spokojnie, choć wcale nie był.

Dziewczynka pochyliła się na krzesło i popatrzyła na niego spod przymrużonych powiek.

„Muszę iść” – odpowiedziała.

„Nie dzisiaj. Zostaniesz z nami” – powtórzył.

„Koniecznie” – wtrąciła Mabel. „Nie słyszysz tego wiatru? Możesz spać w stodole”.

Jack popatrzył na nią z zaskoczeniem. W stodole? Dlaczego jej to zaproponowała? Przecież tam było prawie tak samo zimno jak na zewnątrz. Mabel jednak nie zamierzała się poddawać.

„Mamy tam małą sypialnię dla chłopca, który nam latem pomagał. Będzie ci wygodnie.

Jest przytulna i całkowicie osłonięta od wiatru”.

Faina wstała z krzesła. Spojrzała na Jacka i nie odezwała się ani słowem, ale było to równie wymowne jak krzyk.

„Obiecałeś. Nie możecie mnie tutaj zatrzymać”.

Zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Zatrzymać ją siłą, wbrew jej woli? Będzie walczyła jak dziki kot. Był pewien, że zacznie krzyczeć, drapać, gryźć i walić na oślep, aż on sam poczuje się jak dzika bestia.

Ale nie mógł też pozwolić, żeby wracała do tej opuszczonej głuszy, zwłaszcza kiedy dopiero co dotarła o ostatnich siłach do ich domu, na dodatek cała zakrwawiona. Nigdy sobie nie wybaczy, jeśli coś jej się stanie, gdy mógł jej zapewnić bezpieczeństwo.

Ale dziewczynka zdążyła już pozapinać srebrzyste guziki nowego płaszcza.

„Nie gniewaj się, proszę”. – Spojrzała na niego.

„Naprawdę nie słyszysz tego wiatru?”.

Faina zatrzymała się przy drzwiach. Jack wciąż czekał na jakiś protest lub błagania ze strony Mabel.

„W porządku”. – Usłyszał zamiast tego. „Skoro musisz iść, to idź. Ale wrócisz, prawda?”

Obiecuj, że zawsze będziesz wracać”.

„Obiecuję” – odpowiedziała poważnie dziewczynka, jakby składała uroczystą przysięgę.

Jack stanął przy oknie. Patrząc, jak odchodzi, miał wrażenie, że znalazł się w jakimś dziwnym śnie. Zakrwawione dziecko ze splątanymi blond włosami i jego żona, całkowicie spokojna i pełna akceptacji. Jeszcze długą chwilę wbijał wzrok w panujące na zewnątrz ciemności.

Mabel krzątała się za jego plecami, sprzątając naczynia i skrawki materiału.

– Skąd wiedziałaś? – zapytał nagle.

– Hm?

– Skąd mogłaś wiedzieć, że wróci? I to właśnie teraz?

– Pierwszy śnieg. Dokładnie taki sam jak tamtej nocy.

Spojrzał na nią, niczego nie rozumiejąc, i pokręcił głową.

– Nie pamiętasz? Tamtej nocy, kiedy uformowaliśmy dziewczynkę. Płatki śniegu wielkie jak spodki od filiżanek. Przypominasz sobie? Rzucaliśmy się śnieżkami. A potem ją ulepiliśmy.

Wyrzeźbiłeś jej śliczną twarz, a ja znalazłam dla niej rękawiczki.

– O czym ty opowiadasz, Mabel?

Podeszła do regału i przyniosła stamtąd sporą księgę oprawioną w niebieski safian. Krawędzie stron błyszcząły od srebra.

– Popatrz. – Położyła ją przed nim na stole. – Niestety jest po rosyjsku, więc nie uda ci się tego przeczytać.

Jack wziął tom do ręki, zaskoczony jego wagą. Można było pomyśleć, że karty książki zrobiono ze skóry, a nie z papieru. Niecierpliwie omiół wzrokiem kilka pierwszych ilustracji.

– Co to jest?

– Baśń...

– To widzę. Ale co ona ma wspólnego z...

– To historia o parze starych ludzi, którzy przez całe życie marzyli o własnych dzieciach, ale nigdy ich nie mieli. Aż pewnej zimowej nocy ulepili ze śniegu dziewczynkę, która obudziła się nagle do życia.

Jack poczuł, jak coś skręca mu żołądek, tak jakby nagle zassało go jakieś bagno, z którego mógł się już nigdy nie wydostać.

– Przestań – przerwał jej.

– Dziewczynka znika każdego lata i wraca z pierwszym śniegiem. Nie rozumiesz...?

W przeciwnym wypadku... mogłaby się roztopić. – Mabel zdawała się nieco przestraszona własnymi słowami, ale nie dopuszczała do siebie żadnych wątpliwości.

– Na Boga, Mabel, o czym ty mówisz?

Otworzyła książkę na ilustracji przedstawiającej parę starszyczków klęczących przed prześliczną dziewczynką, której nogi tonęły w śniegu, a głowę zdobiła srebrzysta korona. Na jej wyciągniętych dłoniach błękitniały niewielkie rękawiczki.

– Widzisz? – Mabel mówiła do niego ze spokojem pielęgniarki stojącej przy łóżku pacjenta.

– Popatrz tylko.

– Nie, Mabel. Niczego nie widzę. – Zamknął księgę z trzaskiem i wstał od stołu. – Postradałaś zmysły, prawda? Próbujesz mi wmówić, że to dziecko, ta dziewczynka jest jakimś duchem, śnieżnym elfem. Jezu, Mabel... Poszedł na drugi koniec pokoju, niezdolny do ucieczki, choć o niczym innym nie marzył.

Jego żona przysunęła do siebie książkę i pogładziła jej skórzaną okładkę. Widać było, że się trzęsie.

– Wiem, że to niewiarygodne, ale naprawdę nie potrafisz tego dostrzec? Marzyliśmy o niej, powstała z naszej miłości i nadziei. To nasza dziewczynka. Nie wiem jak, ale to właśnie tutaj powstała, z tego zimna, z tego śniegu. Potrafisz w to uwierzyć?

– Nie. Nie potrafię. – Bał się, że jeszcze chwila, a będzie musiał nią potrząsnąć.

– Dlaczego nie?

– Bo... bo wiem o rzeczach, o których ty nie masz pojęcia.

Teraz to ona wyglądała na przestraszoną. Przytuliła książkę do piersi i spojrzała na niego z zaciśniętymi drżącymi wargami.

– Co takiego wiesz?

– Na Boga, Mabel, pochowałem ojca tego dziecka. Możesz to zrozumieć? Zapił się na śmierć, chociaż błagała go, żeby tego nie robił. Kiedy umierał na jej oczach, próbowała go nacierać swoimi zmarzniętymi rączkami. Jej własny ojciec. Jak myślisz, gdzie spędzałem wtedy te wszystkie dni? Co takiego wtedy robiłem? Siedziałem cały czas w górach, próbując jej jakoś pomóc.

Wykopałem mu cholerny grób w samym środku zimy.

– Nigdy wcześniej o tym nie wspominałeś. – Zabrzmiało to tak, jakby oskarżyła go o kłamstwo, o to, że wymyślił tę okropną historię, żeby dowieść swojej racji. Wciąż kurczowo trzymała się swoich wyobrażeń. Jack zacisnął zęby, próbując opanować targający nim gniew.

– Prosiła mnie, żebym nikomu o tym nie mówił. Złożyłem obietnicę. – Miał świadomość, że nie wypadło to zbyt przekonująco. Dorosły mężczyzna składający tego rodzaju przysięgę dziecku? Zachował się jak głupek.

– A co z jej matką?

– Również umarła. Faina była wtedy jeszcze malutka. – Czuł się stary i zmęczony, ale nie chciał na nią krzyczeć. – Wydaje mi się, że zmarła na suchoty w szpitalu w Anchorage. Dziewczynka mówiła, że to z powodu kaszlu.

Mabel wpatrywała się w niego niewidzącym spojrzeniem. Ze śmiertelnie pobladłą twarzą pokiwała powoli głową. Przyklęknął obok krzesła i wziął jej dłonie w swoje ręce.

– Powinienem być ci wcześniej o tym powiedzieć. Przepraszam, Mabel. Wołałbym wierzyć, że to ty masz rację, a dziewczynka jest jakimś chochlikiem z głuszy. Naprawdę tak byłoby o wiele lepiej.

– Gdzie ona mieszka? – szepnęła przez zaciśnięte zęby.

– Co?

– Gdzie mieszka?

– W niewielkiej chacie, wykopanej w zboczu góry. I to wcale nie jest takie najgorsze miejsce. Jest tam sucho i bezpiecznie, ma też zapasy jedzenia. Potrafi się sobą zaopiekować. – Naprawdę chciał wierzyć, że dziewczynka była twarda i zwinna jak górską kozicą.

– Sama? W takim miejscu?

– Oczywiście – potwierdził. – Czy ty naprawdę przez ten cały czas myślałaś, że narodziła się z płatka śniegu? Uwierzyłaś w śniegową dziewczynkę?

Wstała tak gwałtownie, że krzesło z trzaskiem upadło na ziemię.

– Niech cię szlag! Cholera! Jak mogłeś?

– Mabel? – Nie rozumiał, dlaczego tak się wściekła. Oparł dłonie na jej ramionach i chciał ją przytulić, ale pałała takim gniewem, że dawało się go wyczuć nawet przez cienki materiał sukienki.

– Jak mogłeś?! – powtórzyła. – Dlaczego ją tam zostawiłeś, jak jakieś zwierzę? Bez matki.

Bez ojca. Głodną i spragnioną miłości. Jak śmiałeś? – Odepchnęła go i podeszła do płaszcza wiszącego przy drzwiach.

– Co robisz, Mabel? Dokąd chcesz iść?

Nie odpowiedziała. Złapał ją za ramię, ale go odepchnęła. Owinęła się szalem, naciągnęła na siebie czapkę i rękawiczki, a potem złapała latarnię, która wisiała nad stołem.

– Mabel? Co chcesz zrobić?

Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem, pozostawiając go na progu domu w samych skarpetkach.

Będzie musiała wrócić. Wciąż padał śnieg, a nocą daleko nie zajdzie. Nie знаła drogi, ledwie się orientowała w tej okolicy i zwykle przemierzała ją na wozie.

Cisza panująca w domu wzbudzała w nim niepokój. Zapalił kolejną latarnię i zaczął krążyć w pobliżu drzwi. Stojący na półce stary drewniany zegar odliczał kolejne minuty. W końcu Jack włożył buty i wyszedł na zewnątrz, zabrawszy ze sobą płonącą lampkę. Padało tak mocno, że widział zaledwie na pół metra przed sobą, a ślady Mabel zniknęły pod śniegiem.



## ROZDZIAŁ 29

Mabel gnała przed siebie na oślep, nie patrząc pod nogi, a po jej twarzy spływały łzy przemieszane ze śniegiem. Przez jakiś czas myślała tylko o tym, żeby znaleźć się jak najdalej od chaty, jak najbliżej gór i chociaż nie była pewna, dokąd biegnie, nie miała zamiaru przestać. Jej suknia ciągnęła się po śniegu, nisko wiszące gałęzie chłostały ją po twarzy i nieraz ziemia usuwała jej się spod nóg, ale Mabel nie zwracała uwagi na ból i chłód. Słyszała jedynie głośny szum własnej krwi w uszach, a palący gniew z każdym kolejnym krokiem przemieniał się w lodowaty, paralizujący smutek.

Zwolniła po dotarciu do wąwozu, gdzie drzewa ustępowały miejsca rozłożystym krzewom, których cienkie pnącza ciągnęły się po ziemi, jakby próbowały złapać ją za kostki. Zaczęła się przedzierać, przechodząc ponad nimi i wciąż trzymając w ręku rozkołysaną latarnię. Żaden z krzaków nie osiągał rozmiarów drzewa i były zupełnie inne niż najeżone kolcami krzewy jeżyn, jakie pamiętała z domu. Niektóre gałęzie osiągały grubość ludzkiej nogi, a na wielu wisiały zaschnięte brązowe liście. Złapała jeden z takich konarów, a na jej dłoń posypały się niewielkie szyszki. Wśród krzewów kryły się też kolcosiły, pozbawione aktualnie swoich szerokich, zielonych liści, ale nie igieł. W niektórych miejscach płatanina gałęzi i pnączy była tak gęsta i nieprzenikniona, że Mabel poczuła wzbierającą panikę. A co jeśli nigdy nie uda jej się stąd wydostać?

Wreszcie dotarła do niewielkiego wzniesienia porośniętego świerkami, brzozaami i nielicznymi topolami. Zatrzymała się i spojrzała za siebie. Poza kręgiem światła rzucanym przez latarnię panowały całkowite ciemności, a ich chata była stąd zupełnie niewidoczna. Czuła, jak mokre włosy przyklejają się jej do karku, a przez ubranie przenika chłód. Ale nie miała zamiaru wracać.

Nie chciała znów czekać, nie mając pojęcia, co się dzieje, tak jak to robiła przez wiele godzin.

Musiała znaleźć dziewczynkę i wszystko naprawić.

Uniosła latarnię nad głowę i wbiła wzrok w wypełnioną śniegiem ciemność. Kiedy się odwróciła, zobaczyła świeże ślady na śniegu. Podbiegła do nich, omiatając spojrzeniem całą ścieżkę i próbując wywnioskować, skąd i dokąd

prowadzą. Czy to mogły być ślady Fainy? Tylko w którą stronę poszła? Po tak długim biegu na oślep Mabel całkowicie zatraciła poczucie kierunku, nie wiedziała już, gdzie dom, gdzie rzeka, a gdzie góry. Same ślady też wydawały się dziwne, a śnieg był zbyt głęboki, by rozpoznać ich kształty. Mimo to ruszyła za nimi.

Doprowadziły ją do powalonej brzozy, nad którą musiała przeskoczyć, zadzierając do góry suknię. Ledwo jej się to udało, z trudem trzymała się na nogach z wyczerpania, a jej czoło ociekało potem. Skręciła w lewo, stopniowo przyspieszając kroku, aż zaczęła biec. Zatrzymywała się tylko wtedy, gdy zaczynało ją palić w gardle. Wciągała w płuca kilka haustów powietrza i pędziła dalej. Wyobrażała sobie, że znajduje dziewczynkę, prącą przed siebie pod wiatr. Wzięłaby ją wtedy w ramiona i już nigdy nie wypuściła. Zastanawiała się, jak daleko odbiegła od domu.

Może była już u podnóża gór? Pod stopami wciąż czuła równą ziemię, ale miała wrażenie, że biegnie od kilku godzin.

Zrozumiała swój błąd dopiero wtedy, gdy po raz drugi zobaczyła przed sobą powaloną brzozę. Dotarło do niej, że jest szaloną, starą kobietą, uganiającą się za własnym cieniem w lesie pośrodku nocy. Każde stworzenie żyjące w tym miejscu mogło zobaczyć blask jej latarni, podczas gdy ona niczego nie widziała. Nagle uniosła się w wyobraźni ponad czubkami drzew i spojrzała z góry na własne szaleństwo. Zobaczyła samą siebie – rozczochraną i zdesperowaną, kręcącą głową na wszystkie strony, z gałązkami wplątanymi we włosy – i był to tak okropny widok, że wreszcie się ocknęła i wróciła na ziemię. Pomyślała o Jacku, pozostawionym w chacie pośrodku dziczy, spokojnym i osamotnionym w blasku światła. Mogła zawrócić i iść z powrotem po własnych śladach. Wciąż nie odeszła zbyt daleko. Ale nadal buzował w niej gniew.

Kiedy zerwała się ponownie do biegu, przestała się rozglądać za śladami i szukać w ciemnościach zarysu gór. Wszystko wokół niej wydawało się dziwne i nieznanne, a droga po kilku krokach niknęła w mroku. W blasku latarni migotały od czasu do czasu zamrożone pęczki żurawin zwisające z ogołoconych gałęzi, kolczaste konary świerków i plamiste pnie brzoź, które natychmiast znów kryły się w ciemnościach. W pewnym momencie uświadomiła sobie, że coś oprócz niej przedziera się pomiędzy drzewami. Stała w miejscu, wsłuchując się w swój zdyszany oddech i bicie serca.

– Faina? To ty? – zawołała półgłosem, choć wiedziała, że to nie mogła być dziewczynka.

Cokolwiek tutaj krążyło, było zdecydowanie większe. Jej pytanie pozostało bez odpowiedzi, jeśli nie liczyć trzasku łamanych gałązek. Serce Mabel wciąż waliło jak oszalałe. Wyciągała szyję, żeby zajrzeć jak najdalej, przebić wzrokiem parę unoszącą się z jej rozgrzanego ciała. Miała wrażenie, że hałas powoli cichnie, oddala się od niej, lecz z początku nie była tego pewna. Chciała wracać do domu, ale zgubiła drogę.

Nie miała już sił, żeby dalej biec, z początku nie wiedziała nawet, czy będzie w stanie iść.

Była zgrzana i spragniona. Zgarnęła ręką trochę śniegu i wsadziła go sobie do ust, pozwalając, żeby stopniał. Przez chwilę rozważała nawet zdjęcie czapki, ale obawiała się, że zamarznie na śmierć. Natarła czoło odrobiną śniegu i ruszyła przed siebie. Miała nadzieję, że uda jej się znów odnaleźć ścieżkę, która doprowadzi ją nie wiadomo dokąd, najpewniej w stronę gór, być może nad rzekę albo pod drzwi chaty. Szurła nogami ze zmęczenia, a w pewnym momencie jej noga zawadziła o pnącza i korzenie.

Upadek był tak gwałtowny, jakby ktoś ją popchnął od tyłu. Nie zdążyła nawet wyciągnąć przed siebie ręk, tylko walnęła o ziemię z taką siłą, że zaparło jej dech w piersi. Latarnia wpadła z sykiem w zaspę. Mabel otarła śnieg z twarzy, przekonana przez chwilę, że straciła wzrok. Jej ręce były puste. Z początku gwałtownie mrugała oczami, próbując coś zobaczyć, ale w końcu się uspokoiła. Otaczały ją tak nieprzeniknione ciemności, że tylko dzięki powiewowi chłodnego powietrza mogła się zorientować, czy ma zamknięte, czy otwarte oczy. Brnąc po omacku na czworakach, obmacywała ziemię przed sobą, aż w końcu udało jej się znaleźć latarnię zagrzebaną w miękkim śniegu. Szkło wciąż było gorące, ale ogień zgasł. Kiedy się wyprostowała, miała nad głową dokładnie taki sam mrok jak pod stopami, i było to tak dezorientujące, że z trudem utrzymała się na nogach.

„Co ja zrobiłam, na Boga? Potknęłam się o własne stopy. Upuściłam latarnię. Nie mam zapalek i przemokłam do suchej nitki. Żadnego schronienia i kompletnie nie mam pojęcia, gdzie jestem. Nie wiem nawet, czy w ogóle jestem”.

Zastanawiała się, czy zdoła wymacać w śniegu swoje ślady. Ponownie przykucnęła i powiodła dłonią wokół siebie, aż natknęła się na coś, co przypominało odcisk buta. Zgięta w pół ruszyła przed siebie, dotykając kolejnych śladów, coś jednak wplątało się w jej włosy, zmuszając do zatrzymania. Spróbowała się wyprostować i uderzyła głową o gałąź. Kiedy wyciągnęła przed siebie ręce, poczuła pod palcami jakąś twardą powierzchnię. Zdjęła rękawice i zrozumiała, jak muszą się czuć niewidomi. Miała przed sobą pień drzewa. Nie

udało jej się odnaleźć ścieżki, zdołała się za to zaplątać w gałęzie potężnego świerka. Ze zdziwieniem odkryła, że ziemię pod jej stopami pokrywa dywan zeschniętych igieł, a nie śnieg. To chyba było najlepsze schronienie, na jakie mogła liczyć. Jednak bez ognia i suchych ubrań i tak zapewne nie dotrwa do poranka. Usiadła pod drzewem i oparła się plecami o pień.

Zasychający pot i topniejący śnieg chłodziły jej czoło. Zimno schodziło coraz niżej, aż do podstawy karku, wnikało od ziemi w jej przemoczone nogi. W końcu wdarło się pod ubranie, przeniknęło przez skórę i powędrowało wzdłuż kręgosłupa, zamieniając się w lodowate tchnienie śmierci, które – jeśli tylko na to pozwoli – wygna z niej resztki życia. Jakby na potwierdzenie tych podejrzeń, Mabel zaczęła szcząć zębami. Lekkie drżenie szczęki, gdy wciągała powietrze przez zaciśnięte zęby, przekształciło się błyskawicznie w gwałtowne dreszcze, które przenikały aż do kości.

– Jack? – szepnęła lodowatymi ustami. – Jack? – powtórzyła odrobinę głośniej. Nigdy jej nie usłyszysz. Któż zresztą mógł wiedzieć, jak daleko się zapuściła.

– Jack! – Wypełzła spod pnia, wyplątała się spomiędzy gałęzi i stanęła wyprostowana, krzycząc ze wszystkich sił: – Jack! Słyszysz mnie? Tu jestem! Jack! Pomocy! Tutaj jestem, Jack!

Pomóż mi!

Zamilkła i wstrzymała oddech, nasłuchując odpowiedzi, ale jedynym dźwiękiem, jaki usłyszała, był niewiarygodnie cichy, ale nieustający stukot płatków śniegu, opadających na jej płaszcz, włosy, rzęsy i gałęzie drzew.

– Jack! Błagam cię, na Boga! Potrzebuję cię! Proszę!

Krzyczała i wołała aż zachrypla, a jej głos zmienił się w cichy pisk. „Proszę, Jack, błagam cię”. Wpełzła z powrotem pod gałęzie świerku, wymacując sobie drogę po omacku, a kiedy odnalazła pień i posłanie z igieł, zwinęła się na nim w mokrym ubraniu, wciąż wstrząsana dreszczami.

Śnieg osadzał się powoli na gałęziach ponad jej głową.

\*

Obudził ją trzask łamanych gałązek i błysk światła. Przez moment wydawało jej się, że wróciła do domu i przysnęła przy piecu. To oczywiście nieprawda – wokół było zbyt zimno i ciemno. Bolały ją wszystkie mięśnie i nie mogła się ruszyć. Coś ją przykrywało. Było ciężkie i miało znajomy zapach. Pachniało

domem. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch w blasku ognia. Jakaś postać pochylała się nad płomieniami, łamiąc coś z trzaskiem na kolanie. Wreszcie odwróciła się w jej stronę.

– Mabel? Obudziłaś się?

Nie potrafiła wydobyć z siebie ani słowa. Zesztywniałe mięśnie nie radziły sobie z otwieraniem ust. Próbowwała skinąć głową i momentalnie poczuła ból. Promieniował zewsząd.

– Mabel? To ja, Jack. Słyszysz mnie? – Przyklęknął obok, odgarniając włosy z jej czoła.

– Ciepłej ci? Rozpaliłem ogień. Czujesz?

Jack. Czują jego zapach mieszający się z wonią mokrej wełny i świeżego drewna. Wepchnął jej pod boki jakiś materiał, owijając ją jak dziecko, i Mabel zrozumiała, że jest przykryta kocem. Znów poczuła się zagubiona. Czyżby faktycznie leżała we własnym łóżku? To niemożliwe – powietrze było zbyt zimne, czuła również lekki wiatr, a na smolście czarnym niebie widocznym pomiędzy gałęziami migotały gwiazdy. Gwiazdy? Skąd one się tu wzięły, lśniące niczym kawałki lodu?

– Jack? – Z jej ust wydobył się ledwie słyszalny szept. Chwilę wcześniej odwrócił się do niej tyłem, żeby dorzucić do ognia, ale gdy tylko dobiegło do niego jej wołanie, natychmiast wrócił.

– Gdzie jesteśmy? Jack?

Usłyszała chrząknięcie, jakby miał zamiar kaszlnąć, a potem usłyszała jego głos:

– Już dobrze. Wszystko będzie dobrze. Muszę tylko rozpaść większy ogień, żebyś się ogrzała.

Podniósł się, a jego pochylona sylwetka odcięła jej dostęp do ciepła i światła. Mabel zamknęła oczy. Musiała zrobić coś złego, Jack był wyraźnie rozgniewany. Wszystko wracało do niej powoli, jak fala smutku. Przypomniła sobie o dziecku, śniegu i całej nocy.

– Jak mnie znalazłeś?

Wciąż dorzucał drewna do ognia, a płomienie stawały się większe. Wreszcie poczuła ich ciepło i zobaczyła jego twarz.

– Nie wiem.

– Gdzie jesteśmy? Daleko od domu?

– Tego również dokładnie nie wiem. – Wiedział, że to ją przestraszy, więc natychmiast dodał: – Wszystko będzie dobrze, Mabel. Musimy tu po prostu

przeczekać parę godzin. Znajdziemy drogę, jak tylko wstanie słońce.

Jego głos stawał się coraz cichszy, a Mabel odpłynęła, otoczona ciepłem. Świat stał się kojąco nierzeczywisty, tak jak wtedy, gdy w dzieciństwie zmagala się z gorączką.

\*

– Możesz usiąść? – zapytał Jack, trzymając przed sobą manierkę. Nie miała pojęcia, jak długo spała, ale wokół ognia wciąż było ciemno.

– Chyba tak.

Złapał ją za ramiona i pomógł się podnieść. Kiedy sięgnęła po manierkę, koc zsunął się z jej ramienia, odsłaniając gołą skórę. Była zupełnie naga.

– Ostrożnie. Nie rozlej.

– Co zrobiłeś z moim ubraniem?

Wskazał w stronę ognia. Jej sukienka i bielizna suszyły się na gałęzi ponad płomieniami.

Buty stały obok ogniska.

– Musiałem to zrobić. – W jego głosie pobrzmiwał przepraszający ton.

Mabel upiła odrobinę wody, próbując opanować pragnienie wypicia wszystkiego jednym haustem.

– Dziękuję.

– Czasami mi się wydawało, że słyszę, jak wołasz moje imię. Miałem wrażenie, że twój głos dobiegał z krzaków, ale to była tylko kłępa z młodym. Potem potknąłem się o twoją latarnię i domyśliłem się, że musisz być gdzieś blisko.

Znów podszedł do ognia, zdjął sukienkę z gałęzi i strzepnął nią w powietrzu.

– Przestało sypać – powiedział, wpełzając pod gałęzie obok niej. Jęknął cicho, kiedy oparł się plecami o pień, po czym objął żonę ramieniem. Przypomniała sobie o jego ledwie co zagojonym grzbiecie. – Przejaśnia się i robi się chłodniej. Byłaś całkowicie przemoczona.

Mabel oparła głowę na jego piersi.

– W jaki sposób jej się to udaje?

Milczał tak długo, że zaczęła się zastanawiać, czy zrozumiał jej pytanie.

– Ona jest inna – odpowiedział wreszcie. – Żaden z niej śnieżny elf, ale na pewno zna tę ziemię. I to o wiele lepiej niż ktokolwiek, kogo tu spotkałem.

Skrzywiła się, słysząc, jak nazywa ją śnieżnym elfem, ale wiedziała, że nie robił tego złośliwie.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, jak mogła spędzać tu każdą noc. Że też na to pozwoliłeś... Nie, nie jestem już na ciebie zła. Ale jak mogłeś się o nią nie martwić? To przecież tylko dziecko.

– Kiedy nie wróciła na wiosnę, poszedłem w góry, żeby ją odnaleźć – odrzekł, nie odrywając wzroku od ognia. – Umierałem z niepokoju. Wydawało mi się, że popełniłem straszliwy błąd i straciliśmy ją na zawsze.

– Nie mogłabym się pogodzić z myślą, że coś jej się stało – wyznała Mabel. – Jest kochana, dzielna i silna, ale to tylko dziewczynka. Sama w tym miejscu, porzucona przez ojca. Gdyby coś jej się stało, byłaby to nasza wina, prawda?

Jack skinął głową, ponownie obejmując ją ramieniem.

– Prawda – potwierdził.

– Nie zniosę tego więcej. Nie tym razem. Nie po tym jak... – Spodziewała się, że spróbuje ją uciszyć albo wstanie i podejdzie do ognia, ale niczego takiego nie zrobił. – Zawsze żałowałam, że nie mogłam nic więcej zrobić. Wiem, że nie było sposobu na uratowanie tamtego dziecka, ale powinnam się bardziej postarać. Zabrakło mi odwagi, by urodzić żywe dziecko i zobaczyć, jak to będzie. – Odwróciła się, żeby spojrzeć mu w oczy. – Wiem, że minęło mnóstwo czasu, Jack. To już przecież prawie dekada. Ale powiedz mi, że właściwie je pożegnałeś. Powiedz, że zmówiłeś modlitwę nad grobem. Proszę, powiedz.

– Jego.

– Co?

– Pożegnałem go. To był chłopczyk. A zanim złożyłem go do grobu, nadałem mu imiona Joseph Maurice.

Mabel wybuchła głośnym śmiechem.

– Joseph Maurice – powtórzyła szeptem. Wiedziała, jak wielkie niezadowolenie wywołałyby te imiona w obu rodzinach, upamiętniając dziadka Mabel i dziadka Jacka, uważanych przez swoich krewnych za czarne owce. – Joseph Maurice.

– Podoba ci się?

Skinęła głową.

– Zmówiłeś nad nim modlitwę?

– Oczywiście – odpowiedział z urazą, jakby jej pytanie sprawiło mu ból.

– Pamiętasz, co wtedy mówiłeś?

– Błagałem Boga, żeby wziął tę dziecinę w swoje ramiona i utulił ją tak, jakbyśmy to robili, gdyby nadal żyła. Prosiłem, żeby się nią opiekował.

Mabel objęła go nagimi ramionami i zaszlochła. Ponownie owinał ją kocem i trwali przez chwilę w swoich objęciach.

– Chłopiec... Jesteś pewien?

– Całkowicie.

– To dziwne, prawda? Przez cały czas, gdy ruszało się i wierciło w moim wnętrzu, dzieląc ze mną krew, byłam przekonana, że to dziewczynka. A okazuje się, że nie, nosiłam w sobie chłopca. Gdzie go pochowałeś?

– W sadzie, nad brzegiem strumienia.

Wiedziała gdzie. To było miejsce, w którym się po raz pierwszy pocałowali, miejsce, gdzie zostali kochankami.

– Mogłam się domyślić. Szukałam tego grobu, żeby się z nim właściwie pożegnać.

– Powinienem był ci powiedzieć.

– Wiem. Czasem zachowujemy się jak głupcy, prawda?

Jack podniósł się, żeby dorzucić do ognia, a kiedy płomienie strzeliły w górę, ponownie usiadł obok Mabel.

– Ciepłej ci?

– Tak. Ale dlaczego nie wejdiesz ze mną pod koc?

– Tylko byś przy mnie zmarzła.

Nie dała się przekonać – pomogła mu w pozbyciu się mokrych ubrań i zrobiła miejsce pod kocem. Poczowała zimno bijące od jego ciała i szorstką wełnę kalesonów ocierających się o jej nagą skórę, przytuliła się jednak do niego z wszystkich sił. Z wiekiem jego ciało stało się szczuplejsze, mięśnie mniej naprężone, a skóra zaczęła wiotczeć, wciąż jednak dobrze się trzymał.

Oparła głowę na jego piersi i spojrzała na płomienie strzelające iskrami unoszącymi się swobodnie w zimnym nocnym powietrzu.



## ROZDZIAŁ 30

Jack przyglądał się z rozpaczą, jak dziewczynka stała się dla Mabel prawdziwą zabiedzoną sierotą w wyświechtanych ubraniach. Zniknął gdzieś jej zachwyty i oczarowanie. Faina nie była już dla niej śnieżnym elfem, tylko opuszczonym dzieckiem, pozbawionym obojga rodziców. Pechową dziewczynką potrzebującą kąpieli.

– Powinniśmy się dopytać w miasteczku o jakąś szkołę – stwierdziła, gdy Jack wyznał jej całą prawdę. – Z tego co wiem, lokalne władze przysłały nowego nauczyciela. Lekcje odbywają się w piwnicy pensjonatu. Możemy ją tam odwozić każdego dnia albo zostawiać na cały tydzień.

– Mabel?

– Nie patrz tak na mnie. Nic jej nie będzie. Jeśli potrafi przetrwać całymi miesiącami w tej dziczy, to na pewno wytrzyma kilka nocy w miasteczku.

– Nie wiem tylko, czy...

– Trzeba też pomyśleć o ubraniach. Zdobęde jakiś materiał i uszyję jej parę sukienek. I jakieś prawdziwe buty. Już nie będzie potrzebowała tych mokasynów.

\*

Przekonanie dziewczynki do tych pomysłów wcale nie było takie łatwe.

„Nie chcę” – oświadczyła, gdy Mabel pokazała jej wannę pełną ciepłej wody.

„Tylko na siebie popatrz, dziecino. Rozczochrana, brudna...” – Mabel podwinęła rękaw jej sukienki. „To też trzeba wyprać albo po prostu wyrzucić. Uszyję dla ciebie nowe ubrania”.

Dziewczynka cofnęła się ku drzwiom. Mabel złapała ją za rękę, ale Faina natychmiast się wyrwała.

– Mabel – wtrącił się Jack. – Daj jej spokój.

Przez kolejnych kilka dni Faina nie pojawiła się ani razu, a kiedy wreszcie wróciła, wciąż zdawała się spłoszona, ale Mabel nie zwracała na to uwagi. Wypominała dziecku jego potargane włosy i ubrania, dopytywała się, czy

dziewczynka chodziła kiedykolwiek do szkoły albo chociażby zajrzała do książki. Po każdym takim wścibskim pytaniu Faina coraz bardziej się wycofywała.

Jack obawiał się, że ją stracą.

Nie wierzył oczywiście w tę historię o baśniowej dziewczynce ulepionej ze śniegu, ale musiał przyznać, że Faina była nadzwyczajna jak otaczające ich górskie grzbiety, niekończąca się głusza, niebo i lód. Nie można się było do niej zbliżyć, nie dało się poznać jej umysłu. Być może tak jest ze wszystkimi dziećmi. W końcu ani on, ani Mabel nie prowadzili takiego życia, jakie sobie wymarzyli dla nich ich rodzice.

Było w tym jednak coś więcej. Fainy nie można było w żaden sposób powstrzymać. Mogła zniknąć i już nigdy nie wrócić i któż będzie mógł stwierdzić, że w ogóle czuła się przez nich kochana?

\*

„Nie” – sprzeciwiła się dziewczynka, wodząc wzrokiem od Mabel do Jacka. W jej błękitnych oczach błysnął strach.

„Nie mogę pozwolić, żebyś nadal żyła jak zwierzę” – upierała się Mabel, zgarniając gwałtownie naczynia i resztki jedzenia ze stołu. Mała nie spuszczała z niej wzroku, a jej serce trzepotało jak dziki ptak.

„Musisz tu zostać, poczynając od teraz. Nie możesz każdego dnia uciekać i kryć się między drzewami. To będzie twój dom. Z nami”.

„Nie” – powtórzyła Faina, tym razem gwałtowniej. Jack był pewien, że zaraz wybiegnie na zewnątrz.

– Proszę, Mabel. Nie możemy tego odłożyć na później?

– Popatrz na nią. Tylko spójrz. Zobacz, jak ją zaniedbaliśmy. Potrzebuje domu i wykształcenia.

– Nie kłóćmy się o to przy dziecku.

– Mam pozwolić na to, żeby spędziła kolejną noc w tej dziczy? A potem następną i jeszcze jedną? W jaki sposób ma sobie poradzić w tym świecie, jeśli będzie znała tylko lasy?

Zdaniem Jacka dziewczynka doskonale radziła sobie w tym świecie, ale nie chciał urazić żony swoją odpowiedzią.

– Dlaczego? – dociekała Mabel. – Czemu ona chce wracać do tego zimna i samotności?

Przecież chyba wie, że będziemy ją dobrze traktowali?

A więc o to cały czas chodziło. Pod tym całym wzburzeniem i potrzebą kontroli kryła się zraniona miłość.

– To nie tak – wyjaśnił Jack. – Tam jest jej miejsce. Naprawdę tego nie widzisz? To tam znajduje się jej dom.

Wyciągnął do niej rękę, by powstrzymać ją przed zabraniem miski, i złapał jej dłoń. Pogładził kciukiem śliczne, szczupłe palce. Jakże dobrze znał te ręce.

– Staram się, Jack. Naprawdę. Ale to jest dla mnie zupełnie niepojęte. Nie rozumiem, jak ktoś może wybrać życie w brudzie i zimnie, żywienie się dzikimi zwierzętami. U nas miałyby ciepło, bezpiecznie i byłaby kochana.

– Wiem – odpowiedział. Czyż w końcu sam nie marzył o córce, którą mógłby rozpieszczać i zasypywać prezentami? Czy tak samo nie umierał z pragnienia, żeby ją przytulić i nazwać własnym dzieckiem? Nie mógł jednak pozwolić na to, by te tęsknoty zaburzyły mu obraz rzeczywistości.

Czasem miał wrażenie, że widzi przebłyски prawdziwej natury tego dziecka, migocące pod powierzchnią niczym pstrągi w potoku. Dzikie rozbłyски w granatowej wodzie.

Mabel puściła jego dłoń i odwróciła się do Fainy.

„Zostaniesz tu dziś na noc” – oznajmiła, opierając dłonie na jej ramionach. Jack myślał przez chwilę, że chce potrząsnąć dziewczynką, lecz jego żona tylko delikatnie ją pogładziła i mówiła dalej spokojnym głosem: „Rozumiesz? A jutro pojedziemy do miasteczka, dowiedzieć się czegoś na temat szkoły”.

Dziecko miało zaczerwienione policzki i gwałtownie kręciło głową.

„Już podjęliśmy decyzję, Faino. Tak będzie dla ciebie najlepiej. Nie możesz się ciągle uganiać po lasach jak dzikie zwierzę. Kiedyś dorośniesz i co wtedy?”.

„Nie”.

Dziewczynka błyskawicznie naciągnęła na siebie czapeczkę i płaszcz i pognęła do drzwi. Mabel pośpieszyła za nią.

„Nie rozumiesz, że robimy to dla ciebie?”.

Ale dziecka już nie było.

\*

Opadła na krzesło i złożyła ręce na podołku.

– Czy ona naprawdę nie rozumie, że ją kochamy?

Jack otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Była pogodna, cicha noc, księżyc oświetlał swoim blaskiem gałęzie drzew. Dziewczynka dotarła już na skraj lasu. Zatrzymała się, popatrzyła w stronę chaty, a potem znów pobiegła, potrząsając rękami w geście wyrażającym wzburzenie.

Zawirował śnieg.

Śnieżne demony. Tak je nazywali w dzieciństwie. Trąby powietrzne ze śniegu wyglądające jak białe tornada, tyle że tym razem najwyraźniej zaczynały się w dłoniach tego dziecka.

Dziewczynka zniknęła między drzewami, ale śnieżne wiry nie przestawały krążyć, rosnąc z każdą sekundą. Jack przyglądał się temu ze strachem i zdumieniem. Śnieg zawirował wokół chaty, pochłaniając wszystko dookoła. Księżyc zniknął, a na podwórzu zapadły ciemności. Zawył wiatr, śniegowy puch zaczął oblepiać nogawki spodni Jacka.

\*

Burza szalała całą noc, rozbijając się o ściany chaty i nie pozwalając mu zasnąć. Leżał ze wzrokiem wbitym w drewniane sklepienie sypialni, czując ciepło bijące od Mabel śpiącej tuż obok. Mógłby ją obudzić, pocałować w kark i wsunąć dłoń pod koszulę, ale nawet to wymagało zbyt wielkiego skupienia. Zmusił się do zamknięcia oczu i skoncentrował na powstrzymywaniu zawrotów głowy. Przetaczał się z boku na bok, aż w końcu wstał i wyszedł z łóżka. Po omacku dotarł do kuchni, gdzie zapalił latarnię. Zmniejszył płomień, jak tylko się dało, a potem sięgnął po książkę leżącą na półce. Rozłożył ją na stole i spojrział na ilustracje, którym towarzyszyły nieznane litery.

Zauważył Mabel dopiero wtedy, gdy usiadła naprzeciw niego. Miała rozpuszczone włosy, a na jej twarzy wciąż było widać odcisniętą poduszkę.

– Czemu nie śpisz o tej porze? – zapytała.

Podniósł wzrok znad książki.

– Dziwne to, prawda?

– Ale co? – zapytała szeptem, jakby bała się, że może kogoś obudzić.

– To dziecko ulepione ze śniegu. Tamta noc. Rękawiczki i szal. A potem Faina. Te blond włosy. I jej zachowanie.

– O czym ty mówisz?

Dopiero wtedy się ocknął.

– Chyba jeszcze śpię. – Uśmiechnął się do niej i zamknął książkę. – Coś mi się miesza w głowie.

Nie dała się przekonać, mimo to wstała, poprawiła koszulę i wróciła do sypialni.

Zaczekał, aż usłyszy skrzypnięcie łóżka i spokojny, powolny oddech unoszący się spod koców. Dopiero wtedy ponownie zajrzał do książki, trafiając na ilustrację przedstawiającą śnieżną dziewczynkę pośród leśnych zwierząt. Nad ich głowami wirował śnieg, sypiący się z granatowoczarne nieba.

Już i tak opowiedział Mabel zbyt wiele, ale nadal nie wszystko. Nie wspomniał jej o śnieżnych tornadach ani o tym, jak Faina wywołała śnieg nad grobem swego ojca. Nie powiedział też, że płatki śniegu ześlizgiwały się tamtego dnia z twarzy dziewczynki, jakby dziecko było zrobione ze szkła. Nie roztopiały się na jej policzkach, nie przyklejały się do rzęs. Zamiast tego ślizgały się po niej jak po lodzie, dopóki nie porwał ich wiatr.

## ROZDZIAŁ 31

Mabel, chłopak coś dla ciebie przyniósł.

Jack otworzył drzwi na całą szerokość i przepuścił Garretta niosącego jakieś zawiniątko opakowane w skórę i przewiązane rzemykiem. Pakunek mieścił mu się swobodnie pod pachą i nie przypominał martwego zwierzęcia. Chociaż z drugiej strony, Jack i tak powinien był zapytać o to chłopca, nim wpuścił go do środka.

– Dzień dobry. Wchodź, wchodź. – Mabel otarła dłonie o fartuch i odgarnęła włosy za ucho. – Chciałbyś się napić czegoś ciepłego?

– Tak, dziękuję bardzo.

– I jak ci poszło polowanie? – zainteresował się Jack.

– Dopiero zacząłem rozstawiać sidła. Ale stary Boyd powiedział, że mogę polować na jego terenie. On wraca do San Francisco.

– Naprawdę?

– Wydaje mi się, że znalazł niewielką żyłę złota w górze strumienia i jest już ustawiony.

Mówi, że chciałby trochę powygrzewać swoje stare kości.

– Zacząłeś już polować?

– Nie, jeszcze nie. Ale niedługo. Teren jest gotowy, we wszystkich właściwych miejscach są już powbijane paliki. Chce mi też sprzedać swoje najlepsze sidła. Twierdzi, że nie ma zamiaru już na nic polować, nie licząc ładnych kobiet w Kalifornii.

Mabel zdejmowała kubki z półki i wydawała się ich nie słuchać, ale chłopak i tak nagle poczerwieniał.

– To znaczy... – wyjąkał – on tak właśnie powiedział, to jego słowa... – To duży teren? – Przyszedł mu z pomocą Jack.

– Sprawdzenie wszystkiego zajmie mi pewnie ze dwa dni. Mam ze sobą namiot, na wypadek gdyby pogoda nagle się pogorszyła i musiałbym zostać na noc.

– Boisz się? – zapytała Mabel, zatrzymując się przy oknie. Chłopak wydawał się zaskoczony tym pytaniem.

– Nie. Raczej nie.

Mabel milczała.

– Oczywiście zdarzało mi się bać w lesie – ciągnął Garrett – ale nigdy bez powodu. Dwa lata temu, jesienią, musiałem uciekać przed niedźwiedziem, który na mnie polował. Łazł za mną przez całą drogę do domu, ale ani razu nie znalazłem okazji do strzału. Nigdy wcześniej mi się coś takiego nie przytrafiło. Wrzeszczałem na niego, próbowałem go odgonić, ale za każdym razem, kiedy mi się wydawało, że już sobie poszedł, znów słyszałem, jak przedziera się przez krzaki.

Nie dał mi spokoju aż do samego domu.

– Słyszałem, że one zwykle unikają ludzi – Jack spojrzał kątem oka na Mabel.

– Czasem nie. Słyszeliście chyba o tym górniku z Anchorage, któremu grizzly odgryzł twarz?

Jack spojrzał na niego, marszcząc brew, a Mabel, która wciąż stała przy oknie, zeszywniała.

– To się oczywiście nie zdarza zbyt często – dodał momentalnie chłopak. – Zwykle niedźwiedzie uciekają, jak tylko zobaczą człowieka.

– Ale nie czujesz się tam samotny? – Mabel wciąż nie odwracała wzroku od okna.

– Słucham?

– Pytam, czy nie czujesz się samotny. Przecież jesteś w tej dziczy zupełnie bez nikogo, to musi być przerażające.

– Nie spędzam aż tyle czasu całkiem sam. Chciałbym, oczywiście. Najdłużej nie było mnie przez tydzień, kiedy wybrałem się łowić łososie. Bardzo mi się to podobało. Łowiłem przez cały dzień, a czasem też przez całą noc, bo słońce nigdy nie zachodziło. Suszyłem i wędziłem ryby na olchowym drewnie. Pierwszy raz zobaczyłem wtedy nutrię. Wskoczyła do strumienia i próbowała mi podprowadzić wszystkie łososie. Śmiałem się tak mocno, że nie mogłem jej trafić.

Szarpała się i ciągnęła ukradzioną rybę tak szybko, jak tylko mogła.

– Ale co cię tam tak ciągnie, skoro masz bezpieczny, rodzinny dom?

Chłopak zawahał się przez chwilę i spojrzał na Jacka.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Chyba nie zależy mi aż tak bardzo na bezpieczeństwie.

Wolę żyć.

– Żyć? A to nie jest życie? – zapytała go z ciężkim westchnieniem.

Milczeli, dopóki nie postawiła na stole dzbanka z kawą i nagle zrobiło się tak, jakby Garrett dopiero co przyszedł.

– Dobrze, że jesteś – stwierdziła Mabel. – Powiesz, co tam ze sobą przyniosłeś? Jego twarz momentalnie pojaśniała i płochliwie odwrócił wzrok.

– Cóż, ja... tylko... – Przesunął swój pakunek po stole w jej stronę. – To dla ciebie.

– Mam otworzyć?

Garrett skinął głową, więc Mabel przecięła rzemyk i odwinęła skórę. Jack zobaczył, że w środku kryło się futro z lisa. Srebrnoczarne.

Mabel pogładziła je czubkami palców z twarzą zupełnie pozbawioną wyrazu.

– To czapka. Popatrz. – Chłopak wyjął prezent z jej dłoni i pchnął go delikatnie od środka, tworząc znajomy kształt.

– Betty ją dla ciebie uszyła. Nauszniki można zawiązać u góry albo pod brodą. Oddał czapkę Mabel, która powoli obróciła futerko w dłoniach.

– Mam nadzieję, że będzie pasowała. Brałem rozmiar z mojej mamy.

– Ale ja... nie mogę tego przyjąć.

Chłopiec posmutniał.

– W porządku – wymamrotał. – Skoro ci się nie podoba.

– Mabel... – Jack oparł dłoń na ramieniu żony.

– Nie o to chodzi – odpowiedziała. – To zbyt wiele.

– Wcale nie – sprzeciwił się Garrett. – Nie kosztowało mnie to ani grosza. Wymieniłem się za futra.

– Ale to jest zbyt eleganckie. Nie mam gdzie tego nosić.

– Ależ skąd. Traperzy noszą takie czapki przez cały czas. To nie jest nakrycie głowy na specjalne wyjścia czy wizyty w miasteczku. Za to zapewnia ciepło.

– Przymierz ją, Mabel – poprosił cicho Jack.

Kompletnie nie był przygotowany na to, co miało się wydarzyć. Kiedy Mabel opuściła nauszniki i zawiązała je pod brodą, jej twarz została okolona gęstym, czarnym futrem z przeblaskami srebra, które rozświetliły jej szare oczy i sprawiły, że twarz Mabel przybrała mlecznobiały odcień. Wyglądała olśniewająco. Żaden z nich nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

– Cóż, sądząc po tym, jak się na mnie gapicie, raczej nie wyglądam w niej najlepiej – stwierdziła, zdzierając czapkę z głowy jednym wściekłym gestem.

– Doskonale w niej wyglądasz – sprzeciwił się Jack.

– Mogłabyś w niej wystąpić na okładce jednego z tych modnych magazynów z „Dalekiego Wschodu” – potwierdził chłopak. – Naprawdę.



- Możesz mu wierzyć. Ta czapka idealnie do ciebie pasuje.
- Nie próbujecie mi się przypochlebiać? – zapytała i przyglądała dłonią włosy.
- Załóż ją raz jeszcze, żebyśmy się mogli przyjrzeć.
- Rozmiar jest idealny, jakby była szyta na mnie. I faktycznie grzeje.

Jack podniósł się z krzesła i pomógł jej zawiązać nauszники na czubku głowy, dzięki czemu czapka wyglądała jak toczek.

– Chyba będę teraz najładniej ubraną żoną farmera, jaką kiedykolwiek widziałeś – stwierdziła.

\*

Odesłała Garretta do domu z kilkoma nowymi książkami, a kiedy sobie poszedł, usiadła przy piecu i zabrała się do czytania. Jack stanął za jej plecami i delikatnie pogładził ją po karku.

- To łaskocze – powiedziała, strącając odruchowo jego rękę.
- Chłopak był naprawdę oczarowany, gdy ubrałaś tę czapkę.
- Daj spokój. Przecież jestem już stara.
- I wciąż piękna. Nie przeszkadza ci, że ta czapka jest z lisa? Bałem się, że jej nie przyjmiesz.
- Jest wygodna i praktyczna. Będzie mi w niej cieplej.

## ROZDZIAŁ 32

„Gdzie byłaś, dziecko?”

„Teraz? Nad rzeką. Tam to znalazłam”.

Faina wyciągnęła przed siebie dłoń z czaszką łososia, wysuszoną przez wiatry. Mabel próbowała ją narysować, przyglądając się to z jednej, to z drugiej strony.

„Nie, nie teraz. Przez całe lato. Gdzie wtedy poszłaś?”

„W góry”.

„Dlaczego? Co cię tam tak ciągnie?”

„Wszystko. Śnieg i wiatr. Stada karibu. Małe kwiatki i jagódki. Rosną nawet na skałach, przykryte śniegiem, tuż pod niebem”.

„Znowu nas zostawisz, prawda? Uciekniesz na wiosnę w góry?”

Dziewczynka pokiwała głową.

„A gdzie pójdziesz, kiedy opuścisz nas tej nocy?”

„Do domu”.

„Jaki ty tam możesz mieć dom?”

„Pokażę ci”.

\*

Następnego słonecznego dnia dziewczynka zabrała Mabel do lasu. Jack przygotował im zapas jedzenia na drogę i powiedział żonie, że nie ma się o co martwić. Faina doskonale zna tę okolicę i na pewno odprowadzi ją bezpiecznie do domu.

Oddalała się od chaty, idąc za dziewczynką po śladach, których sama nigdy by nie wypatrzyła – tropy zajęcy, ukryte pod wierzbami, odciski wilczych łap na śniegowych zaspach. Dzień był pogodny i chłodny. Para z własnego oddechu zamarała jej na rzęsach i otoku futrzanej czapki.

Wciąż płatała się w zbyt wielkich wełnianych spodniach i przywiązanych do nóg raketach śnieżnych należących do Jacka. Faina pędziła przed nią z ogromną zwinnością, właściwie nie zapadając się w śniegu.

Wspięły się doliną rzeki w stronę błękitnego nieba i dotarły do zbocza góry.

„Popatrz”. – Wskazała nagle dziewczynka.

Na powierzchni śniegu było widać delikatne odbicie niewielkich skrzydeł, a każde piórko charakteryzowało się niezwykłą symetrią.

„Co to jest?”.

„Ślady pardwy”.

„A tam?”. – Mabel spojrzała w stronę kilku drobnych wgłębień w śniegowym puchu.

„Gronostaj”.

Wszystko wokół wydawało się tak lśniące i wyraźne, jakby świat wyklął się dopiero dzisiejszego ranka, opuszczając wnętrze lodowego jaja. Topolowe witki pokryte szronem, skute lodem wodospady i zaśnieżona ziemia, poznaczona śladami setek dzikich zwierząt: rudogrzbitych nornic, kojotów, lisów, grubonogich rysy, łosi i roztańczonych srok.

Nagle dotarły do jakiegoś przerażającego miejsca, pełnego wysokich świerków, pomiędzy którymi powietrze stało nieruchomo i zalegały lodowate cienie. Do jednego z pni przybito ptaka z rozłożonymi skrzydłami, do innego skrawek białego zajęczego futra, nadając im wygląd totemów, pod którymi duchy przodków przyjmują ofiary ze zwierząt.

Dziewczynka podeszła do trzeciego drzewa i pogładziła brązowe futerko. Zwierzę zapiszczało, zdradzając, że wciąż żyje.

Mabel wzięła głęboki oddech.

„Kuna” – poinformowała ją Faina.

Przednia łapa zwierzęcia tkwiła w sidłach, umocowanych do drewnianego pała. Jego czarne niczym onyksy oczy wpatrywały się w nią uważnie, bez mrugania.

„Co chcesz z nią zrobić?”.

„Zabić” – odpowiedziała dziewczynka. Mabel nie potrafiła powiedzieć, czy jej twarz wyrażała rozbawienie, czy rozczarowanie.

Dziecko złapało kunę gołymi rękami i tak długo przyciskało chude ciało do pnia, aż stworzenie przestało wierzgać.

„Jak to zrobiłaś?”.

„Ścisnęłam jej serce, aż przestało bić”.

Nie takiej odpowiedzi spodziewała się Mabel, ale też nie wiedziała, jak inaczej o to zapytać.

Faina uwolniła martwe zwierzę z pułapki.

„Mogę?”.

Mabel zdjęła rękawiczkę i wzięła kunę do ręki. Była lekka i ciepła, jej futro wydawało się delikatniejsze od kobiecych włosów. Zbliżyła do niego nos i wciągnęła w płuca zapach przypominający woń małego kota. Przyjrzała się wąskim oczom i groźnym, ostrym zębom.

Faina odłożyła sidła na miejsce i włożyła zdobycz do swojego plecaka.

Później znalazły jeszcze królika i gronostaja, który zamarzył z otwartymi oczami, nie mogąc wydostać się z pułapki. Wszystkie zwierzęta trafiły do plecaka.

Ścieżka wiodła przez zamarzniete bagna, pomiędzy przechylnymi, na wpół obumarłymi czarnymi świerkami, a potem wspinała się po zboczu, docierając z powrotem do lasu, gdzie rosły srebrzyste świerki i poskręcane, sękate brzozy. Znalazły kolejne sidła, ale tkwiła w nich tylko łapa jakiegoś zwierzęcia. Brązowe futro, poszarpane mięso, ostra krawędź kości. Faina rozłożyła szczęki sideł i wyrzuciła oderwaną kończynę do lasu.

„Co to było?”.

„Łapa kuny”.

„A gdzie reszta?”.

„Pewnie rosomak ukradł”.

„Nie rozumiem”.

Faina wskazała jej ślady na śniegu. Były tak wyraźne, że Mabel nie potrafiła uwierzyć, że nie zauważyła ich wcześniej. Każda łapa pozostawiła w śniegu wgłębienie wielkości jej własnej dłoni. Trop rosomaka wił się kilkakrotnie wokół drzewa, a potem znikał w zaroślach.

„Pożarł ją, gdy tkwiła w pułapce” – wyjaśniła dziewczynka, na której nie zrobiło to najwyraźniej żadnego wrażenia. Ruszyła przed siebie równie szybko i bez wysiłku, jak do tej pory.

Mabel podążyła za nią w milczeniu, skupiając się na znajdowaniu śladów i wsłuchiwaniu się w rytm własnych oddechów oraz bijącego serca. Nagle uświadomiła sobie, że znów dotarli do rzeki i kierują się w stronę ich domu.

„Zaczekaj” – poprosiła. „Nie możemy jeszcze wracać. Wciąż nie pokazałaś mi, gdzie mieszkasz”.

„Tutaj. Pokazałam ci przecież”.

„Tutaj?” – Mabel nie chciała się sprzeczać. Może dziewczynka wstydziła się pokazać swoją chatę. Może miejsce, w którym jadła i spała, nie wydawało jej się warte oglądania.

Wiedziała też, że dziecko mówiło prawdę. Te zaśnieżone wzgórza, niebo, mroczne miejsca pod drzewami, gdzie rosomaki rzucały się na bezbronne

zwierzęta – to wszystko było dla tej dziewczynki domem.

„Możemy się tu na chwilę zatrzymać?” – poprosiła.

Od bardzo dawna nie odczuwała aż tak silnej potrzeby rysowania. Przysiadły na wzniesieniu, z którego rozciągał się widok na dolinę. Ignorując ból w przemarzniętych palcach, sięgnęła po notes oraz ołówek i zabrała się do szkicowania. Faina trzymała martwą kunę w rękach, więc mogła się teraz lepiej przyjrzeć wąsatemu pyszczkowi i skośnym oczom zwierzęcia. Błyskawicznie narysowała futro i pazury, wystające z brązowych łapek z poduszkami. Przewróciła stronę i naszkicowała pokryte śniegiem świerkowe gałęzie, zwisające nad ich głowami, oraz szczyt górujący nad rzeką. W dogasającym świetle dnia próbowała sobie przypomnieć ptaka przybitego do drzewa i ślady gronostaja na śniegu. Chciała zapamiętać to wszystko i myśleć o tym, jak o własnym domu. Jeśli przełoży ten świat na proste i kręte linie stawiane na papierze, być może uda jej się go w końcu zrozumieć.

\*

Nie mogła już dłużej twierdzić, że Faina niczego jej nie pokazała. Słońce zniknęło już za ich plecami, a dziecko wskazało jej drugą stronę doliny, gdzie górskie szczyty rozblęskły odbitym różowym blaskiem. Po zboczach sunęły lawiny śniegu, pędzone potwornym wiatrem. Tu, na wzniesieniu, powietrze wciąż było spokojne. Wszystkie kolory wydawały się niemożliwe, nietykalne i niezwykle odległe.

„To właśnie oznacza moje imię” – stwierdziła Faina, zataczając ręką ów malowniczy widok.

„Górę?”.

„Nie, ten rodzaj światła. Tato nadał mi imię na pamiątkę barwy śniegu o zachodzie słońca”.

„Łuna” – szepnęła Mabel. Czuła się tak onieśmielona, jakby trafiła do wnętrza gigantycznej katedry, tak potężnej i przytłaczającej, że odruchowo ścisza się głos do szeptu. Wpatrywała się w te niesamowite kolory, zastanawiając się jednocześnie, jak można było nazwać dziecko na cześć czegoś tak niesamowicie pięknego, a następnie je porzucić.

„Musimy już iść” – ponagliła ją Faina. „Za chwilę zrobi się ciemno”.

Dziewczynka odprowadziła Mabel do domu. Jack czekał na nią z ciepłą herbatą i chlebem upieczonym w piekarniku.

– I co? – zapytał. – Co ci dzisiaj pokazała?

## ROZDZIAŁ 33

**N**ajdroższa Mabel!

Twoje listy i szkice wzbudziły w naszym domu olbrzymie zainteresowanie. Kiedy tylko przychodzi coś nowego, organizujemy przyjęcia i zapraszamy najbliższych przyjaciół i krewnych.

Za Twoim pozwoleniem czytam Twoje listy zawsze na głos, a obrazki przechodzą z ręki do ręki, witane zachwyconymi okrzykami: „Wspaniale!”, „Przepiękne!”. Nieraz słyszałam, że Twój talent w odmalowywaniu pogranicza dorównuje dawnym włoskim mistrzom, którzy próbowali uchwycić ludzką anatomię. Wczorajszego wieczoru największym powodzeniem cieszyły się rysunki wyszczerzonych zębów sobola i jego pazurzystych łap, podobnie zresztą jak ilustracje z olchowymi szyszkami i trawą skutą mrozem. Twoje listy również pozwalają poznać tę dziką krainę, która stała się Waszym domem. Zawsze miałaś talent do opisywania własnych wrażeń, a zapewne nigdy wcześniej nie trafiłaś na tak zachwycające widoki. Marzymy jedynie, żebyś pisała do nas częściej.

Mam zamiar przechowywać Twoje listy i rysunki, uważam też, że pewnego dnia powinnaś opublikować je w książce. Jest w nich jakaś elegancja połączona z dzikością.

Twoje zainteresowanie baśnią o śnieżnej dziewczynce przypomniało mi o chwilach, gdy w dzieciństwie uganiałaś się w naszym ogrodzie za wrózkami. Z tego, co pamiętam, nieraz zdarzało Ci się przesympać całą noc wśród gałęzi dębu, a kiedy nasza matka znajdowała Cię o poranku, przysięgałaś, że widziałaś wróżki, kolorowe jak motyle i błyszczące nocą niczym robaczki świętojańskie. Przypominam sobie też z pewnym zawstydzeniem, jak wszyscy wtedy z Ciebie żartowaliśmy, ale teraz moje wnuczeta znalazły sobie podobną zabawę i staram się ich do niej nie zniechęcać. Z racji swojego wieku wiem, że życie jest o wiele piękniejsze i bardziej przerażające, niż byliśmy w stanie w to uwierzyć w dzieciństwie, a szukanie odrobiny magii pośród drzew na pewno nikomu nie zaszkodzi.

Twoja kochająca siostra,  
Ada

## ROZDZIAŁ 34

**E**sther wpadła do ich chaty roztrzepotana i rozgdakana niczym przyjazna kura i omal nie wywróciła Mabel, która pośpieszyła otworzyć jej drzwi. W jednej ręce trzymała garnek owinięty w ręcznik, a drugą objęła przyjaciółkę, całując ją przy tym w policzek.

– Naprawdę trzeba się sporo natrudzić, żeby zjeść z wami kolację – rzuciła na powitanie i postawiła naczynie na piecu. – George niesie deser. O ile go oczywiście nie zjadł po drodze.

Wydaje mi się, że kurczaka i pierożków powinno wystarczyć dla wszystkich. Albo rysia i pierogów, ale to jakoś gorzej brzmi. Może powinniśmy to nazywać „pierożki z kociną”? – Esther parsknęła śmiechem i przewiesiła płaszcz przez oparcie krzesła.

– Rys? Ugotowałaś mięso z rysia?

– No już nie rób takiej miny. Próbowалаś kiedyś? Moim zdaniem to najlepsze mięso, jakie kiedykolwiek jadłaś. Garrett złapał go żywcem w sidła, oprawił na miejscu i przyniósł świeże mięso do domu. Chyba jednak udało nam się go dobrze wychować.

– Przyjechał dziś z wami?

– Nie. Dzięki czemu nie powinno nam zabraknąć jedzenia. Ten chłopak potrafi zjeść pół wołu i jeszcze prosić o dokładkę. Ale następne parę dni będzie się bawił w Indian, sprawdzając swój nowy teren łowiecki.

– Bawił w Indian?

– No wiesz, bez namiotu, bez żadnych wygod. Ciągle w drodze, żadnego zbędnego bagażu.

– Och.

– Masz jakąś warzuchew, którą mogę to zamieszać?

Zanim zdążyła zareagować, Esther sama znalazła to, co było jej potrzebne. Mabel przyglądała się z rozbawieniem, jak sąsiadka po raz kolejny przejmuje kontrolę nad jej domem.

Chwilę później Esther już była obwiązana jednym z jej fartuchów, kosztowała mięsa z rysia, rozstawiała naczynia na stole i dorzucała drew do pieca, choć Mabel



zrobiła to zaledwie chwilę wcześniej.

– Musisz mi o wszystkim opowiedzieć, ale najpierw chciałabym spróbować tego. – Esther sięgnęła do tylnej kieszeni swoich męskich spodni i postawiła na stole niewielką buteleczkę. – Nalewka żurawinowa. Niebo w gębie. Znajdź szybko jakieś szkło, zanim wrócą nasi chłopcy.

Mabel nie zdążyła się nawet ruszyć z krzesła – Esther sama podeszła do szafki i przyniosła dwa słoiczki. Napełniła je do połowy ciemnoczerwonym płynem. Napój okazał się słodki, odrobinę cierpki, pozostawiał delikatny osad na języku i przyjemnie ogrzał przełyk Mabel.

– Doskonale – oceniła.

– Mówiłam ci. Masz tu jeszcze trochę. To ostatnia butelka i niech mnie szlag, jeśli George dostanie choć kropelkę. Ostatniej butelki nalewki z borówek nawet nie zdążyłam skosztować, tak szybko się z nią rozprawił.

Mabel upiła kolejny łyk, a potem jeszcze jeden, gdy przyjaciółka rozlała do słoiczków ostatnie krople trunku.

– I już. To nam powinno starczyć.

Dokładnie w tej samej sekundzie George i Jack stanęli w drzwiach i zaczęli otrzepywać buty ze śniegu.

– I co? – zapytała Esther. – Gdzie masz ciasto? Nie zostawiłeś go chyba na wozie?

George uśmiechnął się niepewnie, trzymając jedną rękę za plecami.

– Przepraszam, kochanie, ale naprawdę nie mogłem się powstrzymać. – Obliznął usta. – Ale mogę ci przysiąc, że było przepyszne.

– Mam nadzieję, że żartujesz, bo w przeciwnym wypadku... George wyszczerzył się w szerokim uśmiechu i wyjął ciasto zza pleców.

– Nie brakuje ani okruszka. Jack może poświadczyć.

Jack z teatralną przesadą skinął głową i spojrzał na żonę.

– Dobrze się czujesz?

– Tak. Czemu pytasz?

– Masz zaczerwienione policzki.

Mabel dostrzegła kątem oka, jak Esther przykłada kciuk do ust, naśladując gest picia z butelki.

– Próbowałam ją powstrzymać – wyjaśniła sąsiadka – ale sam wiesz, jak to z nią jest.

– Esther!

– Przecież tylko żartuję. Ale trzeba przyznać, że naleweczka ma niezłego kopa, prawda?

– Kopa? Chcesz powiedzieć, że w tym był alkohol?

– Czy w tym był alkohol? Chyba sobie żartujesz. Przecież bez alkoholu nalewka nie miałyby sensu.

Jack uśmiechnął się i pocałował Mabel w policzek.

– Masz tego więcej? – zapytał, spoglądając na Esther.

– Nie, osuszyliśmy wszystko.

Mabel próbowała uczestniczyć w posiłku i rozmowach toczących się przy stole, mimo że w domu zrobiło się strasznie ciepło, a rzeczywistość straciła ostre krawędzie. Przez chwilę miała wrażenie, jakby opuściła swoje ciało i uniosła się nad stołem, a widok czwórki przyjaciół zaśmiewających się nad wspólnym posiłkiem w niewielkiej chacie pośrodku dziczy sprawił jej przyjemność.

– I co? Nie najgorsza ta kocina, prawda? – spytał George.

– Ano nie. – Jack opadł na oparcie krzesła i poklepał się po brzuchu. – Muszę przyznać, że miałem pewne opory, ale to jest bardzo dobre. Dziękuję ci, Esther. I podziękujcie Garrettowi.

\*

Po uprzątnięciu i pozmywaniu naczyń, w czym na żądanie Esther pomagali również mężczyźni, Jack i George poszli do stodoły, żeby zająć się pługiem wymagającym naprawy przed kolejnym sezonem. Kiedy wyszli, Mabel stanęła w otwartych drzwiach i wciągnęła głęboko w płuca świeże, nocne powietrze. Esther krzątała się za jej plecami, zmywając naczynia.

– Och, daj spokój. Jutro to pozmywam.

– Cudowny pomysł. – Sąsiadka opadła ciężko na krzesło i oparła nogi na sąsiednim stołku.

– Szkoda, że nie mam już nalewki.

– Mnie już chyba i tak wystarczy – zaśmiała się Mabel. – Ale mogę zaparzyć dla nas herbaty.

– Doskonale. A potem sobie usiądź. Mamy sporo do nadrobienia i trochę się o ciebie martwię.

– Martwisz? A niby czym?

– Znowu słyszałam o tej twojej małej dziewczynce. Daj spokój, przestań tak zaciskać usta, jakbyś miała zamiar milczeć do końca życia. Musimy o tym pogadać. Dlaczego ten temat znowu wraca?

W ciszy, jaka zapadła po tym pytaniu, Mabel mogła usłyszeć tykanie zegara i trzaskanie płomieni w piecu. Esther czekała cierpliwie, podczas gdy ona wciąż nie odezwała się ani słowem, nie ruszyła się też z miejsca. W końcu jednak wstała, podeszła do półki i przyniosła książkę.

– Co to jest?

– Baśń. Ojciec czytywał mi ją w dzieciństwie. A właściwie opowiadał, bo książka jest po rosyjsku. – Otworzyła tom na jednej z pierwszych ilustracji.

– I?

– To opowieść o starym małżeństwie, które tak mocno pragnie dziecka, że w końcu tworzy je ze śniegu. I... ta dziewczynka, to śnieżne dziecko ożywa.

– Chyba nie za bardzo rozumiem.

– Moja siostra zawsze powtarzała, że jestem zbyt roztrzepana i ciągle wymyślam jakieś historie. Szalona wyobraźnia, tak to nazywała.

– I?

Mabel opowiedziała więc o zimie, podczas której ulepili dziewczynkę ze śniegu, o tym jak Faina przyszła do nich, ubrana w niebieskie rękawiczki oraz płaszczyk, wyglądając dokładnie jak to dziecko, które uformowali. Opisała, jak Jack dowiedział się, że ojciec Fainy osierocił ją zaledwie na kilka godzin przed tym, nim zabrali się do lepienia śniegowej dziewczynki, i jak pomógł pochować jego ciało. Wspomniała również o tym, że to właśnie tej nocy dziewczynka odwiedziła ich po raz pierwszy.

– Próbowaliśmy ją przekonać, aby z nami została, ale ona wciąż się nie zgadza. Twierdzi, że jej dom jest w tych lasach. Byłam tam z nią i muszę przyznać, że to prawda. To jej prawdziwy dom. Potrafi unosić się na zaspach i choć to niewiarygodne, widziałam, jak trzyma w dłoniach płatki śniegu, które nie topniały. Rozumiesz to? Ona się tej nocy odrodziła... Odrodziła się ze śniegu, smutku i miłości.

– Nie chciałam się z tobą sprzeczać, ale nikt jej oprócz ciebie nie widział. Przecież spędziliśmy tu z Garrettem wiele miesięcy i nigdzie w okolicy nie było ani śladu żadnego dziecka.

– Odeszła. Nie było jej przez całe lato. Dokładnie tak, jak ci mówiłam.

– A teraz?

– Wróciła. Razem z pierwszym śniegiem.

Esther przewracała kolejne strony, przyglądając się ilustracjom.

– Myślisz, że zwariowałam, prawda? Że to z powodu zimy spędzonej w tej ciasnej chacie.

Mówiłaś, że to gorączka, tak? „Śnieżna gorączka”?

Z ust Esther wydobyło się ciężkie westchnienie. Kobieta raz jeszcze otworzyła księgę na ilustracji przedstawiającej staruszków i nieprzekształconą jeszcze całkowicie dziewczynkę.

– Jesteś przekonana, że tak właśnie było? – zapytała.

– Nie – odpowiedziała Mabel. – Chociaż brzmi to fantastycznie, wiem, że to dziecko istnieje naprawdę i stało się dla nas prawdziwą córką. Ale nie mogę ci tego w żaden sposób udowodnić i rozumiem, że nie masz powodu, aby mi wierzyć.

Esther zamknęła książkę i oparła dłonie na okładce, patrząc prosto na Mabel.

– Muszę powiedzieć, że się co do ciebie pomyliłam.

– To znaczy?

– Z początku wydawało mi się, że jesteś zbyt miękka. Bałam się, że samotna zima namiesza ci w głowie. Miałam wrażenie, że jesteś stworzona do zupełnie innego życia, w innym miejscu.

Mabel poczuła wzbierający, pulsujący w piersi gniew.

– Przestań się oburzać – powstrzymała ją Esther. – Naprawdę długo nad tym myślałam, więc mnie teraz posłuchaj. Myliłam się. Miałam okazję cię lepiej poznać i doszłam do wniosku, że jesteś jedną z moich najlepszych przyjaciółek. I na pewno nie jesteś miękka. Być może z początku wydajesz się trzymać wszystkich na dystans, ale podejrzewam, że to z tego powodu, iż twoje serce zbyt łatwo poddaje się emocjom. I Bóg mi świadkiem, że na pewno za dużo myślisz.

Ale z pewnością nie jesteś jakąś obłąkaną, prostą kobietą. Skoro twierdzisz, że to dziecko naprawdę istnieje, to tak musi być.

– Dziękuję ci, Esther, ale wiem, że tylko próbujesz mnie pocieszać. Miło mi z tego powodu, bo jesteśmy przyjaciółkami, ale wiem, że w to nie wierzysz.

– A jak myślisz, jak często zdarza mi się zmienić zdanie tylko dlatego, żeby kogoś pocieszyć?

Mabel uśmiechnęła się delikatnie, obracając w dłoniach kubek z herbatą.

– I czemu się nie cieszysz? Powinnaś skakać z radości, bo chyba pierwszy raz w życiu przyznałam, że mogłam się pomylić. Ale nie wspominaj o tym przy George’u. Mógłby umrzeć ze zdziwienia.

– Tyle że znowu nadchodzi wiosna. Widziałaś chyba, że śnieg zaczął topnieć, a rzeka wezbrała?

– Tak. Ale co to ma...

– Ona nas znowu opuści. Jest dokładnie tak, jak w tej bajce. Faina zniknie u progu wiosny, a ja nie potrafię się z tym pogodzić. A co jeśli już nie wróci? Jeżeli stracimy ją na zawsze?

– Hmm... – Zamyślona Esther pociągnęła łyk herbaty, a potem odstawiła kubek i spojrzała na nią, starannie dobierając słowa: – Moja najdroższa Mabel, nigdy nie możemy być pewni tego, co nam się przydarzy. Życie zawsze miota nami na różne strony. Ale na tym właśnie polega przygoda: nie wiesz, jak to się skończy i dokąd zajedziesz. Ktokolwiek mówi, że życie jest czymś innym niż tajemnicą, okłamuje samego siebie. Powiedz mi tylko, kiedy czujesz, że naprawdę żyjesz?

## ROZDZIAŁ 35

Marcowe dni robiły się coraz dłuższe. Jack przyglądał się, jak słońce każdego dnia wznosi się coraz wyżej nad chmurami. Na okapach topniał ciężki mokry śnieg. Woda zaczęła przenikać lód skuwający rzekę. Pewnej nocy niebo zrobiło się idealnie bezchmurne, a w dolinie chwycił mróz, ciężki jak mgła. Jack przebudził się nad ranem. Okna pokrywał szron, a piec był wygaszony.

Rozpalił ponownie ogień i nakrył śpiącą Mabel dodatkowym kocem, a potem wybrał się do miasteczka. Była to najzimniejsza noc tej zimy, więc zanim zatrzymał się przed sklepem, był przekonany, że odmroził sobie nos. Pocierał go gorliwie, stojąc w ciepłym wnętrzu.

– Nic się nie martw – żartował George wygrzewający się przy żeliwnym piecu.  
– Mabel cię nie rzuci, nawet jak ci całkiem odpadnie.

Jack dołączył do niego i wyciągnął ręce nad ogniem, próbując odzyskać w nich czucie.

– Zapomniałem ci ostatnio powiedzieć, że Mabel nadal prawie każdego dnia nosi tę czapkę.

To był naprawdę hojny dar ze strony twojego chłopaka.

– A wiesz, że to był pierwszy srebrny lis, jakiego mu się w ogóle udało złapać? Szkoda, że nie widziałeś, jak mu na tym zależało. Całymi tygodniami wypytywał mnie, czy Betty już ją uszyła.

– Mabel zakłada ją teraz nawet do wygodki. Zwłaszcza przy tej pogodzie.

George wybuchnął śmiechem i poklepał się po pośladkach, jakby jego spodnie stanęły w ogniu.

– Esther chyba umrze ze śmiechu. Mabel siedząca w wygodce w tej eleganckiej czapce z lisiego futra.

– Błagam, nie mów jej ani słowa, bo to się dla mnie źle skończy.

George znów odpowiedział mu śmiechem.

– Tej zimy chłopak urobił się po pachy – całymi dniami jeździł wzdłuż rzeki i sprawdzał pułapki. Nie dość, że poluje na terenie starego Boyda, to jeszcze teraz ugania się za wilkami, które Esther widziała w naszej okolicy.

– Wilki?

– Jakieś stado dopadło kłepę nad rzeką. Esther była wstrząśnięta, a moją żonę naprawdę niewiele rzeczy rusza. Widziała tę całą jatkę. Samica próbowała walczyć, ale śnieg był zbyt głęboki, a wilki chwytaly ją za każdym razem, gdy chciała się wyrwać. Kiedy przysliśmy tam z Garrettem parę dni później, nie zostało z niej nic oprócz kości, obranych do czysta z mięsa i chrząstki. Na żebrach zostały ślady wilczych kłów. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Słyszeliśmy ich wycie parę razy. Trudno zapomnieć ten dźwięk.

– Zgadza się. Zdecydowanie.

Jack uznał, że lepiej będzie nie wspominać o wilkach przy Mabel. Już raz popełnił ten błąd, gdy George ostrzegł go przed krążącym w okolicy rysiemy. Jeden z sąsiadów Bensonów miał małe stado udomowionych kaczek. Pewnego wieczoru, gdy odprowadził je do kojca, ryś zakradł się do środka i porwał jedną z nich wprost sprzed jego nosa. Kot wracał jeszcze kilka razy i stopniowo pożerał całe stado, co zrujnowało gospodarza. Czasem jednej nocy zabijał kilka kaczek, żywił się nimi przez parę dni, po czym znów powracał i kontynuował rzeź. W końcu rzucił się na biednego właściciela, gdy ten o poranku przyszedł wypuścić ptaki z kojca. Sąsiad Bensonów omal nie umarł wtedy na zawał. George i Jack z trudem powstrzymywali się od śmiechu, próbując sobie wyobrazić szarżę przerośniętego kocura na wystraszonego farmera.

Mabel jednak w ogóle to nie bawiło. Przestała korzystać z wygodki po zachodzie słońca, twierdząc, że jakieś zwierzę może czaić się w ciemnościach. Jack próbował ją zapewnić, że nie ma się czego obawiać, ale i tak przez kilka nocy musiał wychodzić razem z nią i pilnować drzwi wychodka.

\*

Spakował zakupy i zbierał się właśnie do opuszczenia sklepu, gdy kątem oka dostrzegł łyżwy, błyszczące w świetle słońca na wystawie. Nie jeździł na łyżwach od czasu, gdy jako mały chłopak ślizgał się po niewielkim stawie. Poddając się szalonemu impulsowi, wrócił do domu z trzema parami.

Następnego dnia odwiedziła ich Faina i jak zwykle w trójkę przygotowywali kolację i siedzieli przy stole. Kiedy dziewczynka zaczęła ziewać, Jack zerwał się z krzesła i poprosił, aby założyły płaszcze, ponieważ muszą wyjść na zewnątrz.

„Słucham? Ale dokąd?” – zdziwiła się Mabel.

„Nad rzekę”.

Faina momentalnie się ożywiła i spojrzała na niego błyszczącymi oczami.

„Wszyscy idziemy?”.

Jack skinął głową.

„Przecież jest strasznie zimno” – oponowała Mabel. „I po co mamy tam właściwie iść?”.

„Ubieraj się. Nie ma czasu na pytania”.

Tak rzadko wydawał jej bezpośrednie polecenia, że poddała się z zaskoczenia. Nałożyli na siebie palta i buty, a Jack wymusił na Mabel ubranie spodni i kalesonów. Owinął jej szyję szalem.

„Gotowa. Zabierz ze sobą latarnię” – polecił, sięgając po worek leżący przy drzwiach.

„Co tam masz?” – zainteresowała się jego żona.

Spojrzał na nią z uśmiechem spod komicznie uniesionej brwi.

„I po co chcesz wychodzić w środku nocy?”.

Odpowiedziało jej kolejne uniesienie brwi.

„Nie ufam ci. Ani trochę”.

Na zewnątrz było mroźno i jasno, nad górami unosił się księżyc, który zbliżał się do pełni.

Jego blask odbijał się od świeżego śniegu, więc nie potrzebowali latarni, ale cieszyło ich padające z niej światło. Ruszyli ścieżką prowadzącą nad brzeg Wolverine.

„Tędy”. – Wskazał Jack, wiodąc je do niewielkiej rzecznej odnogi pod wierzbami. Łód, omieciony przez wiatr ze śniegu, lśnił w blasku księżyca idealną czernią. Jack znalazł powalony pień i wskazał im obu, żeby usiadły, a potem przykląkł u ich stóp.

„Na Boga, Jack, co ty wyprawiasz?”.

Zignorował jej pytanie i wyjął z worka pierwszą parę łyżew. Mabel zerwała się na równe nogi.

„O nie, nie” – zaprotestowała. „Chyba całkowicie postradałeś rozum! Nawet o tym nie myśl, nie założę tego. Natychmiast upadnę albo lód się załamie i utonę”.

Jack ze śmiechem złapał ją za obie stopy i pomimo niecichnącego protestu przypiął łyżwy do jej butów.

„Pośpiesz się, Faina” – ponaglił dziewczynkę. „Wiesz, do czego to służy?”.

Dziecko pokręciło głową, zacisnąwszy usteczka ze strachu i podniecenia.

„To łyżwy. Nakłada się je na nogi, żeby jeździć po lodzie”.



Pokazał jej, jak przymocować je do butów, a następnie pozapinał wszystkie paski. Kiedy skończył, odwrócił się do Mabel.

„Nie pozwolę, żeby coś ci się stało” – szepnął jej do ucha. „Wiesz o tym przecież, prawda?”.

Jej oczy rozbłysły w księżycowym świetle.

„Wiem” – przyznała i stanęła niepewnie na łyżwach.

„Rzeka wciąż jest zamrznięta na kamień po zimie” – uspokoił ją. „A ostatni podmuch wiatru idealnie wygładził i wypolerował lodową taflę. Nawet jeśli wpadniemy do wody, to przecież nie jesteśmy nad głównym korytem rzeki. Najwyżej trochę się zmoczymy i zmarzniemy, do dna jest tu pewnie nie więcej niż ćwierć metra. Obiecuję, że nic ci się nie stanie”.

Nalozyl własne łyżwy i poprowadził je na lód.

Mabel nie pozbyła się wątpliwości, momentalnie jednak wróciły do niej wspomnienia z dzieciństwa i już po chwili sunęła pewnie po lodzie. Dziewczynka zaś jakby straciła swoją odwagę.

Dziecko, które zabijało dzikie zwierzęta i spało samotnie na gołej ziemi pośrodku lasów, przywarło do ręki Jacka jak niemowlę.

„Nie bój się” – uspokoił ją. „Nawet jak upadniesz, to najwyżej posiniaczysz sobie pupę.

Nic ci nie będzie”.

„A niech to!” – krzyknęła Mabel, upadając w tej samej sekundzie na lód. Zanim Jack uwolnił się od Fainy i podjechał do niej, zdążyła już się podnieść i ponownie stała na łyżwach.

„Gdybym wiedziała wcześniej, to przywiązałabym sobie z tyłu poduszkę” – zaśmiała się, otrzepując płaszcz.

Jack jeździł szybko, a Faina dawała mu się po prostu ciągnąć. Mabel dołączyła do nich po chwili i ślizgali się w trójkę, trzymając za ręce. Nad rzeką unosiło się echo ich głosów i zgrzytanie łyżew sunących po lodzie. Wreszcie Mabel odjechała trochę dalej, zbliżywszy się ku rzece.

„Jak daleko mogę jechać?” – zawołała.

„Aż do zakrętu!” – odkrzyknął, patrząc, jak nabiera prędkości. Faina wciąż przywierała do jego ramienia.

„To bezpieczne?”.

„Tak, nic jej nie będzie”.

Dziewczynka w końcu poczuła się nieco pewniej, a Jack ustawił latarnię na samym środku lodowiska. Mabel wróciła znad rzeki i zaczęła zataczać zgrabne

okręgi wokół światła, podczas gdy Faina sunęła tuż za nią niczym źrebię stawiające pierwsze niepewne kroki. Jack zawrócił i jadąc od przeciwnej strony, złapał żonę za rękę.

„W młodości często jeździliśmy na łyżwach” – szepnął, gdy minęli Fainę. „Pamiętasz?”.

„Jak mogłabym o tym zapomnieć? Zawsze próbowałeś mnie wtedy pocałować, ale byłam od ciebie szybsza i nie miałaś szans”.

Zaśmiała się i puściła jego dłoń, po czym skierowała się ku rzece. Pognał za nią po czarnym lodzie, mijając ze świstem kryjące się w mroku drzewa. Nad jego głową migotały gwiazdy.

„Szybciej, szybciej!” – dopingowała Faina i chociaż nie był pewien, komu dziewczynka kibicuje, rozpędził się jeszcze bardziej, modląc się w duchu, aby nie trafić na jakąś szczelinę lub nierówność. Mabel wciąż pozostawała poza jego zasięgiem, w końcu jednak zwolniła, zawróciła i ruszyła mu naprzeciw. Trzymając się za rękę, wrócili do Fainy, czekającej na nich w niewielkim kręgu światła. Oboje w milczeniu złapali ją za rączki i pociągnęli za sobą w stronę rzeki, sunąc po zakrętach odnogi. Dziewczynka piszczała z zachwytu. Jack potrafił wyczuć jej dotyk nawet przez grubą podszewkę swojego płaszcza i miał wrażenie, że to właśnie tam bije jego serce. Lód wyglądał jak tafła mokrego szkła – ślizgali się po nim tak szybko, że ich twarze owiewał delikatny wietrzyk. Spojrzał na Mabel i zobaczył łzy na jej policzkach, wywołane zapewne podmuchem zimnego powietrza.

Zwolnili, dojeżdżając do zakrętu, gdzie odnoga łączyła się z głównym nurtem, i stanęli ramię w ramię. Jack i Mabel z trudem łapali powietrze. Światło księżycy wiszącego nad doliną odbijało się od lodu i białych wierzchołków gór.

„Jedźmy dalej” – szepnęła Faina i Jack poczuł, że również ma na to ogromną ochotę. Mogliby ruszyć pod prąd Wolverine, pokonać wąwóz i dojechać aż do gór, tam gdzie nigdy nie ma wiosny, a śnieg utrzymuje się przez cały rok.

## CZĘŚĆ TRZECIA

*A kiedy się tak w niego wpatrywała... miłość przeniknęła każdy skrawek jej istnienia. Wiedziała, że to właśnie przed tym uczuciem ostrzegał ją Duch Lasów. W jej oczach zalśniły łzy – i nagle zaczęła topnieć.*

*Śnieżynka*

## ROZDZIAŁ 36

Nie pojawiała się codziennie. Czasem Mabel skradała się w śniegu aż do strumienia na tyłach chaty, ale nie znajdowała tam niczego oprócz stróżki wody, płynącej pomiędzy śniegiem i lodem. Wydra pozostawała niewidoczna. Zdarzało jej się widywać ją tylko wtedy, gdy cierpliwie i w milczeniu czekała pod świerkowym pniem. Po jakimś czasie z wody wynurzała się niewielka brązowa główka albo mignął gdzieś ogon ciągnący się po zaśnieżonym pagórku.

Jednak tego listopadowego dnia zwierzę nie kazało jej na siebie długo czekać. Mabel najpierw usłyszała trzask pękającego lodu i cichy chlupot, a potem zobaczyła je na drugim brzegu niewielkiego strumienia. Spodziewała się, że wydra ukryje się natychmiast za pniem lub popędzi w dół strumienia, jak to dotychczas robiła, ale ona wciąż sterczała na tylnych łapach, odwrócona przodem do niej. Podpierała się ogonem i stała zupełnie nieruchomo, z przednimi łapkami przyciśniętymi do piersi. Mabel przez dłuższą chwilę patrzyła jej prosto w oczy, przypominające głębokie wiry, wreszcie zwierzak opadł na cztery łapy i czmychnął w górę strumienia.

„Żegnaj, staruszkule, może się jeszcze kiedyś spotkamy”.

Nie знаła oczywiście ani wieku, ani płci tej wydry, ale coś w jasnym futrze na brodzie i długich, grubych wąsach kojarzyło jej się z zarostem wiekowego mężczyzny. Z daleka zwierzę sprawiało dość komiczne wrażenie, kiedy jednak zbliżyło się do Mabel, mogła poczuć ciągnący od niego wilgotny chłód i woń rybiej krwi.

Nikomu nie wspominała o tych spotkaniach z wydrą. Garrett pewnie natychmiast zastawiłby pułapkę, a Faina zaczęłaby się dopraszać o narysowanie zwierzątka. Nie chciała o nim wspominać, ponieważ była na swój sposób przekonana, że w tym stworzeniu kryło się jej własne serce. Żywy, bijący mięsień pod najeżonym, wilgotnym futerkiem. Przebijający się przez cienki lód, taplający się w zimnej wodzie, ślizgający się po zaśnieżonych brzegach. Rozradowany, choć powinien już wiedzieć, że nie ma ku temu powodów.

To dotyczyło zresztą nie tylko wydry. Pewnego dnia udało jej się wypatrzyć szarobrazowego kojota, który przemykał przez pole z na wpół otwartym pyskiem,

jakby szczerzył się w uśmiechu. Przyglądała się stadom jemioluszek, przelatujących niczym wieczorne cienie pomiędzy drzewami, jakby jakaś niewidzialna siła dyrygowała ich lotem. Przy stodole zauważyła kiedyś białego gronostaja, który pędził przed siebie, trzymając w pysku upolowaną nornicę. Za każdym razem Mabel czuła, jak coś zaczyna szamotać się w jej piersi. Coś czystego i twardego.

Była zakochana. Mieszkała tutaj od ośmiu lat i wreszcie ta dzika kraina rozgościła się na dobre w jej sercu.

Zaczynała powoli rozumieć świat, w którym żyła Faina.

\*

Ostatnie sześć lat były znaczone przyływami i odpływami pór roku, które przynosiły i zabierały, sprowadzały dziewczynkę do ich domu i zmuszały ją, by odeszła. Faina znikła każdej wiosny w wysokich górach, pokrytych wiecznym śniegiem i śladami migrujących karibu.

Mabel już nie płakała, choć wiedziała, że będzie za nią tęsknić.

W języku tutejszych osadników ten okres, gdy pękały lody, a pola zamieniały się w błoto, zwany był „czasem rozpadu”, lecz dla Mabel było w nim coś łagodnego i czulego. Żegnała się z dziewczynką, gdy na brzegu rzeki zaczynały rozkwitać białofioletowe bagienne fiołki, a kłępy popychały delikatnie pyskami swoje nowo narodzone źrebięta ku promieniom słońca, które wyganiały zimę z doliny.

Dni stawały się coraz dłuższe, ziemia rozgrzewała się i miękła, a ich gospodarstwo rozkwitało.

Za stodołą, pośród topól Jack z Garrettem ustawili stół piknikowy, na którym przez większość lata stał słój wypełniony dzikimi kwiatami. Większość niedziel spędzali w towarzystwie Bensonów, czasem u nich, czasem w swojej chacie. Kiedy dopisywała pogoda, a insekty nie dawały się zbyt widać, przebywali na dworze: Jack i George rozpalali ognisko i zabierali się do opiekania mięsa niedźwiedzia, którego Garrett upolował na wiosnę, Esther przynosiła ziemniaki i sałatkę ziemniaczaną, a Mabel piekła ciasto rabarbarowe i nakrywała stół śnieżnobiałym obrusem. Później obie kobiety wybierały się na spacer do lasu, zbierając po drodze dzwoneczki i inne kwiaty. Za ich plecami było słychać śmiechy obu mężczyzn oraz skwierczenie tłuszczu skapującego w płomienie. Gdy

Mabel wracała do chaty po sztuce i naczynia, Jack zakradał się czasem za nią i unosząc jej włosy, całował znienacka w kark.

– Jeszcze nigdy nie wyglądałaś tak ślicznie – powtarzał.

W czasie długiej i wyczerpującej pracy przy zbiorach plonów zdarzały się dni, które dla Mabel były wymarzone – pracowali razem, ręka w rękę, wrzucając ziemniaki do worków czy zbierając kapustę. I nawet pot spływający do oczu i ziemia zgrzytająca między zębami nie przeszkadzały jej w cieszeniu się tymi chwilami. Wieczorami masowali sobie wzajemnie obolałe mięśnie i żartowali na temat strzykania w kościach, ona z reguły nieco częściej niż Jack, chociaż wiedziała, że to on jest bardziej obolały.

Wreszcie dni zaczynały się skracać i pojawiały się pierwsze przymrozki, a oni modlili się cicho o śnieg. Mabel próbowała zgadywać, jak Faina wyrosła od zeszłej zimy, i szła dla niej getry, ocieplacz lub nowy płaszczyk, zawsze z błękitnej wełny, obsyty białym futerkiem i ozdobiony haftowanymi śnieżynkami.

Dziewczynka za każdym razem wydawała się wyższa i jeszcze piękniejsza, niż ją zapamiętali, zwykle przynosiła też dla nich jakieś prezenty z gór. Pewnego roku był to worek suszonych ryb. Kiedy indziej wyprawiona skóra karibiu, pachnąca leśnymi ziołami. Faina całowała ich i przytulała na powitanie, mówiąc, jak bardzo za nimi tęskniła, a potem znów znikwała w zaśnieżonej głuszy, którą nazywała swoim domem.

Mabel przestała wołać za nią w lesie i nie próbowała już przekonywać, by została z nimi na wiosnę. Zamiast tego spędzała wieczory przy stole i oświetlona blaskiem świecy próbowała naszkicować jej twarz – chochlikowatą buzię, mądre spojrzenie. Wszystkie obrazki chowała do oprawionej w niebieski safian baśni, opisującej historię śnieżnej dziewczynki.

Faina wracała każdej zimy, ale nikt oprócz nich jej nigdy nie widział.

Mabel już to nie przeszkadzało, chroniła jej tajemnicę, tak jak ochraniała wydrę znad rzeki.

## ROZDZIAŁ 37

Garrett patrzył na lisa przez szczerbinę strzelby. Zwierzę wciąż znajdowało się w odległości kilkuset metrów, zmierzało jednak wzdłuż rzeki pewnym krokiem, kierując się w jego stronę.

Za jakąś chwilę znajdzie się we właściwej odległości. Chłopak przycupnął na powalonym pniu topoli, oparł łokieć o kolano i wzmocnił uchwyt na strzelbie. Jego palec oparł się o spust.

Wiedział oczywiście, że to może być ten sam lis. Jack przez te wszystkie lata wciąż zabraniał mu polować na rudowłose stworzenie buszujące na ich polach i nad rzeką w okolicach ich domu. Twierdził, że należało ono do samotnej dziewczynki mieszkającej i polującej w górach, zdolnej przeżyć tam zimy zabijające dorosłych mężczyzn. Dziewczynki, której nikt nigdy nie widział.

Garrett delikatnie uniósł lufę strzelby i wyrównał oddech, wciąż nie spuszczać lisa z oczu. Nadal nie był pewien – w przytłumionym listopadowym świetle równie dobrze mógł to być jakiś mieszaniec, krzyżówka rudego lisa ze srebrnym. Drapieżnik uniósł pysk i zaczął węszyć, jakby dotarła do niego jakaś woń znad rzeki, chwilę później jednak ruszył dalej. W dolinie dogasały ostatnie złociste promienie światła, a słońce jeszcze bardziej obniżyło się nad horyzontem.

Czekał, aż lis się zbliży. Gdy zwierzę znalazło się w odległości jakichś stu pięćdziesięciu metrów, Garrett wyprostował się w swojej kryjówce, przyłożył kolbę do policzka i wycelował w jego kręgosłup. W tej samej sekundzie jednak lis zawrócił – odwrócił się do niego ogonem i ruszył w stronę pobliskich topól. Poruszał się błyskawicznie. Garrett opuścił broń. Wahał się odrobinę zbyt długo. Za chwilę zapadnie zmrok, a zwierzę zniknie pomiędzy drzewami.

Nagle zobaczył, że lis przysiadł na skraju lasu i wbił w niego czujne spojrzenie. Momentalnie sięgnął po strzelbę i pociągnął za spust.

Wystarczyła jedna kula. Siła uderzenia przewróciła zwierzaka na ziemię. Garrett pozbył się pustej łuski i wyszedł ze swojej kryjówki. Trzymając strzelbę w ręku, zbliżył się do martwego drapieżnika.

W ciągu tych wszystkich lat zwierzę wychudło, a futro na jego pysku i kryza stały się prawie całkowicie siwe, dlatego też w słabym świetle można było je

pomylić ze srebrnym lisem. Ale z bliska nie ulegało żadnej wątpliwości, że miał przed sobą tego samego lisa, o którym mówił Jack. Przez cały ten czas był posłuszny jego prośbie. Zwierzę biegło swobodnie po polach, a Jack mu na to pozwalał. Każda taka sytuacja tylko powiększała irytację Garretta. Nic nie wskazywało, aby ten lis różnił się czymkolwiek od innych dzikich drapieżców.

Teraz jednak żałował, że go zabił. Powinien zabrać lisa i pokazać go Jackowi i Mabel.

Przyznać się i przeprosić. Wiedział, że Jack będzie dla niego surowy, a Mabel przestanie się odzywać.

Wyglądzi tylko fartuch i pokręci delikatnie głową.

Musiał się jakoś pozbyć tego lisa. Mógł go oskórować i sprzedać jego futro, ale było ono właściwie bezwartościowe. Mama zaczęłaby się dopytywać, skąd je wziął, tata chciałby je zobaczyć.

Musiałby ich okłamywać, a to zawsze najlepszy sposób na skomplikowanie całej sytuacji.

Przewiesił strzelbę przez ramię, zgarnął truchło z ziemi i wszedł pomiędzy drzewa. Zaskakująco wychudłe i kościste martwe stworzenie skojarzyło mu się ze starym kocurem spędzającym większość życia w stodole. Wynurzył się z topolowego zagajnika i położył lisa na śniegu pod jednym z gęsto rosnących w tym miejscu świerków. Nakrył ciało kilkoma wieczn zielonymi gałązkami. Miał nadzieję, że wkrótce znów zacznie padać śnieg.

Udając się o zmierzchu w drogę powrotną do domu, nie czuł się już jak dziewiętnastoletni, dorosły mężczyzna, tylko jak zawstydzony dzieciak.

\*

– Garrett. Jak miło, że wpadłeś. – Jack otworzył drzwi i uścisnął mu dłoń. – Mieliśmy nadzieję, że uda ci się nas dziś odwiedzić.

Mabel przywitała go uśmiechem zza stołu.

– Mama wspominała, że chcieliście, bym do was zajrzał.

– Tak, chyba nadeszła już pora.

– Na co? – Garrett poczuł jak coś nagle skręca mu żołądek.

– Usiądź. – Jack podsunął mu krzesło.

– Dobrze. – Usiadł i zaczął wodzić wzrokiem od Mabel do jej męża i z powrotem.



– Chodzi o to – zaczął Jack – że chcielibyśmy porozmawiać z tobą o naszym gospodarstwie... – A może jednak zjemy wcześniej kolację? – zaproponowała Mabel.

– Nie. Najpierw interesy. Zastanawiamy się już nad tym od długiego czasu. – Jack ponownie spojrzął na Garretta. – Wiesz oczywiście, że nie dalibyśmy sobie tutaj bez ciebie rady?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Jestem tylko waszym pracownikiem. Każdy mógłby to robić.

– I tu się mylisz. Przez te wszystkie lata płaciliśmy ci o wiele mniej, niż warta była twoja praca.

– I nigdy nie byłeś dla nas jedynie pracownikiem. Znaczysz w naszym życiu o wiele więcej – dodała Mabel. – Z kim mogłabym rozmawiać o Dickensie czy Marku Twainie, gdyby nie ty?

Garrett odetchnął i nieco się odprężył.

– Wiesz, co to jest? – Jack wskazał na papiery leżące na stole.

– Nie. Raczej nie.

– Dzięki tym dokumentom zostaniesz oficjalnym współwłaścicielem tego gospodarstwa.

A po naszej śmierci wszystko będzie należało do ciebie. Przestań potrząsać głową, tylko posłuchaj.

Wiesz, że nie mamy własnych dzieci, którym moglibyśmy zostawić ten dom. I prawda jest taka, że bez ciebie by go nie było.

– Nie wiem...

– Mam świadomość, że nigdy nie czułeś powołania do pracy na roli – kontynuował Jack – ale widzę również, że jesteś dumny z tego, co pomogłeś nam osiągnąć. I być może uda ci się połączyć prowadzenie gospodarstwa z zimowymi polowaniami i wyprawami do lasu.

– Zresztą – wtrąciła Mabel – po naszej śmierci możesz to w każdej chwili sprzedać.

– Nie ośmieliłbym się... nie wiem...

– Przemyśl to, jeśli chcesz – zaproponował Jack. – W końcu wcale się jeszcze nie śpieszymy do grobu, prawda kochanie?

– Nie, na pewno nie w najbliższym czasie. Chciałabym tylko, żebyś zrozumiał, Garrett, jak wiele dla nas znaczysz, niezależnie od tego, jaką podejmiesz decyzję. Jesteśmy dumni z tego, że wyrosłeś na mężczyznę, który... – Daj spokój Mabel, zawstydzasz go.

– Daj mi skończyć, proszę. Jack mówi prawdę. Nie byłoby ani nas, ani tego gospodarstwa bez twojej ciężkiej pracy. Nie mamy zbyt wiele, ale chcemy ci zaoferować wszystko, co posiadamy.

– Jesteście pewni? Na pewno nie chcecie, aby przejął to ktoś inny, ktoś z waszej rodziny?

– Garrett przesunął dokumenty w stronę Jacka.

– Nie, jesteś dla nas najbliższą osobą.

– Nie spodziewałem się czegoś takiego...

– Wiemy. Ale uznaliśmy, że tak będzie właściwie. – Musiałbym to pewnie obgadać z rodzicami. Ale zgaduję, że już podjęliście decyzję.

– Niczego nie byliśmy w życiu bardziej pewni – potwierdził Jack i uściśnął jego dłoń, pieczętując umowę.

## ROZDZIAŁ 38

**C**hociaż była dopiero połowa listopada, dolinę zaścielała gruba warstwa śniegu. Garrett, wciąż rozglądając się za śladami, trafiał na tropy wilków, kun, norek, kojotów i lisów, ale to odciski łap rosomaka pobudziły jego serce do szybszego bicia. Miał spore doświadczenie jako traper, ale przez te wszystkie zimy to jedno zwierzę zawsze przed nim umykało. Nie potrafił tego opisać słowami, ale tęsknił za jego śmiałością, zajadłością i upodobaniem samotności. Aby dostać się na terytorium rosomaka, musiał zapuścić się o wiele głębiej w góry, niż się dotychczas odważył.

Wspinając się po zboczu prowadzącym znad rzeki aż do podnóża gór, żałował, że nie zabrał ze sobą rakiet śnieżnych. Ograniczał swój bagaż do rzeczy niezbędnych, aby przetrwać jedną noc, jeśli okaże się to konieczne, i wiedział, że przy tej pogodzie na pewno zmarznie i przemoknie.

Późnym rankiem znów rozpadał się śnieg, co zmusiło go do zastanowienia się nad powrotem do domu. Wciąż jednak chciał wiedzieć, co kryje się za następnym grzbieciem. Może znajdzie tam wąską górską dolinę poznaczoną śladami rosomaka? Kiedy po pokonaniu porośniętego świerkami podnóża góry zobaczył rozciągające się za nim, pokryte śniegiem moczary, uznał, że pora wracać do domu. W takiej okolicy na pewno nie znajdzie rosomaka, a padający śnieg i tak błyskawicznie przykryje ślady.

Nagle zatrzymał go dźwięk przypominający świst wiatru w kominie. Odwrócił się na pięcie i wtedy dostrzegł jakieś poruszenie na drugim krańcu moczarów. Kucnął za powalonym pniem brzozy i próbował cokolwiek zobaczyć przez zasłonę padającego śniegu.

Z początku miał wrażenie, że patrzy na kolejną zaspę, nieco większą i dziwnie uformowaną, nagle jednak w powietrzu gwałtownie zatrzepotały olbrzymie skrzydła, szersze niż jego ramiona. Raz jeszcze usłyszał ten dziwny dźwięk dochodzący z tamtej strony. Ruszył powoli na czworakach, zapadając się po pierś w śniegu i kryjąc za niewielkimi trawiastymi wzgórkami.

Kiedy ponownie spojrzął na znajdującą się przed nim białą istotę, zobaczył coś zupełnie innego.

Jasne włosy, ludzka twarz. Zamrugał oczami, oślepiiony przez gęsto padający śnieg, ale twarz wciąż nie znikwała, podobnie jak skrzydła i ten okropny, przeciągły pisk. Poczł krople potu ściekające mu wzdłuż kręgosłupa, ale nie przestawał się podkradać coraz bliżej, aż w końcu stworzenie po raz kolejny zatrzepotało skrzydłami, a twarz owionął mu podmuch zimnego powietrza.

Biały łabędź z zakrzywioną długą szyją odwrócił się w stronę Garretta i patrzył na niego uważnie lśniącem czarnym okiem. Nagle opuścił głowę, nastroszył skrzydła i zaczął syczeć.

Chłopak ponownie dostrzegł twarz pomiędzy skrzydłami. Obok łabędzia kucła na śniegu jakaś dziewczyna. Przez chwilę bał się, że go dostrzegła, ona jednak tylko wstała i spojrzała na białego ptaka. Jej błękitny płaszcz zdobiły wyhaftowane płatki śniegu, a na głowie miała czapkę z kuniego futra.

To była ona – ta, o której przez tyle lat ciągle szeptali. Dziecko widywane jedynie przez Jacka i Mabel. Dziewczynka, która oswoiła dzikiego lisa. Przez tyle zim nie natknął się na żaden jej ślad, a teraz stała na wyciągnięcie ręki. I wcale nie była małą dziewczynką z jego wyobrażeń.

Wysoka i szczupła mogła być ledwie parę lat młodsza od niego.

Łabędź wyciągnął szyję w stronę dziewczyny, wznosząc głowę ponad jej ramieniem i otaczając ją wciąż trzepocącymi ostrzegawczo skrzydłami. Dopiero teraz Garrett mógł dostrzec metalowe sidła, w których tkwiła łapa ptaka. Dziewczyna zapewne liczyła na złapanie jakiegoś zająca o kruchych kościach lub tłustej pardwy, a trafiło jej się przepiękne, gigantyczne ptaszysko, masa mięśni i ścięgien prężących się pod białymi piórami, głęboko osadzone czarne oczy i równie czarny dziób. Zastanawiał się, czy będzie próbowała go uwolnić. Mogłaby podejść jakoś od tyłu i odblokować sidła, ale łabędź raczej nie dopuści jej na taką odległość.

A może jednak go zabije? Nie wiedział czemu, ale ta myśl przyprawiała go o mdłości.

Czyżby dlatego że dziewczyna była taka wiotka, delikatna i miała drobne dłonie? Czy też z tego powodu, że łabędź o anielskich skrzydłach musiał tu przylecieć z jakiejś baśni, przynosząc ją na swoim grzbiecie? Garrett miał jednak świadomość, że mięsa z tego ptaka wystarczyłoby dziewczynie na wiele tygodni.

Nagle zaczęła rozpinać płaszcz. Garrett wpatrywał się w nią jak urzeczony, choć wiedział, że powinien odwrócić wzrok. Odwiesiła go na krzaki za swoimi plecami, po czym pozbyła się również futrzanej czapki. Została w długiej,

kwiecistej sukience z bawełny oraz w czymś, co przypominało kalessony. Pochyliła się i wydobyla nóż z pochwy umocowanej na nodze.

Łabędź wyciągał szyję w stronę topoli, do której umocowano sidła. Dziewczyna złapała za nóż i podeszła powoli do ptaka, omijając niewielki pagórek i próbując zająć łabędzia od tyłu.

On jednak wciąż nie spuszczał z niej wzroku, kręcił szyją na wszystkie strony i skakał tak, by zawsze mieć ją przed sobą. Frontalny atak zupełnie nie wchodził w grę. Potężny dziób przebiłby jej skórę i połamał kości. Ptaszysko znowu zasyczało i zatrzepotało skrzydłami, gotowe do walki.

Garrett przywarł do ziemi, nie chcąc, by go zauważono.

Dziewczęca postać była coraz bliżej, a olbrzymie skrzydła wzbijały wokół niej tumany śniegu. Ptak skrzeczał coraz gwałtowniej, wydając z siebie przeraźliwe dźwięki, podczas gdy ona zdołała go wreszcie okrążyć i wskoczyć na niego od tyłu. Łabędź skaczący na jednej nodze nie był w stanie utrzymać jej ciężaru i upadł na ziemię, ale jego potężne skrzydła nie przestawały się poruszać. Dziewczyna próbowała złapać go za szyję, odwracając jednocześnie głowę. Udało jej się w końcu objąć ptaka jednym ramieniem i znaleźć się poza zasięgiem dzioba. Przez chwilę oboje tkwili nieruchomo, wyczerpani walką, a Garrett słyszał ciężki oddech dziewczyny.

Nagle ptak zdołał uwolnić szyję i momentalnie rzucił się w stronę jej twarzy. Dziób musnął jej policzek, dziewczyna wepchnęła jednak ptasi łeb w mokry śnieg i przycisnęła łabędzia do ziemi swoim ciężarem. Garrett potrafił sobie wyobrazić ciepło bijące od ptaka i wciąż słyszał jego skrzekliwe posykiwanie oraz dziwny warkot wibrujący gdzieś wewnątrz tego dziwnego, zaokrąglonego ciała. Łabędź walczył jeszcze przez chwilę, a kiedy zupełnie opadł z sił, dziewczyna wsunęła ostrze noża pod jego szyję i pociągnęła nim gwałtownie do góry. Krew trysnęła na śnieg.

Zwycięzcy tego pojedynku wciąż się nie ruszała. Nogi Garretta całkowicie zeszywniały z zimna, nadal był jednak tak zafascynowany tym widowiskiem, że nie mógł się poruszyć.

Przez następną godzinę obserwował cały proces patroszenia ptaka, obcinania mu głowy i czarnych pletwiastych łap. Z wypatroszonego ciała i stosu wnętrzności, rzuconych na śnieg, unosiły się kłęby pary. Dziewczyna odłożyła na bok wątrobę, serce o rozmiarach śliwki oraz poskręcaną szyję. Delikatnie oskórowała ptaka, zdejmując z niego pojedynczą, zakrwawioną płachtę z białymi piórami. Nie wyrzuciła jej, choć tego właśnie spodziewał się Garrett, tylko

rozciągnęła skórę na śniegu i ostrożnie zwinęła, piórami do środka, a następnie spakowała ją do worka. Potem odciągnęła wypatroszone zwłoki od miejsca śmierci łabędzia, pozostawiając wnętrzności dla kruków, srok i innych padlinożerców. Garrett przyglądał się, jak dziewczyna wdrapuje się na niewysokie drzewo i przywiązuje do jego czubka upolowanego ptaka i worek z piórami.

Była odwrócona do niego tyłem, więc skorzystał z okazji i wycofał się jak najszybciej, wracając po własnych śladach. Ukrył się za świerkowym pniem i patrzył, jak dziewczyna klęczy na mokradłach i czyści śniegiem ostrze noża oraz zakrwawione dłonie. Chwilę później nałożyła na siebie płaszcz i czapkę. Chłopak odwrócił się na pięcie i pomknął w dół wzgórza.

Śnieg przestał padać, a niebo zaczęło się przejaśniać. Wieczorne światło zwiastowało nadciągającą zimę. Przebiegając przez opary mgły unoszące się nad rzeką, Garrett miał wrażenie, że błądzi w chmurach. Nad jego głową zaskrzeczał klucz przelatujących gęsi zegnających się z fioletowym niebem i po raz pierwszy w życiu poczuł strach, słysząc ten dźwięk.

## ROZDZIAŁ 39

Mabel i Faina wycinały właśnie papierowe gwiazdki, by ozdobić nimi niewielki świerk stojący w kącie chaty, gdy w drzwiach pojawili się Bensonowie, którzy wpadli z niezapowiedzianą wizytą, przynosząc świąteczne prezenty. Kiedy Esther weszła bez pukania do środka, dziewczyna momentalnie zerwała się z miejsca i ukryła w kącie, skąd wpatrywała się w nią przestraszonym spojrzeniem, gotowa w każdej chwili uciec. Mabel bała się, że Faina wyskoczy przez okno, więc podeszła do niej i delikatnie złapała ją za nadgarstek, mając nadzieję, że ten dotyk uspokoi dziewczynę.

Esther stanęła jak wryta i rozdziawiła usta. Gdyby nie przerażenie Fainy, Mabel musiałaby to uznać za całkiem zabawne. Wyprostowała się, nie puszczając dziewczynki, i wzięła głęboki oddech.

„Pozwólcie, że was sobie przedstawię. Esther, to jest Faina. Faino – to moja najdroższa przyjaciółka Esther”.

Dokładnie w tej samej sekundzie do chaty wpakowała się hałaśliwie dwójka pozostałych Bensonów, czyli George i Garrett. Esther uciszyła ich machnięciem ręki, jakby bała się, że spłoszą to niezwykle leśne stworzenie.

„To ta dziewczyna, George” – szepnęła, nie odrywając oczu od Fainy. „Stoi tu teraz, tuż przede mną”.

Jej mąż parsknął głośnym śmiechem, ale znajdujący się za nim Garrett momentalnie zamilkł.

Kiedy jego ciemne, szeroko otwarte oczy napotkały spojrzenie Mabel, natychmiast schował się za plecami George’a.

Mabel delikatnie szturchnęła dziewczynkę.

„Dzień dobry” – szepnęła nieśmiało Faina.

„Na Boga” – westchnęła Esther. „Ona faktycznie istnieje. To prawdziwa dziewczyna”.

Atmosfera panująca w chacie przez kolejnych kilka godzin była raczej niezręczna. Esther ze wszystkich sił starała się tak rozdzielić podarki, jakby od początku brała pod uwagę obecność Fainy.

„O, proszę, to dla ciebie” – stwierdziła, podając dziewczynie zapakowaną w papier paczuszkę.

Faina milczała i z początku nie chciała przyjąć prezentu. Jack i Mabel od razu rzucili się z pomocą, ale natychmiast się powstrzymali. Dziewczyna wzięła w końcu paczuszkę i z ponurym wyrazem twarzy położyła ją sobie na kolanach.

„No widzisz” – ucieszyła się Esther. „Nie zajrzysz do środka?”.

Płonące karmazynowym rumieńcem policzki i wyraźnie widoczny w oczach dziewczynki strach przemieszany z dezorientacją sprawiły, że Mabel chciała otworzyć drzwi na całą szerokość i pozwolić jej uciec.

„Pomóc ci, Faino?”.

W chacie zrobiło się strasznie gorąco. Nikt nie odzywał się ani słowem, wszyscy patrzyli na dziewczynkę. Wreszcie Faina powoli rozpakowała swój prezent. Widząc chusteczkę zdobioną wyszywanymi kwiatkami, uśmiechnęła się uprzejmie, jakby miała świadomość, do czego to służy.

Mabel poczuła, że za chwilę zemdleje z nagłej ulgi.

„Dziękuję” – powiedziała Faina, a w oczach Esther zalśniły łzy.

Kiedy obie rodziny zgromadziły się przy kolacji, dziewczyna wciąż milczała, ale zachowywała się nienagannie. Uśmiechała się od czasu do czasu i podawała naczynia, gdy ją o to proszono.

Garrett natomiast nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa i unikał patrzenia komukolwiek w oczy, a zwłaszcza dziewczynie. Zachowywał się tak, jakby sama jej obecność była dla niego zniewagą, a Mabel nie miała pojęcia, co mogło być tego powodem.

\*

– A wiecie, że chłopak w tym roku złapał kilka rysi? – rzucił George, przeżuwając kawałek owocowego ciasta. – Mamy istną plagę zajęcy, więc nic dziwnego, że w dolinie roi się od dzikich kotów.

– Naprawdę? – zdziwił się uprzejmie Jack.

Mabel rzuciła okiem na Garretta, który wyglądał w tej chwili dokładnie tak, jak wtedy, gdy po raz pierwszy zatrudnili go do pracy – był nadąsany i wyraźnie



czymś wzburzony.

– I co? – George spojrział na syna. – Nie słyszałeś pytania? – Przerzucił ramię przez oparcie jego krzesła. Garrett wymamrotał coś niewyraźnie i wbił spojrzenie w talerz.

– Aha – wymamrotał pojednawczo Jack, choć Mabel była pewna, że również nie usłyszał odpowiedzi.

– Co jest z tobą? – zniescierpliwiał się George. – Mówże. Nie masz się przecież czego wstydzić. Naprawdę ci się powiodło w tym roku.

– Tak, coś tam chyba złapałem. – Garrett znów opuścił głowę i zaczął grzebać w swoim deserze.

Czy ten chłopak omiatający wszystkich dookoła ponurym spojrzeniem na pewno był ich przybrany synem? Tym samym, który nie tak dawno ścisnął nad tym stołem dłoń Jacka, mówiąc mu, jak wielkim zaszczytem jest dla niego możliwość dzielenia z nimi tego gospodarstwa i odziedziczenia go, gdy nadejdzie na to pora?

Przez resztę wieczoru Garrett nie odezwał się ani słowem.

George i Esther wrócili do opowiadania swoich historii. Mabel posprzątała po kolacji, kręcąc się za plecami Fainy. Dziewczyna kulila się na krześle, a z jej nosa skapywały krople potu.

Mabel powachlowała ją chusteczką i otarła wilgotne policzki.

„Gorąco” – szepnęła do siebie. „Za gorąco”.

Gdy Bensonowie zaczęli się wreszcie żegnać, z ulgą odprowadziła ich wszystkich do drzwi. Sąsiedzi wgramolili się na swój wóz, a Faina zniknęła w zaśnieżonym lesie.

## ROZDZIAŁ 40

Garrett zaklął, wpatrując się w ślady, i ponaglił konia do szybszej wspinaczki po stromym zboczu. Pochylał się pod nisko zwisającymi gałęziami, nie chroniło go to jednak przed spadającym śniegiem. Zatrzymał się na szczycie wzniesienia, otrzepał się i pochylił nad ziemią. Odciski były stare, pokryte kilkucentymetrową warstwą świeżego śniegu, ale nie ulegało wątpliwości, że należały do dziewczyny. Poczul pod sobą drżenie zniecierpliwionego konia, więc ruszył dalej, nie spuszczać wzroku z tropu wijącego się pomiędzy świerkami.

Miał już dość tej dziewczyny. Słuchał o niej od sześciu lat, Jack wciąż powtarzał, że Faina to, Faina tamto. Anioł z serca lasu. Nigdy jednak jej nie spotkał, nie znalazł nawet najmniejszej oznaki jej istnienia. Co roku wypatrywał w śniegu jej śladów, na wpół przekonany, że Mabel i Jack poddali się szaleństwu. Czasem wydawało mu się, że widzi jakieś poruszenie w krzakach, ale za każdym razem odkrywał, że to tylko ptak.

Dlaczego więc ta zima była inna? Dlaczego w całym lesie roiło się od pozostawionych przez nią śladów?

Dlaczego nie potrafił przestać o niej myśleć?

\*

Każda wzmianka o Fainie wpędzała go w poczucie winy. Zabił jej lisa i nikomu o tym nie wspomniał. Szpiegował ją. Jego myśli wciąż wracały do dziewczyny zmagającej się z łabędziem.

Uczucia, jakie wzbudzało w nim to wspomnienie, były niepokojące, ale nie potrafił się ich pozbyć.

Idąc jej śladem, wmawiał sobie, że robi to, czego zawsze pragnął – zapuszcza się w góry, by ścigać rosomaka. Co zresztą było prawdą. Zwierzę grasowało w wysokich partiach gór, w pobliżu lodowca. Nigdy go nie dopadnie tam, gdzie polował na kojoty, lisy, bobry i norki.

Trop doprowadził go w końcu do wąskiej rozpadliny, pełnej zaśnieżonych kamieni. Koń potykał się na nierównym podłożu, więc Garrett zeskoczył z siodła i

poprowadził go za uzdę.

Chociaż wałach miał już swoje lata, wciąż pewnie trzymał się na nogach i znał te góry, jak niewiele innych koni.

W jutowym worku przymocowanym do siodła pobrzękiwały sidła i pułapki. Po głazach ściekały strużki wody znikające pod śniegiem. Garrett spodziewał się, że lada moment zobaczy gdzieś głębokie odciski potężnych łap rosomaka. Zamiast tego jednak natknął się na zupełnie świeże, prawdopodobnie dzisiejsze, choć zdecydowanie mniejsze ślady. Znowu ta dziewczyna.

Przykucnął i oparłszy dłonie na kolanach, spojrzął jeszcze raz uważniej. Ledwie widoczne wgłębienia na powierzchni śniegu kojarzące się raczej z tropem pozostawionym przez rysia lub zająca.

Nie rozumiał, jakim cudem – skoro dorównywała mu wzrostem – mogła ważyć tak niewiele, żeby się wcale nie zapadać w zaspach. Czuł, jak wzbiera w nim irytacja połączona z fascynacją.

Ruszył przed siebie, zdeptując delikatne ślady swoimi buciorami.

\*

Była blisko. Czuł to. Jakaś zmiana w powietrzu. Wyglądało to jak wtedy, gdy tropił łosia – las stał się dziwnie cichy, a wszystkie zmysły Garretta nagle się wyostrzyły. Spojrzął przed siebie i dostrzegł dziewczynę stojącą pomiędzy drzewami, blond włosy spływające na kołnierz płaszcza obszytego śnieżnymi płatkami. Mógł oczywiście zawrócić, ale na pewno go widziała.

Czekała na niego. Ruszył w głąb wąwozu, specjalnie zwalniając kroku, choć jego serce wrywało się naprzód jak szalone.

Odezwała się dopiero wtedy, gdy znalazł się w odległości paru metrów. Nie ruszając się z miejsca, z wyraźnym niepokojem spojrziała na konia, ale kiedy Garrett chciał jej powiedzieć, żeby się nie obawiała, przerwała mu w pół słowa.

„To ty zabiłeś mojego lisa”.

Przez chwilę nie potrafił otworzyć ust ze zdumienia. Skąd mogła o tym wiedzieć?

„Tak” – wydusił w końcu.

„Dlaczego tu przyszedłeś?”.

Mógł ją zapytać o to samo. Wcale nie musiał się czuć gorszy.

„Rosomak” – wyjaśnił. „Tropię rosomaka”.

„Tutaj?”.

„Jestem pewien, że jakiś kręci się w pobliżu tego strumienia”.

Dziewczyna powoli pokręciła głową. Garrett poczuł, jak w jego skroniach zaczyna pulsować narastająca wściekłość.

„Skąd możesz wiedzieć?” – warknął. „Znasz tę całą dolinę?”.

Odpowiedziała krótkim skinieniem głowy.

„A niby dlaczego mam ci wierzyć?”.

Ruszył dalej, jakby miał zamiar ją wyminąć, gdy nagle poczuł jej zapach. Bagienne wrzosa, bez, pokrzywy, świeży śnieg. Woń była tak delikatna, że odruchowo wciągnął głębiej powietrze, żeby jej nie utracić.

Dziewczyna odwróciła się tyłem i pochyliła nad ziemią. Wyciągała coś z leżącego obok niej worka, którego wcześniej nie zauważył, uplecionego najwyraźniej z wiklinowej kory. Kiedy znowu zwróciła się twarzą do niego, trzymała za przednie łapy martwego rosomaka. Łeb zwierzęcia równie dobrze mógł należeć do małego niedźwiedzia, ciało składało się z mięśni, a łapy były krótkie i potężne. Bezwładne cielsko mogło ważyć ponad dwadzieścia kilogramów, spodziewał się więc, że dziewczyna ugnie się pod jego ciężarem, ona jednak bez wysiłku rzuciła mu je do stóp. Spłoszony koń szarpnął i pociągnął go do tyłu.

„Co to jest?” – zapytał Garrett.

„Rosomak”.

„Tyle to widzę. Ale co z nim zrobisz?”.

„Daję ci go. Żebyś sobie poszedł”.

Na ułamek sekundy odebrało mu mowę.

„Nie chcę” – odparł w końcu. „Nie w ten sposób”.

„Mogę go dla ciebie oskórować” – zaoferowała dziewczyna i ponownie sięgnęła do worka.

„Co? Cholera, przecież nie o to mi chodziło. Dlaczego chcesz mi go dać?”.

„Nie chcę go. A ty tak”.

„To po co na niego zapolowałaś?”.

„Zabijał mi kuny i kradł przynęty. Weź go sobie”.

Garrett jeszcze nigdy nie był tak wściekły. Przez te wszystkie lata jego próby upolowania rosomaka nie przyniosły żadnego efektu, a ona rzuca mu go teraz tak po prostu pod nogi jak jakieś zbyteczne truchło. I jeszcze każe mu stąd odejść. Odwrócił się tyłem do niej, złapał za siodło i wskoczył na konia.

„Nie zabierzesz go ze sobą?”. – Głos dziewczyny stał się nagle piskliwy i bardziej dziecinny.

„Nie” – odpowiedział. Szarpnął za cugle, a koń ruszył stępą w kierunku wylotu wąwozu.

„To był jedyny rosomak w tej dolinie” – zawołała. „Nie ma już żadnych innych”.

Nie odwrócił się.

„Zabierz go ze sobą!” – wrzasnęła. „Żebyś już nie musiał tu wracać”.

„Nie chcę twojego cholernego rosomaka!” – krzyknął przez ramię. „I będę tutaj wracał, kiedy tylko najdzie mnie ochota. To nie jest twoja ziemia”.

Obejrzał się za siebie dopiero po dojechaniu na grzbiet wzgórza. Dziewczyna wciąż stała w tym samym miejscu, a martwy rosomak nadal spoczywał u jej stóp. Z tej odległości trudno mu było to stwierdzić, ale miał wrażenie, że zaciskała gniewnie usta.

\*

Kiedy tylko uznał, że znajduje się poza zasięgiem jej wzroku, ponownie zeskoczył z siodła, aby nie narażać konia na tym zdradliwym terenie. Płynąca pod śniegiem woda zbierała się w skutych lodem kałużach, a głązy lśniły od szronu. Poprowadził wierzchowca nad brzeg strumyka i pozwolił mu się napić, po czym sam nabrał odrobinę wody dłonią i zaspokoił pragnienie.

Zimna, kojąca ciecz przyprawiła go o zawroty głowy.

Nie miał zamiaru wracać do domu. Dzień wciąż trwał w najlepsze, a przecież nie rozstawił jeszcze żadnych sideł.

Nigdy nie polował na terenach należących do innych traperów. Kiedy pewien kawaler zgłosił swoje prawo do ziemi znajdującej się niedaleko od gospodarstwa należącego do Jacka i Mabel, Garrett to uszanował i przestał szukać zwierząt w tej okolicy. Nie polował również na terenach starego Boyda, nawet gdy widział opuszczone paliki do przytrzymywania sideł, zaczął dopiero wtedy, gdy staruszek przekazał mu ten teren. Za kradzież cudzej zdobyczy można było oberwać kulkę, a pałętanie się po czyimś terenie było niemile widziane. Ale tu? To przecież tylko dziewczyna, zdolna najwyżej do schwywania paru zajęcy. Rosomak? Pewnie upolowała go przez przypadek.

Wiedział, że to nieprawda. Nie da się przypadkowo upolować rosomaka, a na dodatek widział przecież, jak walczyła z łabędziem. Była do tego zdolna.

Ochlapał twarz wodą ze strumienia i wytarł ręce o płaszcz, nim ponownie naciągnął na nie rękawice. Znow zaczęło padać. Zupełnie się tego nie spodziewał – niebo przez cały ranek było bezchmurne. Kiedy pognał przed świtem do wygodki, światło zorzy polarnej przenikało przez cały nieboskłon tak, jak robi to tylko w pogodne, mroźne noce. Spojrzał w stronę gór, których wierzchołki zniknęły pośród nisko wiszących chmur.

– No cóż, Jackson, chyba musimy się zbierać do domu, co?

Zwykle nie rozmawiał ze swoim koniem, ale dręczył go jakiś niepokój. Śnieg padał równomiernie, a od strony rzeki nadciągnęły delikatne podmuchy wiatru. Garrett ponownie wskoczył na siodło i momentalnie stracił orientację. Płatki śniegu padały tak gęsto, że mógł dostrzec jedynie zarys najbliższych drzew.

– Jedziemy w dół, Jackson? Trudno zabłądzić nad rzeką.

Ruszyli przed siebie, a śnieg już po chwili oślepił ich całkowicie, utrudniając odnalezienie szlaku.

– Jezu – westchnął ciężko Garrett. – Skąd się to tutaj wzięło?

Jeszcze nigdy nie widział, żeby burza śnieżna pojawiła się tak błyskawicznie, kompletnie bez zapowiedzi. Podniósł kołnierz płaszcza i wyciągnął z juków wełnianą czapkę. Kiedy ześliznął się z siodła, śnieg sięgał mu aż do kolan i nie przestawał sypać. Ponownie wsiadł na konia i zaczął manewrować nim pomiędzy drzewami, ale bardzo szybko stracił orientację. Myślał, że zjeżdża po zboczu prowadzącym nad brzeg Wolverine, wyglądało jednak na to, że znalazł się w jakiejś rozpadlinie wiodącej w przeciwnym kierunku. Nie miał ze sobą żadnej pałatki, żadnego śpiwora, tylko podstawowy ekwipunek – kilka zapalek, nóż, zapasową parę ciepłych skarpet, kanapki, zapakowane przez matkę na drogę. I to właściwie wszystko. Skierował się ku jednemu z potężnych świerków.

Mógł przeczekać burzę w tym miejscu, przynajmniej przez jakiś czas. Odłamał kilka najniższych gałęzi i okopał czubkiem buta śnieg oblepiający pień. Miał jakieś prowizoryczne schronienie.

Połamał gałęzie na mniejsze kawałki i zeszkrobał odrobinę kory z pobliskiej brzozy. Na szczęście zabrał ze sobą siekiere. Kiedy ogień się rozпали, będzie mógł porąbać nieco większe kawałki drewna.

Siedząc ze skrzyżowanymi nogami, zgromadził przed sobą połamane gałęzie i korę, a potem przyłożył do nich płonąca zapalną, która momentalnie zgasła, zasypana mokrym śniegiem.

Następna zapalka i kolejna, w końcu została mu tylko jedna. Udało mu się podpalić cieniutki kawałek kory, który dymił się przez chwilę, ale zgasł przy pierwszym podmuchu wiatru. Garrett zerwał się na równe nogi i kopnął ułożony przed chwilą stos drewna. Na jego głowę posypał się śnieg z poruszonych gałęzi.

– No cóż, Jackson, chyba musimy ruszać dalej.

Jadąc pomiędzy drzewami, przypominał sobie historie o ludziach zabijających swoje konie, żeby przetrwać noc w ich rozprutych brzuchach.

– Nic się nie martw, Jackson. Jeszcze nie jest aż tak tragicznie.

Wiedział jednak, że sytuacja nie wygląda również zbyt dobrze. Wiele razy zdarzało mu się sypiać na zewnątrz, ale jeszcze nigdy w tak fatalnych warunkach i właściwie bez żadnego sprzętu. Śnieg gromadził się na jego spodniach i płaszczu. Grzywa konia lśniła od lodu. Nie mając innego wyjścia, wciąż parli przed siebie, kompletnie zagubieni.

\*

Kiedy dotarli do czegoś, co wydawało się zamarzniętym i pokrytym śniegiem jeziorem, którego nigdy wcześniej nie widział ani nawet o nim nie słyszał, poczuł kolejny przypływ lęku.

Zeskoczył z siodła i stanął na zaśnieżonym brzegu.

„Niech to szlag. Niech to szlag”. – Kopnął ziemię w bezsilnej frustracji. Koń zamrugał powoli, zbyt wyczerpany, by wykonać jakikolwiek ruch.

„Zgubiłeś się”.

Podskoczył w miejscu, słysząc ten niespodziewany szept w swoim uchu. Spojrzał przez ramię i zobaczył dziewczynę, wyglądającą jak duch na śniegu.

„Czego chcesz?” – warknął, rozwścieczony własnym zaskoczeniem.

„Zgubiłeś się” – powtórzyła, a jej głos zdawał się bliżej niego niż ona sama.

„Wcale nie” – odpowiedział, choć oboje wiedzieli, że kłamie.

„Nie znajdziesz drogi do domu”.

„Niech to szlag, pewnie, że jej nie znajdę. Ale nie mam pojęcia, co mogłabyś z tym zrobić”.

Dziewczyna odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie.

„Idź za mną” – poleciła.

„Co?”.

„Pokażę ci drogę”.

Chciał coś kopnąć, nawrzeszczeć na nią, sprzeciwić się jakoś temu absurdalnemu obrotowi sprawy, ale zamiast tego posłusznie ujął lejce i ciągnąc za sobą konia, ruszył w ślad za dziewczyną.

Nie odwróciła się, żeby sprawdzić, czy za nią idzie, i poruszała się bez najmniejszego wysiłku.

Co jakiś czas tracił ją z oczu, zawsze jednak pojawiała się ponownie, czekając na niego pod jakąś brzozą lub świerkiem.

„Wcale nie chciałam, żeby tak się stało” – stwierdziła w pewnym momencie. „Chociaż się na ciebie gniewałam. Ale nie prosiłam o to, żebyś zgubił drogę”.

„Oczywiście, że nie. Jak mogłabyś się o to obwiniać?”.

Wzruszyła ramionami i poszła dalej. Śnieg nieco zelżał, a nad ich głowami przeblyskiwało błękitne niebo. Gdy ponownie wyłoniły się przed nimi góry, Garrett zorientował się, że są w zupełnie innym miejscu, niż się spodziewał. Nie miał pojęcia, dokąd by zaszedł bez jej pomocy.

Dziewczyna przemykała pomiędzy bezlistnymi sosnami, obejmując czasem jedną ręką pnie mijanych drzew. Wydawała się w ogóle nie zwracać uwagi na to, gdzie jest ani dokąd zmierza.

Zachowywała się jak nieustraszone dziecko w środku lasu, choć osiągnęła już wzrost dorosłej kobiety, jej płaszczyk miał zwężenie w talii, a na plecy opadała burza prostych jasnych włosów.

„Byłeś tutaj” – odezwała się nagle. „Wtedy gdy zabiłam łabędzia”.

Tym razem był wdzięczny za to, że nie spojrzała w jego stronę, tylko pognąła przed siebie, nie zostawiając śladów na śniegu. Nie musiał odpowiadać. Szedł za nią, mając nadzieję, że już więcej się do niego nie odezwie. Przez jakiś czas wędrowali w całkowitym milczeniu.

„Twój koń dalej nie da sobie już zbyt długo rady” – stwierdziła w pewnej chwili. „Utknie gdzieś w śniegu”.

Garrett stanął w miejscu i podrapał się po karku. Była to chyba najgorsza rzecz, jaką mogła powiedzieć.

„Wiem” – stwierdził. „To chyba jasne, że wiem. Potrzebny mi psi zaprzęg, ale rodzice nie chcieli się zgodzić. Jackson to dobra szkapka. Myślałem, że jeszcze trochę na nim pojeżdżę, a potem przerobię go na buty. To mogło się udać”.

„Gdyby nie ty” – dodał w duchu, ale nie chciał zabrzmieć jak kapryśne dziecko, które nie dostało tego, czego chciało. Powinien milczeć. Tak zachowałby się prawdziwy mężczyzna.



„Tędy”. – Wskazała dziewczyna. Pośród drzewami było widać gospodarstwo Jacka i Mabel. Pola pokrywał śnieg, a z komina unosiła się smużka dymu.

Skinął głową i raz jeszcze wskoczył na koński grzbiet. Wjeżdżając na polanę, zawrócił konia w miejscu i spojrzał w stronę lasu, wypatrując pomiędzy drzewami błękitnego płaszcza i lśniących jasnych włosów.

Dziewczyna zniknęła.

## ROZDZIAŁ 41

Faina przyniosła głęboki koszyk upleciony z brzozonej kory, do której przyszyła paski ze skóry łosia, żeby móc go nosić na plecach. Zdjęła kosz przed drzwiami ich chaty, postawiła na śniegu i wyłowila ze środka rybę, którą podała Jackowi.

Było to chyba najpaskudniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek widział. Mierzyło ponad pół metra długości, jego skóra była cętkowana i śliska, a podłużne, tłuste ciało przypominało ślimaka.

Miało wąskie usta i szeroką, płaską głowę, a z podbródka wystawał kolec. Zwierzę kojarzyło się z przerośniętą, zdeformowaną ropuchą.

„Co to jest, na Boga?”

„Miętus” – wyjaśniła. „Złapałam go przed chwilą pod lodem. Zjemy go na kolację”.

„Mam wrażenie, że Mabel nie będzie chciała czegoś takiego w swojej kuchni”.

„Och”.

„Daj spokój, żartuję tylko. Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Jesteś pewna, że można to jeść?”

„Tak” – odparła z całkowitą pewnością. „Żyją w najgłębszych i najzimniejszych wodach, trudno je złapać, ale są przepyszne”.

„No cóż, to chyba lepiej będzie, jak się zabierzemy do patroszenia”.

Poprowadził dziewczynę nad strumień płynący na tyłach ich chaty.

„O, macie tu wydrę” – zauważyła Faina, wskazując na przeciwległy brzeg. Jack podążył wzrokiem za jej ręką i zobaczył ślady wijące się wokół powalonego drzewa.

„Wydrę, mówisz? Chyba nigdy na nią nie trafiłem”.

Dziewczyna przykucnęła nad wodą, wyciągnęła nóż z pochwy przy nodze i jednym cięciem rozpruła rybi brzuch.

„Pozwól, ja to zrobię” – zaoferował Jack.

Została z nim nad strumieniem i pomagała w pozbyciu się wnętrzności i wrzuceniu ich do wody. Później wepchnęła dłoń do wypatroszonego brzucha ryby i wydłubała ze środka nerkę.

„Po co Garrett zapuszcza się w góry?” – zapytała niespodziewanie, strząsając zakrwawiony skrawek mięsa z palców.

„Widziałaś go?”.

„Tak, wiele razy. Czego on tam szuka?”.

„Pewnie rozstawia sidła”.

„Och” – westchnęła.

„Nie musisz się go obawiać. Na pewno nie zrobi ci krzywdy”.

„W porządku”. – Odłożyła rybę na śnieg i zmyła krew z dłoni.

## ROZDZIAŁ 42

**D**ziewczyna nawiedzała Garretta każdej nocy w snach. Tego dnia, gdy wyprowadziła go z burzy, wrócił do domu kompletnie wyczerpany, ale nie potrafił zasnąć, podobnie jak i przez kilka następnych tygodni. Leżąc w łóżku, wciąż rozmyślał o jej błękitnych oczach i delikatnych rysach twarzy kryjących się zwykle za gęsto padającym śniegiem lub welonem rozpuszczonych jasnych włosów, co sprawiało, że nie potrafił ich sobie dokładnie wyobrazić. Próbował przywołać w myśli kształt jej ust i wyobrażał sobie, jakie musiały być w dotyku, ale nade wszystko pragnął poczuć jeszcze raz jej zapach, tak niewyraźny, a jednocześnie tak znajomy.

\*

Ciągle wracał do podnóża gór i wypatrywał jej śladów na śniegu. Powtarzał wszystkim, nie wyłączając samego siebie, że wychodzi na polowanie, ale zdarzały się dni, gdy w ogóle nie rozstawiał sidła, a czasem nawet ich ze sobą nie brał. Przestał myśleć o rosomaku, interesowała go tylko ona; wypatrywał sobie oczy, licząc na to, że znów migną mu gdzieś blond włosy lub niebieski płaszczyk. Podejrzewał, że Faina celowo się przed nim ukrywa, ale wciąż wracał.

Dokładnie tak jak mówiła dziewczyna, śnieg w górach był stanowczo zbyt głęboki, by jeździć konno, więc chodził pieszo, używając rakiet śnieżnych. Czasem koczował jak Indianin – sypiał na kawałku brezentu rzuconym na ziemię i gotował na otwartym ogniu. Takie noce były najgorsze, ponieważ w ogóle nie potrafił zasnąć. Wpatrywał się w mrok i nasłuchiwał, czy coś nie porusza się w pobliżu. Był przekonany, że dziewczyna jest tuż obok i przygląda mu się z kryjówki gdzieś pomiędzy drzewami. Zdarzało się też, że znajdował o poranku jej świeże ślady. Ale nigdy mu się nie pokazała. Pojawiła się dopiero wtedy, gdy kompletnie zdesperowany i ucieszony odnalezieniem świeżych tropów, stanął w miejscu i zaczął wołać jej imię.

„Faina! Faina! Chcę tylko z tobą porozmawiać! Dlaczego się ukrywasz?”

Wśród drzew panowała cisza. Po niebie sunęły nabrzmiałe śniegiem chmury.

„Faina! Wiem, że tu jesteś. Dlaczego nie wyjdiesz?”.

„Jestem” – odpowiedziała, wynurzając się zza ośnieżonych świerkowych gałęzi.  
„Ale nie wiem, czego ode mnie chcesz”.

„Ja też nie” – odparł, zaskoczony własną szczerością. Poczł przyływ lekkomyślnej brawury.

„Nie wiem” – powtórzył.

Spojrzała na niego spod przymrużonych powiek, ale się nie wycofała.

„Widziałaś jeszcze jakieś rosomaki?” – zapytał, nie potrafiąc wymyślić niczego lepszego.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

„A ty? Udało ci się jakiegoś wytropić?”.

„Nie. Właściwie nigdy nie upolowałem żadnego”.

„Och”.

„Ale zawsze chciałem”.

„To dlatego tu jesteś?”.

„Nie, nie dlatego”.

„A dlaczego?”

„Z twojego powodu. Tak mi się wydaje”.

Faina spojrzała na niego nieufnie, nie ruszała się jednak z miejsca.

„Przepraszam za tego lisa. Nie powinienem był go zabijać... Poczekaj! Nie zostawiaj mnie. Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? Jeszcze nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty”.

Wzruszyła ramionami, a na jej twarzy pojawił się jakiś dziwny grymas, który Garrett uznał za uśmiech.

„Chcesz coś zobaczyć?” – zapytała.

„W porządku”.

Zerwała się do biegu i zniknęła. Nie chcąc stracić jej z oczu, pognał za nią na tyle, na ile pozwalały mu na to rakiety. Biegł pomiędzy drzewami, wymijając osiki i krzaki borówek. Dotarli w końcu ponad linię drzew, gdzie zaśnieżone pagórki przekształcały się w skaliste górskie zbocza.

Garrett z trudem łapał oddech, a jego ubranie przemokło od potu, podczas gdy Faina wciąż podążała przed siebie bez najmniejszego wysiłku. Kiedy zaczął się wspinać, czekała na niego cierpliwie na smaganej wiatrem skale.

Zdjęła rękawiczki i przyłożyła palec do ust, nakazując mu milczenie, a potem wskazała na pobliskie zbocze. Zobaczył jednolicie białą płaszczyznę. To było

upokarzające. Zawsze miał bystre oczy do wypatrywania zwierzyny, ale tym razem musiał przyznać się do porażki, niczego nie widział.

Uśmiechnęła się i przykucnęła przy pobliskiej skale. Wyjęła z kieszeni płaszcz garść kamyków – gładkich, okrągłych, tak zbliżonych do siebie rozmiarami, że ich zgromadzenie wymagało zapewne sporego wysiłku. Wybrała jeden z nich i rzuciła. Garrett usłyszał zduszony skrzek i trzepot skrzydeł. Sięgnęła po kolejny kamień, rzuciła i zaskrzeczał następny ptak. Nie oglądając się za siebie, Faina popędziła w stronę swojej zdobyczy. Spod jej stóp rozpięchło się z jazgotem stado śnieżnobiałych pardw. Garrett jeszcze nigdy nie widział tylu ptaków naraz, niebo wypełniło się trzepotem setek skrzydeł. Pardwy poleciały na wszystkie strony, część z nich lądowała paręset metrów dalej, niknąc momentalnie w śniegu, pozostałe zaś kontynuowały swój ociążały lot aż do kolejnego grzbietu.

Dziewczyna podbiegła do niego z uśmiechem, trzymając w ręku dwa martwe ptaki. Czekał na nią poirytowany, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Próbował kiedyś tej sztuczki. Po zmarnowaniu tuzina kamieni miał na koncie jednego rannego ptaka, którego musiał dobić kulą ze strzelby.

„To właśnie chciałaś mi pokazać?” – zapytał.

„Nie. Odpocząłeś już?”.

Zamiast prowadzić go wyżej w góry, tak jak się tego spodziewał, ruszyła w poprzek zbocza, zostawiając za sobą delikatne ślady na śniegu. Pokonanie tej stromej ściany z rakietami wciąż przymocowanymi do butów nastęrczało sporo trudności, wiedział jednak, że kiedy tylko je zdejmie, zapadnie się po pas w śniegowym puchu, więc włókł się dalej. Chwilę później zaczęli schodzić w głąb wąwozu porośniętego gęstym olchowym zagajnikiem.

Dziewczyna zatrzymała się u podnóża niewielkiego wzniesienia i przyklękawszy na jednym kolanie, ponownie nakazała Garrettowi milczenie. Cały pagórek okrywała gruba kołdra białego puchu – z wyjątkiem jednego miejsca nie większego od ludzkiej głowy. Faina ponagliła go gestem dłoni.

Zobaczył mroczną dziurę prowadzącą w głąb ziemi, fragment większego otworu znajdującego się w większości pod śniegiem. Momentalnie rozpoznał, co to jest, i poczuł zimny dreszcz, pełznący wzdłuż kręgosłupa. Dziewczyna przyprowadziła go do niedźwiedziej nory.

Przykucnął i zajrzał w głąb gawry. Wydawało mu się, że widzi ziemię i korzenie, ale było tak ciemno, że nie mógł tego stwierdzić z całym przekonaniem. Spodziewał się, że w środku będzie panował okropny zaduch, nie poczuł jednak

niczego poza wonią śniegu, ziemi, mokrych liści oraz futra. Wokół panowała cisza zakłócana jedynie jego własnym oddechem.

Wskazał na jaskinię i spojrzał na Fainę, unosząc pytająco brwi, nadal bowiem nie miał pewności, czy niedźwiedź jest w środku. Skinęła potakująco głową, patrząc na niego lśnięcymi oczami i opierając ostrzegawczo dłoń na jego ramieniu. Zakręciło mu się w głowie, gdy poczuł jej dotyk przez gruby materiał płaszcza. Wycofali się w milczeniu nad strumień.

„On tam jest?” – szepnął. „W tym momencie?”.

„Tak. Przyglądałam się stamtąd, jak kopał tę norę”.

Dziewczyna wskazała na brzeg strumienia.

„Brunatny?”.

Skinęła głową.

„Samiec?”.

„Nie. Samica z dwójką młodych”.

W całym lesie nie było groźniejszego zwierzęcia. Garrett widywał już niedźwiedzie brunatne krążące po zboczach gór, miał okazję przyjrzeć się ich potężnym mięśniom, przygarbionym grzbietom i pofalowanej sierści. Za każdym razem budziły w nim zachwyty. Ale jeszcze nigdy nie był tak blisko. Od uzbrojonej w potężne pazury samicy i dwójki jej dzieci dzieliła go jedynie warstwa śniegu.

## ROZDZIAŁ 43

Chłopak stanął przed drzwiami chaty, cały obsypany śniegiem. Przyprowadził ze sobą wyrosnięte szczenię i od progu zaczął dopytywać się o Fainę.

– Słucham? – zdziwiła się Mabel.

– Zastąłem Fainę?

– Nie, nie ma jej tu. Ale proszę, wejź do środka.

Garrett zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na czarno-białego pieska z opadającymi uszami.

– Twój nowy przyjaciel też może wejść – zachęciła go gospodyni, a potem zamknęła za nimi drzwi, żeby śnieg nie napadał do środka.

Szczenię machało ogonem jak szalone, a kiedy Mabel pochyliła się, żeby je pogłaskać, próbowało wskoczyć jej na kolana. Zaśmiała się, pozwalając, by pies polizał ją po twarzy, a potem się wyprostowała i otarła dłonie o fartuch.

– To twój nowy piesek?

– Nie. Wiesz przecież, że moi rodzice nie chcą, żebym miał psi zaprzęg. – Chłopak wciąż stał przy drzwiach, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę. – To nie mój pies. Tak naprawdę przyprowadziłem go dla niej.

– Dla Fainy?

– Myślisz, że jej się nie spodoba?

– Hm. Cóż, chyba każde dziecko pokochałoby tego pieska, ale nie jestem pewna, czy... – Ona nie jest dzieckiem – przerwał jej niespodziewanie, zaskakująco poirytowanym tonem.

– No tak, masz rację, chyba już nie jest, prawda?

Mabel również zauważyła przemianę, jaką przeszła Faina. Twarz dziewczyny zrobiła się jeszcze szczuplejsza, co uwydatniło kości policzkowe, a jej ręce i nogi stały się zgrabne i długie.

Mabel zgadywała, że Faina musi mieć jakieś szesnaście lub siedemnaście lat, była zdecydowanie wyższa i pewniejsza siebie.

– Spodziewasz się jej może dzisiaj? – dopytywał się Garrett.

– Nie wiem. Z nią nigdy nic nie wiadomo.



Pies wciąż harcował po chacie – w jednym z rogów zostawił kałużę, szarpał szmatkę do wycierania garnków i próbował pogryźć jeden z kapci Jacka leżących przy piecu. Mabel podniosła ścierkę i zabrała się do sprzątanania.

– Przykro mi, Garrett – stwierdziła – ale nie wiem, kiedy ona się tutaj znów pojawi i szczerze mówiąc, wcale nie jestem pewna, czy to taki dobry pomysł. Faina może sobie nie poradzić z opieką nad zwierzęciem.

– Poradzi sobie.

– Cóż, zaczekajmy na Jacka i zobaczymy, co powie. Powinien wrócić za parę godzin.

Mogę zaopiekować się tym pieskiem do czasu następnych odwiedzin Fainy, choć będzie to trochę kłopotliwe.

– A mogę tu z nim zostać? Zaczekałbym do jej powrotu w stodole, razem z psem.

– Skoro tak ci na tym zależy... Tyle że będzie ci tam zimno.

– Żaden problem. Ona się przecież tutaj wkrótce pojawi, prawda?

Wyszedł na zewnątrz, zabrawszy psa i pozostawiając Mabel z jej myślami. Fakt, że Garrett znalazł Fainie psa, wydawał jej się niezwykle dziwny. Bała się jednak, że dziewczyna nie wróci, dopóki chłopak tu będzie. Nigdy ich nie odwiedzała, gdy mieli gości.

Ciekawe, jak długo był w stanie na nią czekać.

\*

– Garrett przyjechał? – zapytał od progu Jack, kiedy tuż przed zmierzchem powrócił do domu. – Widziałem jego konia w stodole.

– Tak. Przyniósł prezent dla Fainy.

– Dla Fainy? Cóż to za prezent?

– Szczeniaczek.

– Szczeniaczek?

– Tak, mówi, że to husky, którego da się wytresować do pracy w zaprzęgu.

– Pies? Dla Fainy? – Jack wyglądał na zakłopotanego, ale nagle uśmiechnął się szeroko. – Szczeniak!

– Myślisz, że to dobry pomysł?

– Oczywiście. Przyda jej się przyjaciel.

– Ale będzie musiała się nim opiekować.

– Poradzi sobie. Dobrze jej to zrobi.

– Jesteś pewien?

Jack spojrzał na nią uważnie, zaskoczony wyraźnym niepokojem w jej głosie.

– Widzisz przecież chyba, że ta dziewczyna wciąż jest samotna – wyjaśnił. – Rozdarta między tu i tam. U nas czuje się skrępowana, a w lesie całkiem sama. Załóżę się, że jeszcze nigdy nie miała okazji bawić się ze szczeniakiem.

Mabel czuła pokusę, żeby opowiedzieć mu o swoich zastrzeżeniach co do Garretta i jego dość dziwnego zachowania, ale nie potrafiła znaleźć słów, które nie zabrzmiałyby jak zwykle marudzenie.

\*

Bawili się właśnie w trójkę z pieskiem w chacie, rzucając mu szmatkę zawiązaną na węzeł, gdy do drzwi zapukała Faina. Słyszając ten dźwięk, Garrett momentalnie zerwał się na równe nogi.

Mabel podeszła, żeby otworzyć, obawiała się jednocześnie, że dziewczyna ucieknie, jak tylko zobaczy, że mają gościa. Ona jednak po prostu stanęła na progu i spojrzała na chłopaka szeroko otwartymi z zaskoczenia oczami. Wciąż nie zdejmowała płaszcza i czapki, jakby jeszcze nie zdecydowała, czy powinna uciec.

„Wchodź, dziecińko” – zaprosiła ją Mabel. „Daj, odwieszę ci ten płaszczyk. Znow zaczął padać?”.

Faina oddała jej bez słowa wierzchnie okrycie, nie przestając jednocześnie obserwować chłopca.

„Pamiętasz Garretta, prawda? To syn Esther i George’a. Poznałaś go zimą. Ma dla ciebie prezent”.

Młodzienc pochylił się i spuścił psa z linki, na której dotychczas go przytrzymał.

Zwierzę wystrzeliło jak z procy w stronę Fainy, machając radośnie ogonem i wystawiając język.

Dziewczyna cofnęła się i oparła plecami o drzwi, to jednak nie powstrzymało szczeniaka od skoczenia na nią.

„Wszystko w porządku, dziecińko. To tylko szczeniaczek” – uspokoiła ją Mabel. „I chyba od razu cię polubił”.

„Nie bój się, przysięgam, że cię nie ugryzie” – dodał Garrett i przyklęknął obok Fainy, by uspokoić psa dotknięciem dłoni. „Widzisz? On się chce tylko pobawić.

Jest bardzo młody, ma zaledwie parę miesięcy”.

Sięgnął po rękę dziewczyny i oparł ją na głowie psa.

„Widzisz? Możesz go pogłaskać”.

Faina zachichotała, gdy psiak polizał ją po palcach.

„Podoba ci się?” – zapytał Garrett. Dziewczyna skinęła głową, wciąż poddając się psiej pieśczości. „Bo przyprowadziłem go dla ciebie”.

Faina zmarszczyła brew i spojrzała na Mabel, a potem ponownie zwróciła wzrok na chłopaka.

„Jest twój, naprawdę. Wiem, że nie zastąpi ci lisa. Nawet próbowałem złapać jakiegoś żywcem, ale potem pomyślałem, że piesek chyba będzie lepszy”.

Dziewczyna oparła obie dłonie na mordce szczeniaka, który wyglądał, jakby uśmiechał się od ucha do ucha.

„Musisz go regularnie karmić” – odezwał się po raz pierwszy Jack, który stanął obok nich ze skrzyżowanymi ramionami i przyglądał się temu wszystkiemu z wyraźnym rozbawieniem.

„Dziel się z nim jedzeniem i będzie dobrze”.

„A zanim trochę podrośnie, możecie razem spać pod płaszczem” – dorzucił Garrett.

Oczarowana Faina wciąż głaskała szczeniaka. Mabel spodziewała się, że dziewczyna zacznie zadawać jakieś pytania albo chociażby podziękuje, ona jednak nadal milczała.

„Nie musisz go zabierać, jeśli nie chcesz”.

Doskonale wiedziała, że to absurd. Faina nie opuści ich domu bez tego psa.

„Ale jeśli będzie z tobą, to powinnaś mu nadać jakieś imię” – dodała.

Dziewczyna gorliwie pokiwała głową, jak dziecko gotowe złożyć każdą przysięgę, byle tylko mogło zatrzymać pieska.

„Powinnaś wiedzieć, że to pies zaprzęgowy” – wtrącił Jack. „Może ciągnąć sianie albo przenosić pakunki. Te psy kochają śnieg. Będzie ci wszędzie towarzyszył. Wyjdź z nim na podwórze, zobaczysz, o czym mówię”.

Otworzył drzwi, a piesek w ułamku sekundy znalazł się na zewnątrz. Faina i Garrett pobiegli za nim, zapinając pośpiesznie płaszcze. Jack zamknął drzwi i podszedł do Mabel stojącej przy oknie. Światło lampy wylewało się na zewnątrz, a tuż poza granicą wyznaczanego przez nie okręgu Garrett i Faina rzucali śnieżkami w szczeniaka, który uganiał się za nimi po śniegu.

– Nadal jesteś pewny, że to dobry pomysł? – zapytała Mabel.

Jack skinął głową i pogładził ją po ramieniu. Miała jednak wrażenie, że on wciąż myślał o psie, ona zaś nie była pewna, czego tak właściwie dotyczyło jej pytanie.

\*

Przez kolejnych kilka tygodni Faina i Garrett ciągle szaleli z psiakiem na śniegu i w lesie, nieopodal chaty. Chłopak pojawiał się zwykle jeszcze za dnia, zawsze mając jakąś wymówkę w postaci słoika dżemu przysłanego przez matkę lub trzonka siekiery wystruganego dla Jacka.

Później z lasu nieuchronnie wypadał pies, a za nim pojawiała się Faina. Jej błękitne oczy lśniły radością, ale Mabel wciąż odczuwała niepokój. Próbowwała się cieszyć tymi popołudniami, które spędzali razem w chacie, z psem wygrzewającym się przy piecu, podczas gdy Garrett i Faina objadali się ciastem. W końcu o takim życiu przecież kiedyś marzyła – dzieci bawiące się na podwórzu, dzieci siedzące bezpiecznie przy stole. Chciała nacieszyć się każdą chwilą, tak jak wtedy, gdy pracowała na polu ręką w rękę z Jackiem, wiedząc, że nie potrwa to wiecznie.

Garrett opracował już sobie plan tresury, co dla Mabel stało się powodem do żartów, że od samego początku chodziło mu tylko o zajmowanie się psem zaprzęgowym. Zaśmiał się, odpowiadając, że te psy są stworzone do życia wśród śniegów. Podczas następnych odwiedzin przywiózł ze sobą małe sanki i własnoręcznie zrobioną uprząż ze sznurów i rzemieni. Pies był wciąż zbyt mały, by ciągnąć pełne sanie, więc ćwiczył z pustymi. Mabel przyglądała się, jak cała trójka popędziła nad rzekę, a sanki podskakiwały na zaśnieżonym brzegu. Zniknęli na tak długo, że w końcu zaczęła się o nich martwić, czym nie omieszkała się podzielić z Jackiem, który wrócił właśnie ze stodoły.

– Nic im nie będzie – uspokoił ją. – Te dzieciaki znają las lepiej niż ktokolwiek inny. Widziałaś, jaki ten pies jest szybki? Faina będzie miała doskonałego towarzysza.

Garrett pojawił się dopiero przed zachodem słońca.

– Wybieramy się jutro z psem na długi spacer w górę rzeki – oznajmił. – Umówiliśmy się tutaj na rano. Mógłbym się przespać tej nocy w stodole?

– Oczywiście – zgodził się Jack. – Wygląda na to, że znalazłeś jej naprawdę dobrego psa.

- Tak. Szybko się uczy i uwielbia swoją pracę.
- Naprawdę idziecie jutro nad rzekę? Na cały dzień? – Mabel załamano rękę, upodabniając się do marudnej, rozkapryszanej staruszki.

\*

Następnego ranka zapakowała Garrettowi śniadanie, do którego dorzuciła kawałek pieczeni z łosia dla psa. Nie potrafiła już dłużej milczeć.

- Musisz mi coś obiecać, Garrett – szepnęła, nie chcąc, by Jack ją usłyszał.
- Pewnie. A co?
- Obiecaj mi, że nie rozpalisz ogniska.
- Ogniska?
- Tak. Nie pal dziś ognia, nawet jeśli będzie ci zimno lub zatrzymacie się, żeby coś zjeść.

Obiecaj mi, że nie podpalisz nawet jednej gałązki.

- Ale dlaczego miałbym...
- Posłuchaj mnie. To naprawdę ważne. – Z trudem powstrzymywała się od potrząśnięcia chłopcem. – Musisz mi obiecać, że nigdy, przenigdy nie dopuścisz Fainy w pobliże ognia.

Jack musiał się zaniepokoić tonem jej głosu, ponieważ spojrzał sponad papierów w ich stronę, ale natychmiast wrócił do pracy. Mabel znów ściszyła głos do szeptu.

- Wiem, że to dziwna prośba, ale możesz mi to obiecać?

Spojrzał na nią uprzejmie i przez chwilę kusilo ją, aby powiedzieć mu prawdę. Mogliby się razem pośmiać z tych fantazji, a potem już nigdy o tym nie wspominać.

- Nie rozumiem tego, ale obiecuję – odparł szczerze chłopak. – Nigdy nie pozwolę, żeby coś jej się stało. Chyba już o tym wiesz.

Patrząc na jego twarz, widziała wyraźnie, że wierzy we własne słowa.

## ROZDZIAŁ 44

Pokazując mu niedźwiedzią gawrę, Faina dała mu prezent, który wymagał choć odrobiny zrozumienia dla porywów jego serca. Długo rozmyślał, jak odwdzińczyć się jej darem o podobnym znaczeniu, i martwił się początkowo, że obdarowanie jej szczeniakiem było pomyłką. Nie przewidział, że dziewczyna może się wystraszyć zwierzęcia.

Parę tygodni później był już nieco bardziej pewien swojego wyboru. Pies pod opieką Fainy wyglądał kwitnąco, miał gęstą, lśniącą czarną sierść i nawet na sekundę nie spuszczał jej z oczu, z których jedno było czarne, a drugie niebieskie. Kiedy dziewczyna gdzieś zniknęła, siadał i czekał, patrząc tak poważnym wzrokiem, że wyglądał na o wiele starszego psa. Wystarczyło jednak, żeby się ponownie pojawiała, a znów zamieniał się w rozradowanego i szczekliwego psiaka. Wciąż nie nadała mu imienia, ale wystarczyło, że gwizdnęła, by natychmiast znalazł się u jej boku.

Ona sama również się zmieniała. Poważna i cicha dziewczyna stała się roztańczonym i roześmianym podlotkiem. Gonila się z psem tak długo, zataczając coraz węższe okręgi, że upadała w końcu na śnieg, a szczeniak wskakiwał jej na plecy. Podnosiła się z ziemi i otrzepywała ze śniegu, po czym łapała Garretta za rękę i ciągnęła pomiędzy drzewa w pogoni za zwierzęciem.

Chłopak miał czasem wrażenie, że znalazł się w zaśnieżonym śnie, i wyobrażał sobie, że całuje jej chłodne, spierzchnięte usta.

Podążali w górę Wolverine, opromienieni blaskiem słońca odbijającego się od śniegu i lśnieniem szronu pokrywającego gałęzie i martwe liście. Lodowate powietrze paliło Garretta w płucach, a odsłonięta skóra na twarzy piekła od kłuszącego mrozu. Kiedy przystawali, czuł, jak zaczynają przemarzać mu nogi. Faina i pies pędzili razem na złamanie karku, a potem czekali cierpliwie, aż chłopak się do nich dowlecze.

Zatrzymali się w końcu przy stosie przyniesionego przez rzekę drewna, żeby coś zjeść.

Przemknęło mu przez głowę, że mógłby rozpaść ognisko, ale przypomniał sobie w porę o obietnicy złożonej Mabel. Odwinęli z pergaminu zimne kanapki i

rzucili psu kawałek zamrożonej pieczeni.

„Możemy już wracać” – zasugerował, gdy skończyli posiłek.

„Nie, proszę. Chodźmy jeszcze kawałeczek”.

Ruszyli dalej na północ, przekraczając zamrożone strumienie i błędząc pomiędzy drzewami porastającymi brzeg rzeki. Wolverine była skuta błękitnobiałym lodem tworzącym wybrzuszenia i rozpadliny. Wahał się przed wejściem na rzekę, ale Faina była już na drugim brzegu i przywoływała go do siebie. Wierzył jej, ufał, że wiedziała, gdzie czaiły się niebezpieczeństwa, potrafiła ominąć spękane fragmenty i odnaleźć solidny lód i za każdym razem, idąc jej śladem, docierał bezpiecznie na drugą stronę.

Doszli w końcu do kolejnego zakrętu, gdzie uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie zapuścił się tak daleko w górę rzeki. Ruszyli dalej, aż dotarli do doliny sięgającej podnóża gór, nad którymi lśniły lodowe iglice. To tam Wolverine miała swój początek – w lodowcu ukrytym wśród zaśnieżonych skał. Z tej odległości poszarpany szczyt wydawał się falować w promieniach słońca, jednocześnie bliski i daleki, rzeczywisty i nierealny.

„Chodź” – ponagliła go Faina, mknąc razem z psem po zmrożonych zaspach w stronę wierzb rosnących wzdłuż rzeki. Próbował dotrzymać jej kroku, ale nie potrafił tak zwinnie manewrować w gęstwinie zamrożonych gałęzi. Zgubił dziewczynę na chwilę z oczu, kiedy przedzierał się przez ten gąszcz, gdy nagle stanęła tuż przed nim. Otoczyła ramionami pień niewielkiej wierzby, która ugięła się lekko pod jej ciężarem, po czym wychyliła się spomiędzy błyszczących gałęzi i spojrzała na Garretta w dziwny, niezrozumiały dla niego sposób. Pochyliła się w jego stronę i poczuł na skórze jej oddech. Sparaliżowany jak przestraszony zając, nie ruszył się z miejsca, dopóki go nie pocałowała.

Skóra na jej policzkach była zimna i gładka, a w ustach odnalazł ten smak, który nawiedzał go przez całą zimę – górskie zioła, wilgotne kamienie, świeży śnieg. Objął ją delikatnie i przyciągnął ku sobie, zdejmując rękawiczkę. Pogładził odsłoniętą dłoń jasne włosy, o czym marzył od tego dnia, gdy przyglądał się, jak zabijała łabędzia. Czuł w ramionach jej delikatne, spokojne, pełne życia, chłodne ciało i było to uczucie, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie doświadczył.

„Jesteś ciepłutki” – szepnęła.

Garrett sunął ustami wzdłuż jej podbródka, na szyję i z powrotem, w stronę ucha, wiedząc, że mógłby się kompletnie zatracić w tym miejscu, gdzie jej jasne włosy stykały się z miękką skórą, zagubić w jej gładkiej bladości, delikatnych palcach, szeroko otwartych błękitnych oczach.

Chciał opaść przed nią na kolana i pociągnąć ją za sobą na śnieg, ale się powstrzymał.

Stał wyprostowany, jedną ręką otaczał ją w pasie, a drugą gładził po głowie. Faina wtuliła twarz w jego ramię.

To ona zaczęła, rozpinając srebrne guziczki swojego płaszcza.

„Nie, nie” – zaprotestował Garrett.

„Dlaczego?”.

„Zmarzniesz”.

Milczała, nie przestając rozpinąć płaszcza. Garrett rzucił drugą rękawiczkę na ziemię i wsunął ręce pod jej ubranie. Poczul, jak jedwabna podszywka ociera się o jego spierzchnięte dłonie. Przeniknęło go nagle poczucie winy, miał świadomość, że postępuje niewłaściwie, ale było już za późno. Jej delikatne żebra. Bijące serce. Całkowite zatracenie.



## ROZDZIAŁ 45

Martwię się, Jack.

Spodziewał się tego już od jakiegoś czasu. Widział, jak patrzyła przez okno, przygryzając wargi, słyszał jej ciężkie westchnienia znad zlewu i przy zamiataniu podłóg. Ale dlaczego zawsze chciała się dzielić swoimi problemami podczas posiłków – tego nigdy nie potrafił zrozumieć.

– Hm? – mruknął, nakładając sobie fasolki.

– Boję się o dzieci... A właściwie o to, że już nimi nie są. Prawda? To młodzi ludzie, młody mężczyzna i młoda kobieta.

– Hm.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Skinął głową, nie przerywając smarowania chleba.

– Chodzi mi o to, że ostatnio... są ze sobą bardzo blisko. Zauważyłeś chyba? Spędzają razem mnóstwo czasu, zupełnie sami, i nie wydaje mi się, żeby to było właściwe, biorąc pod uwagę ich wiek.

– Hm.

– Na Boga, Jack! Czy ty wiesz w ogóle, o czym ja do ciebie mówię? Usłyszałeś choć słowo?

– Nie dane mi będzie spokojnie zjeść, prawda? – Odłożył sztućce z irytacją i spojrzał na Mabel znad talerza.

– Przepraszam. Ale tu chodzi o Garretta i Fainę. Wydaje mi się, że oni... – Co?

– Niczego nie zauważyłeś? Przecież ciągle są razem, chodzą ręka w rękę.

– To tylko dzieci. Chyba dobrze, że ma w końcu jakiegoś przyjaciela?

– Mówię ci właśnie, że oni nie są już dziećmi. Nie widzisz tego? Faina będzie miała jakieś szesnaście, siedemnaście lat, a Garrett około dziewiętnastu.

Poczuł się zaskoczony. Wciąż pamiętał małą dziewczynkę, która pewnego dnia pojawiła się na progu ich chaty, i trzynastoletniego chłopca niepotrafiącego myśleć o niczym innym niż polowanie.

– Chyba masz rację. Jakoś szybko ten czas minął. Ale na twoim miejscu bym się nie martwił.

Garrett nie ugania się za dziewczynami. Minie mnóstwo czasu, zanim zaczną myśleć o jakichś zalotach.

– Mylisz się, Jack.

– Mieliśmy dwa razy więcej lat, gdy zaczęliśmy się ze sobą spotykać.

– Ale to nie jest normalne. Moja młodsza siostra wyszła za mąż, gdy była w wieku Fainy.

Jack wbił spojrzenie w stygnącą fasolkę i obsychający chleb. Mabel miała talent do wyczuwania kłopotów, więc odrobinę się zmartwił. A marzył tylko o tym, żeby zjeść ciepły posiłek i nie przejmować się żadnymi problemami.

– Przepraszam cię, Jack. Może to faktycznie nic takiego, ale moim zdaniem nie powinni spędzać ze sobą tyle czasu bez żadnego nadzoru. To niebezpieczne. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale Faina też się jakoś zmieniła. Tylko co możemy z tym zrobić? Niczego jej przecież nie zabronimy, prawda? W końcu nie jest naszą córką.

Ostatni cios był wymierzony z bezbłędną precyzją. Ile razy sam powtarzał te słowa: „Faina nie jest przecież naszą córką”? Nie powinni wpływać na jej życie, mogli być tylko wdzięczni za te chwile, jakie z nimi spędzała. Myśl o dziewczynie biegnącej z chłopakiem wśród drzew zaczęła go irytować jak mały uwierający kamyczek w buty. Z początku wydawała się zupełnie bezsensowna, ale z czasem stawała się najważniejszym problemem.

\*

Przez następne kilka dni myślał właściwie tylko o tym. Będąc młodym mężczyzną, nie zwracał uwagi na dziewczęta. Gdy jego przyjaciele umawiali się na tańce, on wolał spędzać wieczory, snując się po lasach lub zajmując ciężarną kłaczę. Oczywiście zdarzało mu się czasem całować z panienkami za stodołą, ale zwykle czuł się do tego zmuszony i często się zastanawiał, co takiego było w Mabel, że potrafiła zwrócić na siebie i utrzymać jego uwagę. Z początku nie okazywała mu żadnego zainteresowania, była cicha, uprzejma i wечно czymś zajęta. Z czasem dzielący ich dystans przekształcił się w spokojne, łagodne uczucie, ale nigdy całkowicie nie zniknął.

Dotychczas wierzył, że z Garrettem będzie dokładnie tak samo. Esther żartowała nawet, że jej uparty syn nigdy nie znajdzie sobie kobiety, która będzie w stanie z nim wytrzymać. Jego starsi bracia bardzo szybko poślubili śliczne,

roześmiane dziewczęta, on jednak trzymał się z dala od damskiego towarzystwa. Jack spodziewał się, że za jakiś czas, być może za parę lat, znajdzie się jakaś dziewczyna z odpowiednim temperamentem, która okaże się idealną partnerką dla Garretta.

Ale Faina? To niemożliwe. Niezależnie od wieku, ta dziewczyna wciąż była dzieckiem, niewinnym i delikatnym. Garrett na pewno nie posunął się za daleko, miał w sobie zbyt wiele przyzwoitości.

– Faina tym razem nie wraca. Mówi, że chce zostać przez całe lato.

– Słucham?

– Przecież słyszałeś. Nie odejdzie, nawet gdy stopnieją śniegi.

– Dlaczego?

– Naprawdę się nie domyślasz?

– Co dokładnie ci powiedziała?

– Twierdzi, że Garrett chce ją zabrać nad rzekę, żeby łowić łososie, a potem do tundry, polować na karibu. Mają tam zostać przez całe lato.

Znów poczuł niepokój, choć nie potrafił sprecyzować jego źródła. Przecież zawsze tego pragnęli. Marzyli o tym, by Faina odwiedzała ich przez cały rok i żeby nie musieli się martwić jej bezpieczeństwem przez długie letnie miesiące. Ale nie tak miało to wyglądać. Tęsknił za nią, gdy znikwała, lecz znacznie częściej cieszyła go świadomość, że przebywa w górach, pośród śniegów, z dala od rozgrzanej, wypełnionej komarami doliny.

– Naprawdę nie rozumiesz, co to oznacza, Jack?

Nie odpowiedział.

\*

Śnieg zaczął topnieć w promieniach słońca, znikając najpierw z drzew i okapów, a później z górskich zboczy. Wiosna nadeszła błyskawicznie, w huku lodu pękającego na wezbranej rzece. Jack powiedział Mabel, że idzie na brzeg przyrzeć się roztopom, ale tak naprawdę poszedł za dziećmi. Chociaż od pierwszych zasiewów dzieliło ich jeszcze sporo czasu, Garrett już wprowadził się z powrotem do stodoły, a tego ranka zerwał się o świcie i spotkał z Fainą i jej psem na podwórzu. Nawet nie zajrzeli do domu, żeby się z nimi pożegnać czy zapytać o zdrowie, tylko ruszyli ramię w ramię, kierując się ku rzece.

– Wracam za chwilę – rzucił Jack, unikając patrzenia żonie w oczy. Przez cały ranek wydawała się przygnębiona i krążyła w milczeniu po chacie. Kiedy narzucił na siebie kurtkę, złapała go za rękę i przytrzymała ją w obu dłoniach. Spojrzała na niego, jakby chciała coś powiedzieć, lecz tylko pocałowała go w policzek.

Podwórze i szlak pokrywała gruba warstwa błota, ale wijąca się pomiędzy świerkami prowadząca nad rzekę ścieżka była sucha, porośnięta mchem i pokryta płataniną korzeni. Gdzieś nad jego głową popiskiwała wiewiórka, lecz nie potrafił jej nigdzie wypatrzeć, oślepiony ukośnymi promieniami słońca. Gdzieniedzie leżały jeszcze łachy śniegu, częściej jednak widać było świeże liście i paprocie wyłaniające się z wilgotnej ściółki. Chwilę później usłyszał szum rzeki, a kiedy dotarł do brzegu, zobaczył kwitnące srebrzyste pączki wierzbowych bazi. Podeszedł bliżej, żeby zerwać kilka gałązek dla Mabel, przypomniał sobie jednak o swoim niewdzięcznym zadaniu i ruszył dalej.

Miał nadzieję, że znajdzie ich gdzieś na brzegu, zajętych rzucaniem kamieniami w popękany lód albo próbujących odebrać psu patyk. Kiedy nikogo tam nie zastał, zaczął iść wzdłuż rzeki, przedzierając się coraz wyżej wśród krzaków, w końcu dotarł ponownie pomiędzy świerki.

Drzewa były tu znacznie wyższe i szersze, a w ich cieniu panowała cisza. Jack szedł ze wzrokiem utkwionym w ziemię, żeby nie potknąć się o żaden korzeń, gdy nagle zauważył kępkę różowych kwiatków, kwitnących pośród mchów i opadłych igieł. „Elfie trzewiczki” – tak nazywała je Mabel.

Kiedyś zebrał dla niej bukiet tych dzikich orchidei, a wtedy ona nakrzyczała na niego, mówiąc, że to bardzo delikatne roślinki i zerwanie choćby jednej z nich kończy się śmiercią całej rodziny.

Ostrożnie wyminął kwitnące kwiaty. Ścieżka dawno gdzieś zniknęła, ale od czasu do czasu słyszał przed sobą głosy. Mógł ich zawołać, uprzedzić o swoim nadejściu, uznał jednak, że nie ma to znaczenia. Wiedział, że jest tutaj tylko po to, by ich szpiegować, i ta świadomość przyprawiała go o mdłości.

Kiedy wreszcie ich znalazł, leżeli przytuleni do siebie na płaszczach pod jednym z największych wiecznie zielonych drzew. Miejsce było przepiękne – przez pokryte igłami gałęzie przenikały słoneczne promienie, a powietrze wypełniała ostra woń świeżej świerkowej żywicy.

Przyglądał im się na tyle długo, by nabrać absolutnej pewności, a potem odwrócił wzrok, czując tak wielki wstyd i gniew, że z trudem odnalazł drogę do domu.

\*

Mabel krążyła tam i z powrotem po chacie, podchodząc co chwila do okna, zaniepokojona tym, że tak długo nie wracał. Pomyliła się, mówiąc mu o tym wszystkim. Żałowała, że nie potrafiła się przełamać i nie porozmawiała wcześniej z Fainą. Teraz było już za późno.

Widząc Jacka wchodzącego na podwórze, z początku odczuła ulgę. Był sam. Potem jednak zobaczyła, jak sztywnym krokiem skierował się do stodoły i kopnął wrota, otwierając je na całą szerokość, a następnie zamknął z powrotem, jakby nie wiedział, gdzie ma pójść albo co ze sobą zrobić. Podszedł do stosu drewna i sięgnął po siekierę. Mabel wystraszyła się, że wróci nad rzekę i zabije chłopaka, on jednak zabrał się do rąbania kolejnych pieńków. Wcale jej to nie uspokoiło.

Zeszłej zimy Garrett narąbał tyle drzewa, że wystarczy im na lata. To nie była praca – Jack rozładowywał targający nim gniew. Chciała do niego podejść i powiedzieć mu o prawdziwym oddaniu, jakie widziała na twarzy Garretta, albo o tym, jak dziewczyna ciągnęła go za sobą za rękę. Uświadomiła sobie, że pomimo wielokrotnego powtarzania, że Faina nie jest ich córką, Jack wciąż patrzył na nią jak prawdziwy ojciec.

Nie zauważyła nawet, kiedy Garrett wynurzył się spośród drzew. Dopiero cisza, jaka zapadła na podwórzu, przyciągnęła ją z powrotem do okna, skąd zobaczyła obu mężczyzn. Nie słyszała, o czym mówili, ale mogła się domyślić. Jack uniósł obie ręce ku niebu i nawet z tej odległości widziała, że chłopak się przygarbił. Wyprostował się jednak już po chwili i zaczął coś mówić z wielkim ożywieniem. Mabel oparła dłonie o szybę. Nagle Jack uderzył chłopca w twarz, powalając go na ziemię.

Miała wrażenie, że jej się to przywidziało. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby Jack kogoś uderzył, i modliła się w duchu, by to wszystko okazało się pomyłką. Zrozumiała, że nic z tego, gdy Garrett usiadł na ziemi, pocierając szczękę grzbietem dłoni. Jack wyciągnął do niego rękę, ale chłopak odrzucił pomoc i niezgrabnie stanął na własnych nogach.

Po powrocie Jacka do chaty Mabel nie odezwała się ani słowem. Poprowadziła go do miski z wodą, obmyła otarte kostki palców i owinęła je wilgotną szmatką. Garrett wskoczył na konia i galopem opuścił podwórze.

## ROZDZIAŁ 46

„Tego lata ruszymy w dół rzeki, aż do oceanu”. „Naprawdę?”.

„Będziemy łapać srebrzyste łososie w słonej wodzie. Wyśpimy się na piasku i rozpalimy ognisko. Może uda nam się dotrzeć aż do oceanu”.

„Nigdy tam nie byłam”.

„Jest olbrzymi”.

„Wiem. Widziałam go ze szczytu gór”.

„Wiesz, co jeszcze zrobimy?”.

Faina oparła głowę na jego piersi.

„Nie” – odpowiedziała. „Co będziemy robić?”.

„Pływać w rzece. Zdejmujemy wszystkie ubrania i zanurzymy się w wodzie”.

„Nie będzie ci zimno?”.

„Nie. Są takie miejsca na rzece, gdzie woda stoi spokojnie i nagrzewa się od słońca. Trzeba szukać tam, gdzie jest najczystsza. Położymy się na wodzie i zanurzymy głowy pod powierzchnię.

Wtedy cię pocałuję. Tak po prostu”.

\*

Nękało go przeraźliwe pragnienie. Nigdy nie miał dosyć, choć pił z niej całymi dniami.

Chodząc razem nad rzeką, przeskakując strumienie, dzielili się całą swoją wiedzą. Opowiadali sobie o czarnych wilczych oczach. O tym, jak upolować pizmaka pod lodem. Gdzie znaleźć gęsie gniazda i nory świstaków. Naśladowali odgłosy karibu gnających stadem przez tundrę.

Wspominali smak górskich borówek i sprężystość świerkowych gałęzi.

Wypatrywali świeżych śladów w błocie, odgadując, do jakich należały zwierząt. Próbował ją nauczyć, jak naśladować głos łosia w rui, ona natomiast uczyła go śpiewu leśnych ptaków.

Gonili się ze śmiechem po całym lesie, a potem opadali na posłanie z gałęzi i liści. Przytuleni do siebie patrzyli sobie w oczy i wsłuchani w bicie swoich serc

cieszyli się smakiem swych ust.

Kiedy tylko przestawali się całować, zaczynało go nękać przeraźliwe pragnienie.

## ROZDZIAŁ 47

**M**yślę, że to by było na tyle. – Jack otrzepał ręce z sadzy. U jego stóp leżała metalowa szufelka wypełniona popiołem z pieca. – Mamy go z głowy. Ten chłopak już się tu raczej nie pojawi.

– Nie byłabym taka pewna – stwierdziła Mabel.

– Ale ja jestem. Na pewno nie wróci. Za chwilę zaczynamy zasiewy i będę musiał sam zginać karku w polu.

– Myślę, że go nie doceniasz.

– Zobaczmy. – Postukał dłonią w rurę od pieca, strząsając przypaloną sadzę, którą następnie wygarnął na szufelkę.

– Znasz tego chłopaka od zawsze. Po prostu się zakochał.

– Zobaczmy.

\*

Koń zniknął. Jack zamknął drzwi do stodoły, a chwilę później otworzył je ponownie, myśląc, że postradał zmysły. Konia wciąż jednak nie było. Przeszedł przez stodołę, wyszedł na pastwisko i zobaczył, że wrota na drugim końcu pola są otwarte na oścież.

Spóźnił się tego dnia z karmieniem zwierzęcia. Planował, że wyjdzie w pole tuż o świcie.

Pod koniec maja ziemia wreszcie wyschła, a kilka największych pól wciąż wymagało zaorania.

Obudził się jednak strasznie obolały, więc przez kilka godzin snuł się tylko z mozołem po chacie.

Kiedy szedł przez pastwisko, zauważył w błocie świeże ślady. Zamknął bramę i ruszył ścieżką wiodącą na najbliższe pole, zastanawiając się jednocześnie, czy nie powinien wrócić po strzelbę.

Z początku niczego nie dostrzegł, oślepiiony ostrym blaskiem południowego słońca. Zatrzymał się na skraju pola i osłonił oczy dłonią.

Na drugim krańcu majaczyła sylwetka Garretta idącego za pługiem.



Miał wrażenie, że chłopak skinął mu głową na powitanie, ale z tej odległości nie mógł być tego pewien. Chciał do niego podejść, wepchnął jednak tylko ręce do kieszeni, odwrócił się na pięcie i wrócił do domu.

\*

– Już jesteś?

– Koń gdzieś zniknął. Poszedłem go szukać.

Mabel spojrzała na niego, unosząc brew.

– Jak to? Znalazłeś go?

– Ta. Znalazłem.

– I?

– Garrett go zabrał. Orze na naszym polu.

– Doprawdy? – Mabel zacisnęła usta, tak jakby próbowała zdusić uśmiech. Wiedział, że powstrzymuje się ze wszystkich sił, by nie zapytać „a nie mówiłam?”.

– Wiem, wiem, mówiłaś.

– Po prostu w niego wierzę. Ten młodzieniec dotrzymuje swoich zobowiązań.

– Jeśli przyjdzie na obiad, to powiedz mu, że przydałoby się poprawić pole na północy.

Wciąż było pełne błota, kiedy tam poszedłem.

– Sam możesz mu to powiedzieć – przypomniała łagodnie.

– I tu się właśnie mylisz.

– Nie mogę być przez cały czas twoim posłańcem – westchnęła. – W końcu będziecie musieli ze sobą porozmawiać.

– Zobaczymy.

## ROZDZIAŁ 48

Wyszły z chaty pomimo chłodnej mgły unoszącej się w powietrzu ponieważ dziewczyna wciąż była niespokojna jak zwierzę w klatce; podrażniona i ruchliwa. Mabel domyślała się, że coś jest nie tak, i uznała, że szybki spacer może pomóc Fainie w opowiedzeniu jej o wszystkim.

Szły obok siebie wzdłuż pól, gdy dziewczyna wreszcie przerwała milczenie.

„Czy ja umieram?” – zapytała, odwracając wzrok.

„Skąd taki pomysł?”

„Krwawiłam. Każdego miesiąca zginałam się z bólu”.

„Dlaczego mi nie powiedziałaś? Chociaż to właściwie moja wina. Mogłam z tobą o tym porozmawiać. Nadal krwawisz?”

„Nie. Ucieszyłam się, że krwawienie ustało, ale teraz każdego ranka wymiotuję po śniadaniu.

Mogłabym spać całymi dniami”.

Mabel wreszcie zrozumiała. Usiadła razem z dziewczyną przy stole piknikowym.

„Urodzisz dziecko” – powiedziała. „Ty i Garrett. Nosisz jego dziecko”.

\*

Nad rzeką unosiła się mgła, a ich oddechy zamieniały się w białe obłoczki. Faina wpatrywała się w odległe zarysy gór.

„Wiem, że się boisz, dziecino. Ale wierzę, że ci się uda”.

„Jak? Przecież nic nie wiem. Ani o dzieciach, ani o matkach”.

Dziewczyna spojrzała z rozpaczą na Mabel.

„Ty na pewno coś wiesz” – stwierdziła nagle. „Musisz coś wiedzieć o dzieciach. Proszę, powiedz mi. Weź je sobie, bądź jego matką”.

Mabel złożyła ręce na podołku.

Tęskniła za tym przez całe życie. Niezbyt często pozwalała sobie na tę słabość, ale czasami siadała po prostu na krześle, zamykała oczy i krzyżując ramiona na piersiach, wyobrażała sobie, że trzyma w rękach niemowlę. Czowała bijące od niego

ciepło, zapach mleka i zasyпки unoszący się nad główką, gładziła jego skórę, delikatniejszą niż płatki kwiatów. Patrząc na inne matki, zrozumiała w końcu za czym tęskniła, co było jej absolutnie niezbędne do życia: chciałyby kiedyś głaskać i tulić jedną z tych malutkich istotek. Matki odruchowo całowały trzymane w ramionach opatulone niemowlęta. Mijając swoje maluchy na korytarzu, gładziły je po włosach, a czasem brały na ręce i tak długo obsypywały pocałunkami po szyi, że dzieciak zaczynał pisać z radości. Mabel miała świadomość, że kobiety nie mogły kochać nikogo innego z większą otwartością i oddaniem.

Nagle musiałyby poradzić sobie z dzieckiem, potencjalnym dzieckiem, które zostało jej zaoferowane. Odczuwała olbrzymią pokusę, żeby przyjąć ten dar. Być może tak wyglądało jej przeznaczenie. To, o czym marzyła, wreszcie miało się spełnić.

Przecież tak właśnie należało zrobić, prawda? Dziewczyna, właściwie dziecko, które mieszkało samo w lesie, nie było w stanie zapewnić niemowlęciu bezpieczeństwa. Oni zaś, pomimo swojego wieku, mieli wszystko, aby je wychowywać. Posiadali dom i środki do życia. Dziecko mogło liczyć na dach nad głową i ciepły posiłek. Po jakimś czasie posłaliby je do szkoły, gdzie nauczyłyby się poprawnej wymowy i rysowałyby dla nich śmieszne obrazki.

Udało jej się jednak odsunąć na bok te marzenia. To nie było jej dziecko, niezależnie od tego, jak bardzo o tym marzyła. Należało do Fainy i dziewczyna musiała o tym wiedzieć.

\*

Faina chciała uciec, podobnie jak wiele razy wcześniej. Do lasu. W dzicz. Jak najdalej.

Mabel złapała ją za rękę i nakłoniła do zajęcia miejsca obok siebie.

„Nie możesz uciekać. Nie tym razem. Masz to w sobie”.

Ścisnęła w rękę szczupłe białe palce dziewczyny, jakże różne od jej pokrzywionych, pokrytych starczymi plamami paluchów.

„Pomożemy ci” – dodała łagodnie. „Każde z nas, Ja, Jack i Esther. Ona na pewno zechce ci pomóc, chyba nigdy nie poznałam bardziej wspaniałomyślnego człowieka. Możesz też liczyć na Garretta”.

Dziewczyna wbiła wzrok w ziemię.

„Faino, on musi o tym wiedzieć. Skoro już wiesz, że razem spłodziliście dziecko, które dojrzewa w twoim łonie, to powinnaś mu o tym powiedzieć”.

„Rozgniewa się”.

„Ależ skąd. Wystraszy się, dokładnie tak jak ty. Ale na pewno się nie rozgniewa. On cię kocha. Wierzę w was oboje”.

Dziewczyna odeszła, zostawiwszy ją przy stole. Mabel skrzyżowała ramiona, drżąc pod płaszczem. Zrezygnowanie z tego dziecka było żalonym, rozpaczliwym gestem Fainy. To wysokie, szczupłe przestraszone chuchro zniknęło gdzieś w lesie, a Mabel wciąż nie potrafiła się pogodzić z tą niesprawiedliwością – to ona pragnęła dziecka i nigdy się go nie doczekała, a nie ta dziewczynka, którą przytłoczył ciężar mogący się okazać ponad jej siły.

\*

– Faina jest w ciąży.

Wiedziała, że oznajmianie złych wieści przy obiedzie to okropny zwyczaj, ale była to jedna z niewielu chwil, które spędzali wspólnie. Tym razem poczuła nagły lęk, że zrobiła mu jakąś krzywdę. Zakrztusił się, a jego twarz zrobiła się nagle fioletowa. Kaszłał tak długo, że wstała z krzesła gotowa walnąć go w plecy, w końcu jednak odchrząknął i zdołał się opanować. Czekala, aż się odezwie, ale wciąż milczał.

– Faina jest w ciąży, Jack.

– Słyszałem.

– I co...

– Co?

– Tylko tyle masz do powiedzenia?

– A co mam powiedzieć? To nasza wina. Mieliśmy chronić to niewinne dziecko. To my do tego dopuściliśmy.

– Czy ty zawsze musisz szukać winnych?

– Zawsze jest jakiś winny.

– Wcale nie. Czasem coś się po prostu dzieje. Życie nie zawsze idzie zgodnie z planem i nie spełnia naszych nadziei, ale to nie oznacza, że musimy się wściekać, prawda?

Widziała, że ta rozmowa odbiera mu apetyt. Wyglądało to tak, jakby dławił się każdym kęsem. Wreszcie odsunął od siebie talerz.

– Rozumiem, że czeka nas wesele, tak? – Wciąż miał zde gustowany wyraz twarzy.

– No cóż... nikt jeszcze o tym nie wspominał.

– Będzie wesele – powtórzył głośno i wyraźnie, nie pozostawiając miejsca na żadne wątpliwości.

– W takim wypadku musimy im o tym powiedzieć. – Uśmiechnęła się cierpko.

– Ale masz rację. To jedyne rozwiązanie.

\*

Przypomniała sobie o baśni dopiero nocą, gdy leżała w łóżku, rozmyślając o ślubie. Wygramoliła się spod kołdry i z zapaloną świecą podeszła do regału. Wyjęła ukryte w książce szkice i zaczęła przeglądać ilustracje, szukając tej, która najmocniej utkwiała w jej pamięci. Obrazek przedstawiał polanę w lesie pełną zielonych liści i kwitnących kwiatów. Śnieżna dziewczynka miała na sobie lśniąca od klejnotów białą suknię, a jej głowę zdobił wieniec z leśnych kwiatów.

Tuż obok niej stał przystojny młodzieniec, a nad ich głowami świeciło jaskrawe słońce.

Mabel pragnęła zamknąć natychmiast tę książkę, wrzucić ją do pieca na pożarcie płomieniom, ale przewracała kolejne kartki, aż dotarła wreszcie do ilustracji budzącej w niej największy lęk. Ona również przedstawiała wianek z leśnych kwiatów, tym razem jednak nie zdobił on już głowy dziewczyny, tylko leżał na ziemi jak wieniec żałobny rzucony na grób. Mabel odruchowo zakryła dłonią usta, ale na szczęście zdołała powstrzymać się przed głośnym jękiem.

Jack wiercił się w łóżku. Zebrała swoje szkice i wsunęła je z powrotem do książki, po czym odłożyła ją na półkę. Będzie musiało minąć sporo czasu, nim znowu do niej zajrzy, postanowiła też od tego dnia już nigdy więcej o niej nie wspominać.

## ROZDZIAŁ 49

Jack był spokojny. Nie dało się już tego wszystkiego cofnąć, ale przynajmniej miał jakiś plan.

Wszystko zaczęło się, gdy zaledwie kilka dni po rewelacjach Mabel dotyczących Fainy przyszedł do niego Garrett. Podejrzał, że młody człowiek zjawił się, by dokończyć kłótnię lub w ogóle zakończyć ich znajomość. Tymczasem okazał się zaskakująco pokorny.

– Chciałem poprosić o rękę Fainy. Wiem, że jesteśmy młodzi i nie mogę jej zbyt wiele zaoferować, ale skoro jesteśmy razem, chcę to jak najlepiej wykorzystać.

Było to tak niespodziewane, że Jack aż musiał usiąść. Garrett chrząkał nerwowo, przestępując z nogi na nogę.

Jack musiał przyznać, że nie tego się spodziewał. Podejrzał oczywiście, że w końcu się pobiorą i chłopak weźmie na siebie odpowiedzialność za dziewczynę, ale nie przypuszczał, że to właśnie jego poprosi o rękę Fainy.

Ojcostwo nie pojawiło się w jego życiu nagle, razem z tryskającą krwią i pierwszym krzykiem; przychodziło do niego stopniowo, całymi latami, tak że właściwie nawet tego nie zauważył.

A teraz, kiedy w końcu zrozumiał, że Faina naprawdę jest jego córką, pojawia się ten chłopak i pyta, czy może ją zabrać.

– Będę dla niej dobry. Przrzekam.

Jack otrząsnął się z zamyślenia. Kiedy spojrział na Garretta, zrozumiał, że Mabel miała rację – on naprawdę kochał tę dziewczynę. Tylko czy to wystarczy? Przecież już raz nadużył jego zaufania, okłamał go pod jego własnym dachem i wykorzystał nadarżającą się sposobność. Jack podniósł się z krzesła i stanął naprzeciwko chłopaka.

– Będiesz dla niej dobry – powiedział i nie był to wyraz zgody, ale rozkaz. Wyciągnął rękę i uścisnęli sobie dłonie jak ludzie, którzy dopiero się poznali i nie byli jeszcze pewni, co o sobie sądzić.

To właśnie tej nocy Jack wpadł na pomysł. Natychmiast obudził Mabel.

– Wybudujemy im dom, tutaj, na naszej ziemi.

– Co takiego? Która godzina?

– Zbudujemy im chatę przy rzece. Dzięki temu będą mieli własny kąt, a Garrett będzie blisko farmy.

– Hm? – Mabel była na wpół przytomna, ale Jack niezrażony ciągnął dalej:

– Faina będzie tak blisko, że bez problemu pomożesz jej przy dziecku. Zaczniemy budowę zaraz po zasiewach. Może nawet wyprawimy im weselisko.

– Weselisko? Gdzie?

– Tutaj, Mabel, tutaj. Zamieszkają tutaj, blisko nas. Wszystko będzie dobrze.

– Hm...

Odpowiedź żony najwyraźniej go usatysfakcjonowała, bo pozwolił jej ponownie zasnąć.

\*

Patrzył, jak czyste światło poranka wpada przez okno i oświetla twarz Fainy, i zastanawiał się, czy bycie ojcem zawsze jest takie trudne. Wypili dzbanek herbaty i zjedli kilka kromek chleba z dżemem jagodowym. W końcu nie mógł już dłużej zwlekać z rozmową, którą obiecał Mabel.

Jego żona stała przy blacie kuchennym i starała się zmywać naczynia najciszej, jak tylko można. Zwykle nie odkładała tego do rana, ale teraz płukała, wycierała i suszyła każdy talerz, jakby był zrobiony z cennej porcelany, próbując jednocześnie nie uronić ani słowa z tej rozmowy.

Jack odchrząknął, mając nadzieję, że uda mu się przybrać ojcowski ton.

„Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz, Faino?”

„Kocham go, a tego właśnie pragnę zakochani, prawda?”

„Twoje życie się zmieni. Nie będziesz już mogła na całe tygodnie zniknąć w lesie. Będziesz matką i żoną. Na pewno wiesz, co to znaczy?”

Dziewczyna przekrzywiła głowę i wzruszyła ramionami, a potem wpatrzyła się w Jacka tymi błękitnymi oczami i czystość jej spojrzenia wstrząsnęła nim do głębi. Miała ten sam wyraz twarzy, który widział już wiele razy, zdumiewające połączenie mądrości, słabości i siły. Dostrzegł go, gdy sypała śniegiem na grób swojego ojca i kiedy pojawiła się w drzwiach ich domu z zakrwawionymi rękami.

Jej spojrzenie potrafiło wyrazić jednocześnie smutek, doświadczenie, miłość i rozczarowanie.

„Wiem, że go kocham. I pokocham nasze dziecko”.

„Chcesz go poślubić?”.

„Jesteśmy dla siebie stworzeni”.

Jack spodziewał się, że będzie szczęśliwy. Czyż nie tak właśnie powinien się czuć ojciec?

Czy nie powinien odczuwać radości zamiast żalu? Ukrywali swój romans przed całym światem i mieli nieślubne dziecko, ale nie to ciążyło mu najbardziej. Obawiał się, że Faina już nigdy nie będzie tą dziewczynką, która poruszała się pomiędzy drzewami, jakby unosiła się ponad śniegiem, patrząc na wszystko tymi oczami o barwie lodu. Sprawiała, że ich życie stało się pełne magii, przychodziła i odchodziła wraz z porami roku, przynosząc w małych rączkach skarby z głuszy.

To dziecko odeszło na zawsze i Jackowi nie pozostawało nic innego, jak zacząć je opłakiwać.



## ROZDZIAŁ 50

**T**ruskawki właśnie zaczynały zielenieć i wypuszczać czerwonawioletowe pędy. Mabel pochylała się nad każdą roślinką i obcinała zeszłoroczne odrosty, odrzucając na bok zwinięte, zbrązowiałe listki. Kiedy dotarła do końca grządki, wyprostowała się, włożyła nożyce do kieszeni fartucha i podwinęła szerokie rondo słomkowego kapelusza.

Wciąż tam była. Ostatnia łaucha śniegu na podwórku, ukryta w cieniu północnej ściany chaty, gdzie przez całą zimę zgromadziła się najgrubsza warstwa białego puchu. Ciepłe dni sprawiły, że zaspą zmalała do wielkości koła od wozu.

Mabel zmrużyła oczy przed prąjącym słonecznym blaskiem i podwinęła rękawy sukienki.

Zapowiadał się skwar, jak lubił powtarzać Garrett. Pracowali z Jackiem w polu w samych koszulach.

Była pewna, że wrócą do domu spaleni słońcem.

Naciągnęła rondo kapelusza z powrotem na czoło, by ochronić oczy, po czym wzięła grabie oparte o płot i zaczęła przedzierać się przez grządki truskawek, poruszając ziemię i wyrównując rzędy. Kątem oka widziała promienie słoneczne lśniące na białym śniegu. Wkrótce się roztopi.

\*

Często wracała myślami do słów Ady, która pisała w swoim liście o tworzeniu nowych zakończeń, przedkładaniu radości nad smutek. Niedawno doszła do wniosku, że jej siostra się myliła. Przed cierpieniem, śmiercią i stratą nie można uciec.

A jednak to, co Ada napisała o radości, było całkowitą prawdą. Gdy stawała przed tobą z tajemniczym uśmiechem, obejmowałaś radość ze wszystkich sił, wiedząc, że długo nie potrwa.

\*

Kiedy Faina wynurzyła się ze świerkowego lasu, promienie słońca nadały jej jasnym włosom osobliwy srebrnozłoty blask, który przyglądającej się temu z podwórza Mabel kojarzył się z rozbłyskami robaczków świętojańskich. Szczupły, długonogi psiak nie odstępował jej ani na krok, wachlując się wystawionym jęzorem.

Dziewczyna miała na sobie prostą bawełnianą sukienkę w niebieskie kwiaty odsłaniającą ramiona i nogi. Mabel sama ją dla niej uszyła. Kiedy przemierzyła pewnym krokiem porośnięte świeżą trawą podwórze, podchodząc do niej, Mabel zauważyła świeżą opaleniznę na jej skórze.

Faina była boso, a jej wysoka i szczupła sylwetka wciąż nie zdradzała żadnych oznak ciąży.

Dziewczęca postać zatrzymała się przed grządkami truskawek i przykucnęła obok psa.

Podrapała go pod brodą i pogładziła po głowie. Zwierzę wyszczerzyło zęby w uśmiechu tak samo jak tamtego pierwszego dnia. Wstała, wskazując mu coś bez słowa, a psiak natychmiast położył się na ziemi. Wciąż ziajał, jego czarna sierść lśniła w promieniach słońca.

Kiedy Faina ruszyła pomiędzy grządkami truskawek, jej bose stopy zapadały się w rozmiękłą ziemię, która przesypywała się pomiędzy palcami dziewczyny. Przywitała się z Mabel, całując ją w policzek. Kobieta wzięła ją w ramiona i przytuliła do siebie przez dłuższą chwilę, czując na plecach palące promienie słońca.

„Dobrze wyglądasz” – powiedziała Mabel.

„I tak też się czuję” – przyznała Faina.

„Właśnie tak”.

## ROZDZIAŁ 51

Jack poprowadził Garretta na łąkę ciągnącą się nad rzeką. – To twoje – oznajmił. Były to pierwsze słowa, jakie do niego wypowiedział od tamtego dnia. – To prezent ślubny. Zbudujemy tu chatę z widokiem na góry.

– Ładne miejsce.

Następnego wieczoru po kolacji Jack był przekonany, że Garrett wrócił do stodoły, powiedział więc Mabel, że musi się trochę przewietrzyć, i poszedł na łąkę. Chłopak stał w błocie z łopata i siekierą, próbując wytyczyć zarysy swojego nowego domu.

\*

Z łatwością, wręcz z ulgą odnaleźli rytm i cel towarzyszący wspólnej pracy: głuchy łoskot padających drzew, powalonych pociągnięciami dwuręcznej piły; zgrzyt ośnika na świerkowej kłodzie, ciągnącego za sobą długie pasmo kory; stukot naostrzonej siekiery wycinającej nacięcia w drewnie. Pomijali milczeniem miłość i oddanie, niszczycielskie nadzieje i lęki, kryjące się w nabrzmiętym kobiecym łonie. Wystarczyło im wsłuchiwanie się w odgłosy rudzików o czerwonych brzuskach i trznadli świergocących o północy wśród drzew, gdy skończyli właśnie układać kolejną kłodę.

Kiedy zakończyli obsiewać pola, ściany chaty sięgały im już do pasa, a odkąd mieli więcej czasu, praca postępowała coraz szybciej. Jack pozwolił Garrettowi wykonywać najcięższą robotę.

Czasami siadał na kłodzie, żeby dać odpocząć zmęczonym plecocom, i obserwował młodego człowieka przy pracy. Mabel zwykle przynosiła im kosz z jedzeniem, a niekiedy zostawała na chwilę, by doradzić, gdzie powinny znajdować się okna lub jak mogłaby wyglądać weranda.

Faina natomiast zniknęła. Jack zakładał, że młodzi spotykają się czasem na osobności, ale dziewczyna nie odwiedziła ich ani razu. Tym razem to on się niepokoił jej nieobecnością.

– Ona przecież powinna teraz odpoczywać i regularnie się odżywiać.

– Nic jej nie będzie, Jack – uspokajała go Mabel.  
– Dlaczego nie zamieszkała z nami do ślubu?  
– Jest tam, gdzie chce. Nie zostało jej zbyt wiele czasu.  
– Niby na co?  
– Jej życie niedługo się zmieni. Cokolwiek się stanie, już nie będzie mogła biegać po lesie.

Wszystko będzie inaczej.

– Nie musisz mi tego mówić. Chcę tylko mieć pewność, że jest zdrowa i bezpieczna.

– Wiem.

Nigdy wcześniej nie słyszał w jej głosie takiego zaprawionego goryczą pogodzenia się z losem.

\*

Dziewczyna pojawiła się dopiero pewnego upalnego czerwcowego dnia. Wypadła razem z psem pomiędzy drzew, jakby oboje uczestniczyli w jakimś zaciętym wyścigu. Garrett siedział okrakiem na niedokończonej ścianie chaty, podczas gdy Jack za pomocą bloku wciągał na górę kolejną kłodę. Faina była boso, spod sukienki z krótkim rękawem wystawały umięśnione i opalone nogi i ręce, a jej długie włosy wypływały od słońca.

Widząc nieśmiały uśmiech, jakim powitała Garretta, Jack poczuł się nagle jak intruz.

Chłopak zeskoczył na ziemię i zaciągnął Fainę przez otwór drzwiowy do pozbawionego dachu wnętrza.

„Wiem, że na razie trudno to sobie wyobrazić, ale tu będzie kuchnia, a tutaj okno z widokiem na rzekę. Podoba ci się?”

Dziewczyna skinęła głową, ale wzrok miała nieobecny, zupełnie jakby nie potrafiła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

„W tym miejscu będzie piecyk. A tam sypialnia, nasza i dziecka. Wiem, że nie jest za duża, ale powinna wystarczyć”.

Faina ponownie kiwnęła głową. Jej milczenie nie robiło na Garretnie najmniejszego wrażenia.

„Będzie dobrze, prawda? Kiedy wstawimy okna i drzwi, poczujemy się jak w prawdziwym domu. A ty jak myślisz, Jack?”

Chciał się z nim zgodzić, powiedzieć, że będzie to doskonały dom dla młodego małżeństwa, ale potem zobaczył czuły uśmiech dziewczyny, wpatrującej się z ufnością w Garretta, i zamilkł.

Nagle zrozumiał, że to ona była najprawdopodobniej silniejszą i mądrzejszą połową tego związku.

Wrócili do pracy, a Faina dotrzymywała im towarzystwa. Rzuciła psu patyki. Biegała w wysokiej zielonej trawie wokół chaty, zrywała dzwonki i żółte astry, ale jej wzrok co chwila wracał w stronę lasu. Kiedy w pewnej chwili pies ruszył w hałaśliwą pogoń za wiewiórką, natychmiast pognała za nim, zatrzymując się tylko na sekundę, żeby pomachać im na pożegnanie.

\*

– Odeszła – zauważył Garrett.

– Tak. Ale wróci.

– Wiem. Chociaż czasem mam wątpliwości.

– Czego dotyczą?

– Czy to faktycznie dla niej najlepsze. Dziecko. Ja. Nie wiem, czy nadaje się do takiego życia.

– Trochę już za późno na takie rozmyślenia. – Jack w ułamku sekundy pożałował tej złościwości.

– Może nie będzie musiała rozstać się z tym wszystkim – ciągnął Garrett. – Po narodzinach dziecka mógłbym ją zabrać zimą do lasu i porozstawilibyśmy sidła. Nie wszystko musi się tak od razu zmieniać.

– Ale tak będzie. Zawsze się zmienia. Zrób jednak dla niej, co tylko w twojej mocy. – Jack odwrócił się z powrotem do ściany, wiedząc, że tym właśnie powinni się zajmować mężczyźni:

rąbaniem drzew, przycinaniem kłód i stawianiem domów. – Chodź – ponaglił chłopaka. – Już prawie dotarliśmy do kalenicy.

Musimy to skończyć przed ślubem.

## ROZDZIAŁ 52

Za cholerę tego nie skończą przed ślubem. – Esther zadzierała głowę i z rękami opartymi na biodrach przyglądała się złocistobrazowym kłodom. – „Jeszcze tylko parę dni, mamó. Już prawie skończyliśmy”. Ciągłe mi to powtarzał. Dlaczego faceci zawsze przeceniają swoje możliwości?

Mabel uśmiechnęła się wbrew sobie.

– I tak już sporo zrobili.

– Z pewnością. Ale mówię ci, że nie zdążą z dachem do niedzieli.

– Chyba masz rację. – Pomyślała o dziewczynie spoglądającej z łóżka na nocne niebo prześwitujące pomiędzy kłodami, i zrobiło jej się jakoś rażniej na duchu.

– Wszystko będzie dobrze, dopóki nie zacznie padać i po raz pierwszy w dziejach Alaski nie pojawią się lipcowe komary. – Esther nie kryła sarkazmu. Podciągnęła szelki swoich ogrodniczek i wzruszyła ramionami. – Cóż, kiedy jest się młodym, wszystko wydaje się takie romantyczne, prawda? Nawet chata bez dachu.

– Jest śliczna. Uszyłam im zasłonki. A George wygadał się, że właśnie robisz koldrę.

– Tak. I skończę ją do niedzieli. – Esther roześmiała się i dodała: – Za dużo sobie nie pościę w tym tygodniu. A co z suknią ślubną?

– Jest już gotowa, ale Faina ma jakieś tajemnicze plany co do niej. Przez ostatnie parę nocy pracowała nad nią u nas w domu. Czeka, aż się położymy, a potem rozkłada ją na stole i zaczyna przy niej coś majstrować. Nie chce powiedzieć co.

– Dziwaczka z niej, prawda?

Mabel nigdy tak o niej nie myślała, ale dziewczyna faktycznie była dziwna i nawet tak niekonwencjonalna osoba jak Esther mogła mieć pewne obawy związane z ożenkiem swojego syna. Fascynująca nieznajoma to jedno, synowa – zupełnie co innego.

– To prawda... Nie znam nikogo takiego jak Faina – przyznała Mabel, ostrożnie dobierając słowa. – Ale nie poznałam też nikogo takiego jak ty.

– No dobrze, niech ci będzie. Wiem, że powinnam dziękować Bogu za to, że ktoś jest w stanie znosić mojego syna.

– Ona nie tylko go znosi. Myślę, że to coś więcej.

– Hm... – bąknęła z powątpiewaniem Esther.

– Mają ze sobą wiele wspólnego. Kochają to miejsce i siebie nawzajem.

– Ale kim ona jest? To jakaś dzikuska z gór. Garrett nawet nie wie, gdzie to dziewczyszko całymi dniami się podziewa. Co się stanie, gdy będzie miała na karku wrzeszczącego bachora i zlew pełen brudnych garów? Czy pozostanie tu na tyle długo, by być dobrą żoną i matką?

Słowa uwięzły Mabel w gardle. Poszła za róg chaty, udając, że przygląda się drugiej ścianie.

Esther momentalnie stanęła u jej boku.

– Och, Mabel. Przepraszam, nie chciałam. Wiem, że traktujesz tę dziewczynę jak córkę, a mój syn na pewno ją kocha. To powinno nam wystarczyć, prawda?

Mabel powstrzymała łzy i spróbowała się uśmiechnąć.

Wróciły do chaty, trzymając się pod ramię.

\*

Koszmary powróciły. Trzymała w dłoniach nagie, rozwrzeszczane niemowlęta, które roztapiały się i skapywały pomiędzy jej palcami na ziemię, kiedy tylko próbowała je do siebie przytulić.

Czasem udawało jej się przycisnąć któreś z nich do piersi, ale momentalnie sobie uświadamiała, że to właśnie ciepło jej ciała sprawia, że się rozpuszczają.

Potem we śnie pojawiała się Faina – jej twarz migąła wśród drzew, jakby przez zasnutą deszczem szybę. Mabel wybiegała na dwór, gdzie szalała oślepiająca letnia ulewa, taka jaką pamiętała ze swoich rodzinnych stron. Biegła przez las, nawołując dziewczynę, a kiedy deszcz zaczynał zalewać jej oczy i usta, budziła się, nie mogąc zaczerpnąć oddechu. Miała też inny sen, w którym zanurzała się po pas w rzece i zaciskała dłonie na nadgarstkach Fainy, próbując ją ocalić przed rwącym nurtem. Nigdy nie starczało jej sił, dziewczyna w końcu wyślizgiwała się z jej uchwytu i zniknęła w mulistej spienionej wodzie. Choć machała rozpaczliwie rękami i wydawała z siebie przeraźliwe okrzyki, wołając o pomoc, Mabel nie była w stanie ruszyć się z miejsca. Mogła się tylko przyglądać, jak jej piękna córeczka

znika pod wodą. W każdym z tych snów była jak sparaliżowana, nie potrafiła nawet krzyknąć.

\*

Kiedy nadszedł dzień ślubu, okazało się, że Esther miała rację – chata nie została skończona, ale była dzięki temu jeszcze ładniejsza, niczym drewniana katedra pod sklepieniem z nieba.

Mabel poszła tam o poranku, żeby nacieszyć się samotnością. To miejsce stało się dla niej święte: szum rzeki, zapach świeżo heblowanych świerkowych kłód, błękitne niebo, zielona łąka.

W powietrzu unosił się biały puch kwitnących topól.

Jack wciąż był w ich chacie – ładował na wóz stoły i krzesła. George i Esther pojawią się tuż przed ceremonią i przywiozą ze sobą jedzenie. Ślubu miał udzielić najstarszy syn Bensonów, który nie był pastorem i niezbyt często uczęszczał do kościoła, ale taka była wola Garretta i nikt nie protestował. Mabel wolałaby prawdziwego kapłana, choć musiała przyznać, że potomek Esther i George'a ładnie się wysławiał. Poza braćmi Garretta i ich rodzinami nie zaproszono na wesele żadnych innych gości, na co Mabel nalegała od samego początku.

Pośrodku nieukończonej chaty wisiała zasłona z prześcieradła, za którą Faina mogła się przebrać i przygotować do ślubu. Jeszcze się nie pojawiła, choć to ona miała przynieść suknię.

Mabel uszyła ją z surowego jedwabiu, który dostała od Esther. Były to ścinki pozostałe z sukni ślubnej jej najstarszej synowej.

– Miała mnóstwo materiału – powiedziała Esther. – Domagała się kryz, plis i tym podobnych.

To istny cud, że mogliśmy ją zobaczyć przez te warstwy tkaniny. Powiem tylko tyle: jestem szczęśliwa, że to jej rodzice płacili za tę suknię.

Jedwab barwy kości słoniowej został sprowadzony ze sklepu w San Francisco i z pewnością kosztował tyle, że Mabel i Jack nigdy by nie mogli sobie na niego pozwolić, jednak Esther upierała się, że i tak nie ma co z nim zrobić. Mabel zresztą nie próbowała zbyt gorliwie oponować – materiał był przepiękny, wysokiej jakości i o ciekawej fakturze.

Nie miała żadnego wzoru, ale nie przywiązywała do tego znaczenia, ponieważ widziała suknię ślubną Fainy w wyobraźni, tak więc szkicowała, szyła i haftowała



ją całymi dniami. Mając do dyspozycji same skrawki jedwabiu, musiała uruchomić całe pokłady pomysłowości, ale na szczęście kreacja miała być prosta i nie wymagała zbyt wiele materiału: dół sięgający do kostek, długie rękawy i obcisła góra. Skromny dekolt, odsłaniający kość obojczykową. Nic nazbyt nowoczesnego ani staroświeckiego jak suknie z kołnierzykami, pamiętane przez Mabel z czasów młodości.

Sukienka miała wyglądać jak coś, co mogłyby nosić europejskie panny młode biorące ślub w jakiejś wiejskiej kapliczce. Faina powinna wyglądać w niej jak alpejskie piękności, rosyjskie krasawice.

O ile samą suknię szyło się łatwo, o tyle gorzej było z haftami; Mabel ślęczała nad nimi przy kuchennym stole do późna w nocy, mrużąc oczy. Białą nitką wyszywała na długich rękawach, wąskiej górze sukni i jej dole malutkie gwiazdziste kwiaty, spirale cieniutkich pnączy i liście.

Białe ściegi na jedwabiu o barwie kości słoniowej były ledwo widoczne; kiedy padało na nie światło, kwiaty można było pomylić z płatkami śniegu.

Wciąż jednak nie wiedziała jeszcze, jak suknia wygląda na Fainie.

„To ma być niespodzianka” – powiedziała dziewczyna. „Poczekaj, a zobaczysz”.

Jaka niespodzianka, skoro sama ją uszyła? Udało jej się uzyskać od dziewczyny przyrzeczenie, że jeśli strój będzie wymagać jakichś poprawek, to natychmiast do niej wróci. Od tej pory nie widziała już ani Fainy, ani sukni.

Garrett również jeszcze się nie pojawił, choć to on miał przynieść obrączki. Tu też kryła się jakaś tajemnica – Esther chciała, aby to jedno z jej wnucząt podawało obrączki młodej parze, podczas gdy drugie miało się zająć sypaniem kwiatów, ale jej najmłodszy syn oznajmił, że ma zupełnie inne plany i poprosił Mabel o przygotowanie wieńca z kwiatów.

– To dla Fainy? – zapytała Mabel drżącym głosem. „Nie ma mowy”, pomyślała. Nie dopuści do tego. Żadnej korony z kwiatów na głowie.

– Nie. Nie dla niej – odparł Garrett. – Musi być większy. Mniej więcej taki. – Zakreślił w powietrzu okrąg o rozmiarze dużej miski.

\*

Wiedząc, jak szybko więdną leśne kwiaty w takim upale, Mabel wstrzymała się z wyplataniem wieńca aż do dnia ślubu. A było naprawdę gorąco. Ledwie po ósmej rano, a rosa już obeschła.

Nad szczytami unosiło się rozpalone arktyczne słońce.

Kwiaty do welonu Fainy i kwiaty do jej bukietu, kwiaty do słoików i kwiaty na wieniec, o który prosił Garrett, płatki i łądygi, liście i kwiaty – Mabel próbowała się temu oddać bez reszty, zatracić się w tym jak w haftowaniu. Pragnęła pozbyć się uczucia, że fatum wisiało nad górami niczym burza. Chciała zapomnieć o topniejącym śniegu, kwiatowych koronach, ognistych pocałunkach i zakończeniach baśni.

Uważając, by nie rozerwać dopiero co uszytej bawełnianej sukienki, Mabel wzięła metalowe wiadro i poszła na skraj łąki po wierzbówki z wysokimi łądygami, zaczynające dopiero kwitnąć fuksje, dzwonki ze słodkim nektarem, dzikie róże z pięcioma różowymi płatkami i kolczastymi łądygami, bodziszki o malutkich fioletowych płatkach z ciemniejszymi żyłkami. W lesie, z dala od palącego słońca, schyliła się, by zerwać delikatne białe śniedki, zawieszane nad ziemią na łądygach cienkich i napiętych jak nitka, derenie z białymi płatkami, cienistki trójkątnie i wietlice samice, a w ostatniej chwili również kilka krzaków dzikiej porzeczki, z zakończonymi ostro liśćmi i dojrzałymi, czerwonymi jagodami lśniącymi niczym klejnoty.

\*

Bensonowie przyjechali, gdy układała kwiaty w słoikach wypełnionych zimną wodą z rzeki.

– Popatrz tylko na nas – powiedziała Esther, zeskakując z wozu.

– Boże drogi, Esther, chyba po raz pierwszy widzę cię w sukience!

– Nie przyzwyczajaj się. Na wesele przebiorę się w ogrodniczki.

Obie kobiety padły sobie ze śmiechem w objęcia.

– A gdzie młodzi? Mam nadzieję, że nie obleciał ich strach i nie zwiali?

– Nie mam pojęcia. Zakładam, że Faina zaraz się zjawi. Muszę jej pomóc przy sukni i fryzurze.

Która godzina?

– Dochodzi południe. Nie mamy czasu do stracenia.

W tej chwili ze szlaku dobiegł dziwny warkot. Wszyscy odwrócili się w tamtym kierunku.

– Co to? – zapytała Mabel.

– Ani chybi to będzie Bill – odparł George. Zza rogu wyjechał, podskakując na wybojach i wzbijając tumany kurzu, lśniący automobil.

Esther skrzywiła się z obrzydzeniem i spojrzała na Mabel.

– To prezent od jej rodziny – wyjaśniła. – Śpią na pieniądzach.

Jack stał w bezruchu, wyraźnie pod wrażeniem.

– Czy to jedna z tych ciężarówek, o których tyle słyszałem?

– Tak. Ford model A w wersji ciężarowej – powiedział George chętnie i Esther wywróciła oczami.

– Musieli transportować go z Kalifornii statkiem, a potem jeszcze koleją. A wszystko po to, żeby Bill odbył przejażdżkę z naszego domu do waszego – wyjaśniła Esther.

Automobil zatrzymał się ze zgrzytem w trawie tuż obok stołu piknikowego. Najstarszy syn Bensonów otworzył drzwi i z uśmiechem od ucha do ucha stanął na stopniu.

– Niczego sobie sposób podróżowania, co? – zawołał. Uniósł nad głowę białą fedorę i uklonił się Mabel.

– Musisz trochę wycofać – stwierdziła Esther. – Nie ma potrzeby, żebyś parkował wśród jedzenia.

– Dobrze, mamó.

Bill z żoną i parą małych dzieciaków wysiedli z samochodu, rozglądając się wokół, jakby trafili na jedną z ulic Manhattanu. Dzieci miały na sobie mnóstwo koronek i kokard oraz buty, które lśniły w słońcu. Żona była ubrana w elegancką modną suknię z fioletoworóżowego jedwabiu i toczek wciśnięty na krótkie włosy.

– Nie wyglądają na członków naszej rodziny, prawda? – poskarżyła się szeptem Esther. – Ale chyba nie możemy się ich z tego powodu pozbyć.

Mabel bardzo szybko odkryła, że Bill i jego żona Lydia są ciepłymi uroczymi ludźmi. Kobieta momentalnie zaoferowała jej pomoc przy kwiatkach i przygotowaniu jedzenia, podczas gdy ich pociechy bawiły się beztrudnie na łące.

Drugi syn Bensonów, Michael, przyjechał z żoną i trzema córkami, z których najmłodsza wciąż była w beciku.

– Czy ona już jest? Nie do wiary, że żadna z nas dotąd jej nie widziała. – Do Mabel dotarły szeptem dwóch młodych żon. – Ciekawe, co będzie miała na sobie. Słyszałaś coś o jej sukni?

Pomagając Esther nakryć oba stoły białymi obrusami, Mabel usiłowała skupić się na wydymającym się na wietrze płótnie i nieheblowanym drewnie, które wyczuwała pod palcami, gdy wyglądała zagniecenia.

„Jestem tutaj”. – Usłyszała nagle szept za swoimi plecami, ale kiedy się odwróciła, nikogo nie było.

„Tutaj. W chacie. Pomożesz mi?”.

To była Faina. Jej głos dobiegał zza pustego otworu okiennego. Jak się tam dostała, nie będąc przez nikogo zauważona? Mabel przeprosiła zebranych i weszła do chaty. Szkielet z kłód wpuszczał do środka promienie słońca. Blask oślepił ją na chwilę.

„Jestem tutaj”.

„Masz na sobie suknię?”.

„Nie. Nie możesz jej jeszcze zobaczyć. Ale chciałabym, żebyś mnie uczesała”.

Faina stała przed nią boso, w bawełnianej halce, którą sama dla niej uszyła. Jej brzuch był nieznacznie zaokrąglony, akurat na tyle, by halka była tam opięta, podobnie zresztą jak i w biuście.

Nie była już dzieckiem, ale wysoką, piękną młodą kobietą, i nigdy jeszcze nie wydawała się tak pełna życia. Mabel szybko opuściła za sobą zasłonę. Wcześniej tego ranka powiesiła na haczyku ślubny toczek i welon. Tuż obok leżała szczotka ze szczeciny dzika i lustro z macicy perłowej, które lśniło w słońcu. Faina przerzuciła włosy przez odsłonięte ramię.

„Zapleciesz mi warkocz?”.

„Będzie idealnie pasował do welonu, który ci zrobiłam”.

Mabel zaczęła szczotkować długie włosy Fainy, tak jasne, że niemal białe. Wyczesywała z nich małe kawałki porostów i paski brzozonej kory, a także kępki pozółkłej trawy. Kiedy włosy stały się gładkie jak jedwab, kobieta zebrała je w dwa warkocze, które ułożyła na piersiach dziewczyny. Podczas gdy Faina wyglądała przez niedokończone okno, Mabel wyjęła z kieszeni sukienki małe nożyczki krawieckie i ścięła ukradkiem pasemko włosów z jednego z warkoczy.

Wsunęła je do kieszeni razem z nożyczkami.

„Gotowe. Ślicznie wyglądasz”.

„A to na głowę? Jak to się nazywało? Welon?”.

„Powinno się go zakładać dopiero wtedy, gdy ma się już na sobie suknię”.

„Chcę go założyć już teraz. Musisz mi pomóc. Nie możesz jeszcze zobaczyć sukienki”.

Mabel zdjęła z haczyka toczek i welon i włożyła je na głowę Fainy, po czym przytwierdziła szpilkami do włosów. Potem umieściła dzikie różowe róże i białe śniedki w koronkach nad warkoczami dziewczyny i na jej czole. Z pewnością nie przypominało to korony z kwiatów, która sterczała z ziemi.

„Odejdź teraz, żebym mogła włożyć suknię”.

„Jesteś pewna? To i tak będzie niespodzianka”.

Mabel rozejrzała się po tymczasowo zaaranżowanej przebieralni, ale nigdzie nie dostrzegła sukni.

„Proszę”.

„No dobrze. Dobrze, dziecino. Czekamy na ciebie. Twój bukiet jest tam, w wiadrze”.

Faina uścisnęła rękę Mabel. Jej dotyk był silny i ciepły. Kobieta odwzajemniła uścisk, a potem pod wpływem impulsu przyłożyła dłoń dziewczyny do swoich ust i ją pocałowała.

„Kocham cię, dziecino” – wyszeptała.

Twarz Fainy pozostała spokojna i życzliwa.

„Chciałabym być taką matką, jaką ty jesteś dla mnie” – powiedziała tak cicho, że Mabel nie była pewna, czy się nie przesłyszała. Kiedy w końcu w to uwierzyła, słowa zapadły głęboko w jej sercu i nigdy o nich nie zapomniała.

\*

Gdy Faina przestąpiła próg chaty, zaległa cisza. Nawet dzieci zamilkły i wpatrzyły się w pannę młodą. Dziewczyna skinęła głową i uśmiechnęła się do nich, zupełnie jakby znała je przez całe życie.

W pierwszej chwili Mabel nie zauważyła żadnych różnic w sukni. Była idealnie dopasowana i szeleściła cichutko wraz z każdym ruchem. Na nogach dziewczyna miała skórzane mokasyny udekorowane połyskującymi białymi koralikami i zawiązane na białe wstążki krzyżujące się na łydkach. Welon opadał jej na plecy, a czoło ozdabiały kwiaty. W ręce trzymała bukiet z dzikiego kwiecia, paproci i gałązek porzeczek.

Gdy Faina podeszła bliżej, Mabel zobaczyła pióra. Białe pióra przyszyte do dekoltu sukni.

Przylegały tak ściśle do materiału, że wydawały się jego częścią. Układały się we wzór, od najmniejszych do największych, które znajdowały się pośrodku. Inne biegiły przy rąbku sukni, nie przykrywały jednak haftowanych płatków śniegu, raczej dopełniały wzoru.

Mabel usłyszała czyjeś westchnienie, zapewne którejś z młodych kobiet. Kiedy Faina ją minęła, idąc w stronę Jacka, jej oczom ukazał się tył sukni. Białe pióra

biegły do dołu, coraz większe i większe. Te przy brzegu osiągały długość przedramienia. Wszystkie przylegały ściśle do materiału i poruszały się delikatnie wraz z jedwabiem. Podobnie jak on lśniły blaskiem, który zdawał się pochodzić z ich wnętrza.

Jack, ubrany w swój najlepszy i zarazem jedyny garnitur, wziął pannę młodą pod rękę i zaczęli powoli kroczyć ku rzece, gdzie na pniakach stały słoiki z kwiatami. W powietrzu unosił się zapach świeżo ściętych świerków. Zebrani ruszyli za nimi bez słowa i wkrótce szelest sukni Fainy został zagłuszony przez szum rzeki. Stanęli przy brzegu, mając za plecami postrzępione, ośnieżone górskie szczyty.

– Gdzie jest Garrett? – Mabel usłyszała czyjś szept. Goście przestępowali z nogi na nogę w swoich eleganckich butach, a niemowlę zaczęło kwilić. Słońce bezlitośnie przypiekało jej głowę i ramiona; oczy piekły ją od oślepiającego blasku. Kiedy spojrzała na Jacka, skinął głową w kierunku szlaku. Odwróciła się i ujrzała Garretta galopującego na koniu przez łąkę. On również miał na sobie elegancki garnitur i jedną ręką przytrzymał czarny kapelusz, podczas gdy drugą ścisnął lejce. Przy koniu biegł pies Fainy z wywieszonym jęczorem.

Chłopak zwolnił przed chatą i zeskoczył z konia, zanim zwierzę zdążyło się zatrzymać.

Przywiązał lejce do najbliższej topoli, otarł czoło wierzchem dłoni i ruszył w kierunku zgromadzonych.

Ku zaskoczeniu Mabel najpierw podszedł do niej.

– Masz kwiaty? – wyszeptał.

W pierwszej chwili nie zrozumiała pytania.

– Wieniec – dodał. Dopiero wtedy skojarzyła, o co mu chodzi, i pokazała na stół, na którym leżała wiązanka z wierzbówek, róż i paproci.

– Dziękuję – powiedział i pocałował ją w policzek.

Zaintrygowana patrzyła, jak chłopak podnosi wieniec, a potem klepie się ręką po udzie.

W następnej chwili podbiegł do niego pies Fainy. Garrett uniósł rękę i zwierzę usiadło. Zawiesił mu wieniec na szyi, a potem to samo zrobił z woreczkiem na wstążce. Następnie znów uniósł rękę. Pies nie ruszył się z miejsca, kiedy Garrett podchodził do gości.

– Niezłe wejście – pochwalił Bill swojego młodszego brata, gdy ten do niego dołączył.

\*

Kiedy ceremonia się rozpoczęła, Mabel chwyciła Jacka za rękę, ale i tak wszystko wokół niej zdawało się wirować. Gorące słońce sprawiło, że straciła ostrość widzenia. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje, a może już zemdlą. Słowa płynęły ku niej, po czym umykały i trudno było jej orzec, czy wypowiedano je głośno, czy tylko rozbrzmiewały w jej głowie... Nadzieja – pierzaste stworzenie... Mości się w duszy na grzędzie... i ślubuję ci wierność... Czy ślubujesz?... szybko... szybko... do poszarpanego drzewa... nie mam róż we włosach... Czy ślubujesz?... póki śmierć nas nie rozłączy... póki śmierć... Ślubuję... Ślubuję... Ślubuję... Ślubuję...1) 1) Tłum. Ludmiła Mariańska.

Rozległ się cichy gwizd i wzrok Mabel skupił się na psie Fainy, który przebiegł tuż obok.

Wczepiła się w ramię Jacka. To dziewczyna przywołała swojego husky; Garrett tylko uśmiechał się z dumą. Pies z wieńcem polnych kwiatów na szyi usiadł posłusznie u stóp panny młodej.

Chłopak przykucnął obok i zdjął z jego szyi woreczek. Otworzył go i wyjął dwie złote obrączki.

Jedno z dzieci klasnęło w dłonie, a Esther się roześmiała.

Potem wszystkie dźwięki zagłuszył huk rzeki i Mabel poczuła, że ziemia osuwa jej się pod stopami. Widziała Garretta i Fainę stojących naprzeciw siebie. Złote obrączki zamigotały w promieniach słońca, a później młodzi się pocałowali i wszyscy zaczęli klaskać.

\*

– Wszystko w porządku, Mabel? Mabel? – Jack podtrzymywał ją z tyłu. – Proszę, usiądź przy stole. To przez ten skwar.

Ktoś przyniósł jej szklankę wody, a jedna z młodych kobiet zaczęła ją wachlować.

W końcu odzyskała oddech i jasność myśli.

– Faina? Gdzie Faina?

– Tam – odparł Jack i wskazał w stronę topoli, pod którą wciąż stała ubrana w biel dziewczyna.

– Czy to śnieg pada? – zapytała Mabel i usłyszała za sobą czyjś śmiech.

– A uchwaj Boże, moja droga – powiedziała Esther. – To tylko puszek z topoli. Ale rzeczywiście wygląda jak śnieg.

Powietrze pełne było białego puchu. Niektóre drobinki wzlatywały nad drzewa, podczas gdy inne szybowwały leniwie i osiadały na ziemi. Faina spojrzała na Mabel poprzez płatki bieli, po czym uniosła rękę i pomachała do niej, tak jak wtedy, gdy była jeszcze dzieckiem.

– Pobrali się? – wyszeptała Mabel.

– Pobrali, pobrali – uspokoił ją Jack.



## ROZDZIAŁ 53

Wieczór był chłodny, a niebo błękitne. Faina leżała na boku, całkiem naga, mając pod sobą kołdrę uszytą przez Esther. Z jedną ręką podłożoną pod głowę, a drugą podtrzymującą zaokrąglony brzuszek wyciągnęła przed siebie lekko ugięte długie nogi. Garrett zdjął marynarkę.

Jego biała, zapięta pod szyję koszula była lepka od potu, a stopy bolały go od wyjściowych butów, które nosił cały dzień. Rzucił ubranie na podłogę. Idąc do łóżka, musnął dłonią wiszącą na krześle suknię ślubną żony, przypominającą skórę zrzucaną przez jakiegoś dzikiego ptaka. Po ceremonii zabrali się do piezzonego łososia, sałatki ziemniaczanej i ekstrawaganckiego tortu, okrytego białym lukrem i kandyzowanymi płatkami róż. Promienie słońca zatańczyły w kieliszkach wypełnionych domową nalewką, wokół uniósł się gwar rozmów, a on wciąż nie potrafił się powstrzymać przed gładzeniem przyszytych do jedwabiu piór, wiedząc, że należały do łabędzia zabitego przez Fainę.

„Nie jest ci zimno?” – szepnęła, kładąc się tuż obok. Potrząsnęła głową i pocałowała go, obejmując jednocześnie ramieniem. Nad ich głowami trzepotały ćmy przelatujące pomiędzy krokwiami, które miały podtrzymywać dach, a w górze świeciły gwiazdy. Chociaż Garrett uprzedzał, że może padać, Faina nalegała, aby spędzili pierwszą wspólną noc w ich własnej, nieukończonyj jeszcze chacie.

„To nasz dom” – powiedziała. Dlatego przytargał tu łóżko i kołdrę uszytą przez jego matkę, a także wypełnione pierzem poduszki i prześcieradła, które dostali w prezencie ślubnym.

Faina musnęła koniuszkami palców jego nagie ramię i parsknęła śmiechem.

„Ale tobie musi być zimno. Masz gęsią skórę”.

Garrett wzruszył ramionami.

„Może być. Wcale nie marznę”.

Kiedy kochali się pod letnim nocnym niebem, usiłował nie myśleć o dziecku w jej łonie ani o ich jękach i westchnieniach unoszących się nad ziemią. Chciał myśleć tylko o niej.

Przez następne tygodnie, gdy Jack z Garrettem w promieniach niestrudzonego słońca kładli dach chaty, a potem wstawiali okna, drzwi, piecyk i szafki kuchenne, Faina znikwała w lesie, mając za towarzystwo jedynie swojego psa. Nie wracała całymi godzinami, czasami nawet całymi dniami, a Garrett nie miał pojęcia, co z tym fantem zrobić. Uprzejmie odrzucał zaproszenia Jacka i Mabel na obiad, nie chcąc, by wiedzieli, jak rzadko Faina je z nim posiłki. Gotował sam dla siebie; często była to po prostu puszka fasolki podgrzewana na piecyku. Pewnej nocy czekał na jej powrót niemal do świtu. Chata przykryta nowym dachem stała się mroczna i duszna, ale nie chciał krążyć po dworze jak niespokojne zwierzę.

Wierzył, że jego żona powinna zaraz wrócić.

\*

„Dokąd wychodzisz?”.

„Kiedy?”.

„Każdego dnia. I nocy. Myślałem, że zależy ci na tym, żeby być tutaj, ze mną, w naszym domu”.

„Bo zależy”.

„A więc?”.

Ale ona tylko trzepotała w odpowiedzi białymi rzęsami i głaskała psa. Garrett przypomniał sobie ten dzień nad jeziorem, kiedy chciał na nią nawrzeszczyć i odejść, ale zamiast tego poszedł jej śladem jak ostatni głupek.

„Kochamy się, prawda?” – zapytał, zaskoczony płaczącym tonem swego głosu.

Podeszła do niego, przytuliła się ze wszystkich sił i pocałowała go. Tę noc spędzili razem.

\*

Wraz z nastaniem żniw Garrett nie miał już czasu na zastanawianie się w nieskończoność, gdzie podziewa się jego żona. Całymi dniami harował w polu. Po kilku deszczowych tygodniach niebo w końcu się wypogodziło i przepracowali z Jackiem kilka nocy z rzędu przy sianokosach.

Siedział otępiały przy stole Jacka, jadł śniadanie złożone z naleśników, bekonu oraz jajek sadzonych i zastanawiał się, czy Faina spędziła choć jedną samotną noc w chacie, jak to się jemu zdarzało.

Kiedyś jednak wrócił wieczorem do domu i stwierdził ku swojemu zaskoczeniu, że już tam na niego czekała. Był zimny koniec września. Już na szlaku widział dym unoszący się z komina, a gdy podszedł bliżej, Faina stała na progu, oplatając rękami nabrzmiały brzuch. Było to najlepsze powitanie, jakie kiedykolwiek mu zgotowano.

„Wróciłaś” – zauważył.

„Ty też”.

Na podłodze chaty stały wierzbowe koszyki, wypełnione aż po brzegi.

„Co to?”.

„Moja praca” – odparła i uśmiechnęła się pod nosem.

Prowadziła go przez rzędy koszy, zatrzymując się, żeby dać mu powąchać jakiś listek albo nakarmić jagodą. Rozpoznawał tylko część tych zbiorów: korzenie siekiernicy, igły świerka czy borówki. Było tam też kilka roślin znanych mu jedynie z widzenia oraz takie, które nauczył się omijać szerokim łukiem, jak grzyby i porosty. Ufał jednak swojej żonie i bez protestu wstawiał kosze do spizarki, którą sam zrobił.

Wciąż wędrowała po lesie z płócienną torbą lub koszami z wikliny. Nosila długą wełnianą spódnicę i bluzkę, które uszyła dla niej Mabel, i coraz częściej przykładła ręce do krzyża, żeby znieść ciężar rosnącego brzucha. Przynosiła do domu lipienie i łososie, kuropatwy i króliki, które skórowała, czyściła i suszyła w specjalnych suszarkach przy brzegu Wolverine, gdzie wiatr odganiał muchy. Czasami rozpalala ognisko i wędziła mięso w olchowym dymie.

Nadciągała zima, za oknami robiło się coraz ciemniej, a Faina zaczęła spędzać każdy wieczór w domu. Podawała Garrettowi dziwnie pachnące zupy i nakładała na talerz trudne do nazwania papki. Minęło trochę czasu, zanim przyzwyczyił się do jej kuchni. Smażone grzyby i wędzony łosoś na śniadanie. Na obiad zupa z kuropatwy, igły świerka i jakaś wilgotna zielenina, której nie potrafił zidentyfikować. A do tego smalec z niedźwiedzia i bażyny na deser. Matka zauważyła, że schudł i pachniał wędzonym mięsem oraz dzikimi owocami. Chciała się dowiedzieć, czym Faina go karmi, ale tylko klepał się po brzuchu i odpowiadał, że służy mu jej dieta. A potem podjadał maślane ciasteczka i nie oparł się pokusie zabrania do domu kilku słoików z dżemem, które mu zaoferowała.

„Faina? Faina? Gdzie jesteś?”

Garrett uniósł lampę, by rozproszyc mrok. Obudził się w nocy i z przerażeniem uświadomił sobie, że nie ma jej w łóżku. Padał śnieg, pierwszy śnieg tej zimy. Stał, trzęsąc się z zimna, w samych butach i wełnianej kurtce.

„Faina?”

„Tutaj jestem”.

Zauważył ją nad brzegiem rzeki.

„Co ty tam robisz? Jest środek nocy”.

„Pada śnieg”.

„Widzę. Przeziębisz się. Wracaj do domu”.

Skierował lampę w jej stronę i zobaczył, że ma na sobie tylko bawełnianą halkę, która wydymała się na wietrze.

„Dobrze. Wracam do domu”.

Po powrocie postawił lampę na stole i dołożył do ognia. Faina zatrzymała się na progu, wciąż wychylając głowę na zewnątrz. Garrett wziął ją za rękę i wciągnął do środka, po czym zamknął drzwi. Uśmiechnęła się do niego z twarzą mokrą od śniegu. Otarł dłonią jej policzki.

„Zobacz” – powiedziała, przykładając jego rękę do swojego brzucha. „Czujesz?”.

Przycisnęła mocniej jego dłoń i nagle poczuł kopnięcie.

„Czy to...?”

Uśmiechnęła się raz jeszcze i skinęła głową. Wyczuwał pod dłonią kolejne drgnienia, jakby ich nienarodzone dziecko zrobiło właśnie fikołka.

\*

Był kompletnie nieprzygotowany na taki wrzask. Faina zawsze miała łagodny, kojący głos szemrzący jak woda płynąca z lodowca, teraz jednak wydawała z siebie udręczony, wręcz zwierzęcy krzyk. Co chwila podchodził do rozdzielającej ich zasłony, ale Jack łapał go za ramię i powstrzymywał przed wejściem.

– To nie miejsce dla ciebie.

– Czy nic jej nie jest? Co tam się dzieje?

Jack wyglądał na zmęczonego i starego, starszego niż kiedykolwiek, ale emanował spokojem.

– To nigdy nie przychodzi łatwo.

– Chcę ją zobaczyć.

W następnej chwili Esther odsunęła zasłonę. Garrett zobaczył jej ręce pokryte krwią aż do łokci, jakby właśnie skończyła patroszyć łosia.

– Potrzeba nam więcej szmatek.

– Jak ona się czuje? Co z dzieckiem?

– Powiedziałam: więcej szmat. – Esther wróciła za zasłonę. Zanim materiał zdążył opaść, Garrett zobaczył Fainę leżącą na łóżku, jej uniesione w powietrzu stopy i krew, morze krwi.

– Jezu Chryste. Czy tak to powinno wyglądać?

Zebrało mu się na mdłości. Jack przeszedł obok niego z całym naręczem pozwijanych szmatek. Woń krwi, potu i czegoś, czego nie potrafił nazwać, kojarzącego się z zapachem słonego bagna, wygnały go w końcu na dwór.

Na zewnątrz panował mrok i chłód. Ile godzin minęło, odkąd pobiegł po pomoc? Zachłystując się świeżym powietrzem, ruszył w kierunku rzeki. A potem znów usłyszał krzyk Fainy.

Czy naprawdę nie może w żaden sposób ulżyć jej cierpieniom? Wrócił do chaty i zapytał Jacka, czy nie powinien przynieść więcej ścierek albo zagotować wody.

W końcu dopadło go zmęczenie i zdrzemnął się na krześle. Kiedy się obudził, zdał sobie sprawę, że w chacie panuje cisza, więc zerwał się na równe nogi. Podeszedł do zasłony i zaczął nasłuchiwać. Najpierw do jego uszu dotarł cichy jęk Fainy, a potem pieszczotliwy, matczyzny głos Mabel.

– Już po wszystkim? Czy dziecko się urodziło? – wyszeptał przez zasłonę. Esther wyszła zza kotary i położyła mu dłonie na ramionach.

– Jeszcze nie, synku. Jeszcze nie – mówiła tak łagodnym i miłym tonem, że wystraszył się jeszcze bardziej.

– Jezu, mamó. Czy nic jej nie jest? Wszystko w porządku?

– Jest jej ciężko. Ciężej niż mnie było z wami, chłopcami. Ale jest silna i cały czas walczy.

– Mogę ją zobaczyć?

– Na razie nie. Musi trochę odpocząć, zanim znów zacznie przeć. Prosiła o śnieg. Nazbieraj go do jakiegoś naczynia, jeśli możesz.

Napełnił dzbanek świeżym śniegiem, po czym podał go matce.

– Powiedz jej, że ją kocham. Zrobiszto?

\*

Wiele godzin później, kiedy słońce przygasło już na niebie, głosy znów przybrały na sile.

„Dalej, kochanie, śmiało. Przyj ze wszystkich sił. No, dalej”.

I znów rozległ się dziki krzyk.

„Widać już główkę. Postaraj się teraz. Nie poddawaj się, dziewczyno. No, dalej”.

A potem usłyszeli odgłos przypominający beczenie cielaka. Garrett nie miał pojęcia co to.

Spojrzał pytająco na Jacka, który stał między nim a zasłoną.

– To twoje dziecko. Jest tam. – Mężczyzna poprowadził go do zasłony. – Garrett tu idzie, moje panie. Chce zobaczyć swoje dziecko.

– Dajcie nam jeszcze chwilkę. Musimy tu trochę posprzątać.

– Nic jej nie jest? Faina, wszystko gra? Słyszysz mnie?

„Tak”. – Usłyszał jej słodki głos rozbrzmiewający szeptem w jego uchu. „Wszystko dobrze.

Nic nam nie jest”.

A później znów usłyszał przejmujące i ciche kwilenie dziecka.

„Chodź, maleństwo” – powiedziała Esther. „Czas na spotkanie z tatusiem”.

Mabel stała przy łóżku. Po jej policzkach ciekły łzy. Esther wrzucała ścierki do miski zajmującej blat nocnego stolika. Faina siedziała na łóżku, oparta na poduszkach. Jej twarz błyszczała od potu, miała potargane włosy. Spojrzała na Garretta, a następnie przeniosła wzrok na zawiniątko, które trzymała w ramionach.

„No idź, nie bój się” – rzekła Esther. „Idź zobaczyć syna”.

„Syna?”.

„Tak jest. Tak jakbyśmy nie mieli już zbyt wielu chłopców”.

Podszedł do łóżka, objął Fainę ramieniem i spojrzał na kocyk, z którego wystawała malutka pomarszczona, czerwona twarzyczka. Noworodek zamrugł zapuchniętymi powiekami i zmarszczył czoło. Garrett schylił się i przyłożył usta do jego policzka. Skóra dziecka była tak delikatna, że ledwie mógł ją poczuć. Potem odwrócił się do Fainy i pocałował jej spocone czoło.

## ROZDZIAŁ 54

Każdy dzień był kruchy i delikatny, tak jakby Mabel wstała z łóżka po długiej chorobie i po wyjściu na dwór odkryła, że w międzyczasie lato przeszło w zimę. Przypomniało jej się, jak poszła za Fainą w góry, gdzie miała wrażenie, że świat rozpadł się na kawałki i wszystko iskrzyło i lśniło od cudownych kryształków śniegu oraz wiecznego cyklu narodzin i śmierci.

Cały ten świat zamykał się teraz w zaciśniętych piąstkach noworodka. Krył się w jego rozplakanej buzi i nabrzmiąłych mlekiem piersiach Fainy, istniał w słowach przemilczanych przez Garretta, który wciąż nie otrząsnął się z zachwytu. Ale było jeszcze coś oprócz tego, można to było dostrzec nawet w promieniach słońca odbijających się od śniegu tak mocno, że Mabel musiała mrużyć oczy.

Każdego ranka wędrowała ośnieżoną ścieżką prowadzącą do chaty Fainy i Garretta. Chłopak proponował czasem, żeby zostawała na noc, ale wiedziała, że tych troje potrzebuje czasu na osobności, żeby się lepiej poznać. Targała ze sobą kosz, w którym przynosiła im jajka na twardo, chleb lub plasterki bekonu, pozostałe z ich śniadania, a także pieluchy, myjki i ubrania, które uprała u siebie w domu i wysuszyła przy piecyku.

„Jak się dzisiaj czujesz, dziecino?” – pytała Fainę, a dziewczyna uśmiechała się i spoglądała na synka w swoich ramionach.

„Dobrze” – odpowiadała. „On też. Zobacz, jak patrzy na ciebie, kiedy mówisz. Wie, że tu jesteś”.

Dziecko wyglądało kwitnąco. Pierwsze dni karmienia były wyzwaniem, ale Esther nakierowywała usta chłopca do sutków Fainy i pokazała jej, jak sprawić, by jego wargi zaciskały się na jej piersi. „Nie pozwalaj mu gryźć cię w sutek, bo będzie bolało” – radziła teściowa, podczas gdy maluch płakał i przewracał głowę z boku na bok. „Da sobie radę” – powtarzała Esther. „Sam musi się tego nauczyć”.

I tak właśnie było. Teraz, dwa tygodnie później, chłopiec siorbał donośnie pod kocem z futra piżmaka, który Faina sama sobie zrobiła. Przemawiała do niego pieczołtliwie podczas karmienia i zamknęła oczy z zadowoleniem, gdy zapadł w drzemkę. Mabel przyniosła swój notes i ołówki i zabrała się do szkicowania.

Kiedy dziecko się obudziło, zmieniała mu pieluszkę. Zginał i prostował nóżki, nie przestając protestować za pomocą donośnego krzyku.

„Jakoś nie może się do tego przyzwyczaić, prawda?” – powiedziała kobieta, zapinając mu czystą pieluchę.

Faina jednak nie słuchała. Podeszła do okna i wpatrywała się w jaskrawo biały śnieg.

„Możesz wyjść na chwilę, jeśli chcesz. Zostanę tu z nim”.

Dziewczyna bez słowa włożyła swój niebieski płaszczyk i sięgające do kolan mokasyny, ale kiedy otworzyła drzwi, odwróciła się i spojrzała na Mabel i syna. Trudno było rozszyfrować jej wyraz twarzy. Czy miała poczucie winy, że chce spędzić trochę czasu bez dziecka? A może bała się je zostawić choćby na chwilę?

Czy to z powodu powiewu chłodnego powietrza, czy z racji nagłej nieobecności matki, maluch zakwilił w ramionach Mabel, dlatego wstała i przytuliła go do piersi, po czym, kołysząc, zaczęła chodzić z nim po chacie. Garrett poszedł pomóc Jackowi przy zwierzętach w stodole. Potem miał jeszcze przynieść drewno na opał. Zima była mroźna i śnieżna, należało odnowić zapasy.

Podeszła do okna, nie przerywając kołysania dziecka. Niemowlę ucichło i szeroko otwartymi oczami patrzyło ponad jej ramieniem. Zwróciła ku niemu twarz, rozkoszując się zapachem i ciepłem, zachwycona tym wszystkim, co się działo wokół niej. Zaczęła nucić coś do małego uszka, kiedy nagle kątem oka zauważyła niebieski płaszcz odcinający się wyraźnie od białego śniegu.

Faina szła przez łąkę w stronę lasu, ale śnieg był tak głęboki, że często musiała przystawać, by odpocząć. Zanim dotarła do pierwszych drzew, minęło trochę czasu. Mabel trochę się wystraszyła tym, co widziała, ale było już za późno. Nie powinna była pozwolić jej wyjść. Cięża i poród ją osłabiły i dziewczyna potrzebowała dłuższego odpoczynku. Przez chwilę Mabel zastanawiała się, czy nie otworzyć drzwi i nie zawołać, żeby wracała do domu, ale Faina po prostu stała w miejscu. Nie pomknęła pomiędzy świerki, tylko zatrzymała się na skraju lasu: samotna, żalosna postać z przygarbionymi ramionami i rozpuszczonymi jasnymi włosami, które lśniły w promieniach zimowego słońca. A potem odwróciła się i ruszyła po własnych śladach, by wrócić do domu i syna.

\*

„Wybrałaś mu już imię?”

Faina milczała, kołysząc dziecko w drewnianej kołysce stojącej przy piecu.



Zapadał zmrok i Mabel wiedziała, że wkrótce będzie musiała wracać do domu.

„Musisz go jakoś nazwać, dziecino. To nie jest pies, którego przywołasz gwizdnięciem.

Chcemy się jakoś do niego zwracać”.

Dziewczyna nadal nie odpowiadała, tylko kołysała śpiące dziecko.

Kiedy Mabel wychodziła, było już ciemno. Garrett zaproponował, że ją odprowadzi albo przynajmniej pożyczy lampę, lecz odmówiła. Noc była bezksiężycowa, a temperatura spadła dobrze poniżej zera, ale знаła drogę jak własną kieszeń. Poświata bijąca z okien ich chaty zniknęła wkrótce za drzewami, Mabel jednak wystarczał sam blask wiszących nad głową gwiazd. Ciepła czapka z lisiego futra i palto chroniły ją przed mrozem, który kęsał policzki i palił w płucach. Pomiedzy konarami przemknął cień bezszelestnej sowy, ale w ogóle się jej nie wystraszyła. Czula się stara i silna, jak otaczające ją góry i płynąca w pobliżu rzeka. Wiedziała, że się nie zgubi.

\*

Obudziła się z biciem serca, usiadła prosto na łóżku i usiłowała zrozumieć, co ją tak przeraziło.

– Mabel? Śpisz? To ja, Garrett. – Usłyszała zachrypnięty szept zza drzwi.

Wyszła z łóżka, nie budząc Jacka, narzuciła na siebie sweter i opuściła sypialnię. Była zaskoczona, że ktoś wyrywa ją ze snu w środku nocy, ale obecność Garretta wystarczyła, by drżące stare serce podeszło jej do gardła.

– Wybacz, że cię obudziłem...

Mabel przerwała mu gestem ręki. Zrobiło jej się słabo. – Usiądź. – Chłopak podsunął jej krzesło i podtrzymał ją za ramię.

– Chwilę. Daj mi złapać oddech.

Milczała przez dłuższy czas, tak jak to czasami miała w zwyczaju, gdy nie chciała za szybko poznać prawdy. W końcu jednak zrobiła głęboki wdech i zapytała:

– Faina, tak?

– Niedobrze z nią – odparł Garrett i w tej samej chwili z sypialni wynurzył się Jack.

– Co się stało?

– Ciii... Zaraz się dowiemy. Mów.

– Przez cały dzień była niespokojna. Pomimo mrozu ciągle wychodziła na dwór. Próbowałem ją powstrzymać, ale nie mogłem. Powinienem... – A teraz? – zapytała Mabel, chcąc go przekonać, by przeszedł do konkretów.

– Pogorszyło się jej. Powiedziała, że ją boli. Kiedy zapytałem gdzie, odparła, że wszędzie.

Ma czerwone policzki, nie chce wstać z łóżka i nic nie je. Ale opiekowała się dzieckiem i oboje zasnęli, więc pomyślałem, że zaczekam do rana i zobaczę, jak się będzie czuła. Potem jednak dotknąłem jej czoła – była cała rozpalona.

– Powinna jechać do szpitala. Musimy zawieźć ją do Anchorage – zdecydował Jack.

– Na pewno się na to nie zgodzi – odparła Mabel. Poszła do sypialni i ubrała się w blasku świecy. Kiedy wróciła, Garrett siedział na krześle kuchennym, z głową opartą na dłoniach. Zegar wskazywał, że właśnie minęła północ.

– Gdzie dziecko?

– Zostawiłem małego w domu, śpi w kołysce. Nie wiedziałem, co robić. Pomyślałem, że jest za zimno, żeby go wziąć ze sobą.

– Dobrze zrobiłeś.

– Rano zabierzemy ją prosto do Anchorage – stwierdził Jack, sznurując buty.

– Pod warunkiem że pociągi wciąż jeżdżą. Nie wiadomo, czy nie zasypało torów – powiedziała Mabel, ale w następnej chwili pożałowała swoich słów, zobaczyła bowiem przestraszoną minę Garretta.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Jeśli jutro nie uda się jej zawieźć do Anchorage, przynajmniej nadamy telegram do szpitala i zasięgniemy opinii lekarza. Wszystko będzie dobrze.

A teraz ruszajmy, musimy się zająć twoją żoną i dzieckiem.

\*

Po drodze Mabel usiłowała przygotować się na to, co może zastać na miejscu. Wypełnił ją ten sam rodzaj spokojnej determinacji jak wtedy, gdy Jack zranił się w plecy. Kiedy zajechali na miejsce, dziecko spało w kołysce, a Faina leżała w łóżku. Garrett słusznie się martwił. Dziewczyna zwinęła się w kłębek i cichutko jęczała. Chwilę później przewróciła się na bok i Mabel ujrzała jej twarz. Na skroniach perliły się krople potu, a zaczerwieniona skóra pokryła się plamami. Podeszła do łóżka i przyłożyła dłoń do jej czoła. Było gorące. Zamknęła oczy, nie

odejmując ręki od głowy dziewczyny. Poczwała rozpalone palce zaciskające się na jej nadgarstku i usłyszała ochryply szept:

„Mabel? To ty?”.

Faina wpatrywała się w nią rozgorączkowanym spojrzeniem. W pierwszej chwili myślała, że to strużki potu spływają po jej policzkach, ale okazało się, że to łzy. Faina płakała.

„Co się ze mną dzieje?”.

„Ciii... Nic się nie bój, dziecko. I tym razem postawimy cię na nogi”.

„Co to za choroba?”.

„To zakażenie krwi. To ono wywołało gorączkę. Na szczęście jest na to lek”.

„Nie chcę iść do szpitala. Nie zostawię swojego dziecka”.

Mabel ulżyło, kiedy zobaczyła wyzywająco wysunięty podbródek i gniewny błysk w błękitnych oczach dziewczyny.

„Na razie się tym nie przejmuj. Przyniosę ci wodę. Musisz ją wypić. Ochłodzi cię i pomoże napełnić piersi mlekiem”.

Mabel przyłożyła szklankę do spierzchniętych ust Fainy. Dziewczyna osuszyła ją jednym łykiem, pozwalając otrzeć sobie pot z czoła wilgotną szmatką. Kiedy w drzwiach sypialni pojawił się Garrett, Mabel poprosiła go o miskę śniegu. Wysypała odrobinę białego puchu na szmatkę i przycisnęła ją do czoła Fainy, która westchnęła z wyraźną ulgą. Mabel ponawiała te zabiegi tak długo, aż na policzki dziewczyny wróciła jej zwykła bladość. Wtedy zanurzyła dłonie w misce, wyjęła trochę śniegu i przesunęła nim po czole Fainy, a następnie wsunęła odrobinę lodu w jej usta. Stopniał na jej języku.

„I co, lepiej?”.

Faina skinęła głową i przycisnęła jej zimną, wilgotną dłoń do swojego policzka.

„Dziękuję”.

Zamknęła oczy, opierając głowę na jej ramieniu. Mabel odsunęła rękę spod jej policzka dopiero wtedy, gdy była pewna, że Faina zasnęła. Odgarnęła dziewczynie włosy z czoła i z mokrej od potu szyi, po czym naciągnęła kołdrę na jej ramiona.

O trzeciej nad ranem usłyszała Jacka dorzucającego drewna do piecyka. W czasie gdy jeden z mężczyzn spał na krześle, drugi pełnił dyżur. Potem nadeszła pora karmienia i Mabel podała dziecko matce.

„Twoje maleństwo zgłodniało, skarbie”.

Faina przewróciła się na bok, ale wciąż zdawała się na wpół przytomna, nawet kiedy przysunęła syna do piersi i zaczęła go karmić. Na jej twarzy ponownie

pojawiły się czerwone plamy i znów była rozpalona. Karmienie sprawiało jej taki ból, że musiała podkurczyć nogi.

Obudziła się na dobre dopiero wtedy, gdy dziecko zostało nakarmione, przewinięte i zasnęło w kołysce.

„Proszę” – wyszeptała do Mabel. „Weź mnie na dwór”.

„Nie, dzieciно. Musisz leżeć w łóżku i odpoczywać”.

Mówiła tak, choć wcale nie była do tego przekonana. Może nadzieja leżała właśnie w tej zimowej nocy. Tylko co na to powiedzą Garrett i Jack?

„Gorąco mi, nie mogę złapać tchu. Proszę...”.

\*

– Chce wyjść na dwór.

– Co takiego? Teraz? W środku nocy? – obruszył się Jack.

– Jest rozgrzana, a w chacie panuje straszna duchota. Podejrzewam, że dziewczyna nie potrafi złapać oddechu. Chce po prostu zaczerpnąć powietrza.

– Możemy otworzyć drzwi – zaproponował Garrett.

– Chce być na dworze, pod nocnym niebem – powiedziała Mabel i Garrett ze zrozumieniem kiwnął głową.

– No dobrze – westchnął. – Niech będzie, wyprowadzimy ją na dwór.

– Czy wyście wszyscy postradali rozum? – wykrzyknął Jack. – Jest dwadzieścia stopni poniżej zera. Zamarznie.

– Nie, nie zamarznie – zaprzeczył Garrett. A potem zwrócił się do Mabel: – Pomożesz mi ją ubrać?

\*

Mabel posadziła Fainę na skraju łóżka. Zasznurowała jej na nogach mokasyny i nałożyła niebieski płaszczyk wprost na nocną koszulę. Potem wzięła od Garretta szal i rękawiczki. Kiedy otaczała materiałem jej szyję, rozpoznała ścieg swojej siostry.

„Zawsze chciałam cię zapytać...”.

Powstrzymała się i włożyła Fainie rękawiczki.

„Musisz mi obiecać, dzieciно, że nie będziesz się szwendać po nocy. Wyniesiemy ci na dwór krzesło i posiedzisz sobie kilka minut”.

„Wtedy wszystko mnie boli...”.

„Jak siedzisz?”.

Dziewczyna skinęła głową.

Mabel pomogła jej się położyć. Kiedy powiedziała Garrettowi o bólu, który odczuwa jego żona, chłopak stwierdził, że ma pewien pomysł. Po jakimś czasie podszedł do łóżka i oboje z Mabel dźwignęli Fainę na nogi. Garrett nałożył jej na głowę czapkę i zawiązał pod szyją nauszniki.

„Chodź” – poprosił. „Zobaczysz łóżko, które przygotowałem ci pod gwiazdami”.

Dziewczyna uśmiechała się do męża, kiedy pomagał jej wyjść na dwór. W pobliżu chaty leżało kilka kłód, które nakrył skórami karibu i bobrów, tworząc gruby materac.

Noc była cicha i zimna. Mabel nie pamiętała, czy czuła kiedyś większy mróz. Śnieg skrzypiał pod butami, a powietrze było ostre. Tego rodzaju chłód przenika przez najgrubsze okrycia i rozrywa płuca. Nagle ogarnęły ją wątpliwości. Może to jednak błąd? W następnej chwili usłyszała jednak, jak Faina głęboko wciąga powietrze, i wyobraziła sobie falę chłodu rozlewającą się po jej ciele. Podtrzymując dziewczynę z obu stron, przebyli krótką drogę z chaty do zaimprovizowanego łóżka i pomogli jej się położyć. Kiedy Garrett okrył ją skórami bobrów, westchnęła przeciągle z wyraźną ulgą. Mabel opatuliła ją dodatkowo przyniesioną z chaty kołdrą.

„Popatrz na gwiazdy” – wyszeptał Garrett. „Widzisz je?”.

„Tak. Są piękne”.

Został z nią, siedząc przy jej boku na kuchennym krześle, a Mabel wróciła do chaty. Kiedy usłyszała płacz przebudzonego dziecka, poprosiła Garretta, aby wrócił do środka, sama zaś poszła czuwać przy Fainie. Chłopak spojrzął na żonę.

„Chcesz żebym został?” – zapytał. „A może sama chcesz wrócić?”.

„Nie” – odparła łagodnie dziewczyna. „Idź, zajmij się naszym synkiem”.

Mabel pochyliła się nad nią, by owinąć ją jeszcze szczelniej kołdrą i poprawić futrzane nauszniki czapki, po czym sama opatuliła się kocem i usiadła na krześle.

„Dobrze się czujesz, dziecińko?”.

„O tak. Tutaj, wśród śniegu i drzew znów mogę swobodnie oddychać”.

\*

Wszystko to przypominało niezwykle sen: ciche westchnienia Fainy i sporadyczne trzaski lodu pękającego na rzece i gałęziach drzew; niebo pełne gwiazd i głęboka noc ze smugami światła unoszącymi się ponad górskimi

szczytami na horyzoncie. Były one błękitnozielone, niczym przygasające płomienie, pomarszczone i poskręcane w łuki przechodzące we wstążki fioletu, które ciągnęły się aż nad głową Mabel. W pewnej chwili usłyszała trzask wyładowania elektrycznego, jak ten towarzyszący iskrom dobywającym się czasami z wełnianego koca w nocy. Wpatrywała się w zorzę polarną, nie wiedząc, czy nie jest to jej własny oddech, własna dusza, wyszana wprost z jej piersi, unosząca się ku gwiazdom.

\*

– Jezu, Mabel. Jesteś cała w śniegu. Gdzie Faina?

Nie pamiętała, kiedy zasnęła. Kto ucina sobie drzemkę na takim mrozie? Z nosem ukrytym pod płaszczem, w kokonie z koca i wełny było jej jednak ciepło i obudziły ją dopiero głosy mężczyzn.

„Faina. Jesteś tutaj, dziecino, prawda?”.

Odpowiedziała jej cisza.

– Widocznie poszła do chaty, żeby zająć się dzieckiem.

– Nie, nie ma jej tam.

Zdrętwiała i obolała Mabel wstała i oniemiała na widok białego puchu pokrywającego koc. W nocy musiało nagle spochmurnieć, gwiazdy znikły i napadało kilka centymetrów śniegu.

Ile czasu minęło? Ruszyła za mężczyznami. Z chaty dobiegały krzyki Garretta:

– Faina! Faina?

– Gdzie ona jest, Mabel? – Jack odwrócił się i spojrzał na nią oskarżycielskim wzrokiem.

– Była tutaj przy mnie. Musi być gdzieś blisko. Na pewno nie ma jej w chacie?

– Nie, przecież już mówiłem. – Jej mąż nagle odwrócił się w stronę lasu. – Faina! Faina!

Z chaty wyłonił się Garrett, trzymający w ręku zapaloną lampkę.

– Gdzie ona jest? – zapytał. Nie sprawiał wrażenia złego, jeśli już, to raczej zrozpaczonego.

Rzucił się biegiem w kierunku rzeki. – Faina! Faina!

Między skórami karibu Mabel dostrzegła kołdrę pokrytą śniegiem. Jak mogła do tego dopuścić?

Uniosła przykrycie, by strząsnąć z niego śnieg, i wtedy jej wzrok padł na coś niebieskiego.

– Jack?

Podszedł do niej, spojrział na to, co pokazywała dłonią, po czym uklęknął i gołymi rękami odgarnął śnieg. To był niebieski płaszcz Fainy, z haftem w płatki śniegu. A także jej szal. Rękawiczki.

I mokasyny. Unosił te rzeczy jedną po drugiej i strząsał z nich śnieg.

– Jezu, Jack. – Pod płaszczem znajdowała się biała koszula nocna. – Co to znaczy?

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko przerzucił ubrania przez ramię i zaniósł je do chaty.

Mabel poszła za nim, taszcząc ciężką od śniegu kołdrę. Rozłożyli to wszystko na stole.

– Pójdę poszukać Garretta – powiedział Jack. – Ty zajmij się dzieckiem.

– Ale... Nie rozumiem...

– Czego nie rozumiesz?

– Ona odeszła?

Skinął głową.

– Ale gdzie?

Nie odpowiedział, tylko wyszedł z chaty.

\*

Słyszając płacz obudzonego dziecka, które domagało się matczynego mleka, Mabel nie za bardzo wiedziała, co robić. Zanurzyła koniec czystej szmatki w ciepłej słodkiej herbacie i włożyła ją do ust niemowlaka. Dzieciak przyssał się do materiału, ale w następnej chwili odwrócił głowę i zaczął kwilić. Wzięła go na ręce i nosiła po całej izbie, aż wreszcie zasnął, zmęczony płaczem.

Przez cały ten czas za oknem panowały absolutne ciemności, nie widziała żadnych śladów Garretta czy Jacka. Usiadła na krześle i kiwała się na boki ze śpiącym dzieckiem w ramionach.

Modliła się, by ta noc okazała się koszmarnym snem. Potem jednak w drzwiach stanął milczący Jack. Za jego plecami wstawał świt. Uniosła brwi, a on potrząsnął głową.

– Nic? – zapytała.

– Ani śladu.

– Garrett?

– Nie chciał wracać. Powiedział, że ją znajdzie. Poszedł osiodłać konia.

– Na Boga, Jack. Co my zrobimy?

Milczał przez dłuższą chwilę. Usiadł, żeby rozsznurować buty, a następnie zaczął wyczesywać lód z brody. Dołożył do ognia, a potem wyciągnął ręce do Mabel, by wziąć od niej dziecko.

Nie kryjąc zaskoczenia, delikatnie umieściła je w jego ramionach. Jack opatulił małego nieco mocniej, po czym przesunął palcem po jego policzku. Pochylał się nad nim tak nisko, że Mabel w pierwszej chwili nie dostrzegła łez spływających po jego twarzy.

– Jack? – Ukryła twarz w dłoniach. – Och, Jack. – Wzięła od niego dziecko i położyła je w kołysce. Poruszała nią wolno, dopóki nie nabrała pewności, że chłopiec zasnął. Kiedy wstała, jej mąż już nie płakał, ale jego policzki były wciąż mokre. Podeszła do niego i wtuliła twarz w jego pierś. Obejmowali się przez dłuższy czas.

– Ona odeszła, prawda? – zapytała w końcu.

Jack zacisnął zęby i tylko skinął głową, jakby zmagał się z kolejnym atakiem bólu.

Mabel poczuła tak wielki żal, że nie mogła wydobyć z siebie ani słowa, tylko bezgłośnie szlochała. Ból był tak przejmujący, że nie uwierzyłaby, że może to przetrwać, gdyby już kiedyś nie doznała czegoś podobnego. Płakała, dopóki starczało jej łez, a kiedy ich zabrakło, otarła twarz koniuszkami palców i usiadła na krześle, mając nadzieję, że Jack wyjdzie z domu i zostawi ją samą. On jednak uklęknął na podłodze, położył głowę na jej kolanach i tak obejmowali się nawzajem, dzieląc się smutkiem pary staruszków, którzy utracili swoje jedyne dziecko.

\*

Może to był wiatr, a może wytwór wyobraźni wywołany smutkiem, ale Mabel była pewna, że słyszy głos Garretta. Czasami był to krzyk w dole rzeki. Kiedy indziej niski, pełen smutku szloch, który wydawał się dochodzić z gór.

Zostali tej nocy z dzieckiem, wyczekując powrotu chłopaka. Mabel drzemała przy kołysce, ale budziła się co chwila, choć niemowlę spało zupełnie spokojnie.

– Słyszałeś? – pytała.

Jack pobladł, zatrzymując się przy piecu.



– Co to było?

– Wilki – odparł.

Ona jednak wiedziała, że to głos Garretta, który pędził konno przez las, wołając imię swojej żony pod bezgwiezdnym nocnym niebem.

– Faina, Faina, Faina!

## EPILOG

Jest tam ktoś? – Jack zapukał do drzwi chaty, a potem powoli je otworzył. – Halo! Wszedł do środka, podpierając się na lasce. Przez chwilę wsłuchiwał się w otaczającą go ciszę. Tego jesiennego dnia przyjechał szukać Garretta, ale zamiast niego znalazł tylko wspomnienia.

Tam, na półce przy piecyku, leżała porcelanowa lalka Fainy, której jasne włosy wciąż były zaplecione w warkoczyki, a czerwono-niebieska sukienka była równie jaskrawa jak tego dnia, kiedy Jack posadził ją na pniaku i zawołał:

„Nie wiem, czy tam jesteś i czy w ogóle mnie słyszysz, ale chciałbym, żebyś to wzięła”.

Stojąc na progu, omiatał wzrokiem całe pomieszczenie. Na oparciu krzesła leżał złożony starannie wełniany koc, który Mabel zrobiła z dziecięcego płaszczyka Fainy. Potem zobaczył fotografie wiszące na ścianie. Podeszedł do nich bezwiednie, nie zamykając za sobą drzwi. Większość zdjęć ukazywała Garretta z braćmi i Esther z George'em na ich ślubie. Jego wzrok przyciągnęła jednak fotografia przedstawiająca kobietę trzymającą dziecko zawinięte w koc. Ostatni raz widział to zdjęcie prawie piętnaście lat temu, kiedy znalazł je w szałasie na zboczu góry. To Faina była tym dzieckiem.

Gdzieś w tej chacie, być może w jakimś kufrze albo szafie, kryła się pierzasta suknia ślubna i niebieski płaszczyk zdobiony wyhaftowanymi płatkami śniegu. Garrett wciąż je przechowywał, podobnie jak inne dowody istnienia swojej żony. Ależ ich było niewiele. Patrząc po ich chacie, Jack rozumiał, jak mało po niej zostało.

Po Fainie pozostał również żal. Z czasem coraz mniejszy, choć nadal potrafił powrócić niespodziewanie z całą siłą. Na przykład tego wieczoru, ledwie kilka tygodni temu, gdy na półce dostrzegł niebieską książkę oprawioną w skórę. Cały czas tam stała, jednak jego wzrok zawsze się po niej prześlizgiwał. Był pewien, że nikt od lat do niej nie zaglądał. Mabel pożyczała Garrettowi wszystkie książki z wyjątkiem tej jednej. Jack był pewien, że chłopak w ogóle nie wie o jej istnieniu. W każdym razie, nigdy o tym nie rozmawiał z żoną.

Korzystając z tego, że jego żona czesała się w sypialni, zdjął księgę z półki i zaczął ją kartkować. Dotknął kolorowej ilustracji przedstawiającej baśniową dziewczynkę, dziecko ulepione ze śniegu, i dwoje staruszków klęczących przy niej. Kiedy ze środka wypadły kartki, wystraszył się, że książka rozpadła mu się w rękach. Pozbierał je błyskawicznie, spoglądając ukradkiem w stronę sypialni. Okazało się, że to nie były kartki z książki, tylko rysunki wykonane przez Mabel.

Talent jego żony wzbudził w nim zachwyt.

Delikatna dziecięca twarz Fainy okolona futrzaną czapką. Faina przy kuchennym stole, opierająca brodę na dłoniach. Kilka rysunków przedstawiających Fainę jako młodą kobietę z niemowlęciem przy piersi. Były to zaledwie szkice, każdy ukazywał ją z innej perspektywy, niektóre w zbliżeniu, inne z większej odległości. Ręka Fainy dotykająca śpiącego dziecka. Jego malutka piąstka. Zamknięte oczy. Otwarte oczy. Matka. Dziecko.

Te wykonane ołówkiem rysunki oddawały coś, czego nigdy nie potrafił wyrazić. Życie pełnią życia. Życie pełne ciepła i doniosłości. To wszystko, co stało się udziałem Fainy w jej ostatnich dniach. A także czułość, którą opromieniała swego malutkiego synka niczym złociste słońce.

Kiedy Mabel zawołała z sypialni, pytając, kiedy wreszcie się położy, pieczołowicie włożył rysunki z powrotem do książki, po czym wsunął ją na miejsce, by dalej nikt o niej nie wspominał.

Otrząsnął się z zamyślenia, przypominając sobie, że stoi pośrodku chaty Garretta.

– Garrett? – zawołał raz jeszcze, choć wiedział, że nie doczeka się odpowiedzi. Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Szedł powoli szlakiem, wspierając się na lasce, kiedy usłyszał chłopięcy głos dobiegający z za drzew:

– Papciu! Papciu!

Jay biegł w jego stronę. Za nim człapał z trudem stary pies. Bezimienny i w tej chwili bezpański husky Fainy krążył swobodnie między dwiema chatami, ale za każdym razem, kiedy jej syn był na dworze, nie odstępował go nawet na krok.

– Papciu! Zobacz, co złowiłem! – Chłopiec uniósł wierzbową gałąź z wiszącym na niej małym zakurzonym lipieniem.

– Ty go złowiłeś?

– Mamcia mi trochę pomogła. Ale sam zarzuciłem wędkę.

– Dobra robota.

– Mamcia powiedziała, że zjemy go na obiad.

Jack wziął wędkę od chłopca i przyjrzał się rybie.

– O ile mnie pamięć nie myli, na obiedzie zjawią się dziadek George i babcia Esther.

– A tatuś?

– Co tatuś?

– Czy go znalazłeś?

– Nie. Cały czas gdzieś jeździ. Ale niedługo wróci do domu.

– Lubi góry, prawda? Ciągłe po nich jeździ. Powiedział, że w tym roku zabierze mnie ze sobą i może złapiemy rosomaka.

– Byłoby świetnie, prawda?

Ale chłopiec już wyrwał się do przodu.

– Jay? – zawołał za nim Jack. – Może złowimy razem jeszcze kilka ryb, żeby starczyło dla wszystkich?

– Jasne, papciu. Możemy złowić jeszcze kilka.

Chłopiec zniknął za zakrętem, biegnąc do chaty Jacka i Mabel.

– Zostaliśmy sami, staruszku – powiedział Jack i poklepał psa po siwym pysku.

– Zdaje się, że moje tempo bardziej ci pasuje.

Dzień był chłodny, a szlak pokrywały żółte liście brzoź. Za górami zbierały się chmury.

– Pachnie śniegiem – stwierdził Jack i pies zaczął węszyć, zupełnie jakby się z tym zgadzał.

Minął swoją chatę, przedarł się przez zarośla i doszedł do strumienia w tej samej chwili, gdy Mabel wyciągała z wody kolejnego lipienia. Chłopczyk podskakiwał podekscytowany na kamieniu obok.

– Mamcia złowiła największego! Patrz, papciu, patrz! – Jay zdjął rybę z haczyka i uniósł ją z dumą.

Mabel uśmiechnęła się do Jacka. Wciąż trzymała wędkę. Włosy miała już zupełnie siwe, a wokół oczu i ust utworzyła się siateczka zmarszczek, jednak w jej spojrzeniu ciągle kryła się młodzięcza energia.

Popołudnia spędzali zwykle na dworze. Uczyli chłopca łowić ryby, nasłuchiwać ptaków i wypatrywać królików. Jak dobrze się z nim rozmawiało! Czasami opowiadała Jayowi o jego matce, o tym, że odziedziczył po niej błękitne oczy, że wzięła się z gór i śniegu i znała zwierzęta i rośliny jak nikt inny. Niekiedy otwierała medalion, który nosiła na szyi, by pokazać mu jasny kosmyk jej włosów i opowiedzieć o przepięknej ślubnej sukni z piórami łabędzia, którą jego matka miała na sobie, gdy wychodziła za jego ojca.

– Mały Jack o mało nie złowił wielkiej ryby – powiedziała Mabel i pocałowała chłopczyka w czubek głowy. – W ostatniej chwili ją puścił.

Mały Jack. Właśnie tak zawsze go nazywała. Garrett zapytał go o zgodę, gdy miesiąc po zniknięciu Fainy dziecko dalej nie miało imienia. „Czy mogę nazwać chłopca po tobie? W końcu jest twoim wnukiem”.

– Jack? Słyszysz mnie? Zdaje się, że ogłuchłeś na starość – kpiła Mabel, podając mu wędkę.

– A może po prostu mnie ignorujesz, licząc na to, że nie będziesz musiał jej patroszyć?

– A w życiu – odparł Jack i mrugnął do chłopca. – Mężczyzna może nie złowić ryby, ale musi ją wypatroszyć.

– Czy mogę ci pomóc, papciu? Proszę...

Mabel zostawiła ich przy strumieniu i wróciła do chaty, by rozpaść w piecyku. Jack dokuśtykał do brzegu, opierając się na lasce. Chłopczyk ułożył rybę w pozółkłej trawie. Jack wyjął scyzoryk z kieszeni spodni. Z pomocą laski kucnął z trudem, kiedy nagle poczuł na ramieniu rączkę dziecka.

– Pomogę ci, papciu – powiedział chłopiec i chociaż był za mały, by naprawdę mu pomóc, jego dotyk jakimś cudem sprawił, że ból w starych kościach ustąpił.

Jay podał mu lipienia. Staruszek położył go na dłoni i przejechał ostrzem noża po srebrnych łuskach, rozpruwając rybi brzuch. Pokazał wnukowi, jak wyciągnąć lśniące wnętrzności.

Kiedy wrzucili je do czystej wody, przyplynał młody łosoś i skubnął kawałek jelita. Jack wsunął palec do wnętrza ryby i wydłubał nerkę, po czym tak długo płukał palce w wodzie, aż rozboleły go z zimna.

Chłopiec czekał, kucając przy nim.

– Na końcu łuski – powiedział Jack i pokazał mu, jak zdrzeć je ostrzem noża. Gdy zanurzył rybę w strumieniu, małe opalizujące łuski zaśnieły i odpadły, po czym popłynęły z prądem i osiadły na kamieniach niczym przezroczyście cekiny.

– Są bardzo ładne, prawda, papciu? – zapytał chłopczyk. Pojedyncza łuska przykleiła mu się do koniuszka palca.

– Prawda – zgodził się Jack.

\*

George i Esther przyjechali przed zmrokiem i jak zwykle Esther nie milkła od progu, a jej ręce były pełne słoików i zawiniętych w ściereczki przysmaków. Kiedy już ryba została otoczona w mące i usmażona na maśle, Jay podbiegł do okna.

– To tatuś! Tatuś przyszedł!

Chłopczyk rzucił się mężczyźnie w ramiona, zanim ten zdążył ściągnąć kurtkę i kapelusz.

– Co widziałeś, tatku? Co widziałeś?

– Zaraz, niech no pomyślę. A, tak. Widziałem... rosomaka.

– Nie żartuj sobie z chłopca – upomniała go Esther, odwracając na drugą stronę skwierczącą rybę.

– Wcale nie żartuję. Zapaściłem się naprawdę wysoko i zatrzymałem się w tej małej dolinie, w której byłem dawno temu. Wtedy można tam było spotkać rosomaki.

– I co? Widziałeś jakiegoś? – zapytał Jay.

– Tak. Przywiązałem konia do drzewa i ruszyłem w górę, kiedy nagle zobaczyłem rosomaka.

Stał na grani i nie spuszczał ze mnie wzroku. Myślałem, że się na mnie rzuci. Miał takie pazury. – Garrett rozwarł kciuk i palec wskazujący, odmierzając kilkanaście centymetrów.

– Bałeś się?

– Nie. Naprawdę nie. I wcale się na mnie nie rzucił. Tylko wpatrywał się we mnie żółtymi ślepiami. Potem odwrócił się bardzo wolno i przeskoczył przez grań.

– Co jeszcze widziałeś, tatku? Co jeszcze?

– Myślę, że rosomak w zupełności nam wystarczy – stwierdziła Esther, chichocząc.

– Niewiele więcej. Z wyjątkiem chmur nad górami. Wyglądały jakby niosły ze sobą śnieg.

Chłopiec wyjrzał przez okno, po czym wrócił do ojca z rozczarowaną miną.

– Nie pada.

– Nie martw się. Założę się, że jeszcze dziś w nocy będzie biało – powiedział Garrett.

Przez całą kolację mały kręcił się nerwowo na krześle, puszczając mimo uszu komplementy, którymi obdarowano złowioną przez niego rybę.

– Uspokój się, Jay – upomniała go Esther. – Śnieg nigdy nie zaczyna padać, jeśli się na niego czeka. Idź do dziadka George'a. Może podzieli się z tobą

ciastem.

George udał, że patrzy gniewnie na chłopca, po czym uściskał go i połaskotał.

– Boże! Uważajcie na talerze! – wykrzyknęła Esther. – Zaraz wywrócicie stół.

Po deserze George i Esther zaczęli zbierać swoje rzeczy, przygotowując się do powrotu.

Chłopiec wyglądał na zawiedzionego. Zawsze protestował, gdy ich rodzinne spotkania dobiegały końca, a kiedyś powiedział, że wszyscy powinni mieszkać w chacie Jacka i Mabel, tak żeby nikt nigdy nie musiał odchodzić.

Mabel pomogła włożyć Esther płaszcz, Jack i George wymienili uściski rąk, a Garrett zaproponował, że razem z Jayem zaprzęgą konie do wozu.

– Włóż czapkę, mały Jacku! – zawołała Mabel, ale chłopiec już wybiegł z domu.

Jack zbierał talerze ze stołu, kiedy usłyszał wóz ruszający drogą, a potem okrzyki radości i śmiech. Mabel stała przy oknie w kuchni. Zerknął ponad jej ramieniem. W pierwszej chwili zobaczył tylko ich odbicia w szybie, potem jednak ominął wzrokiem stare twarze i udało mu się dojrzeć postacie na zewnątrz.

Garrett stał przy stajni z lampą w dłoni, a jego syn wyciągał obie rączki do nieba. Nawet znajdując się w chacie, Jack słyszał radosne okrzyki Jaya. Pies szczekał wesoło, skacząc wokół dziecka.

Kiedy wzrok Jacka przyzwyczaił się do ciemności, zobaczył, że ziemia jest pokryta bielą.

W świetle lampy Garretta było widać wirujące płatki śniegu.

Chwycił Mabel za rękę, a gdy odwróciła się do niego, ujrzał w jej oczach radości i smutki całego życia.

– Pada – powiedziała.

## SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Część pierwsza

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Część druga

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26



Rozdział 27  
Rozdział 28  
Rozdział 29  
Rozdział 30  
Rozdział 31  
Rozdział 32  
Rozdział 33  
Rozdział 34  
Rozdział 35

### Część trzecia

Rozdział 36  
Rozdział 37  
Rozdział 38  
Rozdział 39  
Rozdział 40  
Rozdział 41  
Rozdział 42  
Rozdział 43  
Rozdział 44  
Rozdział 45  
Rozdział 46  
Rozdział 47  
Rozdział 48  
Rozdział 49  
Rozdział 50  
Rozdział 51  
Rozdział 52  
Rozdział 53  
Rozdział 54

### Epilog